

G. KOHN

17.

ROCZNIK

Samborski.

1893—1894.

Cr. asp. 692/17

Wydawnictwo
na cele dobroczynne samborskie.

XVII. ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,

wydawana

nakładem i staraniem

G. KOHNA.

(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników.)

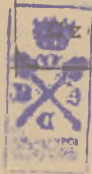
Ceny zwyczajne, nie kładąc tamy dobroczynności.

SAMBOR.

1893—1894.

W SAMBORZE.

z pionkami Schwarza i Trojana.



Mag 100322 II

17 (1893/1894)

Biblioteka Jagiellońska

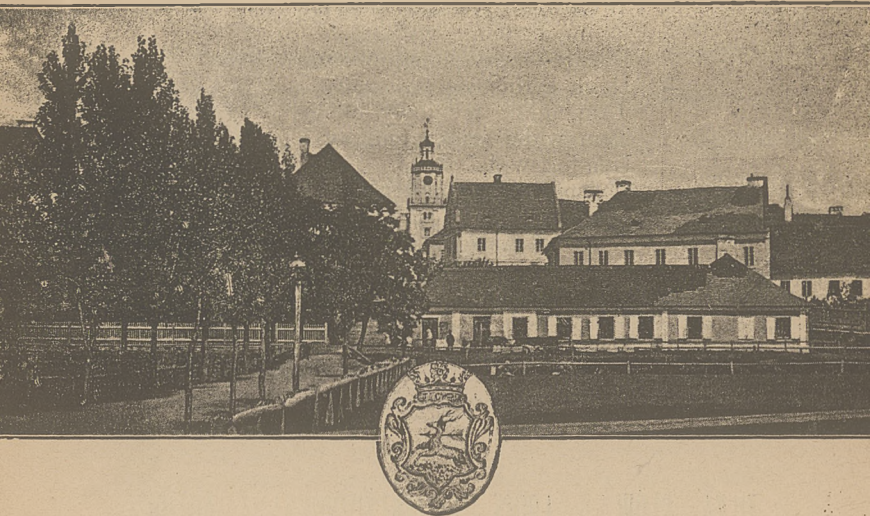


1002905226

Za wspólnem porozumieniem redakcji i współpracowników, poświęcamy obecny rocznik wielkiemu poecie, jubilatowi i seniorowi żyjących obecnie poetów polskich,

Koznelowi Wjejskiemu,

autorowi pieśni: „Z dymem pożarów“.



Głos z Sambora

do

KORNELA UJEJSKIEGO.

Z Sambora skromny głos,
 Z głosami niech się miesza
 Tych, co Twój siwy włos
 Dziś czezą jak włos Mojżesza;
 W ogólny druhów chór
 Pozwól i mnie wtórować,
 Choć słowem na ich wzór
 Nie mógłbym ja wojować.

Daruj, gdy w słaby rym
Uczucie me się składa;
Wyrównać wieszczom tym,
Że mi dziś nie wypada.
Daruj — gdy myślą wstecz
Duch cofnie się stroskany,
Tam, gdzie wymowy miecz,
Tam widzi wieku zmiany.
Upadek widzi tam,
Co smutny tryumf święci —
Więc nie to, co ci dam,
Lecz me uwzględnij chęci.

Sambor, 30. Października 1893.

G. Kohn.

KILKA SŁÓW O EPOCE ROMANTYCZNEJ i O AUTORZE
„CHORAŁU”,
ostatnim romantyku polskim.

ODCZYT,

wyłożony dnia 12-go Września 1893
w Towarzystwie kasynowem w Łańcucie,
przez
Adama Barańskiego.

Jeremi, sługa Ludu, syn ziemi natchniony,
Wyleciał nad obłoki jako ptak zraniony,
I patrzył w swoją matkę, co pod jego okiem
Płonęła, ni to lampa, przykryta obłokiem,
I dumał nad jej życiem, tak bladym i niskim,
Aż oto światłość owa czerwieńszym polyskiem

Buchnęła, i gwar dziki powiał od niej nagle
A więc zwinął Jeremi białych skrzydeł żagle
I spuścił się z błękitu . . .

Patrzę . . . moją ziemię
Krew zalała! . . . wróg moje pomordował plemię.

Każdy naród, dbały o swój żywot, przywiązuje najwyższą wagę do tego, co ducha jego podtrzymuje, co go wzmacnia.

Utraciliśmy wiele z warunków najniezbędniejszych życia, żyjemy jednak i nie tracimy wiary i nadziei w odrodzenie narodu. Z naszej dawnej przeszłości i potęgi, dziś nam nic nie pozostało oprócz słowa. Słowo, czyli piśmiennictwo, jest żyjącą naszą spuścizną, jest zarodem przyszłości. Tam, gdzie łańcuch tradycji zerwany, gdzie przebrzmiało żywe słowo, gdzie obumarło piśmiennictwo — tam śmierć i nicość.

Instynkt zachowawczy narodu wskazuje nam cenę piśmiennictwa, w którym spoczywają nasiona dalszego rozwoju i niepodległej przyszłości naszej Ojczyzny. Literatura nasza jest jedyną spójnią, łączącą nas z przeszłością, jedynym promieniem, oświetlającym ciemną naszą dolę dzisiejszą i wskazującym drogę, wiodącą do lepszej — da Bóg! — w przyszłości. Gdyby nie nasze piśmiennictwo, czemże bowiem dowiedlibyśmy świata i historii, że posiadamy jeszcze warunki bytu, że istnieje i żyje jeszcze polski naród?

Szczęściem jednak dla nas, że jasno i zdrowo to wszystko pojmujemy. Staramy się wszelkie warunki życia narodowego zgłębiać, życie narodowe pielęgnować i piśmiennictwo ojczyście rozwijać. Dzieje literatury naszej wskazują jasno i dobitnie, że aż do XVII. wieku staliśmy ciągle na równi i w zupełnej harmonii z postępem cywilizacji zachodniej. Wiek XVII. powstrzymał ten pochód, przerwał posuwanie się naprzód, uczynił nas zacofanymi.

Całą winę tego smutnego przeobrażenia przypisać należy nie tylko wpływowi wychowania, nie tylko szkodliwym wpływom jezuitów, ale niestety! także i królom naszym.

Od Zygmunta III. zacząwszy, królowie polscy poczuciem narodowości nie wiążą się z krajem, dwór ich otacza obcy, obcemi mówią językami. Nawet nasi Piastowie — Wiśniowiecki i Sobieski — nie dbają o czystość piśmiennictwa. Upadek i rozstrój nastąpił powszechny. Literatura nasza chyliła się ku upadkowi tak, jak i życie. Słowa w niej huczne i jaskrawe, ale brak w nich ducha i zasobu myśli. Epoka Saska zabija nas tak w literaturze, jak i polityce.

Pierwsze znaki odrodzenia pojawiają się dopiero za czasów smutnej pamięci Stanisława Augusta. I cokolwiek historia mu zarzuci, zaprzeczyć nie można czasom Poniatowskiego tej wielkiej zasługi, iż przygotowały rolę pod zasiew nowy, choć instynkt może silniej oddziaływał w tej sprawie, aniżeli pojęcie zadania i środków. Bądź co bądź epoka Stanisławowska, aczkolwiek nie nadała jeszcze zwrotu stanowczego ku lepszemu literaturze polskiej, to przecież przygotowała glebę pod zasiew przyszłości, który tak obfite wydał plony i owoce.

Dopiero rozbiór Polski był tą iskrą, która rozpałała ognisko. Bez rozbioru Polski nie mielibyśmy Mickiewicza, ani też epoki Mickiewiczowskiej. W każdym razie nie byłoby ducha narodowego w poezji; nie byłoby takiego, jakim jest, Słowackiego i Krasińskiego, ani też Kornela Ujejskiego . . . Nie byłoby tylu innych wielkich i głośnych wieszczów, którzy pod grozą pastwienia się wrogów nad nieszczęśliwą, rozebraną naszą Ojczyzną, chwycili za pióra i tworzyli arcydzieła. Charakter opiera się na uczuciu, a uczucie budzi się i powstaje najsilniej w obec idei, wyrażonej wszechpotężnem słowem: Ojczyzna!

Przegrana w roku 1831 wojna dołała oliwy do ognia. Wulkan namiętności wybuchł z całą grozą i majestatem. Mickiewicz jest wcieleniem idei narodowej.

Z Mickiewiczem i wieszczami jego epoki odzyskujemy znów dawne stanowisko w literaturze europejskiej, stajemy na równi z zachodem. Pod wpływem epoki Mickiewiczowskiej zaczynamy inaczej, aniżeli dotąd, kochać nieszczęśliwą naszą Ojczyznę. Mickiewicz sam sobie utorował drogę i pociągnął za sobą drugich. Stworzył on tak zwaną epokę romantyczną, której ostatnim, żyjącym dziś przedstawicielem jest Kornel Ujejski.

Mickiewicz stoi na czele epoki romantycznej, jemu przedewszystkiem należy oddać cześć, jemu należy się sława wodza. Gdyby nie Mickiewicz, nie mielibyśmy tylu genjuszów, którzy poszli w jego ślady — nie mielibyśmy Kornela Ujejskiego, który niepoślednie w epoce romantycznej zajmuje miejsce.

Ze Mickiewicz przed rokiem 1831 nie był takim, jak po roku 1831 — zaprzeczyć się nie da. Mickiewicz przed rokiem 1831 był sentymentalnym i sielankowym poetą. Przeniósł się do sfery wyobrażeń ludu, przyjął jego wiarę w stosunki świata ziemskiego z pozaziemskim. Nieszczęśliwa miłość umożliwiła poecie posunięcie się dalej. Odsłonił on nam wtedy uczucia prawdziwe i głębokie, a szczególnie niepowodzenia i nieszczęścia. Mickiewicz do roku 1831 dwa żywioły wprowadził do ówczesnej poezji, t. j. świat fantazji z tłem ludowem i świat rzeczywisty.

Nasza epoka romantyczna przed rokiem 1831 miała wiele cech wspólnych z romantyką niemiecką, a w szczególności co do zwrotu w poezji ludowej i co do zamiłowania w świecie fantazji.

Wypadki roku 1831 zwróciły na inną drogę mistrza romantyków, Mickiewicza i jego naśladowców a uczni. Charakter uczucia poetycznego zmienia się po przegranej wojnie w pełną smutku i rozpacz elegję. Poeci nasi wzrok melancholiczny i rzewny zwracają ku przeszłości i patrzą załzawionem okiem w przyszłość.

Nieszczęścia narodu kierują wzrok poetów ku innym, aniżeli dotąd, ideałom . . . Oddają się oni wtedy zupełnie pod kierunek uczucia i fantazji . . . Fantazję uważają za zwiastunkę nieomylną, za po-

ślanniczkę boską. W skutek tego — poetów epoki Mickiewiczowskiej słusznie też wieszczami narodu nazywamy.

Romantycy bowiem wykoleiwszy się z dróg dotychczasowego żywota, coraz bardziej zagłębiają się w świat fantazji, we własne wnętrza.

Przewaga uczucia i fantazji wytwarza wielkie bogactwo barw i potężną wyrazistość osób i wypadków. Czas od roku 1831 do 1848 stanowi bezprzeczenie najświetniejszą epokę poezji polskiej. Poezja ta, to pomnik wystawiony nieszczęściu Ojczyzny. Tutaj ostatni, dziś żyjący, romantyk Kornel Ujejski pod grozą wypadków krwawych r. 1846-go, zdobył sobie zaszczytne stanowisko w naszej literaturze i nieśmiertelne imię polskiego Jeremiego.

Jeremi ziemię obiecaną oglądał z wyżyn, ma jasne pojęcie posłannictwa swego, ma siły wyrobione, aby mu podolać, ma potęgę myśli, uczucia i słowa. Jest to człowiek przeznaczenia, który wyrobił sobie moc potrzebną do spełnienia swej misji. Boleje i cierpi za cały naród. Rok 1846, opłacony ofiarą i męczeństwem narodu, wywołał skargi Jeremiego i ów tak sławny chorał: „Z dymem pożarów.“ Chorał ten, gdyby Ujejski nic więcej innego nie napisał, zrobił by go już sam przez się, nieśmiertelnym. Jak długo Polska istnieć będzie — chorał ten będzie śpiewanym i w pałacach i chatach. Chorał ten jest idealnym wyrazem epoki, w której powstał i narodu, którego męczarnie streszcza. Wieszcz tam cierpi za cały naród. Chorał jest wyrazem jego dążeń, trosk i boleści. Wszystko tam zastosowane w właściwej porze; wszystko harmoniuje ze sobą i tłumaczy się nawzajem.

Pieśni takiej nic się prawie równać nie może; wywarła ona ogromny wpływ na społeczeństwo całe. W roku 1863 szła młódź do boju z tą pieśnią na ustach.

Tą pieśnią stanął Ujejski na najwyższym szczeblu sławy. Wielki w niej jest jako poeta i wielki jako myśliciel. Widzi daleko i jasno, sądzi bacznie i bystro. Walka w piersi rozdartej trwa aż do chwili ostatniej.

O Panie! Panie! ze zgrozą świata
Okropne dzieje przyniósł nam czas —
Syn zabił ojca, brat zabił brata —
Mnóstwo Kaimów jest pośród nas! —

woła wieszcz w przystępie rozpacz i bólu. Modli się jednak dalej do Pana i błaga:

„O rękę karaj, nie ślepy miecz!“

Tu talent Ujejskiego zabłysł pod grozą wypadków w całej pełni:

— Na ziemi jego ojców były łuny krwawe,
Krzyk rozpacz przedzierał się przez śmiech i
[wrzawę;

Pośród ogniów — szatana przemykały posły
I worki z srebrnikami dla Judaszów
[niosły!

A za niemi dzicz ślepa z wyciągniętym nożem
Szła jak plaga strącona karaniem nie Bożem:
Gdzie przeszła, zapadały domy — groby rosły!
Jeremiemu krew wrząca skoczyła do skroni,
I mniemał, że miecz dzierży archanielski w dłoni;
I okiem, iskier pełnem, spojrział po narodzie,
I mniemał, że w nim duszę odbije jak w wodzie,
A przy drogach jak stare pochylone słupy,
Sterczali ludzie — spojrział im w twarz — żywe
[trupcy!

Bo wszyscy skamienieli, nikt bolem nie władał:
Kto pod ciosem nie upadł, ten z niemocy padał!
I widząc to Jeremi spłonął strasznym gniewem,
I ze snu chciał ich zbudzić brzękiem, słowem,
[śpiewem;

Więc na górę z rumowisk podniósł się po zgli-
[szczach,

I mieczem bijąc w lutnię, ćwiczoną na mistrzach,
Łunami obleczony i dymem obwiany,
Uderzył w hymn, jak jego serce, potargany. —

Ujejski Jeremi niezaprzeczenie budził tę część Polski, którą Galię ochrzczono — słowem i śpiewem do życia. Przyznać trzeba, że prawie żaden z poetów urodzonych w tej części dawniejszej Polski nie przemawiał tak gorąco jak on do narodu. . . . Rok 1846... zrobił swoje, zrobił Ujejskiego nieśmiertelnym!

W przeszłość i w przyszłość narodu zapatrzony, hetmani on nam duchem swoim; stanowi żywą negację i nieustający protest w obec tych, co twierdzą, że Polski już nie ma, głosi słowa wiary i nadziei na równi z wielkim wodzem w sukmanie, o którym „Pogrzeb Kościuszki“ opiewa:

— Już hetmana wyniesiono pod namiot rozpięty,
Gdy ozwał się słodkim głosem doń Stanisław

[święty :

„Snać ty o mnie zapomniałeś, o polskim pa-
tronie,

Jeśli prawda, że krzyknąłeś raz: Finis Poloniae!“

Na to hetman: „o mój ojczy! choć sercem prze-
[lękłem,

Zanurzałem się w boleściach — tych słów nie
[wyrzekłem —

Raczej z mojej biednej piersi to Ojczyzna wzięła,
Z czego wkrótce pieśń urosła: „Jeszcze nie

[zginęła!“

Ujejskiego nazywają romantykiem — jednak nie jest on nim w całym tego słowa znaczeniu . . . Jest on poetą narodowym. Nawet w literaturze hebrajskiej odnajduje jeszcze drogę smutku i pociechy dla Polski.

Jeremi bezsprzecznie wyniósł się jako poeta wysoko, jednak przez krótkotrwałość natężenia duchowego, tworzył tylko małe arcydzieła. Liryzm jego jest przeważnie pełen grozy; czułościowym Ujejski nie był prawie nigdy. Jeremi, jakkolwiek jego twórczość poetycka ze szkodą dla kraju i literatury krótko trwała, nie stracił dotąd szlachetności i podniosłości duszy i dąży zawsze ku jednemu wielkiemu celowi . . . Myśli i marzy o Polsce i jej niepodległości. Tworzył i tworzy dotąd rzeczy wielkie, nie w wierszu, ale prozie. Zajaśniał jako mowca natchniony, nie cierpiący fałszu i oziębłości, stojący w obronie wielkiej zasady. Przemawia do umysłu i podnosi słuchaczy do wyżyn, gdzie wyobraźnia olbrzymią odgrywa rolę.

Kornel Ujejski urodził się dnia 12-go Września r. 1823, a więc dziś lat 70 — w Berminach, wsi położonej w powiecie Czortkowskim. Pisać zaczął

Bibl. Jag.



KORNEL UJEJSKI,
autor „Pieśni biblijnych“ i „Chorału“,
JUBILAT,
urodzony w r. 1823.

bardzo wcześnie, bo już w 17-m roku życia, gdy uczęszczał jeszcze do szkół realnych we Lwowie. Wydzierżawiwszy wieś Zubrze pod Lwowem, oddał się ciężkiemu zajęciu rolnika. Pisywał prozą do „Dziennika literackiego“. W szczególności w krytycznych artykułach rozbierał poeta działalność Wincentego Pola i wytknął mu odstępstwo, którego się dopuścił w swoich pismach w chwilach zwątpienia. Poeta, według niego, nie powinien pisać, gdy wątpi. W pismach Ujejskiego w samej rzeczy, nikt nie znajdzie nuty pesymizmu. We wszystkich jego utworach, począwszy od roku 1840, odzywa się niespożyta wiara i nadzieja w lepszą przyszłość, w odrōdzenie i zmartwychwstanie narodu.

Po „Gęśli Jeremiasza“ następuje piękny poemat „Maraton“ — tam wyśpiewuje poeta szczytną miłość Ojczyzny, starej Grecji.

W roku 1846 — pod wpływem bólu wydobywa poeta ze swej piersi „Skargi Jeremiego.“ — Tam w „Nocy natchnienia“ znajduje się zobrazowana cała Polska i dzieje jej. W modlitwie „Ojcze nasz“ zawarty jest rys dziejów ludzkości.

Wielkim także jest Ujejski w poemacie „Po latach ośmnastu“ — tam nawet czei wrogów — dwóch oficerów-moskali za wielkie ich uczucia.

W „Melodjach biblijnych“ — wszystko wykute jak z marmuru. Trudno sobie wyobrazić potężniejszego Mojżesza — oburzonego odstępstwem swego narodu.

Ujejski ilustrując nam muzykę Szopena — przedstawia niezmierną skalę uczuć, począwszy od najgłębszych, a skończywszy na tak subtelnych, jak marzenia wiosniane serc dziewiczych.

Cóż mówić o innych utworach poety — a szczególnie o tych, gdzie takt i nuta bojowa się przebija?

Któż nie unosi się nad pięknością „Pogrzebu Kościuszki?“ Komuż nie utkwiły w pamięci słowa:

„Na ambonie krasomówca, nie kapłan natchniony,
Kraǳie słówka i świecące wysyła z ambony,
I sukmanę coś hetmańską bramuje i złoci,

W obec trumny coś wspomina — o carów do-
[brocie!

Hej hetmanie! hej jedyny! całun z siebie ściąga!
Zwróć się twarzą do kapłana, rzeknij:

„Nie urągaj!”
Patrz na lud ten, co w dziedzińcu przy twoich
[słów chrzeście
Płacze za mną, modli Bogu — ale ściska pię-
[ście.“

Ujejski wydał także obrazki dramatyczne a nadto posiada jeszcze kilka utworów w tece — i spodziewać się należy, że wkrótce ukażą się w druku.

Nie będę tu mówił o zasługach Ujejskiego jako obywatela i byłego posła do Rady państwa. Zaznaczam wszelako, że poezja nie powinna i nie może brać miejsce w programach politycznych . . . Ma ona swoje własne wielkie koło działania, kto z niej bierze wzory i plan postępowania na arenie politycznej, ten błądzi i nie dojdzie do zamierzonego celu. Wpływ poezji jest sam przez się niesłychanie wielki i dobroczynny. Dać poznać prozaicznie i płytko usposobionemu ogółowi głębokie tajnie życia wewnętrznego ducha, i potęgą genjusza do tego świata go wprowadzić . . . że tak było, jest to olbrzymią zasługą Mickiewicza i jego epoki. O naszych romantykach, jak długo Polska istnieć będzie, pamiętać będą.

Romantycy nasi tworzyli arcydzieła, które śmiało mogą iść w zawody z poezją najdoskonalszą każdego wielkiego narodu. Wołam zatem z głębi piersi; Cześć i sława ostatniemu dziś żyjącemu romantykowi, cześć i sława Kornelowi Ujejskiemu!



TRZY PRZEKŁADY

Z UJEJSKIEGO*).

I. Balaam

(von Kornel Ujejski.)

Da hub an Balaam: „Mög' Moab mich hören,
Bereuend Verblendung und Sünde;
Gott wollte mir selt'ne Vergünst'gung gewähren,
Das Urtheil des Herrn ich euch künde,
Zu euch spricht Balaam, Sohn Beor, der Weise —
Verflucht, wem ich fluche, lobpreist, wen ich preise!
Von sieben Altären, die Irrwahn vergöttert,
Steigt Weihrauch zum leuchtenden Himmel —
Der Riesen Macht hat der Allmächt'ge zer-
[schmettert,
Verwandelt in Wolkengetümmel;
Doch über euch schweben, euch lockend, die
[Dünste,
Wie sünd'ge Gedanken und wie Teufelskünste.
Im Thale, so weit als nur reichen die Blicke,
Da wimmelt's von Israels Zelten,
Umsonst magst du, Moab, ihm dräuen voll Tücke,

*) Kolega Zipper ze Lwowa w artykule niedawno w jednym z pism miejscowych umieszczonym, przytacza imiennie wszystkich tłumaczyów Ujejskiego. Nie wiedział o tem, że i ja do nich należę, przetłumaczyłem bowiem przed laty 3 prace jubilatą, które dla pożytku szerszych kół niniejszem drukiem ogłaszam. Wszystkie te poezje przetłumaczone przezemnie zostały w rytmie oryginału. (*Przyp. red.*)

Mit ihm ist des Ew'gen Vergelten,
Und treu hält es Wacht an des Heiligthums Pforte —
Wer flucht diesem Volke, flucht Gott, seinem Horte.
Dies Büsservolk ist dem Allmächt'gen ge-
[heiligt,
Ihm gab er die heidnischen Länder;
Denn schwer ward's mit Unglück und Leiden
[betheiligt
Und spann sich aus ihm die Gewänder,
Bis endlich nach Leiden von endloser Dauer
Zerriss das Gewebe des Elends, der Trauer.
Dies Volk, um des Herren Gebot zu erfüllen,
Es zog durch die Wüste ergeben,
Im Wüstensand liess es die sterblichen Hüllen,
Im Herzen sein Vaterland leben,
Und darum soll's wachsen wie Sand an dem Meere
Und ausrotten die, die sich setzen zur Wehre.
Nach blutigen Kämpfen, nach ruhmvollem Streiten
Den Grenzen von Moab sich naht es,
Den Untergang wird's mit dem Schwert euch
[bereiten,
Euer Urtheil, ihr Völker! empfaht es!
Denn, wenn sich zum Streit wird Israel erheben,
Dann schont es im Grimm nicht der Säuglinge
[Leben.
Wie schön dort, umsäumt von des Stromes Ge-
[wässer,
Die Zelte sich blähen und schwellen!
Wie schön dort erglänzen die Speere und Messer
Im Strahle der Sonne, im hellen!
Dies zahllose Volk, das sind Israels Sprossen,
Rath halten sie drohend — zum Kampfe entschlossen.
Abbrechet die Zelte, ihr Söhne des Krieges,
Und schwinget die siegreichen Waffen!
Besetzt euer Erbland, genießt eures Sieges,
Hinweg wird die Feinde Gott raffen!
Ich, Moabs Wahrsager, vom Herren berathen,
Ich segn' euren Kriegszug, ich segn' eure Thaten!“

II. Die Verfluchten

(von Korneł Ujejski.)

Verflucht! wer die Wunder des Ewigen sahe,
Wer am Tage des Zornes dem Herren stand

[nahe,
Und beugt sich nicht ihm, nein! den Götzen, den
[lahmen.

— Und laut sprach das Volk des Herrn: Amen.

Verflucht! wer ein Mann ist und nichtiger

[Weise
Dem Nächsten um Würden, Gewänder und
[Speise

Verkaufet die Freiheit, die Ehre, den Namen.

— Und laut sprach das Volk des Herrn: Amen.

Verflucht! wer zu knechten ein ruhig Volk strebet,
Den reinen Sinn trübend, mit Trug es umwebet,
Verfluchet sei er und verflucht sei sein Samen.

— Und laut sprach das Volk des Herrn: Amen.

Verflucht! der der schadenfroh zusieht und
[lachtet,

Wenn's Gebälk ob dem Hause des Nebenmanns

[krachet,
Wenn die Feinde den Nachbarn zu plündern
[ihm kamen.

— Und laut sprach das Volk des Herrn: Amen.

Verflucht! wer den Bund mit den Brüdern verletzt,
Wessen Auge ihr Elend mit Thränen nicht netzet
Und wess Zunge den Feind lobt im Liede, im
[zahmen.

— Und laut sprach das Volk des Herrn: Amen.

Verflucht! wer vom Baume des Lebens bloss
[reisset,

Was wohlschmeckt und bittere Frucht von sich
[weist,

Wen zum Mitgefühl fremdes Leid nicht kann
[entflammen.

— Und laut sprach das Volk des Herrn: Amen.
Verflucht! der der grübelnd in Finsterniss wühlet,
Das Licht der Verheissung mit Nebeln umhüllet,
Und führet sein Volk in der Irrwege Rahmen.

— Und laut sprach das Volk des Herrn: Amen.
Verflucht! der, der Gott trotzend, frech sich
[empöret,
Der Freistatt den Feinden des Herren gewähret,
Wenn des Ew'gen Gericht ihnen droht mit
[Verdammen.

— Und laut sprach das Volk des Herrn: Amen.

Sambor, 1880, am 8. December.

G. Kohn.

III. Kościuszko's Begräbniss

(von Kornel Ujejski.)

W^eithin tragen alle Glocken Volkestrauer düster,
Ächzen, stöhnen, unterbrechend das Gebet
[der Priester,
Alle weithin übertönend, aufgelöst in Zähren,
Gleich der theuern Heimat, lässt sich Sigmunds
[Glocke hören*].
Fremd auf fremder Erd' verlebt' er einsam seine
[Tage,
Er, um den jetzt weithin schallet seines Volkes
[Klage,

*) Sigmunds Glocke, eines der ältesten und ehrwürdigsten Denkmäler der krakauer Glockengiesserkunst, wird nur bei besonders feierlichen Gelegenheiten und Begräbnissen von hochbedeutenden Männern geläutet. (Anmerkung des Übersetzers).

Nach so langer Jahre Trennung kehrt aus ferner
[Weite
Heim im Sarg der theure Führer zu den Seinen
[heute.

Die Gefährten auf den Armen tragen seine Leiche,
Ihre Lider netzt der Zähren Schmerzenstau, der
[reiche,
Adel, Priester, Kriegsgenossen um Kościuszko trauern,
Und der Leidtragenden Menge — schliessen seine
[Bauern.

Laut sie schluchzen, die ihm lieb einst wie die
[Kinder waren,
Und die Sense von Raclawic blinket untern
[Schaaren,
Die Standarte seines Volkes, Polens Angedenken,
Soll sich laut in stummem Schmerze ob dem
[Grabe senken.

O, ihr Herren! machet Platz dort, machet Platz den
[Bauern,
Lasst sie ungehindert weinen, lasst am Sarg sie
[trauern;
Denn der Hetman, der entseelte, liebt' nicht leere
[Titel,
Schritt, ein schlichter Sohn des Volkes, her in
[schlichtem Kittel.

*

*

*

Nach dem Wawel zu den Kön'gen tragen sie die
[Leiche,
Und es öffnet sich die Pforte, die an Goldschmuck
[reiche;
An der Schwelle stehet Kmita, der stolze Wojwode:
„Wer naht? fragt er, wer?“ — „Mach' Platz ihm!
[heilig ist der Todte!“

Aufersteh'n vom Todtenschlummer Polens Kön'ge
[Alle,
Es erfüllt sich mit Lebend'gen der Erin'rung
[Halle,
Den Genossen, frisch gewonnen, grüssen mit
[verzückten
Überirdisch - strahl'nden Blicken die der Erd'
[Entrückten.

Über Alle sich erhebet Der mit langem Barte:
„In dir grüsst der Bauernkönig seines Volks Stan-
[darte,
Haben wir doch Beid' geliebet, wie kein Dritter
[möchte,
Dieses unterdrückte, arme, biedre Volk der Knechte.“
Hin zum Zelte seine Treuen tragen schon den
[Führer.
Da erhebt die Stimme also Stanislaus Märtyrer:
„Sicher dacht'st du nicht, dass Polen ich schütz'
[bis zum Ende,
Als: „Finis Poloniae!“ du riefst, fall'nd in
[Feindeshände.“
Drauf der Hetman: „O mein Vater! ob mein Herz
[auch blutet',
Nie hab' ich dies Wort gesprochen, das man mir
[zumuthet!
Durch mein Leid selbst fühlte Polen sich auf's neu'
[geboren,
Ihm entnahm's die hehre Losung: „Noch sei's nicht
[verloren!“

* * *

Vorm Altar beginnt Sybilla's Sänger*) fromme
[Lieder,
Und voll heil'ger Andacht Jeder senkt das Haupt
[hernieder,
Und die Bauern voller Demuth in des Vorhofs
[Hallen,
Mit der Stirn ans Pflaster schlagend, auf die Kniee
[fallen.
Auf der Rednerbühn' ein Priester am geweihten
[Orte
Baut voll Kunst auf die Perioden, glättet ab
[die Worte,
Haschend voller Müh' und Sorgfalt nach gewähl-
[tem Bilde,
Spricht er angesichts des Todten — von der
[Zaaren Milde!

*) Woronicz,

Auf vom Grabe, todter Hetman! wend' dich zum
[Kaplane!
Ruf' ihm zu: „Entsag' des Irrthums frevelhaftem
[Wahne!
Schau' dir an die Schaaren alle! Lauschend deiner
[Sprache,
Treu dem Herrn, im Herzen Trauer, schwör'n dem
[Zaar sie Rache!“
Schon zu Ende ging die Messe; wo der Erst'
[im Reiche,
Wo ein König ruhen sollte, ruht des Hetmans
[Leiche,
Der die Heimat preisgegeben, der sich dem
[Gebote
Russlands beugte*), ruht in fremder Erde nach
[dem Tode!
Doch der hinterm Pfluge herging, arm an ird'scher
[Habe,
Er, des Volkes König, ruhet in des Königs Grabe!
Und wie sie zum ew'gen Schlummer schlossen Sar-
[ges Gitter,
Klagt' um ihn sein Volk im Kummer: „Todt Polo-
[nia's Ritter!“

* * *

„Haben ihn zur Gruft geleet, haben ihn genommen;
Uns schreckt deines Sarges Dunkel, machet uns
[beklommen:
Kön'ge ruhen dir zur Seite, Priester im Ornate,
Besser wär's dir doch, du ruh'test dort auf grüner
[Matte!
„Dort auf maiengrünem Felde zu dem Frühge-
[bete,
Grüssen möcht' mit ihren Strahlen dich die
[Morgenröthe,
Kühlen möchten Tatra's Berge dich im Sonnen-
[brande,
Freud'ge Kund' zufächelnd Winde weh'n vom
[Vaterlande.

*) Der letzte König Polens: Stanislaus August Ponia-
towski.

„Nebel steigt auf aus der Weichsel, Sonne glänzt
[von Weiten,
Längs der Wiese mit den Sensen scharfgewetzt wir
[schreiten,
Dich, den Todten, möcht' erfüllen noch ihr Klang
[mit Wonne —
Wie nun erst, wenn wir sie schwängen in dem Strahl
[der Sonne!

„Und wenn sich im Zorn abwendet Gott von
[seinen Treuen,
Würden wir zu dir dann flehen, dir Gelübde
[weihen,
Inschriften auf Gräbern deuten, ist nicht Jedem
[eigen,
Doch wo einst dein Grab gestanden? kann ein
[Kind selbst zeigen.“
Also klagt das Volk und träumet — abgeriss'ne
[Worte
Wachsen an zum Plan, der keimet vor des Jenseits
[Pforte —
Also sinnt's und steht und rathschlagt, in sich selbst
[versunken,
Bis aus seinem Innern auflobt hell der Geistesfunken!

* * *

Und ein Grabmal führt das Volk auf, das gen Him-
[mel raget!
Doch womit sein Inn'res füllen? sorglich Jeder
[fraget.
Ruh'n doch Kościuszko's Reste in Wawels Kapelle;
Antwort tönt: „Nach Maciejowic eilet auf der Stelle!
Dort, wo wund und kampfesmäde niedersank
[vom Pferde
Unser Hetman, lasst uns Alle abtragen die
[Erde,
In ein Kistchen drauf die Erde blutgetränkt
[man lege,
Dass als Grundstein sie Kościuszko's Grabmal
[dienen möge.“
So geschah's. Mit Tagesanbruch eilten alle Stände,
Bei dem Liebeswerk vereinet anlegend die Hände,

Herren, Priester, Bauern, Krieger, um, wie's Gott
[geboten,
Ihren letzten Dank zu weihen Polens grossem Todten.
Liebe einet sie — die Arbeit wächst, die liebe-
[volle,
Und ganz Krakau rufet: „Weiter! führt auf
[Scholl' auf Scholle!
Möge seine Ruhestätte sichtbar sein von ferne“...
Und Kościuszko's Grabeshügel wächst bis an die
[Sterne.
Also ragt er, dass von ferne Jeder ihn kann sehen,
Ihm zur Seite im Geleite Lieb' und Glaube stehen,
Hell und leuchtend ragt er aufwärts in der Zeiten
[Spiegel;
Ob auch Wawel fällt, steh'n bleiben wird Kościu-
[szko's Hügel.

Sambor, 1881, am 24. Januar.

G. Kohn.



PRZESZŁOŚĆ a PRZYSZŁOŚĆ, pogadanka społeczna*).

Są chwile dziejowe poważne, spokojne jak nurty głębokiej rzeki, a widzimy je tak w rozwoju całej ludzkości, jakoteż i w historii poszczególnych narodów. A chwile te trwają lata — wieki czasami

*) Kierując się zasadą, że tylko to, co najlepsze, figurować powinno w łamach naszego wydawnictwa a tem bardziej w dziele, poświęconem Ujejskiemu, umieszczamy niniejszą pracę. Jest ona wprawdzie przedrukiem z „Gazety Naddniestrzańskiej“ (rocznik II., nr. 3. z 1. Lutego 1885); ale rzeczony pismo nie istnieje już, podczas gdy zasady, wypowiedziane przez szanowną autorkę, nigdy się nie przeżyją. (Przyp. red.)

i stanowią spokojną, poważną terażniejszość ludzkości, — terażniejszość poszczególnego narodu. Wiek nasz obecny chwilą taką cieszyć się nie może. — Ludzkość w nastroju gorączkowym dąży a dąży dalej szybko i bez wytchnienia. I w państwach i narodach pojedynczych odbija się to piętno dzisiejszego ducha czasu i w całym ustroju społecznym. A jednak żaden naród na ziemi nie może tak bardzo zastosować do siebie tej wybitnej cechy dzisiejszej epoki, jak my — Polacy i Słowianie w ogóle. My słusznie powiedzieć możemy, że nie mamy terażniejszości.

Przeszłość i przyszłość — wspomnienia i nadzieje, oto treść naszych dziejów obecnych, naszego życia w terażniejszości. I u nas objawia się ruch jakiś gorączkowy, okazują się zmiany w ustroju społecznym, pragnienia, nadzieje, prądy rozmaite nurtują w łonie naszego społeczeństwa. Nikt z nas powiedzieć nie może — dobrze jest — niech tak zostanie! Lecz wszyscy wyglądamy zmiany — twierdząc, że przyszłość coś lepszego przynieść nam musi!

Wszyscy czekamy polepszenia! Prądy te i dążenia do zmiany, jakkolwiek cenne są bardzo, bo dowodzą żywotności i młodzieńczej siły narodu, przecież w skutkach bywają zgubne niekiedy i szkodliwe. Cóż może być przyczyną tego złego? Co może być przyczyną, że zmiany te miasto ulepszeń często szkodliwe wywierają wpływy?

Jedną z najważniejszych przyczyn jest niezawodnie ślepe naśladownictwo zachodu. Każdy szczep, każdy naród ma swoją własną, odrębną indywidualność, swego własnego ducha, swoje własne wybitne „ja“, które niczem zatrzeć, ani wypłenić się nie zdoła, i skoro przyłożysz rękę do serca narodu, to wnet poczujesz to tętno, bijące żywo i raźnie. To, co dobre gdzieindziej — złem i wadliwym u nas być może, gdy nie zgadza się z indywidualnością narodu. Są kierunki zbawienne na zachodzie, i te do nas przeuciść należy, jak: dążenie do oświaty, rozbudzanie zamiłowania do pracy i t. d., lecz naśladowanie nie może być ślepem, niewolniczem, gdyż

takie bezwarunkowo zamiast pożytku, przyniesie szkodę.

Nie mamy terażniejszości, lecz mamy daleką przeszłość, bogatą — a ta przeszłość nasza, to grauitowy fundament dla przyszłości. Te chwile dzisiejsze — ta nasza obecna terażniejszość, to kruchy materiał — nic na nim budować nie można, bo się wnet w mialki piasek rozsypie. Za fundament obrać musimy ową przeszłość naszą i na niej wznosić powoli wspaniałą budowę przyszłości. Rzecz oczywista, że i my iść musimy ręką w rękę z postępem i cywilizacją, lecz postęp ten i cywilizacją zastosować musimy do indywidualności narodu naszego — musimy nagiąć ją ku niej, jeśli chcemy, by myśli przyszłości naszej stały się ciałem.

Między wieloma innymi wadami dzisiejszych stosunków naszych, wybitnie występuje z tła obecnego ustroju społecznego sposób życia i wychowanie kobiet.

Ledwie dziewczę nieletnie z dzieciństwa w wiek podlotka wstępuje, już je przeznaczamy na profesorkę, na guwernantkę, na lekarzkę (gdymy można), podchwytyjemy jaki taki talencik, i gwałtem czynimy zeń artystkę — w gorszym razie wpychamy do ręki igłę i nożyce, albo każemy być buchalterką, ekspedytorką, telegrafistką, jednym słowem robimy z tego młodego dziewczęcia wszystko — tylko nie to, co będzie najważniejszym zadaniem kobiecego życia! Oto dzisiejsze wychowanie, to sposób życia znacznej części kobiet dzisiejszych, a bodaj czy nie większości! Jakiś gwałtowny prąd rwie je i niesie za sobą — a dokąd? Niezależność, emancypacja, walka — oto hasło dzisiejsze! A cóż w tem dobrego dla przyszłości jednostek — i dla przyszłości narodu! Nic smutniejszego, aniżeli widok tych biednych kobiet, walczących często ze wszystkimi możliwymi przeszkodami — byle tylko — osiągnąć cel marzeń swoich. A skoro już niby staną u celu — złudzenia pryskają, jak bańka mydlana, zostaje tylko bezsilne targanie się, szamotanie, zwątpienie i gorycz!

Nie przeczę, że przy wadliwych stosunkach obecnych, przy naszej nędzy materialnej — tej nędzy, pełnej zbytków i wystawności, kobieta niezamężna i nie posiadająca majątku pomieścić się nigdzie nie może, i jest ciężarem rodzinie i sama sobie, że musi własną pracą zapewnić sobie byt materialny.

Zresztą i wyjście za mąż jest przy dzisiejszych obopólnych wygórowanych wymaganiach znacznie utrudnione. Młody człowiek długie lata poświęca studjom i praktykom bezpłatnym, a dorobiwszy się stanowiska, szuka posagu — i nic dziwnego — bo nie jeden już spokojem życia całego okupił to, że nie mógł zaspokoić wymagań swej żony. Cóż więc pozostaje kobiecie, jeśli nie energiczna, a uczciwa praca, dająca możliwość zarobienia na chleb codzienny. Lecz niech to będzie środkiem tylko, chroniącym od nędzy! Pozostawcie ten środek tylko tym, które rzeczywiście same na siebie pracować muszą, a nie wdzierajcie się w prawa mężczyzn, bo na te prawa wieki się składały, bo je ustanowiła mądrość przedwieczna — mądrość Opatrzności!

I wiedza, i sztuki, i dział tak rozległy przemysłu drobnego i pracy ręcznej stać powinien otworem dla kobiety, pragnącej się kształcić lub szukać potem w tem nabytem wykształceniu środka do zapewnienia sobie przyszłości — lecz przy tem wszystkiem, a raczej przedewszystkiem kobieta — szczególnie kobieta Polka, kobieta Słowianka nie powinna ani na chwilę przestać być kobietą. Bo w tem właśnie leży jej władza, jej potęga, jej urok cały. Jeśli więc wdziera się w nie swoją sferę, jeśli nie umie ustrzedz godności swej kobiecej, a chce się stać poufałym kolegą mężczyzny, pozbawia się dobrowolnie swej władzy, swego wdzięku, jakim natura ją tak hojnie dla ogniska domowego uposażyła. I pragnąc stanąć jak najwyżej, pragnąc osiągnąć — ba przewyższyć mężczyznę, osiąga zwykle rezultat przeciwny i zamiast czci budzi szyderstwo, a nawet wstręt!!

Nie dawno słyszałam rozmowę poważnego i myślącego człowieka z młodą, bawiącą się w emancypantkę panią.

„Nieprawdaż, że pani przy swem żywym i energicznem usposobieniu, posuwa wszystko do możliwej ostateczności?”

„Tak jest“, odpowiedziała.

„A zatem niechże pani będzie tylko sobą, tylko kobietą aż do ostateczności!“

Tak mówią wszyscy ludzie poważni . . .

Tak mówią zacne kobiety nasze!

Tak mówi całe społeczeństwo nasze.

Ani biret doktorski, ani wieńce laurowe nie zastąpią mirtowej korony, a żadna profesorska katedra nie stanie za owe zaszczytne stanowisko u rodzinnego ogniska.

W tym świecie — w świecie zacisznym, spokojnym, u rodzinnego ogniska szukajcie szczęścia. Ten świat niechaj będzie treścią całego waszego żywota, a cichy domowy zakątek niech wypełni myśli wasze i serca.

Mościska, dnia 13. Stycznia 1885.

Janina Antonowiczówna.



Pamięci Agatona Gillera.

Nad świeżym brata grobem żałobny dzwoni spiż,
I z ziemi krzyżów pełnej wyrasta nowy krzyż.
I Polska płacze syna i cierń w jej piersi tkwi,
Ten syn był kością z kości, ten syn był krwią z jej
[krwi!

On służył jej wytrwale od pacholących lat.
Żar ducha w nim rozmogły — rygle więziennych krat,
W lodowcach syberyjskich — w cieniu katorż-
[nych min,

Z młodzieńca wzrósł na męża ten wierny Polski syn.
Pod chłostą padło tyłu a w nim spotęźniał duch!
Rozpala serc tysiące — w umysłach budzi ruch.
„Ratujcie matkę! — woła — póki w niej tchu i sił,
„Niech wrące krwi potoki wytrysną z polskich żył.

„W niewoli duch karleje — nad hańbę lepszy
[skon!

„Z ofiarnej siejby waszej — Ojczyzna zbierze
[plon.

„Niepewne losy walki -- mocen was olbrzym
[zgnieść;

„Lecz synom czas podźwignąć styraną matki
[cześć!“

Grzmia trąby, dzwonią szable, serca porywa szał:
Znow cisza — tylko w jarach stopy zrąbanych ciał
Zarosły macierzanką, — słońce wypilo krew,
I tylko w głębi ziemi kielkuje złoty siew.

A matka płacze synów, lecz spadł z jej czoła
[srom:

Więc, że na kościach ofiar potężny stanie dom,
Już powódź go nie zmiecie — piorun nie spali już,
Duch dziatwy czuwać będzie u bram jak wierny
[stróż.

Cwierćwieku wnet dobieży, umilkł bojowy gwar,
A brat nasz walczył jeszcze — tłumy cmentarnych mar
Wyzywał do zapasów: kto krok ustąpi wstecz,
Dosiężę go wnet piorun, ostry jak ojców miecz.

Gdzie się zasługa kryje — tam on odegna mrok,
Ku cichym pracownikom kieruje braci wzrok
I uczy ich przykładem, jak naród tych ma cześć,
Co wiernie nawiązują starganą dziejów nić.

Gdzie drobna tli iskierka, tam rączo bieży on
I w płomień ją rozdmucha —, na hasło bije w dzwon.
Oddany Polsce duszą —, w niej żyje, o niej śni,
I wierzy w nią i widzi ją w pasmie przyszłych dni.

Ach! dni te niedaleko . . . po latach twardych
[prób

Upadnie promień słońca na Twój pielgrzymi grób,
I bracia przyjdą tłumnie i pieśń zawiodą w chór,
A dźwięk jej na doliny zbieży po szlakach gór.

I cały kraj powtórzy: „Cześć temu bratu, cześć,
Co matkę tak miłował — wciąż o niej głosił wieść,
Żył dla niej, cierpiał dla niej, przykładem uczył nas,
Jak służyć jej do końca! Cześć mu na wieczny czas!“

Paryż, 1887.

Seweryna Duchńska.





(„Alleluja!“ rycina do wiersza, na str. 33. umieszczonego.)

ALLELUJAJ!

(z ryciną.)

.....

W okolicy pięknej, lecz obcej, na wzgórku
Już zdala widnieją zwaliska:
To ślady wielkości od wieków minionej,
To resztki zbrojnego zamczyska.

Na miejscu, gdzie dawniej dłoń zbrojna rycerza
Rumaki ogniste w bój wiodła —
Porosły dziś chwasty — a na nie posepnie
Spoziera prastara już jodła.

Wśród chwastów, wśród ruin czy duch stanął grzeszny?
Tak cicho zwaliska przekracza . . .
O nie! to oblicze tak pełne zadumy
Nie ducha — lecz mnicha tułacza.

W tył kaptur odrzucił i spojrział w dal, w niebo,
A pierś mu wezbrała westchnieniem:
„Mój Boże, jam tułacz! czyż duszę mam wiecznie
Mam poić tęsknotą? cierpieniem?“

Czyż nigdy nie wrócę w ojcyste me strony?
Mych łąk nie obaczę — ni nieba?
Gdy skroń mam zbolalą w grób złożyć mi przyjdzie,
Czy przyjmie rodzinna mnie gleba?

O kraju mój święty — nieszczęsny mój kraju!
Tyś w pętach, w kajdanach, w niewoli!
A dzieci się Twoje tułają po świecie
I końca nie widzą niedoli!“

I wsparł się wygnaniec o muru krawędzie
I umilkł — a wzrok zrozpaczony
Gdzieś w dali zawisnął. I cicho, powoli
Zmrok ziemię otulał w zasłony.

Już słońce za górę chowało swą głowę,
Śląc światu ostatnie promienie —
I milkły ptaszęta i milkły wietrzyki,
Bo noc rozpostarła swe cienie.

I cicho. — Lecz nagle cóż ciszę roztrąca?
Świat cały wstrząsają te dźwięki!
To dzwony, to dzwony — to chwały zwiastuny,
Bo łzy się skończyły i męki!

I tułacz się ocknął i padł na kolana:

„O cześć Ci, mój Boże i chwała!

Zmartwychwstał — zmartwychwstał

[Twój Syn dziś na ziemi

I dusza mi dziś zmartwychwstała!

Ten dzwon „alleluja“ mi dziś odpowiada

Na me beznadziejne pytania:

Ojczyzno Ty moja! I Tobie zadźwięczy

Po mękach ten dzwon zmartwychwstania.“

Stefania Kossowska.



JOANNA,

KRÓLOWA NEAPOLITAŃSKA.

Obraz dramatyczny w IV. aktach,

przez

Franciszka Lasockiego,

zaopatrzoney wstępem słowem wydawcy.

PRZEDMOWA.

.....

Kto się uważnie wczytywał w Platena „Dzieje Królestwa Neapolitańskiego“ i w inne historyczne dzieła, ten może w „Joannie, królowej Neapolitańskiej“, nie zawsze chronologję historyczną ściśle znajdzie zastrzeżoną; ale o to w podobnym dramacie ani czytelnikowi, ani autorowi rozchodzić się nie może. Wiadomą jest rzeczą, że sławny historyk Gindely nawet takiemu mistrzowi, jakim był Szyller, zarzucił, iż proces psychologiczny jego „Wallensteina“ wcale się nie zgadza z procesem historycznym. A jednak nie czyni to najmniejszej ujmę sławnemu dramatowi autora „Zbójców“. Tak samo ma się rzecz z niejednym „historycznym dramatem“ Szekszpira, tak samo także z sławną „Anną Oświęcimówną“ Antoniewicza, z którym to dramatem „Joanna Neapolitańska“ Lasockiego spokrewniona

bardzo, choć nie treścią, ale nastrojem wielce poetycznym. Scena a historia — to nie to samo.

Autorowi rozchodziło się głównie o to, nakreślić wdzięczny a silny poezją obraz z XIV. stulecia. Wybrał więc za miejsce akcji Włochy; przeciwstawił obłudzie włoskiej, zepsuciu włoskiemu, odzwierciedlonemu w osobach takiej Joanny, Bertranda, Vetturina i innych — nieposzlakowane charaktery węgierskie i sławiańskie króla Andrzeja, Gary, Rębosza. Złe zwycięża w tym dramacie, ale tylko chwilowo i to za pomocą zdrady, podobno jak się dzieje w epopei „Nibelungów“, w „Andrzeju Hoferze“, dramacie Immermanna i w innych dramatach niemieckich, w których również niedoświadczony a prawy żywił niemiecki na obcej ziemi marnie ginie skutkiem intryg włoskich.

Tyle od siebie mamy do powiedzenia; resztę w wyobraźni czytelnika niech uzupełnią charaktery osób, naszkicowane przez autora samego:

„W osobach wprowadzonych uzewnętrzniają się następujące idee:

Sankcja jest typem politycznych, ukoronowanych zbrodniarek — indywidualność jej samej mało znaczy.

Joanna: natura niepohamowana w żądzy panowania absolutnego. Kochająca tylko siebie i wspomnioną ideę, która ją prowadzi do szaleństwa w zaciekłości, zaparciu się wszelkich uczuć ludzkich — do zbrodni.

Kr. Andrzej: niedoświadczony, szlachetny młodzieniec o silnej woli — ale nazbyt uczuciowy i przez to, serce zawierzając Joannie, którą kocha, oddaje się w ręce katów.

Ks. Ludwik: zwykła poziomość — chcąc nad stadem rej wodzić.

Don Vetturino, dworak, wyzuty ze czci i wiary — dopełnieniem jego istoty jest Bertrand.

Rębosz, typowy polonus — odważny, szlachetny, łatwowierny, dobroduszny — dopełnieniem jego, Gara. Dopełnienia te moralne wprowadzam z akcentem do dramatu — ponieważ w życiu zawsze się tak dzieje. Wszędzie jest „alter ego.“

Donna Roza: ideał poświęcenia się kobiety — samodzielnej — rwącej wszystkie pęta konwenansu i martwych przykazań — dla prawdy, dobra i piękna w stanie natury, nieskończonych, azatem w gruncie czystych. Antyteza Joanny.

Don Padre: typ jezuityzmu — z obudzonem, po czasie, sumieniem — zrehabilitowany poświęceniem i żalem za swą brudną przeszłość.

Izolda jest dalszym ciągiem Elżbiety w uplastycznieniu uczuć macierzyńskich.

Bonifacio: materiał surowy w rudzie rodzimej — nie bez wartości. Umiał pięknie umrzeć.

Z wielu innych jarzących światel błyszczy tu dogmatycznie: wiara w przeczcucia w Rozie i Izoldzie. — Częsta apelacja do Boga charakteryzuje pojęcia swojego czasu.“

Sambor, 16. Listopada 1893.

G. Kohn,

wydawca „Roczników Samborskich.“



NINIEJSZĄ PRACĘ

poświęca panu

KAZIMIERZOWI DWORSKIEMU

W DOWÓD WDZIĘCZNOŚCI

za szlachetne podanie ręki w nieszczęściu

A U T O R.



OSOBY.

.....

Joanna, królowa Neapolitańska.

Andrzej, królewicz Węgierski, jej mąż.

Elżbieta, królowa Węgierska, matka Andrzeja.

Sankeja, cesarzowa Konstantynopolitańska.

Ludwik, książę Tarentu, syn Sankeyi.

Bertrand, dworzanin królowej Joanny.

Izolda, piastunka lat niemowlęcych kr. Andrzeja.

Gara, dowódca przybocznej straży węgier-
skiej

Prot Rębosz, dowódca przybocznej straży | kr. An-
polskiej | drzeja.

Donna Roza, z fraucymeru królowej Joanny.

Bonifacio, kalwakador, powiernik cesarzowej Sankeyi.

Don Vetturino, dowódca przybocznej straży królowej
Joanny.

Ludwik, król Polski i Węgierski.

Rycerze, zakonnicy, służba, lud.

(Rzecz dzieje się w XIV. wieku, w Neapolu i
Awersie.)



Boś synu! z ducha i krwi mej poczęty!
A jaką los ci przygotowuje czarę . . .
Czy wieniec szczęścia, czy też dnie zatrute . . .
To szczęściem skronie uwienczę me stare,
Lub ci pomogę spełnić i cykutę! (*Podaje puhar kr.
Andrzejowi, który ukląkłszy odbiera go.*)

Kr. ANDRZEJ (*zwracając się do koronowanych.*)

Za szczęście wasze! — spełniam toast do dna!
Boć gdyby jedna została kropelka
Z życzeniem naszym, w ukryciu, niezgodna . . .
Mogłaby z kropli powstać powódź wielka . . .

Ks. LUDWIK.

Jedną tu pierśią oddychamy wszyscy,
I jeden cierń nam w sercu tkwi boleśnie —
Ze chociaż twojej koronacyi bliscy,
Królowę-matkę żegnamy przedwczesnie.

Kr. ELŻBIETA.

Trudno — gdy z Węgier przybiegli tu po mnie —,
W Polsce też burza . . . muszę więc tę chwilę
Poświęcić ludom, które nieprzełomnie
Stoją w swych prawach, wiedząc o swej sile . . .
— Toż wam zostawiam tych ślubów spełnienie,
Gdy nic nie stoi dzisiaj na przeszkodzie.
Czyńcie, co czynić każe wam sumienie,
A ze słowami bądźcie w czynach w zgodzie —
Bo biada! mówię — biada! przeniewiercom!
— A Węgry, Polska, gdy się złączą bratnio,
Kiedy ich wielkim zemsta doje sercom —
Zatrzasną nawet samych piekieł matnią!

Kr. JOANNA (*z przymileniem.*)

O matko droga! jak tu w Neapolu,
Tak i w królestwie całym, jedno serce!
Twój syn a mąż mój — nie zbierze kąkolu
Z dziedzicznych pól swych.

C. SANKCJA (u. str. z ironją.)

Z samych róż kobierce. . . .

Kr. ELŻBIETA.

O! spraw tak Boże! w to ufać mi trzeba —
A teraz żegnam! bo czas mi ucieka (przy-
stępują do pożegnania obecni a wśród nich kłęką
kr. Andrzej z kr. Joanną.)
A was polecam miłosierdziu nieba! (do kłęczących)
Niechaj was strzeże — szatana człowieka,
Co w pełzających jest źmii zębami
A wśród kwitnących złośliwą pokrzywą
W wysokosiadłych jastrzębia szponami --
A w chciwych łupu, hyeną krwi chciwą!
Niech wasze oczy od lśniących robaków
Światła nie pragną — od kameleona
Stałości barwy — porady od szpaków,
I ognia serca — od żółwiego łona
Kochajcie lud wasz, jak rodzic swe dzieci,
I jak pelikan karmcie go swem łonem,
Królewską szatą tulcie go w zamieci —
A cieniu w skwarach niech szuka pod tronem!
Nie lud jest dla was — ale wy dla ludu!
Nie świat dla słońca, lecz słońce dla świata!
— I w tem zagadka tej harmonji cudu —
I przez to wszechświat w koło słońce oblata
Na tej wyżynie, na tych wysokościach
Ja, matka królów! — dziś wam błogosławię!
Ile wre uczuć w tej piersi wnętrzościach,
Ile wniebowzięć w moich przodków sławie :
Tym skarbem całym dziś wam błogosławię!
Błogosławieństwo — monarszej dobrocie —
Błogosławieństwo ich sprawiedliwości —
Błogosławieństwo szczęściu drobnych kroci —
Błogosławieństwo cnocie i mądrości!

Kr. ANDRZEJ.

Matko! przysięgam, że pójdę twym torem,
Jak równie śladem stryja Kazimierza,

Co był wolności ludu gladjatorem,
Dążąc tam w życiu... gdzie krzyż Pana zmierza...
(*Wstaje, całując kolana i ręce matki.*)

Kr. ELŻBIETA (*silnie wzruszona, bierze go w objęcia.*)

O synu, dziecko! połóż tu tve skronie,
Bo mi to serce stare z żalu pęka!
Nieokreślony jakiś ból w niem płonie,
I niewidzialna targa niem wciąż ręka... (*daje mu
sygnet na palec*)

Masz ot ten pierścień z relikwiami w koło —
Niechaj cię one zasłonią od wroga —,
I tę łzę czystą na tve srebrne czoło,
Coby i u stóp mogła spłynąć Boga! (*odchodząc szybko*)
Czas mnie wypędza — bywajcie więc zdrowi
I wierni odtąd swojemu królowi. (*Wszyscy wychodzą
za kr. Elżbietą oprócz Donny Rozy.*)

SCENA II.

Donna Roza, potem Bertrand i Don Padre.

DONNA ROZA (*z pewnem roztargnieniem.*)

Ostatnie oczko z pawiego ogona
Królowej Pani, wielbionej Joanny,
Gdy świetniejszemi w koło utęczona —
Ja zostać mogę. Bo i nieustanny
Fałsz, który tutaj wciąż odgrywać muszę,
Tak wstrętny dla mnie i tak jadowity,
Rozdarł mi strasznie skolataną duszę,
Chmurami dziejąc dla mych ócz błękity.
Ty mnie tu trzymasz Andrzeju! dla ciebie
Jam niewolnicą. Tve królewskie cnoty —
I twoja piękność, jaką tylko w niebie
Błyszczą skrzydlaci — hart pełen prostoty,
Ta czarodziejska różeczka dla mężczyzny —
Tu zażegnały mnie w parnej otchłani!
Tutaj zadają i goją mi blizny —
To balsam: żądłu — co ze stu paszcz rani!

— A cóż sumienie? to milczy jak skała!
Tak — bo małżonka nie kocha go własna!
Dla czegoż jabym kochać go nie miała,
Gdy miłość moja jest jak słońce jasna!
Nie wiążą bowiem jej z przymusu pęta,
Ani przyszłości tęczowej widziadła —
Sama przez siebie — dla niego poczęta,
Jak motyl w różę z błękitów upadła

BERTRAND (*wchodzi.*)

A — donna Roza, jak zawsze, osobno —
Jednak tym razem — samotność naganna —
Bo cała scena mniej kwiatkiem jest zdobną,
O jedną gwiazdę mniej — błyszczy Joanna.

D. ROZA.

Gdzie słońca świecą, tam gwiazdeczka gaśnie —
Zresztą ja w sercu — Elżbietę królowę
Szczerze żegnałam — i dla tego właśnie
Nie chciałam miejsce zająć urzędowe.

BERTRAND.

Znów sól attycka — korzenna przyprawa —
Ale na teraz przebiera się miarka,
Na mizantropję, to widzę, zakrawa
(*z ironją*) Chyba tak uczą Dante i Petrarca?

D. ROZA.

Oby to spełnić, co oni nas uczą
I błysnąć w duszy ich boskiem promieniem

BERTRAND (*rubasznie.*)

Mądrym swym rymem mnie już nie utuczają.

D. ROZA (*z ironją.*)

Zbyteczne światło darzy osłepieniem

BERTRAND.

Na potem wojna i ten wzrok surowy —
Lecz co ważniejsza — to nad wyraz wszelki,
Szlachetność naszej podziwiam królowej:
Co za szacunek dla Elżbiety wielki!
Pokora córki z majestatem zgodnie
To czysty anioł! ta królowa nasza —
Tylko na klęczkach, służyć dla niej godnie!
Stanąc z nią w równi sama myśl przestrasza —
Jak trwogą zdjęci bywamy od razu,
Gdy myśl nas na szczyt alpejski prowadzi,
Gdzie tylko orłom te trony są z głazu,
Gdzie tylko wielcy tam przebywać radzi.
(wyzywająco)
A co? czy i w tem może także błędę?

D. ROZA.

Krasomówczego nie widzę tu błędu.

BERTRAND.

A więc Janusa zamknijmy wrzeciądze,
I bądźmy w zgodzie, choćby z tego względu . . .

DON PADRE *(wchodzi, pokazując kieskę.)*

A to mi hojność, to królewska ręka!
Od razu zostać — i za nic . . . bogatym?
To aż mi w uszach i w duszy tak brzęka,
Jakbym się cały stał nagle dukatem.
Elżbiety rączka, jej królewskiej mości,
Sieje w krąg złotem, jak Pan Bóg gwiazdami.

BERTRAND *(n. s.)*

Co mnie do istnej prowadzi wściekłości! *(głośno z ironją)*
Zapewne rzekła: „módl się tam za nami!“ . . .
Nie darmo przecie?

D. PADRE.

I bez przypomnienia,
Bez zakupionej, oficjalnej modły —
Wiem, co mi każe głos mego sumienia.

BERTRAND (*szyderczo.*)

Którego echa . . . nikogo nie zwiódł —

D. ROZA.

Oprócz tych, co to szatana zań biorą,
Który w ich piersi przy sumieniu mieszka —
I zwykle w życiu już spóźnioną porą —
Dręczy anioła . . . piekielny koleżka . . .
Tymczasem czyńcie to, ojcze don Padre,
Co wam tam serce podyktuje w ciszy.

BERTRAND (*n. s.*)

Snać, ja na prawdę z tobą aśčko zadrę! (*Słyszać
pożegnalne okrzyki.*)

D. PADRE.

Chodźmy wykrzyknąć — niech i nasz głos słyszy!
(*Wychodzą wszyscy.*)

SCENA III.

C. Sankcja (*wchodzi*), potem Bonifacio.

C. SANKCJA.

. . . A więc z Byzancjum Sankcja cesarzowa,
Musi odgrywać tak podrzędną rolę?
Ja-to potężna! tu pełzać gotowa?

Tutaj krępować mą wszechwładną wolę!
Jak orzeł w żółwiej dusić się skorupie,
I olbrzym, w karła żelaznem odzieniu
Czuć — jak wśród ruchu każda kość mi chrupie!
I śmiać się z rzeszą, gdy padam w cierpieniu?
Ha! przyjdzie na mnie kolej inna w końcu!
Lecz dziś dla syna i mej własnej dumy —
Dumy — co zda się, urągać i słońcu
Bo mnie — nie jemu biją czołem tłumy!
Snać, na tę chwilę, na me dnię żywota,
Jam go zaćmiła! Na mój rozkaz srogi
Będą mu bluźnić . . . zaprą serc swych wrota,
Przez które dla mnie wypędzą swe bogi (po
chwili)

Tak — Ludwik, syn mój, dziś księżę Tarentu --
Gdyby w dal polot zamknięto mu wszelki . . .
Gdyby już żadnej wśród tego odmetu
Ludzkich zabiegów — żadnej gwiazdy wielkiej!
Byłabym szczęśna, jak lew w głuchej kniei.
Lecz Ludwik i trou — królestwo, Joanna —
Gdy ich skłonności dodają nadziei
Choć Andrzej mąż jej — i chwila zaranna
Winna być słodką . . . toż gdy jest inaczej . . .
Ona go znosić prawie że nie może —
Niechaj więc niebo mej dłoni przebaczy,
Ze tej niewoli chętnie drzwi otworzę.
. . . . Czy zaś z niej ona wybiegnie ochoczo?
Czy sił mi na to według chęci starczy?
Czy mnie tam sieci — czujnych nie otoczą?
Czy nie zawiodę się na fałszu tarczy?
To rzecz przyszłości — to rzecz jest Ludwika.
Zresztą, śmiertelnym nieznanie arkana . . .
Niech myśl się w czynach, jak w ciele zamyka —
Nikt nie wie — gdzie mu ziemia obiecana! . . .

BONIFACIO (*wchodzi, obcierając pot z czoła.*)

A co za gwałty, rwetes i wiwaty!
Gorąco, męki! miłościwa Pani!
Szczęśliwsze nawet podemną bachmaty,
Ci czworonożni — a moi poddani —
Niżli my tutaj pod tymi Węgarami!

C. SANKCJA.

Tak prawdę mówisz, mój kalwakadorze! (*kładąc palec
na ustach*)
Lecz wasan — cicho . . . język za zębami!

BONIFACIO (*kłaniając się.*)

A co się tyczy tego, chowaj Boże!

C. SANKCJA.

No — ale czego?

BONIFACIO (*pokazując gestem długość języka.*)

A, niby języka
Ale ten w cuglach, zawsze jest zebrany,
Tak, że mi tylko w półgalop pomyka,
Choć rwie się strasznie, jak Nedźyd bułany.

C. SANKCJA (*z ironją.*)

Że też to rozum twój się nigdy nie rwie,
Lecz ciężko drzemie, jak niedźwiedź wśród zimy,
Nie niosąc holdów bogini Minerwie,
Dla której żadnej nie czujesz estymy.

BONIFACIO.

Bo, wasz majestat przyzna mi to przecie,
Że — by dzikiego dosiąść Bucefala,
Niezego więcej nie trzeba na świecie,
Niż śmiałej duszy i zdrowego ciała.

C. SANKCJA (*znacząco.*)

Lecz ja bym ciebie i do ważnych rzeczy
Nieraz wezwała — by zbliżyć do tronu
A ty wciąż konie

BONIFACIO (*z zapalem.*)

Z tego nie uleczy
Mnie już podobno nic i nikt do zgonu —
Mojego konia nie oddałbym za nic!
Za góry złota i brylanty świetne —
Radbym na koniu z tego świata granic,
Jak Empedokles wyjechać przez Etnę.

C. SANKCJA (*zniecierpliwiona.*)

Skończ te szaleństwa! Powiedz mi ot lepiej —
Czy te okrzyki ludu płyną z duszy?
Czy dla Andrzeja tak w wierności ślepi,
Że już jej żadna siła nie rozkruszy?
Czy może złoto królowej Elżbiety
Działa tak silnie na ich słabe nerwy
I puste głowy, że nałomne grzbiety,
Jak próżne wiadra, chylą w dół, bez przerwy?

BONIFACIO (*jowialnie.*)

Ach! co się tyczy, niby — tak — pragnienia
To i najbardziej też rumak wyniosły,
Schyli swą głowę do piersi strumienia,
Tak dobrze — jak i najnędrniejsze osły.

C. SANKCJA.

Ztąd wnoszę, że lud ten łatwy w wyborze,
I tam się chętnie z pragnieniem nachyli —
Gdzie najdogodniej napoić się może

BONIFACIO.

O! na to można liczyć w każdej chwili —
Nie do ręki tak rzą oni ogromnie;
Ale do tego . . . co z niej tam zdobyli —
Choć mój bułanek — to rzy tylko do mnie!

C. SANKCJA.

I znów fatalne twoje metafory —
Stajenne bajki, przystojne na chłopa . . .
Jakbyś nic nie znał — prócz stajni, obory.

BONIFACIO.

Najlżej mi sądzić świat okiem Ezopa

C. SANKCJA.

To powiedz-że mi, mój mądry Ezopie!
Czy w danej chwili i w sprytnym sposobie . . .
Ludem zawładnę? czy w uczuć ukropie
Tego narodu — uwarzę co sobie?

BONIFACIO (*zdziwiony.*)

A co się tyczy takiej zmiany nogi . . .
Tej nagłej wolty, miłościwa pani!

C. SANKCJA (*d. s.*)

Już galopuje

BONIFACIO.

To dawszy ostrogi
Leciuchnym tuszem, co głaszcze, nie rani,
Możnaby wolte zrobić dosyć gładką —
Lecz w jakim celu? wcale nie rozumię

C. SANKCJA.

Wszak wiesz, że księcia Tarentu jam matką!
A mej i jego — nie masz granic, dumie

BONIFACIO (*uderzając się w czoło.*)

Teraz pojmuje — to jest -- trochę... niby...
Za bardzo — znowu... nieczyste hazardy. (*Krzywi się.*)

C. SANKCJA.

A to też w mętnej wodzie łowią ryby —,
Czyj zaś do tego umysł tępy, twardy,
To niech nie wtrąca swego widzimię
Lecz wypełniając wiernie polecenia —
Na szarym końcu, ma zwyczaj lisie,
Jak lisi ogon, szczwaczów ruchy zmienia

BONIFACIO.

Niech wasz majestat przebaczyć mi raczy —
Lecz ośmielony, wyrzekłem me zdanie,
Które wierności mej źle nie tłumaczy —
Bo gotów jestem i w piekła otchłanie . . .
Na rozkaz mojej miłościwej pani!

C. SANKCJA.

Otóż, że waści afekta znam dawno,
Będiesz choć małym oczkiem w naszej tkani,
Jaką rozpoczniem — aby przyszłość sławną,
Pełną świetności, dla naszego domu,
Tu przysposobić

BONIFACIO (*schylając się do nóg.*)

Usłużny do śmierci!

C. SANKCJA (*groźnie*)

Ale o niczem i nigdy nikomu!

S C E N A I V.

Ciż, Bertrand (*wbiega.*)

BERTRAND.

Ślepy ten motłoch rąbałbym na ćwierci!

C. SANKCJA.

Jeszcze nie koniec z tych wrzasków orkiestrą?

BERTRAND.

Król Andrzej nowe wciąż zarządza sceny —
I jak wszechwładny — takt wybija — maestro,
A lud posłuszny pieje smutne treny.
Pożal się Boże! królowej Joanny —
Ta bo jak truśka z miejsca się nie rusza,
I musi pokłon bić jej nieustanny,
Choć się jej dumna zżyma na to dusza.
W żelazne dłonie — o! w żelazne kleszcze
Wzięto gołąbkę.

C. SANKCJA.

Tak losy złowieszcze
Nieraz, drwiąc, łączą ogień z martwym lodem.

BONIFACIO (*d. s. naiwnie.*)

W mej głowie zamęt.

BERTRAND.

Ale w takim razie
Walka śmiertelna!

BONIFACIO (*d. s.*)

A więc bój z narodem?

C. SANKCJA.

Jeden żywioł pada —
I nowa zmiana w piekielnym obrazie —
Nad męstwo — siłę — silniejsza jest: zdrada!

BERTRAND.

A wszakże w walce, zdrada jest godziwą
Jest to broń jedna z najlepszych na świecie,

I strzał najprostszy . . . chociaż linją krzywą —
Wyzwany, może broń wybierać przecie.
Kto w swoim domu wreszcie napadnięty
Od zgrai łotrów — może użyć broni
Wszelkiej, by przeciąć swych łańcuchów skręty,
By cios od swoich mógł odeprzeć skroni.

BONIFACIO.

Tak ojciec stada na szerokim stepie,
Przez zgrają wilków obsaczony zdradnie —
Tęgo kopytem razi po czerepie,
Inny pod zębem jego trupem padnie!

C. SANKCJA.

Najlepszy oręż, co czeka gotowy —
Czasem żelazo, czasem wrzące serca,
Niekiedy rozum, częściej puste głowy!
Tak dobry wierny, jak i przeniwierca . . . , (*chwilę
słucha*)

Co słyszę? znowu krzyki adoracy —
Trudno wysiedzieć, gdy za nami gore!
Pójdźmy obaczyć dowódców owacy — (*do Bonifacja*)
Ty zarządz konie — bo codzienn w tę porę,
Dwór zwykł używać konnego spaceru.

BONIFACIO (*wychodzi z pośpiechem.*)

Teraz dostojność moja do maneżu —
Bodaj nad końską rzeszą być u steru!

BERTRAND (*z konfidencją podsuwając się ku Sankcji.*)

O pani! wesprzyj się na swym rycerzu . . .

C. SANKCJA (*uderza go zalotnie wachlarzem.*)

Czyż powój palmie może dodać siły?

SCENA V.

Ks. LUDWIK (*wchodzi z przeciwnej strony, sam.*)

Biedna Joanna! jest jak na szyldwachu —
Bo tak wódz dziki . . . jej małżonek miły! . . .
Chciał karjatydy, z niej — dla tego dachu —
A z mrowia ludu stworzył żywe morze,
By jego matka, jak korab wspaniała
Po żywej fali ruszyła w przestworze,
Aż na karpackie osiadając skały . . . (*po chwili*)
Ty go nie kochasz, Joanno uroczą!
W twej pięknej twarzy i palącym oku
Skrzy się nienawiść tajemnie, z ubocza
Jak błysk pioruna w milejącym obłoku.
W twej pełnej piersi, jak we wrzącej fali —
Coś drży i szepce, szamoce się, dąsa
Zda się, w jej głębi nurt wulkanu pali,
Choć srebrna fala na powierzchni płąsa . . .
Twa rączka biała, gładka i gorąca,
Gdy ust mych dotknie i jak magnes chwyci,
W szaleństwa bezdeń ducha mego wtrąca,
I raj przytulić każe w twej kibici!
Twój oddech wonny, oddech róż, konwalij,
Słodziej niż haszysz szepce wyobraźni,
A krew kipiącą iskrami kryształy,
W zaświat porywa i Edenem drażni!
— Jeżeli to miłość najwyższa na świecie,
To nikt nademnie kochać jej nie zdoła! (*po chwili,*
gwaltownie)
— Ach! ślepym losem, rozłączeni przecie —
I jej korona u wrażego czoła! . . .
Tak być nie może! to szatańska sprawa!
Ironja fatum. Jaż mam być igraszka?
Być niedołągą? a natury prawa?!
A silniejszego wszechmoc błahą fraszka!?

SCENA VI.

Ks. Ludwik, *wchodzą* kr. Andrzej, kr. Joanna.

Kr. ANDRZEJ (*upatrując się w ks. Ludwika.*)
Smutnys? choć dzisiaj smutku ci nie ganię.

Ks. LUDWIK (*zmieszany.*)

Tak, głowa boli — żal zacnej królowej,
Rozczulające ludu pożeganie . . .
Wszystko to jakoś stwarza zamęt głowy . . .

Kr. ANDRZEJ (*podając mu rękę.*)

Mój przyjacielu! ja widzę w twojej duszy
Szlachetność kwiatu czulego mimozy,
Co go do głębi wszystko łatwo wzruszy —
Czy szept kochanków, czy jęk grzmiącej zgrozy.

Kr. JOANNA (*d. s.*)

Ciekawam wiedzieć, co też go tak drażni? (*głośno*)
Książę tylekroć już dawał dowody
Dla nas obojga prawdziwej przyjaźni —
Że te brylanty jak najczystszej wody,
Za biedni spłacić, jesteśmy w istocie.

Ks. LUDWIK.

Kto pierwiej w takie z bogacił nas skarby,
Kto niespłacone nigdy wręczył krocie —
To temu, chociaż gwiazdy z nieba zdarłby . . .
Długu nie odda, nie zrówna w klejnocie!

Kr. ANDRZEJ.

O! jak dziękczynne serca mego głosy
Wzlatują często w błękitne niebiosy,
Że nas sąsiedztwem tak bliskiem związały.

Ks. LUDWIK (*ściskając rękę kr. Andrzeja.*)

Oby ten związek do zgonu był stały.

Kr. ANDRZEJ.

Szlachetny — wierzyć w te uczucia stare
A wiecznie młode — powinien i musi.

I chociaż szatan błuźni czasem temu,
To tylko siebie a nie zacnych kusi —
Bo świętość złamać, nie dane jest złemu!

Kr. JOANNA (z czułością.)

Przyjaźń, to czysta do pisania karta,
Gdzie dwóch: żywotem — piszą sobie wiersze —
Im bardziej strofa jasna i otwarta,
O tyle związki tej przyjaźni szersze.
Natchnienie przeczuć tu najwięcej słucha,
Co już z najświętszych płyną głębin ducha!

Kr. ANDRZEJ.

Otóż w przeczucie — zwykle szatan dmucha,
W tej pięknej szacie kryjąc swą brzydotę.

Ks. LUDWIK.

W czynach się dusza odźwierciedla naga,
To w ciemni życia są gwiazdeczki złote.

Kr. JOANNA (d. s.)

Jeden drugiemu do fałszu pomaga.

Kr. ANDRZEJ.

To święta prawda, czyn za wszystko stanie.

Ks. JOANNA (d. s.)

Andrzej brnie ślepo — dziecinna odwaga!
Ludwik go w zradne prowadzi otchłanie.

SCENA VII.

CIŻ, C. SANKCJA (wchodzi podchwytyjąc rozmowę.)

Pozory, kłamstwa — nie same więc czyny,
Ale rozważać winniśmy pobudki

Ks. LUDWIK (*d. s.*)

To zdanie w porę — jakby piekła drwiny!

C. SANKCJA.

Bo z brudnych przyczyn, płyną brudne skutki —
Chociaż pozory mówią nam inaczej.

Ks. LUDWIK.

Lecz zkądże znowu całe to kazanie?

C. SANKCJA (*z szyderstwem.*)

A cóż bo ludu wrzask ten wam tłumaczy?

Kr. ANDRZEJ.

Do mojej matki szczere przywiązanie.

C. SANKCJA.

Nie — do węgierskich czątych — są to trele!
Ztamtąd natchnienie dla uniesień ludu,
Złota to tylko, złota są czciciele!
Złoto pośród nich dokazuje cudu.
Wiara w ich czystość — uczuć i dążności —
Nas panujących nie powinna łudzić,
Gdy tyle przestróg uczy nas z przeszłości —
Jak łatwo lud się da przekupstwem zbrudzić.

Kr. ANDRZEJ.

Są i przeciwne tych mniemań dowody.

Ks. LUDWIK.

Nie znam ich wiele.

Kr. JOANNA.

A te chociaż świecą,
To tylko z wierzchu jak toń mętnej wody.

Kr. ANDRZEJ (*z niezadowolaniem.*)

Ten sąd — nie zgadza się z duszą kobiecą.

C. SANKCJA.

A to dla czego?

Kr. ANDRZEJ.

Bo jej właściwością:
We wszystkim widzieć tylko dobrą stronę —
I taką bronią zwyciężać z miłością,
Zmuszając odżyć to, co już stracone,
A w upadłego wpoić wiarę w siebie,
Wmówić weń cnoty — choć tak nie jest w rzeczy —
To znaczy Boga naśladować w niebie —
To, świat z Judaszów — najpotężniej leczy.

Kr. JOANNA (*z lekceważeniem.*)

Wcale różnimy się w zdaniu oboje.

Kr. ANDRZEJ.

To mnie zasmuca, złe to przepowiednie,
Kiedy w małżeństwie — każdy śpiewa swoje
Gwiazdeczka zgody wtedy szybko blednie,
Chmurą zachodzi a po krótko gaśnie.
Z dwóch zdań przeciwnych — dwa obozy wstają:
Walka się wszczyną z dniem każdym, panoszy,
Drażniona ciągle zauszników zgrają,
Którzy w tem źródło czerpią swej rozkoszy.
I te dwie dusze, co to jak brat z bratem,
Jak dwie źrenice, jak gwiazdy bliźnięta
Miały przed boskim stanąć majestatem —
Kończą swój żywot jak gromem rozcięta
Brzezina blada.

C. SANKCJA.

Może tak i bywa
Lecz czemuż wolność tylko dla was służy?

Kr. JOANNA.

A każda z kobiet w więzach nieszczęśliwa!

Kr. ANDRZEJ.

Znana piosneczka — nią, was szatan durzy —
I tymto jadem zgubić was się sili —,
Wszak wiele z kobiet ma wolność w wyborze
Małżonka sobie? a więc w takiej chwili
Życia swojego rozpatrzyć się może . . .
Poznać kochanka — jego czucia, myśli,
I wtenczas tylko oddać się mu żoną,
Gdy jego dusza taki obraz kręśli,
Jakby z jej piersi była przeniesioną.
Za nią więc pójdzie on przez całe życie,
Jakby i bez niej nie kroczył odmiennie —
A dobry wybór spłaci się sowicie,
(*żartobliwie*)
I szatan pęknie ze złości w Gehennie!

SCENA VIII.

Ciż, *wchodzą* Bonifacio i Donna Roza.

BONIFACIO.

Konie do usług ich cesarskich mości.

D. ROZA (*zbliżając się do kr. Joanny.*)

Czy i mnie raczysz pozwolić królowo!
Być w towarzystwie waszych dostojności?

Kr. JOANNA.

Wśród nas wesołych, jesteś cyprysową
Gałązką smutku —, dla kontrastu chętnie
Widzim cię z nami

D. ROZA.

Chociaż dla kontrastu

(*d. s.*)

Ach! jak król Andrzej patrzy obojętnie!

C. SANKCJA.

Więc wszyscy na koń!

Ks. LUDWIK (*z ukrytą ironją.*)

Podziękować miastu

Za jego głośne dla nas sentymenta —

Ty bądź na czele Andrzeju kochany,

Bo dziś dla ludu twa osoba święta!

Kr. ANDRZEJ (*smutnie.*)

Dzisiaj, tak jakoś jestem skołatany,

Ze do rozrywek nie czuję ochoty —

Udział w zabawie, mieć może wesoły . . .

Kr. JOANNA.

Czyż odjazd matki nabawił tęsknoty?

To coś, jakby cię dzieckiem pośród szkoły

Pozostawiając odjechała mama?

A ty nuż płakać krwawemi tam łzami,

Ze się duszyczka została twa sama

Między obcymi ludźmi i murami.

Kr. ANDRZEJ.

Nie omyliłaś się w twoim domysle —

Żal mi za matką i w tej życia szkole.

C. SANKCJA.

Widać, że jeszcze nie wplół się tak ściśle

Sercem i duszą w naszym tutaj kole.

Kr. ANDRZEJ.

Bo na to trzeba czasu i prób wielu

D. ROZA (*d. s.*)

I oka, które w głąb człowieka patrzy.

Ks. LUDWIK.

A więc nie jedziesz z nami, przyjacielu?

Kr. ANDRZEJ.

Nie, nie pojedę.

Kr. JOANNA (*docinkowo.*)

A to coraz rzadszy
Honor spotyka, widzieć króla z nami —

C. SANKCJA.

Ufajmy w lepszej przyszłości nadzieję,
Po koronacy rozbrat ze smutkami!
Wesołość słońcem w piersiach zajaśnieje —

Ks. LUDWIK.

Którą podzielić zjechaliśmy wszyscy,
Naszem uczuciem, waszych serc tak bliscy.

Kr. JOANNA.

Nim to nastąpi — na koń! za mną proszę.

Kr. ANDRZEJ.

Ja duszą w Tatry wleczę — w Alpi powiewie
(*Wszyscy wychodzą oprócz Andrzeja.*)

SCENA IX.

Kr. ANDRZEJ (*sam.*)

Zda się w mem sercu — serce z cierni noszę,
A w piersiach zgryzot palące zarzewie,
Jak niemy wulkan zduszony wśród cieśni,
O którym tylko obok mojej matki
Zapominałem więc teraz boleśniej,
Gdy odjechała. Serce się jak z klatki
Więzione ptaszę wrywa wciąż za nią,
Za nią, co jedna prawdziwie mnie kocha,
Ból w sercu koi, gdy inni wciąż ranią. (*p. chw.*)
Joanna? żona ta bo mniej niż trocha
Ma uczuć dla mnie — znosi i nic więcej —
A zresztą może ja miłości takiej,
Jaką wśród zimnych serc znajdziem tysięcy —
Pojąć nie mogę — i w te czarne szlaki
Serc szamocących się w zwierząt uścisku,
Serca mojego rzucić się nie ważę.
Któż w malowanym ogrzał się ognisku?
Kto w potępione, niósł modły, ołtarze? (*p. chw.*)
Wszyscy i ona! tak wszyscy z Joanną
Nie radzi byli koronacyi bliskiej —
Dręczyli wciąż mnie zwłoką nieustanną,
Łudząc chytremi moją dłoń uściski.
Lecz złoto matki wyjednało bulę;
Na krągłych czątych zbiegła z Awinionu —
I dotąd kreskę dawaną w tytule
I próżne miejsce wśród Joanny tronu —
Zastąpię sobą. Czy zaś doznam ciszy
Na tych wyżynach, w królewskich mych szatach?
Czy dusza moja klątw nie usłyszy?
To muszą wiedzieć orły na Karpatach!

SCENA X.

Kr. Andrzej, *wchodzą* Prot Rębosz i Gara.

Kr. ANDRZEJ.

A — moi drodzy — zawsze mi jesteście,
Kiedy zapragnę ciepłej piersi druha!

REBOSZ.

O dobry królu! bo to nie niewieście
Umizgi zmienne i serdeczność krucha —
Lecz naszych afekt i gotowość szabli!
Jak krew dla serca, tak i my dla ciebie,
I choćby piekło i wszyscy zeń djabli,
To jużby żaden, w żadnej, z nas — potrzebie
Nie zaparł świętej, dla ciebie, miłości!

Kr. ANDRZEJ.

O! w to mój Procie — wierzę tak jak w Boga.

GARA.

Oby nas więcej przy królewskiej mości
Było tych samych — bo daleka droga
Ztąd nam do swoich — a tu obce ludy —,
A chociaż gładkie persony i lica,
To za to wiele wężowej obłudy,
Za lada chmurką . . . z gromem błyskawica.

Kr. ANDRZEJ.

Trzeba więc żądła i skryte pioruny
Ojcowską ręką zażegnać czempredzej.

REBOSZ (z fantazją.)

Nie święci garnki lepią, ale zduny
Na nich tu trzeba — szabli i pieniądze!

GARA.

Chytre to wszystko, chciwości bezedna
Jeno na kieszeń i darmy chleb patrzą —
Otruć człowieka, u nich rzecz powszedna
I w tem się sztuką wsławili najrzadszą.

Kr. ANDRZEJ.

Zanadto wiele złego im przyznajesz.

GARA.

Suum cuique.

REBOSZ.

Wielce bitni w słowie —

A kiedy zasię przed nim z kordem stajesz,
I po naszymu pojrzysz nań surowie —
To niby czegoś drżącym okiem szuka . . .
Jak lis się kładzie przed wilkiem na brzuchu —
I za nic wtenczas już kryżowa sztuka,
Kiedy adwersarz potajał na duchu.
Wszystko to iście ludzisko kramarskie!
Ciężko go rozgrzać, przywieźć do okazyi
Nie zna, co cięcie jest referendarskie!
Ba! i nie tęszy, widzę, do malmazyi.

GARA.

I dzisiaj oto w żydowskiej gospodzie —
Byliśmy obaj, bo pić nam się chciało
A trudnoż człeku być o samej wodzie,
I tą trucizną chłodzić grzeszne ciało.
Więcemy antał zadysponowali,
Wcale niezbytni . . . ot — kalibru mego — (*wskazuje swą objętość*)

Ponoś od Prota cieńszy o dwa cali
W brzuchu — a karku nieco bawolego.
Dwie dudki tedy utkwiwszy mu w trzewa,
Jęliśmy ciągnąć, jak na nas przystało!
Aż tu szmer powstał, jak z mnogiego drzewa,
I Italiańcy, nuże hurmą całą
Zmykać co żywo — przestraszeni dziwem,
Ześmy niewinnie gardła zwilżyć chcieli

REBOSZ.

Rzecz to słychana, umykać przed piwem ?!

GARA.

A gdyśmy sobie już sami siedzieli,
Żydek się do nas przysunął z ostrożną,

I prawil: że w te odjezdne wiwaty,
W to pożegnanie zawierzać nie można.
Bo jemu zda się — że w sercach inaczej
Lud ten nam życzy.

Kr. ANDRZEJ.

Naszem więc zadaniem:

Pozyskać serca — a wtenczas przebaczy
Najniechętniejszy — i silnymi staniem
Na tej ruchliwej, zmiennej uczuć fali.

REBOSZ.

Choć zasługiwać się o swoje prawa
Człowiek rycerski, nie każdy pochwali —
Wszak tron ten królu! dziedziczna ustawa
Tak twej dostojnej przyznaje małżonce,
Jak tobie królu — przez krwi wspólnej wiano.

GARA.

Choć prawdę rzekłszy — to media grożące
Nie zawsze w takich razach i przystaną.

Kr. ANDRZEJ.

Otóż pragnąłbym, abyście w tym duchu
Mnie pomagali, bacząc zawsze na to,
Że pod przymusem i w groźbie łańcuchu
Poddany tyle wart — co zwierz za kratą.

REBOSZ.

Tak ci to u nas przecie z dawien dawna
I tem na nogach, snąć, krzepko stoimy,
Przez to krakowska stolica jest sławna,
A króle nasi — to istne olbrzymy.
Bo jużcié dwoma władają królestwy:
Nad ciałem swoich rozlicznych poddanych —
I nad wiernemi razem dusz jestestwy.

Kr. ANDRZEJ.

Obyście tylko nazbyt wyszukanych,
Nie zapragnęli kiedy od swych królów —
Łask i pobłażań — bo niezgoda w roju
Zachęca obcych, zaglądać do ulów . . .

RĘBOSZ.

A daj nam Boże! żyć w zgodzie, pokoju.

Kr. ANDRZEJ.

Jutro, jest boskie — dziś do nas należy — (*wstaje*)
Chodźmy na taras, tam się naradzimy
O koronacyi po cichu a szczerzej,
Niż ze wszystkimi . . . (*wychodzą wszyscy.*)

SCENA XI.

IZOLDA (*wchodzi sama.*)

. . . . Odkąd kraj rodzimy
Opuściliśmy, by w te obce strony
Przenieść swe gniazdko — drzę o króla w trwodze,
Tak mi się zdaje być tu zagrożony . . .
Że chociaż gładko kroczy on po drodze
Do swego tronu, jednak moje serce
Szeptem mi ciągle kryjome przestrogi (*rzewnie*)
— Gdzież to te czasy, gdy w miękkie kobierce
Pierwszszam stawiała twe Andrzeju nogi —
Gdzie pierśią moją karmionaś, dziecino!
Do mnie i w niebo . . . jednakiem spojrzeniem
Patrzałaś smętnie? . . . Lata chyżo płyną,
A z niemi wszystko przesuwają się cieniem —
Młodość i wdzięki, bogactwa, nadzieje . . .
Czemuż uczucia potężne jednak?
Więc pierwsza miłość . . . jej smutne koleje . . .
Dziewiczo w sercu pozostała taką,
Jak w pierwszej chwili — w tej morderczej ranie,
Gdy śmierć kochanka i dziecko wydarła . . .

A tobiam w zamian — me pocałowanie
I pierś wezbraną Andrzeju otwarła!
— I odtąd tyś mi zastąpił tych dwoje.
Dwa prądy uczuć: kochanki i matki —
Z duszy mej płyną, jak dwa boskie źródła,
Jak dwoje ptasząt, z tej więziennej klatki,
Dla ciebie, dziecko! karmione mem łonem!
Tak — świat mój cały i przyszłość mam w tobie!
Ty dla mnie świecisz empirejskim tronem!
O ciebie nawet będę drzeć i w grobie.
Bo cóż dla siebie znajdę w tamtym świecie?
Boga? . . . nie szukać! On króluje wszędzie!
Szatana? . . . tutaj pełno go jest przecie;
A kto raz piekło za życia przebędzie,
W drugie po śmierci podobno nie wpadnie . . . (*po
chwili, patrząc w okno*)
Ot już i powrót całej kalwakady —
Na oko — wszystko wygląda układnie . . .
Lecz w sercach? pełno tam fałszu i zdrady. (*Wychodzi.*)

AKT II.

SCENA I.

(*W alei ogrodowej — wschód księżyca — słysząc
zdala dźwięki gitary.*)

Kr. Joanna sama. Bertrand, niewidziany przez nią, wychyla głowę z za krat lochów zamkowych.

Kr. JOANNA (*gwałtownie wzruszona.*)

Nie do zniesienia ten Andrzej jest dla mnie —
Jemu to żony trzebaby pokornej,
Któraby kochać go mogła niekłamnie,
Dla której każdy czyn byłby potworny,
Coby przeciwko mężowi jej zmierzał.
Ja bo to życie pojmuję inaczej:

Chcę, by widnokrąg mój się tak rozszerzał,
Tak był bez granic, bez przedziału raczej —
Żebym ja tylko, ja sama, ja jedna!
Jako tam jedno na niebie jest słońce —
Mogła panować —, a rzesza powszedna
Tych gwiazd maluczkich, podemną tysiące
— Więc mąż jak Andrzej — o granitnej woli,
Który mnie widzieć pragnie w drugim planie
I w jakiejś matki i żony tam roli
Czyż dla mnie? dla mnie?! której powołanie
I dziwne wizje szepcą wciąż do ucha —
Że zakres zwykłej, nie dla mnie, niewiasty,
Że siła mego potężnego ducha
Jest jak kłos bujny, wzniesiony nad chwasty!
Ja mam to czoło i to serce lwicy
Oddać na pastwę czarnych kruków zgrai?
I zorzę dumy zedrzeć z mej źrenicy,
By patrzeć wzrokiem, co się jak lis czai?
O niechaj raczej ten świat ze mną runie!
Niech przy mnie rzesza stanie piekiel blada!
Niechaj mych wrogów w śmiertelnym całunie
Do snu położę!

BERTRAND (*z ukrycia głosem zmienionym.*)

Twoim wrogom biada!!

Kr. JOANNA (*zatrwożona.*)

Co słyszę? głosy jakby z duchów świata
Waszeż to wróżby, o furje piekielne?!
Wasz jęk z otchłani tu do mnie dolata,
I prosto w pierś mą ciska groty celne?
Ha! w bujną ziemię siejecie swe ziarna!
Co w śnie słyszałam, to na jawie wschodzi —
Więc i czyn równie tak jak myśl bezkarna,
Nim lądów dobrnie, bezpiecznie toń zbrodzi . . .

BERTRAND (*j. w.*)

Serce twe zamknij i uzbrój prawicę!

Kr. JOANNA.

Ha! znów wrzasnęły jak pogrzebne dzwony!
To nie złudzenie! moje fatum woła!
Mój los w przeznaczeń skałach wyrzeźbiony,
Z czarodziejskiego nie wymknę się koła... (p. chw.)
Tak i sił czarnych . . . trzeba mi pomocy,
Trzeba fartucha i cęgów do żaru!
Trzeba mi twardych kamieni do procy,
Zwitej z żądź wrących i miłości czaru!... (p. chw.)
Ludwik i Bertrand — obaj w mojej matni —
Pierwszy z swych myśli wyżyn będzie padał,
Drugi od dołu przywtórzy mu bratni . . .
By wraz jak tygrys w świeży łup się wjadał!
(*Stoi przez chwilę zamysłona.*)

SCENA II.

Ciż, *wchodzi* ks. Ludwik.

Ks. LUDWIK.

Joanna tutaj?

Kr. JOANNA.

Najsłodziej wśród ciszy.

Ks. LUDWIK.

Joanno! jabym nie śmiał tak powiedzieć —
Samotność — grobem bez ciebie mi dyszy,
A gdy wśród tłumu mam za tobą śledzić —
To, zda się, wpadam w Elizejskie cienie,
Co kiedyś ludźmi były mi w istocie —
A dziś ich za cień marny tylko cenię —
Boż czym przy słońcu nędznych planet krocie?

Kr. JOANNA.

Czasami jednak w zbudzonym wspomnieniu,
Postać nam droga, w dwójnasób pięknieje —

Ks. LUDWIK.

Lecz więcej światła w prawdziwym promieniu
I większą ciepła w nas budzi nadzieję —
Niż ten, co w strugi zabłądziwszy łonie,
Drży do nas złudny, choć tęsknie — lecz chłodno.

Kr. JOANNA (*znacząco.*)

Ale tęczowem, za to — światłem płonie.

Ks. LUDWIK (*biorąc ją za rękę.*)

Bodaj z tem słowem dusza była zgodną —
Bodaj choć cząstka mojego uczucia
Do twego serca przedarła się głębi —
A od tej strzałki niebiańskiej ukłucia,
Której śmierć nawet ognia nie wyziębi
Byłaś mi szczerzej i bardziej wzajemna.

Kr. JOANNA.

Jakież mam składać na to ci dowody?
Czyż to jest mało — że miłość tajemna,
Co tam jak perła przez toń modrej wody
Była zamkniętą — dziś na jaw wypływa?
Ze ci pozwalam, wysławiać ją sobie

Ks. LUDWIK (*całując ją w rękę.*)

Prawda — zgrzeszyłem — o chwilo szczęśliwa!
Czegóż ja pragnę? co szalony robię?
I cóż nam więcej mogą dać bożyszczca —
Nad wolność do nich zanoszonej modły?
Nad całopalne z nas dary — w ich zgliszczca
I nad uczucia, które tam nas wwiodyły?
Joanno! przebacz! chciałem z niewolnika
Przejść nagle w pana, którym nie w mej sile
Być obok ciebie

Kr. JOANNA (z zapalem.)

Obok mnie . . . Ludwika
Pana? nie dla mnie . . . lecz w szczęśliwe chwile
Dla tych, których ja panią samowładną —
O wierz! pragnęłabym nawet gorąco!

Ks. LUDWIK (klęka.)

Joanno! rozkaż! a więzy tve spadną . . .
Rozkaż! a zginą ci, co pokój mącą —
A których zemsta za to czeka wielka,
Wielka! bo z twojej skinienia żrenicy —
Tobie! ostatnia krwi mojej kropelka!
Jam piorun! z woli twojej — błyskawicy!

Kr. JOANNA.

Dzięki Ludwiku! pamiętaj te słowa,
Przypomnę ci je — gdy losy zawarczą —
Gdy gwiazdka moja za chmurę się schowa
Ludwiku! wtenczas będziesz moją tarczą?!

Ks. LUDWIK (przyklęka, całując jej szaty.)

Przysięgam luba! na wszystkie świętości! . . .

Kr. JOANNA (patetycznie.)

Wstań przyjacielu! wierzę twój przysiędze —
Bo uwierzyłam i twojej miłości (Bertrand robi
unysłnie szmer, Joanna strwożona :)
Chodźmy ztąd — szelest!

(Oddalają się szybko.)

BERTRAND (z lochów ze śmiechem szyderyczym.)

Z piekła płoszą jędze...

SCENA III.

BERTRAND (*wychodzi otwartą kratą.*)

Zerwać musiałem tę miłosną przędzę —
Bo nić za długa . . . zwykle się pomota . . .
I nie tak łatwo rozplątać ją później —
Bo to niewdzięczna, za karę, robota —
Że i najświętszy człowiek przy niej bluźni... (*śmieje się*)
W ciężką, choć łatwą wchodzę dla mnie rolę:
Sankcja mi złote obiecuje góry
Otwiera skarbów i dostojenstw pole,
Bylebym tylko rozpędził te chmury,
Co nad Joanny koroną dziś wiszą —
I to po ciemku otoczony ciszą
A ba! rozpędzić powie się to łatwo —
Ale rozerwać jej węzeł z Andrzejem
To już jastrzębia prędeży z kuropatwą
Mógłbym rozłączyć, lub kieskę z złodziejem!
— Tu koronacja lada dzień nastąpi,
Tu lud oszalał przez Elżbiety skarby —
Każdy ze strachem, rad pomocy skąpi,
I własną skórę w cudze stroi farby.
— Spisek? jeszcze — by ale finał jaki?
Bo spisek ojcem — rewolucyi chyba?
A tu lud płochy — a króla żołdaki,
Z którychby każdy zdusił wieloryba!
— Gdyby choć nie tak rychła koronacja,
Toby tam z czasem — kropla po kropelce
Rozpoczęła się rozsądna kuracja . . .
Lecz dzisiaj? baczność przebudzona wielce — (*p. chw.*)
Najprzód, z Ludwikiem? dobrze! niech tak będzie . . .
Onby na szyldzie zastąpił Andrzeja,
A ja znów jego — tak . . . w miłosnym względzie . . .
O ile względ ten — nie sama nadzieja,
Lecz rzeczywistość, w tej bieżącej chwili
Składa dowody . . . Z nim bo stokroć głódziej:
To człek nałomny, choć pozorem myli —
Każdy swój wybryk wraz utknięciem zdradzi.
Andrzej? to homo! prawdziwie dwunożny . . .

Umysł wspaniały, wola nieugięta,
W przyjaźni prawy, lecz nader ostrożny —
A serca skłonność u niego jest święta
To już nie dla mnie szyld taki, per bacco!
Tego powietrza nie znoszą me płuca (*robi gest pełzania*)
I wić się ścieżką nie lubię ja taką (*robi gest pływającej ryby*)
Ba! i ta fala na wierzch mnie wyrzuca (*p. chw.*)
Ha! spróbujemy! złoto jest wszechwładne —
Fundament z niego do dzieła położę,
I na tym gruncie — zda się, nie upadnę (*słychać rozmowę zbliżających się*)
Cyt! czy to szatan zazdrości mi może? (*Oglądając się z wolną wychodzi.*)

SCENA IV.

Wchodzą razem rozmawiając po cichu z sobą
Prot Rębosz i Gara, Izolda, Donna Roza.

IZOLDA.

Ja do nich wszystkich nie mam przekonania —
A tylko ciebie kocham, Donna Rozo!

D. ROZA.

Od nienawiści — młodość nas osłania —
I na mnie dawniej patrzałaś ze zgrozą,
Lecz zwyciężyłam was uczuciem mojem.

IZOLDA.

O! zwyciężyłaś — i wlałaś mi wiarę
W twoją szlachetność.

D. ROZA.

Zatrutym napojem
Zawistni naszą napełniają czarę —

A pijąc z wami jednaką truciznę,
Nie mogę ztąd się oddalić samotnie —
Choć wiem — że w przepaść może się pośliznę . . .
I tam zostanę, sama — bezpowrotnie!

IZOLDA.

Więc sądzisz, że wciąż złe zamiary mają?

D. ROZA.

O złe — i coraz, zdaje się, być gorzej —
Wrogi dokoła króla otaczają.
(*Zbliżają się rozmawiając z sobą Rębosz i Gara.*)

GARA.

. . . . To koronacja wnet koniec położy
Tym głupim dąsom — i nakáže zgodę!

RĘBOSZ.

A wreszcie — niechaj spróbuje tam który . . .
Swoją przedłużony nos wytknąć na brode, . . .
To wraz mu piorun runie z naszej chmury,
I tak mospanie! naucz się moresu,
Że odtąd nos już będzie miał w kieszeni,
Nie pragnąc więcej kwaśnego sukcesu
Z durnej fantazyi.

D. ROZA.

Tutaj sprzysiężeni,
Albo przejęci nienawiścią skrytą —
Cichaczem — nocą, zdradą i zasadzką
Gubią ofiary.

GARA.

Tarczą nieprzebitą
Przed naszym królem — my, z drużyną lacką!

REBOSZ.

I wąż się przez nas nie przesunie, donno!

D. ROZA.

Ale trucizny nie zwalczą rycerze.

IZOLDA.

Toć dla zbrodniarza — wpierv — śmierć nieuchronną!
Bo król nasz — pierwszy, nic do ust nie bierze.

D. ROZA.

I to złudzenie — wszak król Henryk przecie
Połknął niedawno ją w Chrystusa ciele . . .

REBOSZ.

A toż herezja na tym bożym świecie!

GARA.

Zwierzęta lepsze, zda mi się, o wiele

REBOSZ.

U nas trucizny prawie że nie znają —
A jeżeli jaka jest — to już na szczury;
Nawet z krzyżacką tą przekłętą zgrają
Nie używamy takowej mikstury.

D. ROZA.

Otóż zechciejcie, na to pomnać zawsze:
Że w mnogim świecie różne obyczaje . . .
Są i tu jednak serca jak najprawsze —
Lecz rozum inne drogi tu uznaje,
Innemi bieży do dalekiej mety

IZOLDA.

To święta prawda — przejmują mnie dreszcze!

D. ROZA.

Ztąd zamiast szabli — tu częściej sztylety,
(z ironją) Bo jako krótsze — krótszą drogą jeszcze
Dążą do celu . . .

REŃBOSZ.

Ha! wola tam boska!
Przec my się jeszcze połknąć tak nie damy.

GARA.

A za utratę choć jednego włoska,
Z ich głów powznosim tryumfalne bramy!
(patrzac w niebo) Tymczasem późno — chodźmy
[spocząć trocha.
(Wszyscy wychodzą, oprócz D. Rozy.)

SCENA V.

D. Roza, z przeciwnej strony nadchodzi nie-
postrzeżony kr. Andrzej.

D. ROZA (d. s.)

Poczciwi ludzie! serca u nich prawe —
Sądzą, że każdy tak jak oni kocha,
I uczuć swoich wybuchy jaskrawe
Ma za najświętsze prawdy objawienie
(p. chw.) Słowo, to ciało dla naszego ducha —
Ono hymn serca wyspiewa i drzenie —,
U nich szatańskich szeptów nie usłucha,
Tylko to w swoje przyodziewa dźwięki,
Co by tam mogli wysłuchać i święci
Co judaszowsko nie całuje ręki,
I wonnem tchnieniem . . . w przepaście nie nęci . . .

Kr. ANDRZEJ (*przerywając.*)

Bibl. Jag.

A toż zkad znowu te cierpkie wyrazy?
Zawszeż świat widzisz tyko z czarnej strony?

D. ROZA.

Królu! bez twojej to powiem obrazy —
Że ptak Minerwy, czarno przystrojony
Tylko świat widzi

Kr. ANDRZEJ.

Jakież porównanie?
Tyś piękna — a ptak Minerwy jest szpetny.

D. ROZA.

Jedno mam tylko z uim upodobanie:
Dla cichej nocy porzucam dzień świetny.
(*wzruszona*) O i ty królu! gdybyś także czasem
Olśniewający blask pomijał słońca,
I patrzył nocą, za gwiazd mlecznych pasem,
I na twarz srebrną czułego miesiąca —
Nieraz byś może — w ciszy i ciemnościach
Więcej uchwycił prawdy koło siebie,
I prawdy w ducha twego głębokościach,
I więcej cudów na bezbrzeżnem niebie —
Niżli to zdołasz pośród majestatu
Złotego słońca i uśmiechów róży

Kr. ANDRZEJ.

Więc rękawicę ciskasz temu światu?
Ty czuwasz, a on znojne oko mruży.

D. ROZA.

Duch nie spoczywa, gdy noc tron zasiada,
Graży się w siebie i czerpie natchnienie —
Wielka, dla wielkich ludzi — to biesiada,
Którą ubóstwiam, nakształt raję cenię.

Bo duch na zewnątrz czyniąc bez ustanku,
Miażdży swe siły — sobą drugim świeci,
Niepomny wschodu własnego poranku
Jako pelikan da krew — dla swych dzieci.

Kr. ANDRZEJ.

To już się do mnie zastosować nie da —
Nie wielem zdziałał, nie byłem słonecznym —
Krwia, nie poilem

D. ROZA (*silnie wzruszona.*)

Lecz zdrajców czereda
Czyha wciąż na nią! Sądziś się bezpiecznym,
I nie chcesz wierzyć mnie — biednej istocie!
Mnie? co bym ciało swe targać na ćwierci
Dała za ciebie! co brylantów krocie —
Co wybór życia — nad okropność śmierci —
Za jeden włos twój, jedno mgnienie oka —
Wziąć bym nie chciała?!

Kr. ANDRZEJ (*z uczuciem podając rękę.*)

O! dzięki ci, Rozo!
Twa dusza piękna, jak morze głęboka —
Lecz dla twych mrzonek przejmujesz się zgrozą,
I własnych potem lękasz się straszyleł.

D. ROZA (*gwałtownie.*)

O nie! mój królu! Andrzej mój drogi!
(*przerażona*) Ach! cóżem rzekła? (*klęka*)
Siłą uczuć skrzydeł
Wpadłam w Olimpu zakazane progi
Przebacz mi panie!

Kr. ANDRZEJ (*podając jej rękę.*)

Wstań szlachetna duszo!

D. ROZA (*całuje go w rękę — a wstawszy mówi jak do siebie, z głębokim żalem.*)

Tak więc za słabam! brak mi tej potęgi,
Tych gromów ducha, co niewiarę kruszą,
Którym piekielne w oścież stoją kręgi . . .
By zabłąkanych powołać z otchłani!
O! gdyby los go nie wzniosł tak wysoko,
A raczej, pychą, ludzie kołysani,
I między nami tę przepaść głęboką
Nie wydeptali własnymi kolany —,
Nie nauczyli — być mądrego serca
Nie kochać — nie być nawet ukochany,
I u ślubnego ukłęknać kobierca —
Po dokonanym targu — bez miłości
O! gdyby nie to — to miałabym siłę,
Co do zwycięstwa szybko drogę mości,
Sadząc latorośl pomiędzy pnie zgniłe
Potęgę, co świat w swych objęciach trzyma!
Na ziemi stojąc, głową lśni w obłoku
I nie ma nad nią, większego olbrzyma!
(z rozpaczą) A która w jego, nie skrzy dla mnie oku!!
(*Chwilę się zamysła jakby w obłąkaniu.*)

Kr. ANDRZEJ (*przysuwa się ze współczuciem.*)

Rozo! co tobie?

D. ROZA (*z gorzkim uśmiechem.*)

Ot, szaleństwo płocze —
Chcę gwiazdki z nieba i ptasiego mleka
Od czego jestem — za daleko trochę

Kr. ANDRZEJ.

Bo to otrzymać — nie w mocy człowieka.
Czemuż napróżno gonisz za mrzonkami,
Marami dręcząc złote serce twoje? —

D. ROZA.

Tego mi nie wstyd — to mnie nie poplami,
Choć się oplatom w cierń i głógów zwoje,
A co ty królu! sądzisz za fantazje
Ja jednak dręcę się drugich torturą,
Którzy jej uczuć nie mogą na razie —
Opancerzeni wystygłą naturą
(*p. chw. wpatrzywszy się w kr. Andrzeja*)
Czy też to kiedy (a co niedaj Boże!)
Wspomnisz mój królu! na me błahe słowa?
I czy w nich znajdziesz (lecz w spóźnionej porze) —
Żem była życie dać za nie gotowa?

Kr. ANDRZEJ.

Ach! jakże przeczyć twym uczuciom można?
Lecz przywidzeniom nigdy nie uwierzę.
Ostrożność bowiem aż na zbyt ostrożna,
Zmienia nas w tchórzów. Dziękuję ci szczerze,
Za twoje dla mnie uczucia siostrzane —
Wierzaj, że tutaj i przyjaciół liczym
A ręce moje, ślubem mam związane
Z królową waszą.

D. ROZA (*z tajonem oburzeniem jakby do siebie.*)

Nieprzeparty w niczém!
Niech rzeczywistość słowo powie za mną!
(*zwracając się do kr. Andrzeja*)
Lecz na ostatek, pozwól, drogi panie!
Wspomnieć historję świeżą i niekłamną —
Mniejszać, jak dla mnie wypadnie tve zdanie
Wszak kiedyś przy mnie zwycięztwo zostanie!
— Rzecz przecie znana: tak głośne małżeństwo
Króla Edwarda z księżną Izabellą —
Ich serc ukryte z sobą przeciwieństwo
Wiara Edwarda — że się nie ośmiela
Jego wrogowie, zmienić w kata — żonę!
Że myśl zbrodnicza w jej sercu nie wzrośnie —
Gdy zaufanie wziął za swą obronę,
I byle tylko pozór świadczył znośnie
O resztę nie dbał

Kr. ANDRZEJ (*ze zdziwieniem.*)

Do czegoż to zmierza?

D. ROZA (*stanowczo.*)

Do śmierci króla!

Kr. ANDRZEJ.

Cóż za związek ze mną?

D. ROZA (*z ironją.*)

Żebyś z swej piersi nie zdejmował pancerza!

Kr. ANDRZEJ (*z oburzeniem wychodząc.*)

Wstydz się!! pojąłem już zagadkę ciemną

D. ROZA (*sama.*)

Wiedziałam dobrze — jak go to oburzy,
Jak nisko w oczach jego odtąd spadnę —
Lecz co mi serce moje ciągle wroży
Jak widzę jasno, w koło sieci zdradne
Ja, co go kocham całą mą istotą —
Miałabym milczeć, widząc nad otchłanią,
W którą jak dziecko podąży z ochotą?
Bo go tam złudne kwiatki na dnie manią
Miała nie ostrzedz? tożby miłość była?
A choćbym nawet i chwilową wzgardę
Za to od niego, nieszczęsna! znosiła,
I na mych dłoniach — więzy wstrętne, twarde,
Nawet śmierć samą! toć myśl poświęcenia
Dla niego uczuć moich najgorętszych —
To ten głos boski naszego sumienia,
Ten obowiązek święty z przenajświętszych —
Kazałby milczeć? Zaprawdę! dopóki
Niebo na nas tu patrzy swą źrenicą —
Wszystkie szatańskie wobec serca sztuki

Wykręty mózgów, serca nie pochwyca
(p. chw.) Ha! Bóg wie zresztą — mozem ja jest
[w błędzie?
Może egoizm przemawia tak ze mnie?
Trwożliwa, zdradę widzę — zawsze, wszędzie!
Nieszczęsna, w piekła tylko patrzę ciemnie!
(p. chw.) O nie! tak nie jest! przyszłość go przekona.
Wiara w przeczucie jest mą wiarą w Boga!
Przez nie — to jego dobroć nieskończona
Mówi: zkad dla nas grozi burza sroga! . . .
(Wychodzi.)

SCENA VI.

(U cesarzowej Sankcyi. Salon ubrany w stylu wschodnim.)

C. Sankcja, Don Padre, Don Vetturino.

C. SANKCJA.

Jakże znajdujesz lud — mój komandorze?

D. VETTURINO.

Jak chorągiewkę — z sercem rozspanem --,
Starych narowów pozbyć się nie może —
Ciagle łaknący: circenses et panem!
Na tych dwóch sznurkach — z cacek i obroku —
Da się jak ciołek zaprowadzić wszędzie,
I chętny biegnie — wesoło, w podskoku
Za ręką, która ten sznureczek przędzie.

C. SANKCJA.

Więc pewnym można być jego pomocy?
I nie zawiedzie wodzów w danej chwili?

D. VETTURINO.

Z sprężystej tylko, wartko leci procy
Dobrze zażyty — nigdy nie omyli!

C. SANKCJA.

Cóż ojciec Padre, duszy ludzkiej znawco!
Czy nie zawiedzie czasem ta rachuba? . . .

D. PADRE.

Często swych nieszczęść, człowiek — sam jest sprawcą,
Skoro przed czynem gniewa wszelka próba
A najprzód warto, gdy w drogę idziemy —
Przeważać środki z powziętym zamiarem . . .
Czy też zanadto czego nie bierzemy,
Coby przeszkodą było lub ciężarem?

D. VETTURINO.

Któż wam na myśli, ojciec świątobliwy?

C. SANKCJA.

Któżby Judaszem mógł być w tej biesiadzie?

D. PADRE.

Kto naszym wrogom jest nazbyt życzliwy,
I swoje serce na ich szali kładzie

C. SANKCJA.

To donna Roza . . . (*p. chw.*) O! ja jej nie wierzę —
Lecz ona dla nas pożyteczna wielce

D. VETTURINO.

A na co?

C. SANKCJA.

Aby łączyła wybrzeże
Sobą — jak kładka — a my po tej belce
Mogli się czasem z naszym schodzić wrogiem.

D. PADRE.

To jest myśl świetna!

D. VETTURINO.

Tak -- ostrożność wielka,
Strzedz się jej wewnątrz i strzedz ją za progiem...

C. SANKCJA.

Więc od tej chwili niech czynność jej wszelka,
Każdy krok, wyraz — będzie policzony.
A nam — co tylko pomysłów wystarczy —
Nie dajmy chwycić mu na skroń korony!
Tem pozbawimy go spiżowej tarczy,
Uroku króla, władzy wojska, ludu —,
Tem — z jego ręki wydrzem moc zaklętą,
Bez której przecie nie dokaże cudu
A lud do siebie zwabiamy przynętą
— Idźcie więc zaraz, jego przyjaciółom
Radzić tę zwłokę — aż przygotowania
Będą skończone

D. PADRE (*zabierając się do wyjścia.*)

A naszym zaś kołom

D. VETTURINO (*podchwytyjąc.*)

Masnego dodać — hojnie smarowania
(*Oddalają się obydwaj.*)

SCENA VII.

C. Sankcja, z przeciwnej strony wchodzi
Kr. Joanna, Bertrand.

C. SANKCJA (*z serdecznością.*)

Joanno! przecież zawitałaś do mnie —
Wartoby częściej, a możeby smutek,

Co cię tak dawno już trapi ogromnie,
Znikał na chwilę

Kr. JOANNA.

Nie umiera skutek,
Gdy się w przyczynach nowe siły mnożą.

Bertrand.

Lecz łatwo zgnieść je, skoro wola służy

C. SANKCJA.

Dawniej byłaś mi tak wesołą, hożą,
Wonna z rumieńców jak pełny kwiat róży —
Dzisiaj uciekasz od ludzi milcząca
Czoło posępne a lica tak blade,
Jak z poza chmury twarz srebrna miesiąca.
Joanno! ucho na twem sercu kładę —
I pytam, co cię bez ustanku dręczy?

Kr. JOANNA.

A! moja droga — i ty pytasz o to?
Widząc nieszczęsną mnie w sieci pajęczej —
Pytasz mnie z jakąś naiwną prostotą:
Czy mi tam źle jest? i dla czego smutna?
Wszak to są dzieje, aż nazbyt ci znane —
Tylekroć treść ich obmierzła, okrutna,
W rozmowie z tobą, jątrzyła mi ranę
— I dziś poczciwy don Bertrand był świadkiem,
Jak mnie surowem Andrzej zgromił okiem,
Gdym się wyrwała z niechęcią przypadkiem:
Że koronację pragnie jednym skokiem
Przebyć, jak jelen wnetrzości otchłani.

C. SANKCJA (*falszywie.*)

A! to już zgroza!

BERTRAND.

Tak było w istocie.

C. SANKCJA.

Więc już go i żart niewinny tak rani?
Ha! miedzią kupcząc, nie zna się na złocie.

Kr. JOANNA.

Lecz ja się na miedź pewno nie odmienię —
Jak nie w mej mocy, tak nie ma dla kogo . . .
I przy mej własnej pozostanę cenie —
Choć mnie sprzedano, widzę, nie za drogo

BERTRAND.

Dzieciństwo, podstęp, fałsz i polityka,
Wczwórnasób handlu dokonały zradne.

C. SANKCJA.

To wszystko jednak losu nie zamyka
Walczyć potrzeba!

Kr. JOANNA (*z udaną wątpliwością.*)

A jak w walce padnę?

BERTRAND.

Kto mądrze siły przed bojem zgromadzi —
Ten wytrwa próbę.

C. SANKCJA.

Z losem się uściska.

Kr. JOANNA.

Snać i w uściskach, czasem los nas zdradzi

BERTRAND.

To nadzwyczajne są tylko zjawiska.

Kr. JOANNA (*d. s.*)

Niechaj mnie oni podżegają raczej —
(*głośno*) Tak więc wywalczyć muszę coś koniecznie..
A ciężki ból mój niech krok mój tłumaczy.

C. SANKCJA (*z powstrzymaną radością.*)

Zanim naradzim się w tem ostatecznie,
Najsamprzód trzeba odwlec koronację.

BERTRAND (*znacząco*)

Musim pomocy wezwać astrologa —
Niech jego z nami będą obserwacje

SCENA VIII.

Ciż, wchodzi księżę Ludwik, (*Bertrand spogląda podejrzliwie na Joannę i Ludwika.*)

Ks. LUDWIK (*do Joanny, wpatrując się w nią.*)

Królowo! cóżeś tak smutna, na Boga!
Kiedyż odsłonisz nam z za chmur twarz jasną!

Kr. JOANNA (*z udaną dobrotliwością.*)

Wtenczas, gdy od was odejdę złamana,
A dłonie śmierci — drzwi za mną zatrzasną.

C. SANKCJA.

Cóż tam za myśli!

Ks. LUDWIK.

Jakaż dziwna zmiana!
Gdzież to energja i żelazna wola?

Kr. JOANNA (*d. s.*)

Jest — lecz się czai . . . (*głośno*) Odpoczynek cenię.
Wszak najdzielniejszy szermierz, schodząc z pola,
Rozstraja mięśni swoich natężenie.
Zapał bez granic, trwając bez ustanku
Przed i po, słusznej do tego potrzebie —
Jest jak skwar słońca z samego poranku,
Co w rychłej burzy zabija sam siebie!

BERTRAND.

Najlepszy piorun — gdy runie znienacka.

Ks. LUDWIK.

Teraz poznaję cię znowu, królowo!

BERTRAND (*d. s., podrzeźniając się Ludwikowi.*)
To padnij przed nią, mój trefnisiu, placka!

C. SANKCJA.

Śnać, swe zadanie pojmujesz surowo.

Kr. JOANNA.

Bo i nie lubię czyn głośić przed czasem,
Za dzwony chwycić — co są jeszcze w żarze,
Sklepienia walić li samym hałasem!

Ks. LUDWIK (*z zapalem.*)

Przed twą mądrością, zasłonić nam twarze

C. SANKCJA (*półgłosem do Bertranda.*)

Zejdźmy na chwilę. (*Powoli wychodzą oboje.*)

Ks. LUDWIK.

A serca dać nasze —
Byś wyrzeźbiła na nich tve zakony.
Myśl twa tak buja, jak w obłokach ptaszę,
Jej lot wtórować — czas darmo stracony.

Kr. JOANNA.

Zbyt łaskaw dla mnie zawsze jesteś, książe!

Ks. LUDWIK.

O! mniej jam szczodry — niżli hojne nieba,
Z których to daru twój urok nas wiąże
W chór uwielbienia — cichszy, niż potrzeba . . .

Kr. JOANNA.

Pszczołka z piołunu nawet sączy miody —
Twe usta tylko tryskają słodyczą,
Wszędzie rad widzisz — edeńskie ogrody,
A w każdym dźwięku piosenkę słowiczą.

Ks. LUDWIK (*z uczuciem.*)

Mówisz nie o mnie — o najdroższa, złota!
Takim jest w duszy Dante i Petrarka —
(*biorąc ją za rękę*) Tylko ty raj u otwierasz mi wrota,
W twej rączce szumi z ambrozjami czarka.

BERTRAND (*wbiega.*)

Król przede drzwiami! (*Wydała się szybko.*)

Ks. LUDWIK (*wychodząc.*)

Za chwilę znów będę.

Kr. JOANNA (*siada w pozie melancholicznej.*)

Tym razem ciężką odegram tu rolę:
Spróbuję błagać — a gdy nie zdobędę
Tą bronią swego . . . wtenczas wyjdziem w pole . . .
I męki ducha — zemszczę się na ciałach!

SCENA IX.

Kr. Joanna, kr. Andrzej, Rębosz,
Gara, potem ks. Ludwik, c. Sankcja, Ber-
trand.

Kr. ANDRZEJ (*budząc Joannę z zamyslenia.*)

Joanno! czuwaj! zasypiasz w marzeniu —

REŹBOSZ (*n. s. do Gary.*)

Ba! o niebieskich śni sobie migdałach . . .

Kr. JOANNA (*udając roztargnienie.*)

To ty Andrzej?

Kr. ANDRZEJ (*z lekką ironją.*)

Wpółwidny, jak w cieniu —
Nierozeznany —, cóż mnie tak zasłania?

GARA (*n. s. do Rębosza.*)

Nieprzezroczystych Alp lodowe grzbiety.

Kr. JOANNA.

Dziś . . . astrologa przedemną zeznania. (*Wchodzą
Ludwik i Sankcja.*)

Kr. ANDRZEJ *(do wchodzących.)*

Słodkie astrolog zgotował jej wety —
Jakież bolesne wróżby przepowiada?

C. SANKCJA *(udając zakłopotanie.)*

A — koronację chce odwlec do roku,
Bo nad nią gwiazdka świeci jakaś blada

Kr. ANDRZEJ.

Któż się go pytał?

Kr. JOANNA.

Pragnęłam wyroku
Nieba, na pośpiech — jaki tobą włada.
Radził więc mędrzec: zaczekać skończenia
Twych lat niepełnych. *(O ile nie wchodzą w akcję słowem — Rębosz i Gara jako osoby nieme — mimiką rozmawiają z sobą, obserwując mówiących.)*

Kr. ANDRZEJ *(z oburzeniem.)*

Widać, on przecenia
Tę mądrość swoją — skoro wbrew papieża
Bulli majaczy Pełnoletnim dawno
Mnie uznał papież!

GARA *(do Rębosza n. s.)*

Gdzie to ona zmierza?

Kr. JOANNA.

Wszak znamy mędrca nieomylność sławną —
Nigdy nikogo nie zawiódł on przecie.

Kr. ANDRZEJ.

Ale tym razem z pewnością omyli.
Łudwiku! wierzysz, co ten bazarz plecie?

C. SANKCJA (*d. s.*)

A to go przyparł . . .

Ks. LUDWIK.

Tak — bo do tej chwili —
To prawdziwszego nie było na świecie.

Kr. ANDRZEJ.

Wszystko napróżno — cofnąć się nie mogę —
Bom matce przysiągł mej na pośpiech taki.

C. SANKCJA.

Lecz przygotowań tak daleką drogę

Kr. ANDRZEJ (*przerywając zwraca się do Rębosza
i Gary.*)

Przemknę, gdy dzielne zaprzęgnę rumaki . . .

RĘBOSZ (*zuchowato.*)

Przełamiam wszystkie czcze impedimenta.

GARA (*z pokorą.*)

Wola twa, królu! zawsze dla nas święta!

Kr. JOANNA (*patrząc wzgardliwie na Rębosza i Garę.*)

Więc oni mędrsi są od astrologa?
I mogą w jednej to uczynić chwili,
Na co dni trzeba?

RĘBOSZ.

Ha! z wolą tam Boga —

GARA.

Robi się za dwóch — gdy czas człeka pili.

C. SANKCJA (*szyderczo.*)

Bodzie się, nawet nieodrosłym rogiem.

Kr. ANDRZEJ.

Przyszłość pokaże.

Kr. JOANNA.

Zresztą niechaj sami
Idą pomówić z zacnym astrologiem —
A wierzę silnie — że ich zjawiskami
Niebieskich znaków zbyt łatwo przekona.

Kr. ANDRZEJ (*zwracając się do Rębosza i Gary.*)

Wątpię — czyby się trudzić nawet chcieli?

C. SANKCJA (*d. s.*)

To mur!!

Ks. LUDWIK (*d. s.*)

Wciąż swoje . . .

RĘBOSZ (*z oburzeniem.*)

A! to mi persona!
Jakiścić gwiazdziarz? do rady mospanie!
A już on pono tego nie doczeka
Bym suplikował o jego tam zdanie —
Dla rycerskiego, infamia, to człeka,
Kiedy znachorów radziej sobie słucha,
Niżeli króla swego jasnej woli.
A daj go biesu! skoro złęgo ducha
Wzywa — i nocą z nim grzesznie swawoli!

GARA.

Jakbym mu moją zabłysnął szablą
Rażno pod nosem za głupie omina
Tobym wnet zgasił gwiazdy, co mu świecą . . .
Razem z wróżbami!

C. SANKCJA. (*d. s.*)

To potwór! gadzina!

Kr. JOANNA (*oburzona.*)

Cóż to za słowa brutalstwa i pychy?
Pychy? i z czego? z swej własnej ciemnoty!
Odgródka niebu — to miecz słaby, lichy —
Andrzeju! także twych rycerzy cnoty?
Takąż sławiona wierność ich dla tronu,
Że nie szanują swej własnej królowej,
Której czci bronić powinni do zgonu!
A tu drwią sobie z niej brudnemi słowy . . .

Kr. ANDRZEJ.

Drwią oni tylko — z astrologa bredni.

Ks. LUDWIK (*d. s.*)

Na wszystko wykreć.

Kr. JOANNA (*z dumą.*)

Ale, ja — w to wierzę!

Kr. ANDRZEJ.

To dogmat wiary twej, nazbyt powszedni.

C. SANKCJA (*d. s.*)

Jak żmija kąsa.

Kr. JOANNA (z *ironją.*)

W tak wysokiej sferze
Jak twoje myśli, nasze żyć niezdolne —
I mimo wszelkie drwiny i uśmiechy . . .
Wiary nie zmienim . . .

C. SANKCJA (d. s.)

Choć słówkiem go kolnę —
(*głośno*) Przec jej ochraniać — z pod słomianej strzechy,
I z złotych gmachów — winni są królowie.

Kr. JOANNA (z *łagodnością udaną.*)

A więc uszanuj Andrzeju! mą wiare —
Daj dowód czynem — coś przysięgał w słowie:
Żebyś z mej dłoni wziął trucizny czarę,
Zaparł się tronu i wyrzekł się świata!
Ze wszystkim — miłość moja jest dla ciebie:
Z niej, wieniec szczęścia w życiu ci się splata.
Toż w imię słów twych — a Bóg słucha w niebie!
W imię miłości — a serce twe słucha!
Skłoń wolę twoją do mych prośb i błagań —
Zdej m trwogę straszną, tę torturę ducha!
Zaprze stań twoich uporczywych wzdragań —
I chciej posłuchać niebieskiej przestrogi
Wszak koronacy — tych miesięcy kilka
Nic nie ubliży . . . O! mój mężu drogi!
I dla mnie słodką odpoczynku chwilka,
I mnie też kolą — tego życia głogi,
I ja mam serce nie z kamienia przecie?
Racze mi ulżyć twą potężną dłonią,
Z której się tarcza należy kobiecie —
I o nią, mężu! błagam cię dziś, o nią!

(*Andrzej wzruszony, zamysła się.*)

C. SANKCJA (z *pokorą fałszywą.*)

I ja też prośbę — w twoje serce — wnoszę.

Ks. LUDWIK (*d. s. z niechęcią.*)

Trochę zbytecznie.

REŹBOSZ (*n. s. do Gary.*)

To król nasz w opalach . . .

Kr. ANDRZEJ (*z uczuciem.*)

Wierście, że wielkie to dla mnie rozkosze,
Gdy cudze prośby zwracam w żywych ciałach,
Choćby to kosztem było krwi mej własnej
Lecz gdy za cenę — plamy na mej duszy,
Za jedną skazę na jej szacie jasnej —
Nic mnie na świecie nie zbłaga, nie wzruszy!
Ni groźba męczarni, ni huryssek łono,
Ni widmo sławy, ani skarbów studnie.
Gdyby nad piekłem nawet zawieszono
I dano wybór, mówię — nieobłudnie:
Że zniósłbym chętniej — w tę otchłań zepchnięcie,
Niżeli plamę w duszy mojej czarnej
Wszakże przysiągłem mojej matce święcie,
Że w tym tygodniu z koronacją skończę.
Krzywoprzysiężcą za nic nie zostanę!

Kr. JOANNA.

Przeciw przysiędze — mam środki obrończe:
Przez kościół wszystkie wota rozwiązane
Mogą być zawsze.

C. SANKCJA (*n. str. do Ludwika.*)

Mamy go już w klatce

Kr. ANDRZEJ.

Ja nie za kościół, ale sam za siebie —
Nie kościołowi przysiągłem — lecz matce!
Przysiąg nie złamię, jak Pan Bóg na niebie!

Ks. LUDWIK (*n. s. do Sankcyi.*)

Twardszy niż granit!

GARA (*n. s. do Rębosza.*)

To orzeł karpacki!

Kr. JOANNA (*z fałszywą słodyczą.*)

Andrzeju! mężu! i takiś niezłomny?
To tylko upór — to twój duch sarmacki!
Więc na błagania, na me łzy niepomny,
Na tę pokorę — co jak niewolnica
Pana swojego, błagam cię ze łzami,
Które mi blade z trwogi rosą lica?
Przecież to ciebie, swojemi wróżbami,
Nie mnie astrolog straszliwie ostrzega?
Ciebie ja błagam, dla szczęścia twojego —
W burzliwe prądy nie puszczam od brzegu,
Ceniąc żeglarza wróżby zsiwiałego . . .
(*klęka*) O! nie chciej mojej miłości i dumy
Nagrodzić wzgardą i upokorzeniem!
Niechaj nie szydzą ze mnie ludu tłumy,
Żem dziś jest tylko ich królowej cieniem!
Andrzeju drogi! skłoń się do mej prośby
(*Andrzej chwilę walczy z sobą.*)

C. SANKCJA (*n. s. do Ludwika.*)

Krew kipi we mnie!!

Ks. LUDWIK.

Jak się twarz mu zmienia . . .

Kr. ANDRZEJ, (*podnosząc Joannę, całuje ją w rękę.*)

Joanno! przebacz! boskiej pomny groźby,
Bym jego darmo nie wzywał imienia —
Przebacz! o stokroć mnie to więcej boli,

Niż ciebie, wierz mi! że ci i tym razem
Odmówić muszę. (*Wychodzi szybko z uradowanymi
Ręboszem i Garą.*)

REBOSZ (*do Gary, zdążając za królem.*)

Jakby w aureoli

GARA.

Padli Goljaci przed Dawida głazem
(*Joanna przygnębiona, walczy z sobą.*)

C. SANKCJA (*z oburzeniem.*)

A to mi człowiek! to posąg człowieka!
Wszystkiego Bóg mu nie skąpił z swej dłoni —
Tylko mu z piersi, jak z pod trumny wieka,
Zabrał skrę uczuć.

Ks. LUDWIK.

Łzą srebrną nie skłoni
Granitnej skały — by trysła krynica.

Kr. JOANNA (*gwałtownie.*)

Ha! więc się pastwił, jak szatan, nademną!

C. SANKCJA (*n. s. do Ludwika.*)

Korzystaj! zrobisz ją swą niewolnicą
(*Wychodzi.*)

Kr. JOANNA.

Jakże mi w piersiach burzliwie i ciemno?
Dać się tak zdeptać? gdy widzę dokoła
Jakby na płatne patrzą widowiska —
Pioruny źrenic, tak jak chmura błyska,
Znieść to szyderstwo lodowego czoła,
Wulkan podemną! to nad ludzkie siły!
We mnie majestat pohańbiony tronu!

Kolumny jego ze mną się schyliły,
Aby w tumanach grób znaleźć cyklonu!

Ks. LUDWIK (*patetycznie.*)

Najdroższa! zatłum te słowa rozpaczy!
Ten jęk mogilny, którym serca nasze
W trupy zamienisz — gdy ożywić raczej
Twoje zbawienie

Kr. JOANNA (*z wyrzutem.*)

Tym jękiem was straszę?
O małoduszni! toć ze mnie jedynie
Czerpać odwagę i wytrwałość macie?
Nianiek wam trzeba — gdy iza krwawa płynie . .
W pełzaniu wodzów, choć w niewieściej szacie

Ks. LUDWIK.

O tak! niech bóstwo skrzydła rozokoli
Nad gruze wzleci — bo mu już ołtarze
Niewierny zwałił — i na nich swawoli
Ze zgrają łotrów!

Kr. JOANNA.

A gdy ja rozkażę,
Z waszych mi piersi powznosić warownie,
To, czy i wtenczas nie zasną spokojnie?!

Ks. LUDWIK.

O pani! to nas cieszy niewymownie,
Że zaufaniem darzysz nas tak hojnie —
Gotowi zawsze na twoje skinienia
Czekamy tylko do odwetu hasła.
Lecz coś poczynać z własnego ramienia,
Gdy nam słoneczna myśl twoja zagasła,
Gdyśmy cię drżący widzieli chwilowo
W strasznym zwątpieniu — bez ducha, omdlałą
Proch zmiatającą swą promienną głową

Przed nim i jego dziką rzeszą całą —
Cóż, pytam — wonczas — czynić nam przystało?

Kr. JOANNA (*gwałtownie.*)

Ha! prawda, hańba! wiłam się w tem piekle,
Modląc litości — w jego mroźnej duszy,
Gdy on mnie, szydząc, dręczył tak zaciekle,
Z taką rozkoszą pastwił się w katuszy!
A — tak, im więcej walczyłam pokorą,
Im głębiej przed nim na mą twarz padała,
Sądząc, że siły kata się przebiorą
Ze pęknie serca jego z lodów skała,
I tryśnie źródź z niej człowieczej litości,
Iskra uczucia, błagań moich echo —
Tem wścieklej targał mej duszy wnętrzości!
Z tem dzikszą tygrys znęcał się uciechą!!
— A więc znurtnował tę katownię do dna
Druzgotał duchem, nie bacząc na ciało —
Dusza dla tortur — bardziej, snąć, dogodna;
Bo ona sławę zostawia nam całą
A motłoch ślepy! szuka krwi i ciosów!
Człowieka ciałem pojmuje i widzi —
Męczonęj duszy nie usłucha głosów
Z tych tortur strasznych, jak z szaleństwa szydzi!
(*p. chw.*) Miara spełniona — teraz kolej moja
(*Zamyśla się.*)

Ks. LUDWIK.

O nieszczęśliwa! ty igraszko losów —
Do takich bojów, tak leciuchna zbroja?
To wątle, cudne, eteryczne ciało,
Co ma wkrawędzić orkan twego ducha,
I wrogów twoich falę rozszalałą
U stóp twych zwalić, choć nad głową bucha!
— Tak, jeszcze znośniej wielkiemu na szczycie,
Gdy przemoc z dołu pnie się jak gad kręto!
Łatwiej przed żądłem ukryć skroń w błękicie . . .
I walczyć ztamtąd swą wielkością świętą!
Lecz kiedy mściwy los zepchnie nas z łęku . . .
I ciśnie drwiący między zastęp wrogi —

Jakąże siłę nadludzkiego jęku
Zhołdować wtedy — by obudzić bogi? . . .

Kr. JOANNA (*z gorzkim uśmiechem.*)

Najpotężniejszy głos wówczas: milczenie!
A sprzymierzeńcem: wrogów przesylenie!

Ks. LUDWIK.

A potem?

Kr. JOANNA (*grobowo.*)

Potem . . .

Ks. LUDWIK.

Czyż chwila przesytu
Zawrze rozwarte przed nami ich paszcze?

Kr. JOANNA.

Tak — gdy już bliscy są swego zenitu . . .
Z pychy też ślepą, co usypia, głaszcze . . .
(*p. chw.*) I wtenczas pora — runąć weń zdradziecko!

Ks. LUDWIK.

I w niego tylko? . . .

Kr. JOANNA.

Wszak to cel wspaniały!

Ks. LUDWIK.

Ale plejada

Kr. JOANNA.

Ludwiku! tyś dziecko!
Gdyby ktoś zgasić chciał firmament cały —

Ot tak, pręciutko, bez żadnego trudu,
Prosto, za jednym od razu zamachem :
Niech w słońce dmuchacie! a dokaże cudu,
Że świat, nad swoim, nie ujrzy gwiazd — dachem...

Ks. LUDWIK.

A więc to

Kr. JOANNA.

Mało, com teraz wyrzekła?

BERTRAND (*wbiega.*)

Baczność! bo donna Roza już nadchodzi.
(*Oddala się.*)

Ks. LUDWIK (*wymykając się z pośpiechem.*)

A czy ją szatan prowadzi tu z piekła?

Kr. JOANNA (*d. s.*)

Jak cudzych skarbów podsuwa się złodziej

SCENA X.

D. Roza, kr. Joanna (*zadumana.*)

D. ROZA.

Zawsze w twem oku, królowo, tkwi troska.

Kr. JOANNA.

Czy wiesz o mojej scenie tutaj z mężem?

D. ROZA.

Widać, że w tem już taka wola boska —
Próżnemi łzami losów nie zwyciężym;

Lepiej się peddać przeznaczenia wodzy,
Niżeli walkę prowadzić bez celu.

Kr. JOANNA (*d. s.*)

O! jakże nasi Judasze są srodzy!
(*głośno*) To też królowi z powodów tak wielu —
Właśnie za moją iść radą wypadło.
Astrolog, znany ze swych przepowiedni —
Zamysłów króla spostrzegł gwiazdę zbladłą
Co król do śmiesznych zalicza to bredni —,
A gdy o drobną rzecz w istocie chodzi:
O krótką zwłokę w jego koronacyi —
Czemuż się na to, gdy błagam, nie zgodzi,
Wiodąc przez upór mnie do desperacyi?

D. ROZA.

Trudno, gdy swojej przysięgi dla matki
Nie chce przełamać pod żadnym pozorem.

Kr. JOANNA.

Ślub wypełniając, sam wchodzi do klatki,
By się tam spotkać z przeznaczeń potworem
Boć nieomylnie są nieba przestrogi —
A skoro jemu, równie i mnie grożą,
I wspólnie może pokarać los srogi,
Gdyśmy nie chcieli iść za wolą bożą!
— Więcej liczyłam na miłość Andrzeja —
Bo głębią mego ceniłam ją serca,
A im silniejszą była w nim nadzieja,
Tem więcej zawód drwi z niej, przeniewierca!
Jednak mych uczuć nie zgasi nic, widzę —
Przestać go kochać — próżna dla mnie praca,
I jak słonecznik na giętkiej lodydze,
Za słońcem — za nim, serce mi się zwraca.
O! gdybym była go nie tak błagała,
Byłoby dłużej trwało choć złudzenie
W którym dziś, widzę, wiara moja cała
Miała swe źródło i słodkie uśpienie . . . (*zastania*
oczy chustką)
Jakżem nieszczęsna! (*Odchodzi.*)

D. ROZA (*zwracając się za nią.*)

Pozwól mi królowo!

Kr. JOANNA (*oddalając się.*)

Niech łyzy mi ulżą, pozostaw mnie samą.

D. ROZA (*d. s.*)

O! gdyby te łyzy były zgodne z mową,
Której dźwięk każdy jest twej duszy plamą!

SCENA XI.

Don Vetturino (*wchodzi*), donna Roza.

D. VETTURINO (*namiętnie.*)

O! złota, piękna, z samych róż, Signora!
Niebiańskie bóstwo, Danta i Boccaccia —
Jak jutrznia pośród gwiazd mrocznych wieczora,
Tak wśród śmiertelnych błyszczysz, boska Gracja!

D. ROZA (*z zadziwieniem.*)

Cóż to powraca z Bachusa biesiady,
I myśli, że jest w skocznych dziewcząt gronie?

D. VETTURINO.

Bachusa Olimp bez ciebie, zbyt blady!
Bez ciebie, donno! mdłem światelkiem płonie.

D. ROZA.

Na czyjaż to cześć spełniane toasty
Zmięszwały tak twój rozum, komandorze?

D. VETTURINO (*wskazując na Rozę.*)

Za najcudniejszej, tej — zdrowie niewiasty
Mem sercem spełniam w tej dopiero porze.
O przyjm anielska! przyjm uczucia moje

D. ROZA (*przerywając z niecierpliwością.*)

Proszę zaprzestać raz swych niegrzeczności!

D. VETTURINO.

Przed tobą drżący jak przed bóstwem stoję —
I błagam kornie o kroplę litości —
Choć tak maluczką, jak łza srebrnej rosy,
Jak najdrobniejszy listeczek stokroci,
Jak gwiazdka, którą patrzą tu niebiosy —
Błagam współczucia twej świętej dobroci!

D. ROZA (*obojętnie.*)

Zanadto znany jesteś, komandorze!
By twe wyznania jakąś wagę miały —
Bo kto się w kilku kochać naraz może,
I jedne słowa powtarzać jest śmiały —
Ten niech uwierzy — zdziwiony . . . w ostatku:
Że kiedyś połów urwie się do szczętu —
Że nie na każdym da się usiąść kwiatku,
Nie wszystkie rybki chwyta się z zamętu.

D. VETTURINO.

O! jakże ciężką a niezasłużenie
Odbieram karę, o donno! od ciebie —
Lecz że i ciosy z twoich rąk zbyt cenię,
Że wolę piekło z tobą, niż być w niebie
Przyjmuję razy i klękam przed tobą! (*Kłęk.*)

D. ROZA (*z dumą.*)

Śnać, zapomniałeś, piękny komandorze!
Ze czystość czoła — jest duszy ozdobą . . . (*Wychodzi.*)

D. VETTURINO (*sam — zdziwiony i oburzony.*)

Pierwszy raz w życiu napróżno się korzę
U stóp kobiety — u stóp kogo? o co?
Szalony! przed kim? czyż ona jest inna
Od tamtych wszystkich, co mój żywot złocą
Blaskiem swych źrenic? . . . Mniej w sercu uczynna,
Sama dla siebie, nie chce karmić sobą . . .
W niczem słodkiego nie pragnie podziału,
Syci się sama swą wiosenną dołą,
Każąc spać sercu i trawić się ciału!
I samolubstwo to okrywa szatą
Najczystszej cnoty . . . licząc na świat głupi —
Że ją koroną przyozdobi za to,
W której się przyzmat wszechświętości skupi
— Inaczej jednak dzieło się uwieńczy
Za moje dzisiaj ukorzone skronie —
Skoro sieć pewną tkaniny pajęczej
I czerń zaborców na wiatry rozgonię
To jej przy lubej i usilnej chęci
Może się mile . . . jeszcze i przypomnę
Gdy znajdę wabik, co cichaczem znęci
Do mojej klatki — to ptaszatko skromne!
O! wtenczas będziesz z kąta fruwać w kątek,
I śpiewać sobie żałośne w gwałt trele
W których jęk będzie i miłości wątek!
A czego ja znów, na złość nie podzielę (*przy-
słuchuje się*)
— Kogoż to, słyszę, niosą nam tu bogi?

SCENA XII.

C. Sankeja i Bertrand (*wchodzą*), d. Vetturino.

C. SANKCJA.

. . . . Więc na pojutrze koronację głosi
Ten nieprzeparty Węgrzyn, tyran srogi,
Pod którym zginąć muszą marnie Włosi!

D. VETTURINO (*znacząco.*)

I o czem wiedzą teraz doskonale!

BERTRAND.

Twojej to ręki znamienite dzieło!
Jak Neptun nagle zaburzyłeś fale . . .

C. SANKCJA (*uderzając po ramieniu d. Vetturina.*)

Gdy twoje ramię ten trójząb ujęło,
Najmędrszy sternik w krwawym czoła pocie
Nie zdoła nawy wyrwać od rozbicia.
Zkąd ta energja?

D. VETTURINO (*d. s.*)

W twojem lśniącym złocie.

C. SANKCJA.

Na zawołanie — ta dzielność, ambicja?

D. VETTURINO (*z udaną skromnością.*)

To najprzód dary — łaskawego nieba,
A potem dusza — wiernością przejęta.

BERTRAND.

Do buntu nawet nie wiele już trzeba . . .
Najcichsze hasło . . . a spadną z rąk pęta.
Naraz, dziś wszyscy wołają o zwłokę
Tej koronacyi, którą pierwej chcieli
Widzieć czempredzej.

D. VETTURINO.

Tę żądzę wysoką . . .

Do świetnych igrzysk!

BERTRAND (z *mimiką komiczną.*)

Pysznych ceregieli

D. VETTURINO.

Szybko, pod wieko zagwoździłem z cicha —
Gdy zagroziłem ludowi niewolą,
Która na niego po obrzędzie czycha,
Kiedy się siła i prawo zespolą
Prawo, co dzisiaj nie warto i licha!
Zwłaszcza, że z ludem, jak z duszą, królowa,
I sama skrycie zwłokę mu doradza —,
A lud tymczasem niech ratunek knowa
W którymby króla mogła omdleć władza.
— Tak przemówiły one argumenta,
Że naraz wszystko front zmieniło zdradnie —
A raz spłoszone od nas sentymenta
Niełatwo zwabić, choć i ziarnko spadnie

C. SANKCJA.

Przeczuwam nieco twe mistrzowskie plany —
To tło ludowe, gdzie twój pędzel kręśli
Jakiś nam obraz, poza mgłą, nieznany —
Straszny! jak w zemście zaczajone myśli,
Oczekujący z drżeniem danej chwili,
Z której go siła życia nieprzeparta
W pełni rozwoju na ten świat wychyli
By pierwszym krokiem zdeptał głowę czarta!
— Lecz przedewszystkiem pośpiech wielki radzę —
Bo czas, tak skąpo dziś ograniczony,
Że po spóźnieniu . . . kądziel prąść odwadze,
A głupcom, mędrców prowadzić regjony!

BERTRAND (*żartobliwie.*)

Jemu posłuszne i duchów zastępy
On niemi włada — ale tylko w cieniu

D. VETTURINO.

Bo zdrajcą czasu, zawsze — oreź tępy
Drwi sobie z czasu — ostrz w dzielnym ramieniu!

Miejsca mu trzeba tylko dla zamachu,
Chwili, by zoczył cel dla swego cięcia,
Piorunów żrenic dla wroga przestachu,
I śmierci, by swe rozwarła objęcia!
Wszak na to wszystko — jedno mgnienie tylko,
Jedno mrugnięcie k'nam czasu żrenicy —
A świat przewrócić można taką chwilką . . .
Ba! i wdziac jeszcze szatę tajemnicy . . .

C. SANKCJA.

Widać, że chcesz być sam mieczem i dłonią? . . .
Bo koronacja spełni się pojutrze
Lecz wiedz, że dzielnie od ciosów go chronią
Jego rycerze.

BERTRAND.

Głaz głazem się utrze.

C. SANKCJA

Byle się tylko nie starły w proch oba . . .

D. VETTURINO (*po krótkim namyśle.*)

Radziłbym jutro do Awersu łowy
Niechaj się zbierze tam dworu ozdoba;
Andrzej do tego zawsze jest gotowy —
Więc ręczę, projekt ten mu się podoba . . . (*z gry-
masem znaczącym*)
Tylko zbytczne byłyby tam niańki . . .
Owe Izoldy, karpackie dryady,
I złotych gwiazdek cnotliwe kochanki
Tej zwiędłej Rozy cały poczet blady —
Nie do łowieckiej, ten szpital, biesiady . . .

C. SANKCJA (*z gwałtowną radością.*)

O! niezrównany!

BERTRAND.

„Veni, vidi, vici.“

C. SANKCJA (*opierając się na Vetturina ramieniu z kokieterją.*)

Raj, na tych barkach wesprzeć się w omdleniu,
Spojrzeć w to oko, co gromami świeci,
Pod tą prawicą zasnąć tak jak w cieniu,
Co drwi z sztyletów rozpalonych słońca,
I gdy świat mnogi dyszy w skwarnym żarze —
Ona druzgoce strzały i roztrąca
Jak stado owiec, po niebios obszarze. (*Podaje rękę do pocałowania Vetturinowi.*)

BERTRAND (*n. s. z zazdrością.*)

O! niedoczekasz, sam być głównym sprawcą —
Potrafię ubiedz twą pokwapną rękę.

D. VETTURINO (*całując Sanckję w rękę, konfiden-
cjonalnie.*)

Dłoń od słów słodsza.

C. SANKCJA.

A więc będziesz zbawcą
Biednej Joanny — ty pomścisz jej mękę,
Rozegrasz walkę, w której się szamocze!

D. VETTURINO.

O ile tylko siły mi wystarczą,
Jednym zamachem sprzątnę te łby smocze!

BERTRAND (*n. s.*)

A może będziesz tylko dla mnie tarczą
(*głośno*) Teraz wypada królowej Joannie,
Zmienić do gruntu strategję swą dawną,
Nienawiść ukryć przed mężem starannie,
Zgodność zamysłów okazywać jawno!
Tem uspi wszelkie podejrzenie zgoła
Widzących, zamknie — ślepotą poziomą,

I z czujnej straży zórawi odwoła,
Wiodąc ich w przepaść zawrotną i stromą

C. SANKCJA.

A naturalnie.

D. VETTURINO (*z przekąsem.*)

Drugą rękę, widzę,
Będę mieć z ciebie

BERTRAND (*falszywie.*)

Choćby jeden palec
I to jest zaszczyt — byle z tobą w lidze
(*n. s. z zawiścią.*) Z jakim to jadem syczy ten pa-
[dalec?

C. SANKCJA.

Duch we mnie wstąpił — ale pora nagli
Idźmy ułożyć te łowy czempredzej.

BERTRAND.

By wiatr zwiniętych nie napotkał żagli.

D. VETTURINO (*pokazując kieskę.*)

I nie ze złotej, nie prysnęła, przedzy . . .

AKT III.

(*W Awersie w klasztorze Św. Piotra — cele ozdobione złotogłowiem.*)

SCENA I.

Kr. Joanna, Kr. Andrzej.

Kr. JOANNA (*z łagodnym uczuciem.*)

Tyle w Awersie doznają słodczy —
Zda się świat tutaj — rajski, tajemniczy

Kr. ANDRZEJ.

Świat się nie zmienił, tylkoś ty zmieniona!
Bo dzisiaj niebo tchnie od twego łona.

Kr. JOANNA.

Jakże to słodko, zrzucić zwątpień brzemię!
Wyrzec się błahych, dziecinnych bojaźni,
W których śniąc, dusza gorączkowo drzemie,
I widziadłami spokój życia drażni.
— Odkąd przestałam wierzyć w astrologa,
Przewyciężona twą żelazną wolą,
Twoją przysięgą, która ci tak droga,
A zdobi czoło twoje aureolą —
Odtąd zawitał spokój w mojem łonie,
I lekkość dziwną czuję w mej istocie.
W twem oku gwiazdka przewodnia mi płonie,
Ku której skrzydeł twych używam w locie
O tak! pojmuję teraz te rozkosze
Anielskiej zgody, tej harmonji z nieba —
Bo pierwsze pączki jej w sercu już noszę,
I wiem, jak kwiat ten pielegnować trzeba.

Kr. ANDRZEJ (*ściska jej rękę.*)

Dzięki Joanno! za tve nawrócenie,
Którem mnie darzysz — w mego szczęścia skarby,
A ile w sercu, te klejnoty cenię —
To już dźwięk mowy — ni tęczowe farby,
Wyjawić oczom śmiertelnych nie w sile . . . (*bierze
ją w objęcia*)
O! wierz mi droga! wierz mężkiemu sercu!
Ono niezłomne! (*w roztargnieniu*)
. . . . a zmienia się tyle,
Ile kochało druha . . . w przeniewiercu
Jego wężowym uwodzone śladem.
Gdy się w tej sieci zdrady opamięta,
Zwraca się nagle z licem z bólu bladem.
I zrywa brudnej tej miłości pęta.
Joanno! pogódź twego serca tętą
Z mojem na zawsze

Kr. JOANNA (*drżącym głosem.*)

Na . . . zawsze . . . mój drogi!
Ta chwila będzie do śmierci pamiętna!
Dziś grób otwarłam niezgodzie złowrogiej.

Kr. ANDRZEJ (*z nagłym smutkiem.*)

O! gdybyś tylko do podszeptów skłonna,
Padalczym słowom nie skłaniała ucha —
Bo z tych pokuszeń, zguba nieuchronna,
Gdyż zbrodnię spełnia, kto jej ponęt słucha

Kr. JOANNA.

O! bądź spokojny — nierad w piekło wraca,
Kto się wyzwolił z szatańskich obieży —
Słodkich obietnic, darów — próżna praca,
Nikt szatanowi dwa razy nie wierzy!
Andrzeju! Eden dziś w mej duszy kwitnie.

Kr. ANDRZEJ (*z rzewnem uczuciem.*)

Joanno! pomnisz te ubiegłe chwile . . .
Gdyśmy na niebo, patrzące błękitnie,
Posłali oczy . . . i gwiazdki -- motyle
Ścigali wzrokiem, wybierając sobie,
Co najświecierniejsze — a jako źwierciadła
Naszej miłości, świecącej na globie.
Pomnisz — tę moją . . . co tak nagle spadła?
A jam twą rękę ścisnął w mojej dłoni,
Która tak drgnęła i zlodowaciała,
Żem wzrok oderwał z tej gwiazdzistej toni —
W twarz spojrział twoją, co jak marmur biała,
Niema, struchlała — patrzyła bez celu
Bez łez płakała — a jednak tak jasno:
Po cichych drgnieniach i westchnieniach wielu,
Pytałaś nieba — czem' obie nie gasną? . . .

Kr. JOANNA (*biorąc za rękę Andrzeja.*)

Bo pomyślałam — że ciężko bez ciebie
Byłoby świecić mi nawet i w niebie.

Kr. ANDRZEJ (*rzewnie.*)

Jeśliby wróżby te sprawdzić się miały,
Niech jak ta gwiazdka spadną między słońca,
A ty, promieni twych wieniec wspaniały!
Po czystem niebie brylantuj wciąż lśniąca.
I niechaj po mnie zaginą i ślady,
I w sercach ludu zgasną bezpotomnie —
Byleby w twojej tylko twarzy bladej
Jedna perełka zaświeciła po mnie

Kr. JOANNA (*rzuca się mu w objęcia.*)

O! mój najdroższy! teraz cię rozumię:
W twardym pancerzu serce masz gorące,
Które jak matce, powierzyłeś dumie,
By ogrzewało zdała, tak jak słońce —
A tego, który przybliżyć się zdoła . . .
Potężnie chwytasz w twych orbitów koła!

Kr. ANDRZEJ (*z upojeniem.*)

Czegóż mnie więcej brakuje do szczęścia?

SCENA II.

Ciż, wchodzi ks. Ludwik.

Ks. LUDWIK (*n. s.*)

To czule, jakby w dzień pierwszy zamężcia —
(*głośno*) Błogosławione niebo za tę zmianę.

Kr. JOANNA (*niby obrażona.*)

Za niemożliwą sądziłeś ja, książe?

Ks. LUDWIK.

Przeciwnie, rzeczy były przewidziane —
Zawsze wierzyłem, że spór się rozwiąże

Gdzie zgodne serca — tam cele wzajemne.
Zacność Andrzeja i umysł wyniosły
Dla niewidomych wydają się ciemne.

Kr. ANDRZEJ (*ściskając jego rękę.*)

Muszę zabłysnąć, gdy tak świetne posły
Głoszą przed światem — maluczkie me imię.

Kr. JOANNA (*d. s. z ironją.*)

I tak się w pochlebstw dał oczadzić dymie . . .

Kr. ANDRZEJ.

Ale w tej chwili, wierzaj mi, Ludwiku!
Jedno mnie tylko boleśnie dotyka.

Kr. JOANNA.

Cóż to takiego?

Kr. ANDRZEJ.

Że wśród buntów, krzyku
Głupiego ludu —, za radą Ludwika
Rozpiąłem sztandar z toporem i kłoda!

Kr. JOANNA (*z lekceważącym uśmiechem.*)

Tutaj zwyczajną — jest taka przestroga . . .

Ks. LUDWIK (*d. s.*)

Takowe rady w samo piekło wiedą
W przestrichu ludy zbawia rozpacz sroga!
(*głośno*) Zobaczysz zmianę korzystną z powrotem
Z ludem i dziećmi — jednakowa droga:
Nie zawsze można z niemi — słówkiem złotem

S C E N A I I I.

Ciż, wchodzą z przeciwnych stron c. Sankcja,
Izolda, potem zakonnik.

C. SANKCJA (*z trwogą i zadziwieniem źle ukrywanem.*)
Przebóg! Izolda?

Kr. JOANNA (*tak samo.*)

A to co się stało?

Ks. LUDWIK.

Straszne cię tutaj, śnać, wypchnęły wieści?

Kr. ANDRZEJ (*dobrotliwie.*)

Izoldo! powiedz — otwarcie i śmiało.

IZOLDA (*z głębokiem uczuciem.*)

Powód przybycia — o! (*wskazując na serce*) tutaj
[się mieści

C. SANKCJA (*do Ludwika n. s.*)

Krew we mnie krzepnie!

IZOLDA.

Po raz pierwszy w życiu.

Kr. JOANNA (*n. s. do Sankcyi i Ludwika.*)

Co chce ta wiedźma? strach

C. SANKCJA (*przerywając Izoldzie.*)

Nie posłuchała

Kr. JOANNA.

Króla rozkazu.

IZOLDA.

Tak. Odkąd w powiciu
Zamknęłam królu! wolność twego ciała —
I sobą w świat ci otwierała drogę,
Memi stopami udeptując ciernie,
Których ukłucie, tobie na przestrożę,
Chowałam w sercu a chroniła wiernie
Przed każdym ciosem —, odtąd z tobą razem
Przez ten świat idę, patrząc na twe kroki
Królu! dla tego spreczna z twym rozkazem —
Miał siedzieć w domu — gdy mi ból głęboki
Nie dał zwyciężyć tego rozłączenia,
Przybyłam tutaj pospiesznie i skrycie —
(*klęka*) I błagam kornie twego przebaczenia!
Bo prędzej jużbym opuściła życie,
Niż ciebie, panie!

C. SANKCJA (*n. s.*)

Odetchnęłam nieco.

Kr. JOANNA (*n. s. do Ludwika*)

Jeżeli nic więcej?

Kr. ANDRZEJ.

Wstań! ja się na ciebie
Gniewać nie mogę. (*Izolda wstaje i zastania oczy
chustką.*)
Łzy jak perły lecą —
Lepszych i Pan Bóg nie wiele ma w niebie.

ZAKONNIK (*wchodzi.*)

Śmie wasz majestat upraszać pokornie
Na nasz ubogi posiłek zakonny.

Kr. JOANNA (*do Ludwika n. s.*)

Mieć ją na oku!

Ks. LUDWIK (*z uśmiechem.*)

Nie patrząc pozornie . . .

C. SANKCJA (*wskazując z pogardą na Izoldę.*)

Do czegoż taki dziwotwór nie skłonny? (*Wychodzą wszyscy.*)

S C E N A I V.

Wchodzą pielgrzym, zakapturzony, w pątniczym, długim stroju, z dużą siwą brodą, różaniec za pasem; Gara, Rębosz, potem d. Vetturino, Bertrand, Bonifacio.

PIELGRZYM, (*prowadząc dalej rozpoczętą poprzednio rozmowę z Ręboszem i Garą.*)

. . . . Wiercie mym słowom i bądźcie ostrożni!
Wasz król jest tutaj cudzoziemcem prawie —
Niebo i krew go od nich bardzo różni . . .
A bez swej straży jest na tej zabawie.

RĘBOSZ.

Jest nas dwóch tylko — lecz się czuję w sile,
Stanąć pierś o pierś w przypadku potrzeby
Z całą tą rzeszą . . .

PIELGRZYM.

Nie liczcie aż tyle
Na dwie rąk waszych — dwóm one ledwieby
Podolać mogły — boście tacy przecie,
Jak wszyscy ludzie —, a chociaż tam oni

Są w waszych oczach marny proch i śmiecie,
Które lada wiatr bez śladu rozgoni —
To z drugiej strony i oni nie lepiej
Może trzymają o was skrycie, cicho
Wprawdzie duch wielce nasze siły krzepi,
Lecz i osłabia czasem — karmiąc pychę!

GARA.

Niebezpieczeństwa nie widzimy wcale.

PIELGRZYM.

Dla tego pewnie straż w miejscu została,
A czego ja wam teraz nie pochwałę.

(Vetturino, Bertrand, Bonifacio przechodzą w drugim końcu sali i zdziwieni, zwracają nagle uwagę na pielgrzyma.)

BERTRAND *(n. s. do nich.)*

Taż błędna owca, z kąd się przybłąkała?

D. VETTURINO.

Będziem ją śledzić.

BONIFACIO.

Zwyczajnie — w klasztorze
(Gestykulując wychodzą.)

REBOSZ.

Wprawdzie pielgrzymi wiele mądrych rzeczy
Widzieli, depcąc wkoło światy boże
I nierad każdy ich sentencjom przeczy —
Ale w tym razie już ja się ośmielę,
Kontradyktować waszym próżnym radom —
Na dworze bowiem — radość i wesele.

PIELGRZYM.

A to tak z czego ?

RĘBOSZ.

Otóż, gdybyś świadom,
Ojczy, był przyczyn — sądziłbyś bezpiecznym
Króla w tem miejscu — chociaż jest bez straży.
Królestwo nasze po dniu, w zdaniach sprzecznym —
Niebo dziś zgodą i miłością darzy.

GARA.

A przeto wrogie w sentencjach obozy
Mają rozterkę swą dawną jak — za nic . . .
Z jednych puharów pijemy bez grozy,
I do uścisków nie szczędzimy prawie!

PIELGRZYM (*z ironją.*)

Więc spokój, cisza . . . stara to przestroga,
Na niebie ludziom od wieków wskazana —
Przed burzą: cisza . . . jak wróżba od Boga
Mówi: że strzałę grom wyjął z kołczana.

RĘBOSZ (*n. s. podejrzliwie do Gary.*)

Trzeba królowi szepnąć o pielgrzymie . . .
(*głośno*) Dobrze to rady — ale dziś nie w porę . . .
(*do Gary*) Chodźmy, bo bez nas cały festyn drżemie —
(*do pielgrzyma*) Proszę . . .

PIELGRZYM (*przerywając.*)

Me serce do zabaw nie skore.
(*Rębosz i Gara wychodzą. Pielgrzym sam, wzburzony.*)
O! ludzie, ludzie, którzy tem imieniem
Chcecie co najmniej być równi półbogom!
Pragnąc — dzień czołem — a noc dać swym cie-
[niem,

Ofiarne kwiaty ścieląc własnym nogom —
I ilu was jest na bezbrzeżnym globie,
Żaden się wyrzec nie zdoła czezej pychy!
Tak chciwy Krezus garnie tę cześć sobie,
Jak ją przywłaszcza i Herostrat lichy!
A gdyby tylko obejrzeć się wkoło
Na świat przyrodnich sióstr i naszych braci . . .
To czyliż wszystko równo wznosi czoło,
I aż w niebiosach swe wierzchołki traci?!
I gdyby można swój obraz mieć w niebie,
Bacząc przeróżnie — słońc i gwiazd potęgi:
Pewnieby każdy tam dopatrzył siebie,
Zkąd najświetniejsze skrzą promienne kręgi.
Wszyscy do jednej, wzniesliby swe dłonie
Do tej, co ponad mgławcem gronem płonie;
Na śmierć walczyliby nawet w potrzebie —
A Bóg — to widząc — śmiałyby się w swem niebie.
Tak, Bóg by śmiał się, jak ojciec nad dziećmi . . .
Bo każdy radby goreć po nad rzesze —
I ciemny nie rzekłby światłemu: „świeć mi,
Gdyż w otchłań moją ciemnotą — ja śpieszę“
(p. chw.) — A więc ja błyszczeć dziś muszę nad
[niemi
Bo mem przecuciem — przyszłość widzę jasno!
Oni spokojni, choć pod stopy swemi
Depcą wulkany, co gromami trzasną! . . .
A ja wciąż słyszę — jak wre w ciemnej głębi
Widzę, jak błyska tam żrenica krwawa!
A w dłoni — sztylet . . . gdy puhar podawa . . .
A w oku wyraz, co krew w żyłach ziębi!

SCENA V.

Pielgrzym zamyślony, wchodzi kr. Andrzej.

Kr. ANDRZEJ.

Zkąd tak pielgrzymie, przybywasz w te progi?

PIELGRZYM.

Czoło me schylam, królu pod twe nogi —,

Wszedłem w tę ustron, idąc z Ziemi Świętej,
A przez Neapol kierowałem kroki.

Kr. ANDRZEJ.

Cóż w Neapolu, cicho?

PIELGRZYM.

Rozruch wszczęty,
Groźbami zda się, sięga aż w obłoki . . .
Królu! pamiętaj na przestrogę moją:
Zły wróg na ciebie potajemnie czycha!
W ukryciu zdrajcy — krwawą rękę zbroją —
Nie bierz z ich dłoni z ufnością kielicha . . .

Kr. ANDRZEJ (*niewiele rozdrażniony i z niedowierzaniem.*)

Zkądże tak straszne zaczerpnąłeś wieści?

PIELGRZYM.

Z tego, com widział, panie! w twej stolicy —
Co drży w powietrzu, w cyprysach szeleści,
Co sztyletuje z fałszywej źrenicy,
Co w słodkich słowach zaczajone syczy,
W uściskach ręki zimnym dreszczem wstrząsa,
A w pocałunku — jad łączy w słodczy,
A na dnie duszy — jak gad w ogniu płąsa . . .

Kr. ANDRZEJ.

Czemuż dopatrzeć się tego, mnie trudno?

PIELGRZYM.

Owszem — odrazu widziałeś to łatwo —
Lecz wnet zmieniono swoją szatę brudną:
Podstępem, fałszem — tą szatańską dziatwą —
W zaczarowane wwiedziono cię koło.

I nic nie dojrzysz, co za niem się knowa —
Choć ztamtąd czarne dobrze widać czoło,
Dwulice twarze i dwudźwięczne słowa

Kr. ANDRZEJ (*d. s.*)

Kto wie, czy on sam nie jest moim wrogiem? . . .
(*głośno*) Że wcale nowe prawisz mi tu rzeczy —
Nie wiem, z kim trzymasz? z szatanem, czy z Bo-
[giem?
Nadto twym słowom rzeczywistość przeczy

PIELGRZYM.

Co? rzeczywistość przeczy, mówisz królu?
A ten bunt ludu, co cię wielbił wczora,
Jak swoją matkę wierne roje w ulu —,
Zkąd się nienawiść wzięła dziś, tak skora?
Zkądże się fala odwróciła wstecznie?
— Musiał być przecież wicher z przeciwnej strony,
I wtenczas pewnie, gdyś zasnął bezpiecznie
Zdradną miłością w swym duchu uśpiony!

Kr. ANDRZEJ.

O! zmienność ludu od wieków jest znana.

PIELGRZYM.

Zmienny jak fala — sam ci to wyrzekłem —
Lecz toń wre wtenczas, gdy burzą chłostana,
I za cios dany, grozi zemsty piekłem!
Więc musiał tam być jakiś orkan skryty,
A silny strasznie, gdy tak wzburzył nagle
Spokojnych duchów pogodne błękity —
Ze nawet zwinąć, brakło czasu — żagle

Kr. ANDRZEJ.

Otóż, jeżeli ci tłumaczyć przystoi:
To zabobonna bajka astrologa
Trzyma tam tłumy w buntowniczej zbroi.

PIELGRZYM.

Jednak te brednie jakaś dłoń złowroga
Pomiędzy ludem posiała zdradliwie
Jeśli wiesz o niej, toś bezpieczny królu!
— Ja, podejrzenie w moich piersiach żywię —
Żeś nawet o tem — i nie myślał wcale;
Żeś upojony haszyszu słodyczą,
Na twoich wiernych poglądał zuchwale,
Gdy ci przestrozę nieśli tajemniczą
I tam, gdzie serce, jak w raju mieściłeś —
Tam — zaczajone było gniazdo węży!
A ręka, z której miłość kłamną piłeś —
Kiedyś . . . na zgubę twoją grot wyteży!

Kr. ANDRZEJ (*z energją.*)

Kto jesteś? powiedz! bo cię prędko zmuszę!

PIELGRZYM (*z bolesnym uśmiechem.*)

Kto jestem? czyliż przez te moje słowa
Nie otworzyłem ci aż do dna duszę?
Duszę — co w piekło iść chętnie gotowa —
Za twoje, panie! nie za moje szczęście!

Kr. ANDRZEJ (*rozkazująco.*)

Bezwłocznie powiedz, nim kto nadejść zdoła

PIELGRZYM (*drżącym ze wzruszenia głosem.*)

Dzikich siepaczy uzbrojone pięście,
Ni groźba nawet męczeńskiego koła
Niezdolne zmusić mnie, bym wbrew mej woli
Pod biczem trwogi posunął me kroki,
Lub katowany zawołał, że boli,
Pragnąc wyżebrać łaskawsze wyroki!
Lecz gdy twój rozkaz tak święty jest dla mnie
Za jego głosem — koniec tajemnicy! (*zdiera perukę
i brodę*)
Oto raz pierwszy — próbowałem kłamnie . . .

Kr. ANDRZEJ (*zdziwiony.*)

Rozo! podstępem? . . .

D. ROZA.

Nadać mej żrenicy
Potęgę świętych! słowom wieszczą siłę!
Abym cię królu! mogła pod tą szatą
Zbawić . . . gdy w jawną wstępujesz mogiłę,
Tyloma, raj, wdziękami bogatą!

Kr. ANDRZEJ (*oziębłe.*)

Wszak wiesz, że z żoną jesteśmy dziś w zgodzie?

D. ROZA.

Wiem — i drzę cała o tę zgodę właśnie,
Nie wierząc naglej, wśród burzy, pogodzie —
Jak prędko błysła — tem prędeej zagaśnie

Kr. ANDRZEJ (*z dumą.*)

Ha! Rozo! wreszcie raz już z tobą skończę!

D. ROZA (*klękając.*)

O! nie kończ wzgardą! kończ wyrokiem śmierci!
Lecz ze mną duchy twe zgasną obrończe
O królu! nie gardź! raczej rąb na ćwierci!

Kr. ANDRZEJ (*pogardliwie.*)

Niegodna! wstydz się! na zawsze odprawa!
(*Wychodzi wzburzony.*)

D. ROZA (*zrywa się z rozpaczą.*)

Ha! więc policzek wymierzył okropnie!
Aż łza do serca popłynęła krwawa!
Przenosząc tortur najstraszliwsze stopnie,

I wulkaniczne — ze dna piekieł — ognie!
— Niezasłużona, bożyszczą utrata,
Która z granitu nawet ducha pognie,
A drżące serce na strzępy rozpląta! (*słychać nad-
chodzących.*)
(*Roza perukę na nowo przywdziewa.*)
Trzeba dla niego dotrwać w tajemnicy.

SCENA VI.

Pielgrzym, wbiegają siepacze, na czele d.
Vetturino i Bertrand.

D. VETTURINO (*wskazując na pielgrzymą.*)

Weźcie go precz ztąd! za więzienne kraty
Cisnąć włóczęgę w tej mniszej kapicy!

PIELGRZYM.

Za cóż mnie więzić chcecie, dzikie katy!
Wszakże to klasztor? tu anieli—stróże!

BERTRAND.

W owczarni — wilki błądzą w owczej skórze
Wilk niech się kniei, jak ogona trzyma!

SIEPACZE (*pokazując kajdany.*)

No! marsz za nami! bo wsadzim w obrozę!

PIELGRZYM.

A przecież dzisiaj tu król z dworem gości?
Do niego najprzód prowadźcie mnie, zbiry!

D. VETTURINO.

Precz! precz z nim! w lochów najgłębsze wnętrzości!
(*Wyprowadzają pielgrzymą, na czele postępuje Vetturino.*)

BERTRAND (*zacięra ręce z radością.*)

Aż lżejsze, zda się, wionęły zefiry.

SCENA VII.

Bertrand, wchodzą c. Sankcja, kr. Joanna, potem d. Padre.

BERTRAND.

Otóż w tej chwili ptaszek wpadł do klatki.

Kr. JOANNA (*pomięszana.*)

I nie objaśnił nas o swej osobie?

BERTRAND.

Za mało czasu — przytem byli świadki —
(*pokazując na dół*) Wszystko on powie — w tym
[dla żywych grobie

C. SANKCJA.

Dość, że to jakiś planetnik . . . Andrzeja.

BERTRAND.

O! bez wątpienia —, wszyscyśmy widzieli,
Jak się tu nakształt przesuwał złodzieja
Ukradkiem patrząc po kątach tej celi —
A potem z cicha — z Ręboszem i Garą
Imię królewskie powtarzał z przyciskiem
Kto wie, czy on się nie przywłókl z tą starą
Niańką Andrzeja?

C. SANKCJA.

To prawdy jest bliskiem —
Bodaj, czyśmy się nie zdradzili czasem?

Kr. JOANNA.

O to nie trudno.

BERTRAND.

Bo też Vetturino

Wszystkie swe czyny wypełnia z hałasem,
A takie strzały łatwo cel swój miną.

C. SANKCJA (*zaniepokojona.*)

Odkąd Izoldę-m tutaj zobaczyła,
Straszny niepokój mojem sercem miota,
Jakaś mnie dręczy niewidoma siła —
Ni to strach jakiś . . . lub dziwna zgryzota
— Muszę w tej chwili pójść do Vetturina,
Niechaj pielgrzyna torturą wybada
A jeśli wyjdzie zła dla nas nowina —
To śmiercią zaraz spłaci się mu zdrada!

(*Prędko wychodzi.*)

Kr. JOANNA.

Jeśliby na nas cień padł podejrzenia . . .
Najcichsze słówko, ostrożność budzące . . .
To zginęliśmy już bez wybawienia,
A z nami, nasi tak wierni obrońce!

BERTRAND.

Choćby i takie wypadły nam losy,
To bądź spokojna o siebie, królowo!
Wszędzie nad ludźmi — dachem są niebiosy,
Wszędzie nas jutrznia powita różowo . . .
A jej rumieniec choć czasem krew znaczy,
To inną dobą znów o miłość pyta.
Po dniu utrapień, trwogi i rozpaczy,
Czeka nas w szczęściu . . . nagroda sowita

Kr. JOANNA.

Ale przejść wszystkie tej męczarni stopnie —

BERTRAND.

W tem cały urok jest przeszłości naszej.

Kr. JOANNA.

Tak — tylko orłom pełzać? to okropnie!

BERTRAND.

Męczeństwo w boju mężnych nie odstraszy —
Zresztą pospołu lżej dźwigać ciężary,
Łatwiej wytrzymać najsroźsze katownie,
Prędzej spełnienia doczekać się miary,
I wścieklej zemsty chwycić w dłoń swą głównię!
Zawsze ja jestem, królowo, przy tobie!
Wszystko ci oddam, co w sobie posiadam:
Krew, siłę, duszę i uśmiech w mym grobie!
Wszystko w ofierze u stóp twoich składam —
Każdą za ciebie, uwielbię cię bliźną —
A jedno tylko zostawisz mi w darze!
Żebym mógł zostać . . . przy tobie *(namiętnie
patrząc na Joannę.)*

Kr. JOANNA *(kończy przyzwalająco.)*

Mężczyznę . . . *(podaje mu rękę.)*

BERTRAND *(klęka.)*

Szczęśliwszy jestem, niż świata mocarze!

Kr. JOANNA *(z bojaźnią.)*

O! powstań — słyszysz? ktoś się tutaj zbliża . . .

D. PADRE *(szybko wbiegając.)*

Natychmiast prosi Sankcja cesarzowa. *(Oddala się.)*

Kr. JOANNA *(odchodząc.)*

Szczyt naszej gwiazdy, zda się, nagle zniża . . .

BERTRAND.

Nie — lecz za chmury przelotne się chowa

SCENA VIII.

Wchodzą ks. Ludwik, Izolda, potem kr. Joanna, ukryta w drugiej celi — chwilami ogląda na mówiących.)

Ks. LUDWIK (*falszywie.*)

Dotąd marudzi nasz zacny, kochany
Andrzej (*z pieszczotą do Izoldy, jakby o dziecku mówił*)
malutki . . .

IZOLDA.

A czas by po łowach
Spocząć mu było.

Ks. LUDWIK.

Jeszcze kreślą plany
Z Garą na jutro.

IZOLDA.

Kiedyż dziś w ich głowach
Zanadto, widzę, nabrało się trunku.
Nigdy nie mogą dopilnować miary,
Zawsze się myśląc w porządnym rachunku.

Ks. LUDWIK.

To w siły własne zbytek próżnej wiary —
Ale niechby już pili i do rana,
Zwolniwszy króla od pijanych bredni

IZOLDA.

Ten król, to dusza z aniołów wybrana ;
U niego lada człowiek tam powszedni

Ma tak łaskawe zawsze posłuchanie,
Jak w innych dworach nie mają książęta —
Takiego, to choć przyłóż i na ranie,
Dobroć w tem sercu, prawie że nie święta!

Ks. LUDWIK.

Prawda, że spotkać takiego człowieka
Między wielkimi nadzwyczaj jest trudno.

IZOLDA.

A na surowość, ten — jego narzeka,
Kto ma swą duszę tak, jak szatan, brudną!
(*po chw. z uśmiechem*) Nie lepiej nurka dać
[w puch i atłasy,
Niżli tam słuchać pijanych bazarzy?
— O! przemieły owe słodkie czasy
Kiedy to takich, jak nasz król, mocarzy
(Pomimo dąsy, gniewy i hałasy)
Wiązałam w pęta miękkich powijaków,
Biorąc go z grona kwiatów i motyli,
Trochę piękniejszych od tych tu pijaków —
Choć tylko rosę zamiast wina pili.

Ks. LUDWIK.

Jednak to zacni prawdziwie ludziska
(*d. s.*) O! złota wiaro!

IZOLDA.

Pocziwość w nich wielka
Z każdego czynu i z oka ich błyska.

Ks. LUDWIK (*drwiąc.*)

Tylko to czasem zasłania butelka

IZOLDA.

O świętych trudno przecież na tej ziemi!

Wszyscyśmy z króską . . . gdzieś tam w boskiej
[księdze . . .
(*poogląda ku oknu*) Pójdę wziąć króla, choć drzwiami
[bocznemi.

Niechaj na potem schowają swą przędzę,
Bo dzisiaj całkiem splączą się im nici . . .

Ks. LUDWIK (*d. s.*)

A któż ją natchnął, wydźwiężyć te słowa?

IZOLDA.

Niech śpią — kiedy jak pijawki napici —
I król spać pójdzie (*z żartem*) to moja w tem
[głowa

(*rzewnie*) Tyle lat do snu kładłam tę dziecinę

To drobne ciało w wonne, śnieżne puchy,

A duszę, pieśnią — w niebieską krainę

Niosłam pomiędzy jemu bliźnie duchy.

I zawsze rano, gdy się zbudził cichy,

Z tamtego świata przynosił mi w darze

Takie urocze, anielskie uśmiechy,

Że tylko Bogu z nich stroić ołtarze!

(*Wychodzi zamysłona.*)

S C E N A I X.

Ks. Ludwik, kr. Joanna (*wchodzi gwałtownie wzruszona.*)

Kr. JOANNA.

Czy wiesz Ludwiku! kto jest tym pielgrzymem?

Ks. LUDWIK.

O! wiem — ta słodka marzycielka Roza!

Kr. JOANNA.

Ona nikczemna! takim być olbrzymem
Zdrady! to straszne! uwierzyć aż zgroza!

Ks. LUDWIK.

Jakto, czy może jesteście zdradzeni?
Czy się w więzieniu przyznała do zbrodni!

Kr. JOANNA.

Miększe są wargi granitnych kamieni,
Niżli jej usta — i tem więc niegodniej
Ukrywa swoje haniebne zamysły!

Ks. LUDWIK.

Bo przecież, gdyby w jej bytności skrytej
Nie był ze sprawą naszą związek ścisły . . .
Toćby w torturach tajemnic się zrzekła?

Kr. JOANNA (*z natrzęsaniem się.*)

Zresztą — tam środków zapas jest obfity —
Nie więcej znaleźć możnaby wśród piekła
Do skarg na siebie . . . i bluźnierstw w potrzebie . . .

Ks. LUDWIK.

I nie pomimo to, nie wyciśnięto?

Kr. JOANNA.

Nic, ani słowa. Mówi, że sąd w niebie
Na nią, nie tutaj — i tak jest przejętą
Jakowąś misją . . . posłannictwem swoim . . .
Że tylko śmieszne kazania im prawi —
I dumną wzdarda, a duszy spokojem,
Nie siekąc chłostą — policzki im krwawi!

Ks. LUDWIK.

Dla czegoż przecie, mówi, tu przybyła?

Kr. JOANNA.

Z szyderstwem rzekła: „Jeżeli tego chcecie,
Bym wam mój zamiar gwałtem wyjawiała;

Wiedziecie! zabawić chciałam się jak dziecię,
Co swoich nianiek, starszych siostr i braci
Wziąwszy na siebie, cichaczem, ubranie —
Podąża do nich w tej śmiesznej postaci
Czy je rozpoznać teraz będą w stanie?“

Ks. LUDWIK (*zjadliwie.*)

Więc tylko tyle o tej bałamutce?

Kr. JOANNA.

Tyle jest dotąd —, co tam Vetturino
Potem wyciśnie . . . dowiemy się wkrótce —
Potrafi on się obejść z tą gadziną!

Ks. LUDWIK.

Tak — lecz co ona myśli sobie może?

Kr. JOANNA (*z złośliwym uśmiechem.*)

Wyśpiewa w kleszczach . . . marzenia dziecięce . . .

Ks. LUDWIK.

A jeżeli wytrwa nędzna! w swym uporze —
I po najsroźszej, nic nie powie, męce!

Kr. JOANNA (*stanowczo.*)

W takim wypadku — ma uwolnić od niej . . .

Ks. LUDWIK.

Tak być powinno. Wrzody się wycina —
A w ludziach wrzodem — są zdrajcy wyrodni!
Równo śmierć za chęć, jak i czyn Kaina!

Kr. JOANNA.

Czyś od Izoldy się tu niedowiedział
Czegoś . . . co związek mogłoby mieć z Rożą?

Ks. LUDWIK.

Od Rozy, ciemny odłącza ją przedział —
Nic a nic nie wie. Mówiła ze zgrozą,
Że Andrzej dotąd w łożu nie spoczywa,
Tylko z Ręboszem rozprawia i Gara,
Których dziś rozum w falach wina pływa —
Bośmy ich hojną obdarzyli czarą! (przystu-
[chując się])
— Już lada chwila Andrzej tu przybędzie.

Kr. JOANNA (ze wstrętem.)

Ten niegodziwy tyran i despota!

Ks. LUDWIK (uroczyście.)

Miejże twą rolę do końca na względzie —
A w danej chwili, gdy się w sieć zamota,
I nazbyt głośno ryknie w wielkiej trwodze —
Nie stań nam w poprzek . . . boś zgubiona srodze! . . .
(słucha) Już idzie — pomnij . . . zimna krew! od-
[waga! (Całując ją, wychodzi.)

Kr. JOANNA (gwałtownie.)

Serce nie pęka, gdy się łotrów smaga!

SCENA X.

Kr. Joanna (stacza walkę wewnętrzną, po chwili wchodzi) kr. Andrzej.

Kr. JOANNA (z pieszczotliwym wyrzutem.)

A — mój Andrzeju! czy się to tak godzi?
Po dniu utrudzeń z łowieckiej zabawy —
Nie spocząć, gdy już noc prawie — że schodzi?
Wszakże nie kraju mieliście tam sprawę?

Kr. ANDRZEJ.

Tak, ale dzisiaj, sam nie wiem, dla czego?
Doznaję uczucia jakiegoś dziwnego
Które mnie ciągnie tak do moich ludzi . . .
Tak jakoś kocham Rębosza i Garę!
Taką cześć we mnie ta Izolda budzi,
A z nią wspomnienia zmartwychwstają stare
Że się już od nich oderwać nie mogę.

Kr. JOANNA.

Ot — bo pijani — jak lalki bawili.

Kr. ANDRZEJ (*z tęsknotą.*)

Jakbym wybierał się w daleką drogę —
Żał było stracić, bez nich, nawet chwili.

Kr. JOANNA.

To jest niewywczas, nerwów rozdrażnienie.

Kr. ANDRZEJ.

Nie znam przyczyny . . . lecz czuję tę zmianę,
O której mówi — serca mego drżenie,
Jakoś żałośnie, dziś rozkołysane

Kr. JOANNA (*całując go w czoło.*)

Rzadko to ci się przydarza, mój drogi!
Piękniejszyś smutny — niżli czasem srogi

Kr. ANDRZEJ. .

Wierz mi Joanno! odkądem w te progi
Weszedł tu z wami — skryte jakieś smutki
Wionęły w duszę moją niewidomie —
Wielem przedumał, tu, przez czas tak krótki,
Bo w duszy błysło, starych wspomnień, płomień! . . .

Nie wiem — czy gór tych srebrzyste szyszaki,
Czy ta samotność klasztornej zaciszy,
Czy te z północy płynące tu ptaki,
A w których głosie, moje serce słyszy,
Zda się, rodzinnej mowy, smętne echo?
Wciąż myśl mą niosą w przeszłości krainę . . .
Żal w piersi dzwoni — za mych ojców strzeżą,
Po którym myślą — pod Karpaty płynę
Spłakaną matkę widzę na me oczy,
I zadumane brata mego lico . . .
A wszystko się to, ciżbą w serce tłoczy,
Które otwartą, drży dla nich łzawicą.
— Może w dzieciństwie, kiedy tam . . . widziałem
Taki sam klasztor, co ku niebu wzłata . . .
I w mojej duszy, ten obraz schowałem —
Niepomny nawet przez tęczowe lata . . .
Że go w mem sercu, jak lżę mojej ziemi —
Lżę pożegnania, do grobu poniosę . . .
Wspomnienia łączą na wieki — ze swemi . . .
Tę, wiedzniejący w życiu, pijem rosę.

Kr. JOANNA (*walcząc z sobą.*)

Zawsze ta jest, nie inna, przyczyna,
Co nas w ojczyście przytuła ramiona —
Bo kiedy serce na Babel się wspina
Kiedy nas duma opęta szalona,
I kiedy siebie tylko na tym świecie
Bożkiem widzimy, wciąż siebie jedynie —
To taki wspomnień, gdy się wianek splecie,
To taka gwiazdka, gdy nam w serce wpłynie —
Od razu, niebu — zbłąkanych nas wraca,
Wygląda z cierni kwiat naszego ducha,
I świat wzgardzony wdziękami ozłaca,
Harmonją stroi, której pierś znów słucha
(*n. s. fałszywie*) Wprawdziec to Roza — szepce mi
[do ucha

Kr. ANDRZEJ.

Błogosławiony dzień niechaj ten będzie!
A byle takim . . . nie był już ostatni!

Obym w żywota tumannym zapędzie,
Zawsze ten uścisk mej przeszłości bratni —
Jako przestrogę żalowaną i cichą —
W sam czas odbierał . . . Przebacz mi, Joanno!
Jeżlim cię kiedy zranił prózną pychą,
Jeżlim twą dobę życia tak poranną
Okrył chmurami smutku i zgryzoty —
Przebacz! jam gniewu nie ślubił z pogardą
To tylko tronu blask promienny, złoty,
Zanadto może wzniósł mi czoło hardo,
I nie dozwolił schylić go czasami,
Szepcąc, że poziom — często poziom plami . . .
— Ten blask godności, jakie piastujemy:
To tylko niecnót naszych duch obrońcy . . .
Gdy czasem błądzim — on sprawcą — a nie my!
Co dobrze zacznem — on źle często kończy . . .

Kr. JOANNA (*wspierając się na ramieniu Andrzeja —
żartobliwie.*)

Niech więc od dzisiaj nie on już nad tobą,
Ale ty nad nim, zapanuj swobodnie —
Niech on nie panem, lecz będzie ozdobą,
Głosząc twą wielkość jak promienie wschodnie . . .
(*p. chw.*) A teraz pora, spocząć choć na chwilę —
(*z przyciskiem*) Bo jutro nowa podróż na nas czeka...
O nadwątlonej trzeba myśleć sile,
Jutro się zbliża . . . a dzisiaj ucieka! . . .

Kr. ANDRZEJ (*z tęsknotą.*)

Ach! kiedyż dzisiaj to dla mnie tak drogie!
Tyle czekałem na to dziś bezwiednie,
Że owe jutro, zdaje mi się, wrogie
Bo w niem, tych wspomnień świętych obraz zblednie.
I znów sam siebie nie poznam — zbudzony . . .
Może tym samym, co dzisiaj, nie wstanę?
Może ma dusza w inne wzleci strony
W innemi gwiazdy, bezmiary posiane? . . .

Kr. JOANNA.

A co najprędzej . . . bo tak często bywa,

Po takim, wizyi gorączkowym stanie —
Pewnie od swoich, wieść przyjdzie szczęśliwa . . .
I będzie smutnej chwili rozwiązanie
(*pieszczotliwie*) Chodź! chodź, mój drogi! głowa twoja
[pała!
Zasniesz spokojnie potrzebny spoczynek
Wszak sen — to pokarm niebieski dla ciała?
Dla ducha, w przyszłość, bezwiedny zaczynek . . .
(*Stacza wewnętrzną walkę.*)

Kr. ANDRZEJ (*bierze ją w objęcia.*)

Kiedy tak pragniesz mego snu — kochanie!
I obiecujesz jutro słodkie wieści
Posłusznym będę — a może się stanie
Wróżba twa żywą Za to niech cię pieści
Przez czas spoczynku — anioł z nieba biały!
Niechaj oliwną gałązką odstrasza
Roje snów czarnych jak chmur czarne wały!
Aby pogodna, z porankiem, twarz nasza,
Jak to błękitne niebo, powitała
Ten uśmiechnięty świat pieśnią i wonią
(*puszcza ją lekko z objęć zdziwiony.*)
Joanno! czemuś tak strasznie zadrżała?

Kr. JOANNA (*zmięszana.*)

Tak . . . boś mnie . . . dotknął . . . twą palącą . . .
[skronią. (*Wychodzi.*)

Kr. ANDRZEJ (*idąc za nią zadumany.*)

Muszę być chory? to — widać — ją trwoży
(*patrząc ku niebu*) Niechaj się stanie — według woli
[bożej!! . . .

SCENA XI.

D. PADRE (*powoli przechodzi, licząc różaniec.*)

Widzę, odiosum wypłatać gotowi
Moja rzecz — służyć wiernie — mej koronie:

„Co cesarskiego, oddaj cesarzowi“ —
Stoi wyraźnie tak w naszym zakonie.
Cesarzem moim, królem, berła panem . . .
Jest pełna wdzięków — Joanna królowa —
Jej więc — posłusznym muszę być poddanym,
Jej tylko, dla mnie, nietykalna głowa!
Andrzej? cóż Andrzej? prawie po Adamie
Mieni się tronu tego — sukcesorem . . .
Czy ma w tem słusność? czy bezczelnie kłamie?
Nie mnie być sędzią — nad tym ciemnym sporem....
Prawda, że papież uznał go w swej bulli —
Ależ go tutaj lud odrzuca groźnie!
A „głosem Boga“, gdy jest „vox populi“ —
Przeto nie działałam w tej sprawie bezbożnie . . .
Że zaś do buntu — są wszelkie podstawy —
Mniejsza, czy słusne? lecz ze wszystkim prawne....
Nie grzeszę wcale, kiedy w tok tej sprawy
Wiążę me rady — zręczne . . . i wytrawne . . .
— A więc na korzyść moją — wniosek taki:
Skoro lud za mną i zakony stoją —
Jestem wskrós czysty od wszelkiej poszlaki,
Żem się rozminął z powinnością moją.
A cóżbo więcej zagrozić mi może?
Czem ciężar na me zwaliłbym sumienie?
Sumienie? . . . to sfinx . . . przepuść Panie Boże!
Chociaż ten wyraz . . . niesłychanie cenię;
Lecz gdy treść jego niknie z dźwięków echem,
Niewyjaśniony co do swej istoty
Tak bawię się nim, jak dziecko orzechem,
Nie mogąc ziarenka wydobyć z ciemnoty
(*p. chw.*) Raz przy spowiedzi, chcąc łotr rozgrzeszenia,
Rzekł mi: „Dla tego zabiłem sąsiada,
Że mi sumienie nie dało wytchnienia . . .
Abym i ja miał — to, co on posiada“
(*z zakłopotaniem*) — Otóż i macie — wyroki sumienia!..
(*Wychodzi, modląc się na różańcu.*)

SCENA XII.

Ks. LUDWIK (*wbiega zmieszany.*)

Już idą, przecie raz się odważyli!

Wszyscy, jak drżące listki na osieci —
Każdy, jak owca w strasznej ognia chwili
Wyjść za próg, w płomień . . . nie mógł samotrzeci.
Jeden drugiego wypychał trwożliwie,
A im się więcej odgrażał słowami —
Podobny w słowach wzbudzonej lwa grzywie,
Tem więcej krył się drugim za plecami!
Ażem ja przerwał ceremonję nudną —
Zniosłem przeszkodę, której żadnym zmysłem
Dostrzedz . . . domacać . . . było się nam trudno . . .
— Ja więc prawdziwą odwagą — zabłysłem!
Ja! zastępując wodza płoczej rzeszy,
Jedyne echo, posłuszne narzędzie . . .
Które na rozkaz, nie patrząc: gdzie? śpieszy . . .
A pędząc, sobą — nie jest w własnem pędzie . . .
Ja! przełamałem pierwszej trwogi lody.
— Joanno! tyś nam wodzem w tej wyprawie
Twój duch przezemnie zdruzgotał przeszkody,
I za sternika przykuł w twojej nawie! . . .
(*podśłuchuje*) Zda się, szmer słyhać pełzają
[jak węże . . .

(*wchodząc do otwartej celi*)

Tu się ukryję, by czuwać dogodniej
Było nad nimi —, ztąd wzrok ich dosięże —
Bo rąk nie chciałbym przykładać do . . . zbro . . .
[dni . . .

(*zastanawiając się*)

Ach! cóżem wyrzekł . . . zbrodni? fałsz! . . .
[zamachu . . .

Nie! rewolucyi — rebelji — lub spisku . . .
Ludowej klątwy . . . (*śłucha*) zdrętwieli ze strachu!
(*patrzac dokoła z trwogą*)
Sam jeden jak śmierć! na tem cmentarzysku!

SCENA XIII.

Ks. Ludwik (*w progu celi. Wchodzą na czele
zbirów, przebranych po węgiersku*) Bertrand, d.
Vetturino, potem kr. Andrzej, Izolda.

Ks. LUDWIK.

Czemuż tak bladzi, jak z grobów szkielety? . . .
(do Vetturina) No — nieśże prędzej te rzekome
[wieści . . .
Powiedz: czekają posły od Elżbiety.

D. VETTURINO (cynicznie.)

A może teraz z Joanną się pieści?

BERTRAND.

To właśnie pora — bo rozum pijany.

Ks. LUDWIK (do Vetturina.)

Idź! bo tu zwłoka roztrzaskać nas może . . .

D. VETTURINO (po zawahaniu się.)

Ha! wzywam waszej pomocy, szatany!!
(Wchodzi do celi królewskiej.)

BERTRAND (patrząc za nim, z dzikością.)

Z błyszczących żądał uścieniem ci łożę . . .
A do snu chwycim cię w nasze ramiona!
Uścisk to krzepki! najczulsza kochanka,
Co z swej miłości, ściskając — aż kona! . . .
Co pierwszy kwiatek ze swojego wianka
Rzuca szalona w namiętne uściski —
Prędzej by ci się wymknąć dozwoliła . . .
Ni Laokona pierścień z węzów ślizki
Czulej do raję, krępując, posyła! . . .

Ks. LUDWIK (zaciekle.)

Bacność! niech ręka z myśli błyskawicą,
Hyeny skokiem — ofiary się chwycą!
Niechaj Akteon z własnych psów paszczęki

Pada, rozdarty za bogini wdzięki! . . .

Baczność! już idą! . . .

(*Wszyscy zadrżeli, jak pod prądem iskry elektrycznej; nagle drzwi się otwierają — wbiega Andrzej, a za nim Vetturino z dobytym sztyletem.*)

Kr. ANDRZEJ (*z gwałtowną radością.*)

O! jakież wieści macie od mej matki?

(*wpatrując się w milczących z trwogą*)

Czemuż milczycie? a jak trupy bladzi

BERTRAND (*uderza w niego sztyletem.*)

Masz pierwsze słowo!

Kr. ANDRZEJ (*wyrywa sztylet, utkwiony w nim i chce ugodzić Bertranda, chowającego się za zbirów, zjadających razy Andrzejowi, z których trzech ginie z królewskiej ręki.*)

Zbójcy!!

BERTRAND (*z za walczących.*)

W pierś! bo z klatki

Wymknie się ptaszek! . . .

Kr. ANDRZEJ (*padając.*)

O! dobrze wam radzi!

IZOLDA (*wbiega z szaloną rozpaczą.*)

Jezus! mordercy!

Kr. ANDRZEJ (*konając.*)

Bóg moim mścicielem!

IZOLDA (*w obłąkaniu.*)

Ratunku! gwałtu! mordercy! litości!!

BERTRAND (*ugadza ją w plecy sztyletem.*)

Idźże tam! prędzej — za twym wielbicielem!

Ks. LUDWIK (*d. s. wychylając się lepiej.*)

Piekielna chwila! . . . (*głośno*) Sprzątnąć ich w ci-
chości (*wynoszą zamordowanych*)

(*obcierając pot z czoła*)

O! jakże duszno i w oczach mi ciemno

A! to ci ludzie . . . przekłęci szatani!

Chciałem ratować . . . chęć była daremną —

Jakże krwią jego, wstrętnie obluzgani!

SCENA XIV.

Kr. Joanna (*wchodzi gwałtownie wzruszona*),

Ks. Ludwik (*usuwa się nieco w głąb.*)

Kr. JOANNA (*z trwogą.*)

Słyszałam śmierci krzyk i szamotanie!

Straszny głos jego, jak z tamtego świata . . .

Stopami, zda się, stałam na wulkanie,

Czując zgrzyt pchnięcia od sztyletu kata!

Okropność śmierci w tym krzyku i jęku!

Świat zagrobowy . . . runął w mego ducha

Złowieszczem echem — trupio — w martwym

[*dźwięku*]

Jak padający modrzew od obucha . . .

— Pioruny dzierzył, widać, w swoim ręku,

Gdy życie, — duszy ta łupina krucha,

Naraz od ciosów nie przysło na ćwierci,

Tocząc bój krwawy z oprawcami śmierci! . . .

(*patrząc na ziemię*) Ha! krew! . . . jak łuna czer-

[*wona pożaru,*

Wydarta niebu, wgwoźdzona do ziemi

Jak martwy świadek morderczego daru,

Wryty strasznie dłońmi piekielnymi!

W krwi tej, drży siła — nadziemskiego czaru,

W krwi tej, jęk dyszy . . . co targa mojemi

W sercu tętnami — co pali mi trzewa,
Jak wąż na swoją ofiarę poziewa! . . .
(*po wewnętrznej walce*) I gdzież przed chwilą — ta
[zemsta zawzięta?
Gdzież ta nienawiść krwiożercza? węzowa?
Gdzież są gryzące — ślubnych przysięg — pęta?
Gdzie myśl — co krwawą nić morderstwa snowa?
Gdzież ta gromami — jest chmura nadęta —
Co go swem tchnieniem uśmiercić gotowa?
. . . Wszystko skonało! . . . a wpiły się w duszę:
Trwoga i rozpacz — dwie z piekiel katusze!

Ks. LUDWIK (*wysuwa się z ukrycia, d. s.*)

Czas ją podeprzeć — zbyt szybko upada
(*głośno*) Joanno!

Kr. JOANNA (*patrzy z trwogą i jak w obłąkaniu,
nie poznaje Ludwika.*)

Któż to?!

Ks. LUDWIK.

Twój Ludwik — przy tobie.

Kr. JOANNA (*jak wyżej.*)

Kto mnie tu woła? kto głosem tak zgrzyta?
Czyż on? . . . lecz milczą . . . co zasnęli w grobie! . . .
(*bierze się za serce*)
W piersiach mi tętni . . . jak w pustce kopyta —
Szatan tak tylko cwałuje w otchłani

Ks. LUDWIK.

Joanno! wstydz się!

Kr. JOANNA (*odpowiadając jak echo.*)

Ha! wstydz się? po czasie! . . .
Krwia tak czerwoną, jak ja, spiętnowani . . .
Nie sploną wstydem . . . krew sumienie pasie! . . .

Ks. LUDWIK (*zbliża się szybko.*)

Joanno! przebóg! cóż się z tobą dzieje?
Burza już przeszła — pogodne niebiosa!

Kr. JOANNA (*sposstrzegając go z przerażeniem.*)

Ach! jakiż wstrętny! . . . oko mordem zieje,
A wąż się wije z każdego mu włosa!
Jak trup tak bładny . . . nito wrócił w trwodze
Z straszego sądu . . . z niebieskiej stolicy,
Gdzie wyrok zapadł — dla zabójcy srodze:
By swe sumienie zażegł na kształt świecy
I tę palącą w swej piersi pochodnię
Sycił zdrojami konającej duszy,
Póki z niej wszystkie nie wypali zbrodnie,
I zwęglonego serca nie rozkruszy!

Ks. LUDWIK.

Widzę, twój umysł w szalonym obłądnie . . .
Majaczysz dziwnie — tyś chora, w malignie . . .
Lepiej pomówmy — co tu począć będzie? . . .
Dalej! do młota! bo żelazo stygnie!

Kr. JOANNA (*odsuwając się.*)

O! ja się boję dziś tego człowieka!
A pierwsza to jest w mojem życiu trwoga —
O! bądź odemnie, ty krwawy! z daleka,
I nie śmiej mego przestępować proga!
Bo ty mnie także zamordujesz zdradnie!
Ty wskrós krwiożerczy!! hyen żyjesz strawą!

Ks. LUDWIK (*z wyrzutem.*)

Więc w niewdzięczności — cały dług przepadnie?
Za poświęcenie? tą płacą plugawą?!

Kr. JOANNA (*przerażona ucieka.*)

O! nie przysuwaj się okrutny! do mnie . . .

Ks. LUDWIK (*biegnąc za nią.*)

Co czynisz? czekaj? pomyślże przytomnie!

SCENA XV.

(*W podziemiach więziennych — narzędzia tortur — na środku pniak z toporem, d. Roza przykuta do ściany. Lampa, w niszy ustawiona, słabo płonie. Później wchodzi d. Vetturino.*)

D. ROZA.

— A więc aż w ten świat — w grobowe pieczary,
W świat rozmrożonych płazów, w gniazdo węży —
Wbiegła wieść mordu niewinnej ofiary
I któż — w przecucia mą wiarę — zwycięży?!
Czyż nie widziałam twej śmierci na jawie?
Andrzeju! wziąłeś mi serce na wieki . . .
I dziś, krwią twoją, własne serce krwawię!
Choć twoje oddać — byłeś mi daleki
W ostatku wzgardą spaliłeś mi lico!
Wzgardą! za miłość, jakiej w ludzkim sercu
Nie było, odkąd słońca nędznym świecą . . .
Odkąd omdlewa na ślubnym kobiercu
Wstydliva miłość . . . w uczuciach szkarłatu . . .
Nakształt do słońca patrzącego kwiatu . . .
(*p. chw.*) Lecz Bóg się w krótkce zlituje nademną,
I mnie śmierć rychła w tym grobowcu czeka —
I wkrótce topór rozjaśni mi ciemną
I straszną przyszłość — zagadkę człowieka
O! tam, Andrzeju, mój srebrny aniele!
Tam, będziesz moim — o! moim wśród nieba . . .
Bo tuś im oddał — co ich . . . w twojem ciele!
Mnie tylko duszy twojej — było trzeba.
— A chociaż nieraz wierzyłam złudzona —
Że już w twem sercu błysnęły niebiosy,
Że już zbrodniarka . . . z rajy wypędzona —
To obowiązek brzęczał ci jak osa
Nad czujną duszą — i wznosiłeś szańce . . .
Których rozwalić brakło mi potęgi!

A bo i wkoło zastępy pogańcze
W polipa zwarły, twoją duszę, kręgi . . .
(*p. chw.*) I dwóch aniołów wciąż miałam przy boku:
Anioła wstydu — co uciskał serce,
Nadzieję niosąc w przenajświętszem oku —,
A drugi . . . wybuch najbladszy, w iskierce . . .
Gasił — lżą wonną zmrużonej źrenicy —
I to był anioł — czystej tajemnicy . . .

D. VETTURINO (*wchodzi, łagodnie.*)

I cóż? skłoniłaś dla mnie serce twoje?
Wszak godzien jestem? skoro wyrok śmierci
Wstrzymuję dotąd i kłamstwami poję
Groźną królowę, która cię na ćwierci
Dawno, w swej duszy, porąbała mściwie . . .

D. ROZA.

To stokroć lepiej zrobiła od ciebie . . .
I przez to, do niej — pół boleści żywię.
Przez nią — bym z czyśca była prędzej w niebie...
A ty mnie tylko na powolnym żarze
Męczysz — i wdzięczną każesz mi być -- za to?
I gdy o śmierci bliskiej — słodko marzę
Ty mnie — za życia, gwałtem więzisz krata!

D. VETTURINO.

Pleciesz mi bajki, splątana w umyśle,
A w duszy, widać, cenisz mnie wysoko . . .
Za to: że grózb mych nie wypełniam ściśle —
I nie tak straszny . . . jak gniewne me oko!
A w tem iskierka nadziei mi błyska . . .
Bo cenisz życie, jak skąpiec klejnoty —
Gdy zaś z darami — ręka jest za bliska
Tracą w twych oczach szczery powab złoty.
Lecz przekonana z czasem . . . że ci trudno
Wybrnąć, nie zzuwszy z siebie stare grzechy —
Uściśniesz rękę, dziś w twych oczach brudną,
Która ci świat ten przystroi w uśmiechy!

D. ROZA.

Dla mnie uśmiechów na tym globie nie ma —
Rączy ich przelot nie zostawił śladu —
Cząstkę los ukradł . . . część ręka Kaima
A część — ten człowiek, co ma żądło gadu!

¶D, VETTURINO (*chce ją wziąć za rękę.*)

Lecz w pocałunku nie poczujesz jadu?

D. ROZA (*usuwając rękę.*)

O precz! bezwstydnym! i ty byś łańcuchem . . .
Rękę — dla brudnych, zmuszał pocałunków?
Ty? coś mnie nie mógł zmiążdżyć — twoim duchem!
Siłą byś na mnie dokonał rabunków?!
O nędzny! wielką otoczony pychą!
Kiedyż uwierzysz, że cię nienawidzę?
Czyż mało, żeś mord spełniał z tyłu . . . cicho . . . ?
Żeś był w haniebnej, judaszowskiej lidze?
I w krwi niewinnej zmaczałeś twe dłonie?
Za marny srebrnik sprzedałeś twe ramię,
Za nędzny srebrnik plunięto ci w skronie,
A których białość ciała, nie okłamie.
Czarności ducha, kryjącej twarz w cieniu
Jakiej nie zetrą ludzkiej woli władze —
Bo zbrodnia czarno gore nam w sumieniu . . .
I jak dym zgliszczów, w licach składa — sadze!....

D. VETTURINO (*z szyderstwem.*)

Mimo tak orle poezyi podloty . . .
Zawsze w mych oczach, pełzasz po tej ziemi —
A okiem biegnąc, w gwiazd gościniec złoty . . .
Wcale nie widzisz — z jak walczysz strasznymi
(*wskazując na topór*) Wrogami wszystkich nadziem-
[skich zachwyty!]
Patrz! oto mocarz, który twoją główkę,
Sklonną się wznosić do skrzących błękitów —
Zetnie, jak marną na polu makówkę!
I wierzaj! po tej smutnej operacyi . . .

Nie będziesz świecić — w żadnej konstellacyi! . . .
— Lecz, by cierpliwość wyczerpać mą do dna,
Daję ci dobę do namysłu — całą —
Jeżeli nie uznasz, że miłość ma godna,
By ci się rajskie z niej łoże uszło,
Byś tego świata — tak rozkosz wypila,
Jak pszczołka miody z woniejących kwieci —
Pamiętaj Rozo! czeka cię mogiła!
A drogę do niej — ten topór poświeci! . . .
(*p. chw.*) Kiedy na klęczkach niosłem me błaganie —
I rękem składał . . . jak przed bóstwa tronem,
Tyś mi ciskała zimne uraganie
W wzroku, pogardą gorzko napojonym,
Która w mem sercu do śmierci zostanie,
I ścigać będzie — nawet poza zgonem! . . .
Gdy to przeniosłem — za mną wszelkie prawa,
Aby się zemsta wypełniła krwawa!

D. ROZA (*wzgardliwie.*)

A! to więc zaraz przystępuj do kaźni!
Nie dręcz mnie dłużej tą śmiercią powolną,
Która się z życiem tak szatańsko drażni . . .
Jakby od razu zgnieść . . . nie była zdolną.
O jedno tylko przed śmiercią cię proszę —

D. VETTURINO (*z ciekawością.*)

Powiedz otwarcie — z przyjemnością spełnię.

D. ROZA.

Chciałabym błędy, które tutaj noszę,
Ziemi zostawić — by czystą zupełnie
Opuścić świata poplamione progi . . .

D. VETTURINO (*po namyśle, z ironją.*)

Zadość uczynię świątobliwej prośbie —
(*d. s. odchodząc*) Spowiednik może przytrze jej te
rogi
I będzie sensu więcej w tem — niż w groźbie.

D. ROZA (*sama.*)

Przecie rozetną ten węzeł męczarni —
(*klęka*) O Boże! dzięki — za tve zmiłowanie,
Które uczynią nademną ci czarni!
A w ich morderstwie twa wola się stanie —
I pójdę w górę bo rozwinąć skrzydła
Oni pomogą, zdzierając oponę
Cielesną z ducha, która mi tak zbrzydła,
Dla której wszystko — było tu stracone!

SCENA XVI.

Wchodzą dwaj halabardnicy, d. Roza.

PIERWSZY (*odmyka kłódkę łańcucha Rozy przy ścianie.*)

Widać, prośb twoich Bóg niebardzo słucha . . .
Bo jeszcze głębiej powędrujesz na dno!

D. ROZA.

A to tem prędsze wyzwolenie ducha,
Im więcej siły tego ciała kradną.

PIERWSZY.

Otwórz tam bracie! tej przepaści trzewa.

DRUGI (*otwiera w podłodze więzienia drzwi, prowadzące do głębszego lochu.*)

Prowadź tę świętą, na sznurku . . . w katorżnie —
Bo ona się tu aniołów spodziewa,
Którzy do nieba chcą skraść ją pobożnie . . .

PIERWSZY (*wprowadza Rożę w otwór, drugi postępuje za nimi.*)

Tutaj bezsilni nawet aniołowie!

D. ROZA.

Przy śmierci . . . kiedyś . . . Bóg ci tam odpowie!

A K T I V.

S C E N A I. (*jak scena I. w akcie II.*)

Wchodzą razem kr. Joanna, c. Sankcja,
ks. Ludwik.

Kr. JOANNA (*przygnębiona.*)

. . . . Więc obleżeni jesteśmy dokoła.
Ludwik, król polski, jak orzeł roztoczył
Skrzydła rycerstwa — a sam zaś, od czoła —
Kilkakroć szpony swe już w naszych zboczył.

C. SANKCJA.

Lecz w końcu czmychnie — cięty mężnych biczem!

Ks. LUDWIK (*pyszalkowato.*)

Niejeden pływak utonął u brzegu —
A ci co morzem płyną najezdniczem,
W tych samych falach znajdując kres biegu.

Kr. JOANNA (*z ironją.*)

Wszakże król ze mną — ma ten tron spadkowo?
Za bunt chce karę wymierzyć surową!
Komuż więc straszne głośisz tak wyroki?
Zapewne, książę! myślałeś o sobie?

C. SANKCJA (*d. s.*)

A to jaszczurka! . . .

Ks. LUDWIK (*z ironją.*)

Tak — ten świat szeroki,

Wielu w podobnym może zamknąć grobie
A jeżeli w grzechy moje trzeźwo patrzę,
To mi i cudzych . . . nic to . . . nie zasłania
Dajmy już pokój podobnym przekazom.

C. SANKCJA (*udając dobroćliwość.*)

O! moje dzieci — w tak okropnej chwili
Trzeba zamilknąć rozterkom i dąsom —
Bo niechby tylko wrogi dopatrzyli,
Że między nami wrą kłótnie i waśnie —
Prędko by z tego odnieśli korzyści.
A Rębosz z Garą są z najeżdzą właśnie —
I od ich druhów nie jesteśmy czyści
Tlą oni w ciszy, w skrytości popiele,
Czekając czasu, gdy im gwiazda błysnie.
To niebezpieczny wrzód na naszym ciele!
Nie chciejmyż nowych dodawać bezmyślnie

Ks. LUDWIK.

Joanno! pora wielka skończyć targi
Kat — grozi zgubą rychłą za plecyma —
Wewnątrz — na twoje rządy głośnie skargi —
Za słabą ręką, ster tej łodzi trzyma
Ręką, którą mi obiecałaś dawno
Oddać, Joanno, na ślubnym kobiercu.
Usuwasz mi się zwłoką nieustawną,
Czyniąc gwałt słowu i mojemu sercu.
A wiedz, że tylko to ciebie jedynie
Zasłonić może od wiszącej chmury,
Która nad głową twą burzliwie płynie,
Gotując straszne w przyszłości tortury!
Joanno! pora! pomnij — że po czasie
Będziesz żałować kapryśnej swawoli —,
Już wróg w twych willach swoje konie pasie,
I twych poddanych, w bydłat — pędzi kolej!

C. SANKCJA.

Joanno! miejże litość choć nad sobą!

Kr. JOANNA (*z niechęcią, stanowczo.*)

Dwa razy jedno powtarzać nie lubię —
Jeżeli pogardzasz tą rycerską próbą . . .
Nie chcąc być — pierwszej zbawcą w mojej
[zgubie —
Zwycięzcy ręką biorąc za dłoń moją —
To wszystkie groźne . . . napróżno twe słowa!

Ks. LUDWIK (*samochwalczo.*)

Wszakże ja robię, co tylko w mej mocy!
Walczę z tą hardą (*wskazując na czoło*) ducha mego
[zbroją —
W dzień, plany kreślę . . . nie zasypiam w nocy . . .

Kr. JOANNA (*szyderczo.*)

Uragan z dala . . . Jak skończysz tam z nimi,
Jak ich wypędzisz za ojcyste góry,
Lawę tę wrócisz w jej krater obrzymi —
Wtenczas weselne zabrzmia dla nas chóry.
A dzisiaj, naszej przec ręki związaniem
Nie odstraszymy hufców od stolicy?
Ze stulą w dłoniach, na szanćach nie staniem
Wśród grzmiących gromów, ludzkiej błyskawicy?
Zaiste! duchów nie mamy w swej lidze,
Nadprzyrodzonych zjawisk — do rozkazu —
A z tych mędrkowań pustych . . . głośno szydę!
I na szturm taki, moje serce z głazu!

Ks. LUDWIK (*z urazą.*)

Lecz zkądże pewność — jak Lachów wypędzę . . .
Że twych obietnic nie odmienisz znowu?
Że cię piekielne nie podburzą jędze
Znów do innego kaprysów narowu?

C. SANKCJA.

Dwuznaczność smutne następstwa wyradza —
Trudno cel dojrzeć z tych twoich zamiarów

Chyba ci słodką niepodzielna władza?
I z pod jej złudnych, ciężko wybrnąć czarów . . .

Kr. JOANNA (z uśmiechem ironicznym.)

Dotąd ten zwyczaj miewali rycerze:
Nałóg — zdobycia ręki swej kochanki
Na polu walki — i ja w takich wierzę!
Z takich rąk kwiatki, wplatom w ślubne wianki.
Takiego uznam za godnego siebie —
Co mnie wybawić . . . jest mocen — w potrzebie!

Ks. LUDWIK (z hamowaną gwałtownością.)

Snać zapomniałaś, że niezbyt daleki
Jestem twej dłoni — odkąd jednym czynem
Ręce się nasze związały na wieki . . .
I jednym, czoła okryły, wawrzynem . . .

C. SANKCJA (n. s. do Ludwiku.)

Cyt! dajże pokój!

Kr. JOANNA (ze wzgardą.)

Dzięki — za słodycze,
Jakiemi poisz mnie uprzejmie, książę!
A które na karb twej wielkości . . . liczę —
Co mnie, dla ciebie — wielce zobowiąże . . .
(z przyciskiem) W tej chwili proszę — o samotność
[miłą

C. SANKCJA (z oburzeniem.)

Chodźmy Ludwiku — bo wpadła w ekstazę,
I będzie się jej — coś . . . na jawie śniło . . .
A w takim stanie . . . przebaczam urazę,
Trzeźwego ducha niezwalczoną siłą!

(Wychodzą oboje.)

Kr. JOANNA (w pogńębieniu.)

. . . . W słup skrępowana pierścieniami węży . . .
Tysiące żadeł grozi mi haniebnie!
Coraz to brzemię dźwigać jakoś ciężej —
Z przemocą walcząc — walczę niepotrzebnie . . .
Bo cóż, choć się dłoń do ciosu wyteży?
Choć tam jednego . . . tak jak rumak grzebnie . . .
To zćwiertowane to plemię padalcze,
Mnożąc się, pastwi — gdy ja sama walczę!
O! gdyby duch mój był czystością krzepki,
I niekalana prawicy potęga —
Toby tej zgrai arlekińskie zlepki,
Z których po djadem każdy czelnie sięga —
Do mej sieroczej, z groszami . . . torebki
Padłby, jak martwy bolid, z widnokręga!
Niegodni! stokroć, o niegodni! mówię —
Nie — zdjąć koronę — lecz z mych nóg obuwie!..
(p. chw.) Ha! gdyby tylko z nimi walczyć jeszcze...
Ale jęć głuchy . . . co mi w piersiach warczy —
Gdyby nie jego tam drgnięcie złowieszcze,
Który uśmiercić — siły mi nie starczy —
Co jak liść suchy, grobowo szeleszcze,
Jak echo, pisząc: „zbrodnia!!“ na mej tarczy . . .
I w głębiach duszy potępienie zgrzyta . . .
— „A z kąd sił weźmiesz?“ szydząc codzien pyta...
O! wtenczas, wtenczas — sama sobą gardzę!
Wtenczas mi w oczach staje czarna zbrodnia!
I sobie klątwę ciskam w własnej wardze —
Bo we mnie gore sumienia pochodnia!
A przy jej żarze serca już nie stwardzę,
Nie zbłądzę — gdy mi świeci ta przewodnia
Zesłanka z niebios! skrzywdzonych bożyszczę!
W jej świetle zawsze krwawo, krwawo błyszczę.

SCENA II.

Kr. Joanna, wchodzą D. Vetturino i Bertrand.

Kr. JOANNA.

Jakież nam wieści niesiesz komandorze?
Niewiadomością najbardziej się dręcze,

Mów prawdę — kłamstwo dziełu nie pomoże.

D. VETTURINO (*ze smutkiem.*)

Coraz to szczelniej biorą nas w obręczę
Niezwyciężone nieprzyjaciół hufce.
Choć nasze wojsko żwawo się tam krząta,
Podobne w boju rozrojonej mrówce —
Zawala przystęp u każdego kąta,
Najpracowiciej wznosi nowe mury —
Jednak taranów cyklopowe szturmy,
I jeźdźców polskich, po za niemi, chmury,
Grzmiące pieśniami, wrzaskiem trąb i surmy —
O ile szance miażdżą bez ustanku,
O tyle popłoch pośród naszych sieją.

BERTRAND.

Rębosz na dzielnym dowodzi bułanku.

Kr. JOANNA.

A więc każecie — żegnać się z nadzieją?
Może mysz jaka . . . zgryzie splot obieży?
— Gdzież to są męztwa waszego przechwałki?
Gdzież bohaterские prawice rycerzy?
Herkulesowe padły z rąk wam pałki!
Po mózgach, puste — na karkach czerepy!
Krew wam już wyschła w trupiej serca cieśni!
Wzrok wasz, w otchłannych bezmiarach jest ślepy...
— Wśród karłów ginąć o! stokroć boleśniej!

D. VETTURINO.

Ależ królowo! nie mówię o zgubie,
Tylko o ciężkiej, jak na ten raz, chwili —
Właśnie dla tego, że ludzi nie lubię.

BERTRAND (*d. s. z zawiścią.*)

Chociaż językiem wojować się sili

D. VETTURINO.

Przedstawiam rzeczy, bez kłamliwej szaty —
A o ratunku nie wątpię zupełnie.

Kr. JOANNA.

Chciałabym wiedzieć — o ileś bogaty
W plany ratunku?

D. VETTURINO (*zmięszany.*)

To, co dzisiaj pełnię —
Walcząc zawzięcie — jest najpierwszym planem . . .

Kr. JOANNA (*przerywając.*)

A, kiedy mówisz — że to nas zawodzi —
Więc pewnie myślisz — o czemś niezachwianem . . .

D. VETTURINO (*pretensjonalnie.*)

Tak — i najlepsze a niemylne leki,
Najpotężniejsze z wszystkiego na świecie,
Wypróbowane przez prastare wieki . . .

BERTRAND (*d. s.*)

Tak jak na mękach — czart wie, co tam plecie?

Kr. JOANNA (*z niecierpliwością.*)

Ależ bez przedmów!

D. VETTURINO.

A ten jest, królowo!
Niezwyciężony czas! to dla nich zguba . . . ,

Kr. JOANNA (*szyderczo.*)

A toś mi wreszcie rzecz powiedział nową!
W tym sprzymierzeńcu, nie wielka ci chluba . . .

BERTRAND.

Jabym próbował innych użyć środków.

Kr. JOANNA.

O jakich myślisz?

D. VETTURINO (*d. s. zawiścią.*)

A to mi to rajca . . .

BERTRAND.

Rzucić lud tłumem na pastwę ich podków!
Niech walczą wszyscy — kto w domu: ten zdrajca!
A gdy im wrogów miecz doję do syta . . .
Gdy we krwi własnej wykąpią swe ciała,
A koń się spęta w ich żywe jelita,
Znajdzie się siła! znajdzie ręka śmiała!
Bo wtenczas straszny wódz ich poprowadzi —
Wódz, co drwi sobie i z czasu potęgi!
Wartki jak szatan, jak anioł nie zdradzi —
A nim jest: rozpacz! . . . W te piekielne cęgi . . .
Radziłbym chwycić tych pełzaczów tłumy!

D. VETTURINO (*do s. szyderczo.*)

To mi dopiero w tem wielkie rozumy . . .

Kr. JOANNA.

Może, z wszystkiego — to będzie — najlepsze.

BERTRAND.

Niech Vetturino rozpocznie rzecz śmiało!
Niech się swą wołą . . . nad miastem rozeprze!
Tak — by niczyjej, miejsca nie zostało . . .
A zresztą, pomódz . . . pragniemy mu wszyscy —
I niechaj księża — w słabą strunę brzękną . . .

D. VETTURINO.

Bardzo jesteśmy, dzisiaj tego bliscy —

Bo serca ludu — wnet rozpaczą jękną!

Kr. JOANNA.

Dobrze Bertrandzie — dałeś radę piękną.
— A z duchowieństwa — to już mi się zdawa,
Najbardziej zdolnym don Padre w tym razie

D. VETTURINO.

Uchowaj Boże! to dusza kulawa . . .
Jakby oszalał . . . w ciągłej jest ekstazie . . .

Kr. JOANNA.

Cóż to ja słyszę?

BERTRAND.

O! tak jest w istocie —
Nie wiem, z kąd się mu to warjactwo wzięło?
Dość — że wciąż prawi o modłach i cnocie —
Że nawrócenia, rozpoczął już, dzieło —
Że straszny z niego grzesznik, potępieniec!
Że tutaj — druga Sodoma, Gomora
Ot, krótko mówiąc, pobłądził — szalenie!

D. VETTURINO.

Albo urzekła go jaka znachora

Kr. JOANNA.

To więc innego wybierzcie wnet sami,
Nie tracąc czasu.

D. VETTURINO.

O! bo wielka pora —

Kr. JOANNA.

Idźcie — a niechaj bogi będą z wami.

BERTRAND (*odchodząc.*)

Z tobą, królowo! dla bogów za ciasno . . .

Kr. JOANNA (*podaje kieskę Bertrandowi.*)

Może do tego, spadną pszczołki, kwiatu?

(*d. Vetturino wychodzi z Bertrandem po oddaniu ukłonu
Joannie*)

(*Joanna sama*) Muszę też na lud także siłą własną
Podzielać — raczej — siłą majestatu.

(*Oddała się w przeciwną stronę.*)

SCENA III. (*jak scena XV. aktu III-go.*)

D. ROZA, d. PADRE.

D. ROZA (*patrząc ze wzgardą na zbliżającego się
d. Padre.*)

A — to ty księżu! masz być spowiednikiem?
Ty?! któryś druhem jest, Andrzeja wrogów,
Któryś był skrytym, ich zbrodni, współnikiem?
O! nie przestępuj tych — niegodny! — progów!
Nie takim — chciałam wynurzyć me grzechy,
Nie tacy — obmyć mogą mnie przed Panem —,
Od pohańbionych nie pragniem pociechy!
Nie dla ust . . . napój, w naczyniu skalaniem.

D. PADRE (*z pokorą.*)

Święte twoje słowa — o cierpliwość błagam!
— Przyszedłem, spowiedź — uczynić przed tobą —
Przed tobą, biczem skruchy się wysmagam!

D. ROZA (*z niedowierzaniem.*)

Jakaż to nową ścigacie mnie próbą?
Na cóż ten podstęp?

D. PADRE (*składając ręce na piersiach.*)

O cierpliwość błagam!
Chciej więc, me grzechy — wysłuchać łaskawie:
Coś rzekła teraz — to mnie już od dawna
W sumieniu kasa — na tej żyję strawie,
Co takim jadłem śmiertelnym zaprawna,
Co mnie tak pali w duszy i na czole —
Takie na licach wyżera mi piętna,
A w sercu, zimnem, nawskróś żądłem kole,
I tak mi we śnie okropna! pamiętna!
Że już nie mogę miejsca znaleźć sobie
A Bóg nie każe położyć się w grobie.
Jego litości wołałem gorąco,
By mi objawił narzędzie pokuty —
Myśl jasną, której fałsze nie zamąca,
Ni głos, piekielną obłudą zatruty.
Lecz próżno, długo . . . o łaskę błagałem
Rozpaczną duszą i dręczonem ciałem!
A zadawane sobie modły, posty,
Dla nieszczęśliwych — nad siły, jałmużny,
Krwawe, codziennie wycierpiane, chłosty
Nie niosły ulgi: zawsze byłem dłużny . . .

D. ROZA.

A czegoż więcej, przy skrusze potrzeba?

D. PADRE.

Widać, że więcej Bóg zapragnął po mnie —
Lada czem przecież nie okupię nieba?

D. ROZA (*wpatrując się z osłupieniem w d. Padre.*)

Ojcie! czy tylko mówisz ty przytomnie?

D. PADRE.

O! jakże, czuję, w twych oczach upadłem,
Skoro te słowa — szaleństwem się zdają!

O! strasznie błyskasz w oczy mi zwierciadłem . . .
Ha! i w Dniu Sądym — nie gorsze czekają.

D. ROZA (*wahająco.*)

Przebacz! mój ojciec! to grzech mimowoli.

D. PADRE.

Wróćmy się znowu — odbiegłem od rzeczy:
— Otóż, gdy szczęła tych udręczeń kolej —
A żadnej ulgi, nic duszy nie leczy . . .
Przypelzał do mnie Vetturino podły
Jak wąż kusiciel — i rzekł w tajemnicy:
Że twe występki tak mu już dobodły,
Gdy dawno w grobie są twoi współnicy . . .
Iż śmierć ci niesie — swą litość zamyka,
Posłuszny prawu . . . W tym celu posyła
Zaufanego tutaj spowiednika
Gdym to usłyszał — jakaś boska siła
Wstąpiła w moją skołataną duszę,
Świat się uśmiechnął, jak anioł niebieski —

D. ROZA (*przerywając.*)

Rad byłeś — że się skończą me katusze,
Że prędzej serce w krwawe tryśnie łezki?

D. PADRE.

O nie! ujrzałem w tem — własne zbawienie!
Bóg mi je wskazał swym wszechmocnym palcem!
— Poszedłem przeto, wzięwszy całe mienie —
I nuż tam w targi . . . z tym mnichem słuźalcem,
Co miał cię na śmierć przysposobić skrycie.
— Ledwo zdobyłem, złotem . . . twarde serce . . .
(*uroczyście*) I oto — moje za twe niosę życie!
Niech mnie przez ciebie wybawią morderce

D. ROZA (*gwałtownie.*)

A! co też mówisz, zrozpaczony starcze?!
Chcesz, bym na wieki była pohańbioną?

D. PADRE (*z namaszczeniem.*)

Pan ciebie wybrał dziś za moją tarczę,
Bym piekło zwalczył pod taką zasłoną!
Bogu więc, dziecko! a nie mnie nędznemu,
Jego wyrokiem, niezbrodzonej toni —
Masz schylić czoło! A nie pytaj, czemu
Los padł na ciebie? czemu od twych skroni
Dla mnie zbawienie i otucha cała?
Ni drobnym, ludzki rozumem i wolą
Nie będziesz tego przeważać tu śmiała!
I jak owieczka, kiedy ją wyzwolą,
Pójdiesz ztąd — chociaż znak śmierci na tobie . . .
Więc wiedz, że w takim — niebo dla mnie grobie.
(*Otwiera jej okowy.*)

D. ROZA (*z wewnętrzną walką.*)

Ojczy! ja tego uczynić nie mogę . . .
Trwoga mnie szarpie, a krew dreszcze mroźną!
Nie mnie na ciebie — zwać śmierć tak srogą!

D. PADRE (*rozkazująco.*)

Nie dziecko! musisz pójść za wolą bożą!
Ani się wahaj! bo bluźnisz twej wierze!
Innemi tory ludzkie biegną sądy —
A w innej, nieba wyroki, są sferze.

D. ROZA (*ze łzami, całując go w rękę.*)

Ach! jakże sprzeczne uczuć moich prądy!
Przebacz! za słabe moje na to siły —
Choć za uczynek porachują nieba!
Strząśłeś już z duszy — hańby czarne pyły!
Więcej nic nad to . . . już nic — nie potrzeba.

D. PADRE (*klęka.*)

O Boże! tyś jest litościwszy od niej —
Ciebie więc błagam! oświeć ją twym duchem!
I dopuść . . . przez nią — wydrzeć się z rąk zbrodni!

Usłysz wołanie miłosiernym słuchem!
Rozbudź w niej wiarę, z pod cielesnej pleśni —
Rozpedź z jej serca pychy ludzkiej głośy,
A słońce prawdy na to miejsce wskrześnij!
Otwórz na oścież przed ciemną . . . niebiosy!
— I oto — czoło i me białe włosy
Przed tobą, Panie! uginam z pokorą!
Przed twem ramieniem z wichrów, błyskawicy —
Ja, proch nikczemny! składam duszę chorą,
I lzy, do twojej — wszechświatów łzawicy!
(odwraca się klęcząc do Rozy i wyjmuje kielich z habita)
— A ty! gdy wszystkie znasz już moje grzechy —
Kiedym najskrytsze, wygłosił ci winy —
Udziel ostatniej, mi oto — pociechy,
I rozwiąż węzły ostatniej godziny!

D. ROZA *(gwałtownie wzruszona.)*

Przebaczam ojcze! całą moją duszą!
*(d. Padre wyjmuje z kielicha opłatek i spożywa — po-
tem wstaje.)*

D. PADRE *(zdejmuje zwierzchni habit, mając na
sobie drugi.)*

Bierże czempredzej dla siebie te szaty.
*(Roza bierze habit do ręki, ale nie odziewa się w niego,
d. Padre podaje jej kielich.)*

A i ten kielich — przed nim klęknąć muszą
Tych lochów stróże. Tak — zmylisz ich szaty.
. . . Więc błogosławię — *(Roza pada na kolana)* dzie-
[weczko na drogę . . .

Niech Anioł Pański osłoni cię skrzydłem —
Oslepi wrogów twych źrenicę srogą,
I za tem gniazdem, tych gadów, obrzydłem,
Bezpiecznie stawia wśród polskich rycerzy,
Których dziś ręka sprawiedliwość mierzy! . . .
(przyklęka) — Wy święci z nieba! w opiekę ją
[weźcie!

(Wstaje. Roza całuje kolana d. Padre.)

D. ROZA (*odchodząc.*)

Zegnaj, promienny! niech Bóg cię wybawi!
A pierwej zginą — ci Judasze krwawi!

SCENA IV.

(*Między murem fortecznym a zamkiem. Wojska odpierają walczących z murów i wdzierających się do środka.*)

Kr. Joanna (*w zbroi*), Bertrand, potem
d. Vetturino.

Kr. JOANNA.

Coraz nam ciężiej, coraz wkoło ciaśniej!

BERTRAND.

To są przedzgonne, sędzę, natężenia . . .
Może się jeszcze nam niebo rozjaśni?
W takich to chwilach, często los się zmienia.

D. VETTURINO (*biegnie przerażony.*)

Biada! nieszczęście!

Kr. JOANNA (*ze wzgardą.*)

Złote twoje usta
Wciąż jedną słodycz do serca mi leją —
Wodzu! twarz twoja tak blada, jak chusta!
Jakżeś się dawno pożegnał z nadzieją?

D. VETTURINO.

Straszne tarany! zdobywać im piekła!
Mur pryska od nich — wyłom za wyłomem . . .
A ta znów jazda Rębosza zaciekle
Każdy nasz szereg druzgoce jak gromem!

Gara piechotą na wały nam ciska,
Wulkanów ogniem wraz rotę przeraża —
Wszystko tak pada, jak kłosa wśród rżyska,
Jak krwawych ofiar mrowie u ołtarza!

Kr. JOANNA (*z szyderstwem.*)

Przynajmniej tybys nie mógł być tą krwawą . . .
Bo wnosząc z twojej przezroczej bledosci,
Ządac krwi kropli — któzby mógł miec prawo?
Ktoredyz krew ta uciekla z waszmości?

D. VETTURINO.

Palacy wzrok twój szyderstwa i wzgardy
Wypil ja ze mnie, krolowo! do szczetu.

Kr. JOANNA.

Piekniej, gdy ostrza mieczow, halabardy
Pija krew meznym wsród bojow odmetu.

SCENA V.

Ciż, (*wpada na koniu, prowadząc drugiego wierzchowca obok*) Bonifacio.

BONIFACIO (*rozpaczliwie.*)

Nie ma ratunku! juz wszystko stracone . . .
Krolowo! oslon zycie i kraj caly!
Stolica padnie! lecz ziemie przestronne,
Ktorem panujesz — niech by cię ujrzaly —
Chwycą broń w rękę i szarańczę zgniota!
Oto koń! wsiadaj! znam wyjście ukryte . . .
Bezpiecznie wymknem się podziemną grota.

Kr. JOANNA (*wyniosle.*)

Jaż mam uciekać? ręce w krwi umyte,
Jak Piłat schować za innych plecyma?

Ja? pierwsza, drogę wskazać do ucieczki?
Opuścić dłoń tę, co bój w karchach trzyma?
I jak gad pełzać przez podziemne steczki? (*Stacza
walkę wewnętrzną.*)

BERTRAND.

Królowo, przebacz! ale błędzisz wielce!
Twoja ucieczka twój naród ocali!
Na tobie wszyscy jak na zbawicielce —
Nadzieje swoje wszyscy poskładali!

D. VETTURINO.

Święta powinność! kraj ratować trzeba!

BONIFACIO.

Dopóki jeszcze czas i wola Boga,
Nie wzgardzaj pani! miłosierdziem nieba —
Za lud zgubiony padnie pomsta sroga!
Bo przecież rozum twój wielki i jasny
Pojmuje dobrze te zbawienne rady?

BERTRAND.

Uniesiesz przeto, nie żywot swój własny,
Lecz twych poddanych.

D. VETTURINO.

Ustąpisz bez zdrady —
Wierz nam królowo! aby silniej potem
Uderzyć przeciw tych tygrysów zgrai!

BERTRAND.

Królowo! na koń!

Kr. JOANNA (*zdecydowana do Vetturina i Bertranda.*)

Pamiętajcie o tem:
Jeżeli się cofam — to tylko w tej myśli —

Żebyśmy z chwałą, tu napowrót przyszli . . .
Ważcie swe czyny! Nikt nic nie utai!
Walczcie więc mężnie! do szczęśliwszej chwili!
A wróg to męztwo poszanuje pewnie . . .
I my też z sobą będziemy się liczyli! . . .
(groźąc) Na zdrajców — z mego ramienia śmierć
[ziewnie!! (Wyjeżdża z Bonifaciem.)

D. VETTURINO (n. s.)

Przedwczesna groźba na śmieszność zakrawa . . .
(głośno) A nam, co z sobą uczynić wypadnie?

BERTRAND (tchórzliwie.)

Krucha tu będzie rychło z nami sprawa
Głowy nam zdmuchną . . .

D. VETTURINO.

Królowa się zdradnie
Wymknęła od nas.

BERTRAND.

Lecz wskazała drogę,
Którędy jeszcze ratunek nam świta

D. VETTURINO.

Więc groźby Lachom — (wskazując na ziemię) i
[marsz! pod podłogę . . .
Jak szczur przed kotem — czmychantes . . . i kwita!

BERTRAND.

Chodź miły bracie! chodź! bo czas nam drogi —
Broń precz od pasa, ale za pas nogi!

D. VETTURINO (z trwogą.)

Co widzę? przebóg! już wraca królowa!
O strach! haniebnie spadnie nasza głowa . . .

Kr. JOANNA (*wpada.*)

. . . I to ostatnie wyjście już zaparte!
Kopje zwycięzców, jak stu godzin szyje
W tej ciemnej norze, ślepią dzierżąc wartę —
A Bonifacio w krwi się jak wąż wije . . .
Piers mu strzaskali, gdy runął przebojem,
Otworzyć drogę, piekielnie zamkniętą
A wy! cóż tutaj tem dumaniem swoim
Stworzyć myślicie? Idźcie, rzecz zaczęta
Kończyć, jak przecie na mężnych przystało!

D. VETTURINO (*odchodząc.*)

Pani! dla ciebie zginiemy z radością!

BERTRAND (*t. s.*)

Spiorunujemy ich potęgą całą!

Kr. JOANNA.

Cudów dokazać można walecznością! . . .
(*po odejściu Bertranda i Vetturina.*)
Mamże upadać, gdy się gmach ten wali?
To dzieło rąk mych, wzniesione tak dumnie!
Mam drzyć od wycia krwiożerczych szakali?!
Ja?! co tu jestem podobna kolumnie,
W strop unoszącej szczyt hardy na barkach!
Mająca świadczyć — wśród gruzów, zniszczenia —
Gdy wróg tu wpadnie, deptąc im po karkach . . .
Zem pośród karłów lśniła pokolenia.
— Jam to zażęgła ten pożar straszliwy!
W jego powodzi skupię mego ducha,
I jego mieczem oczyszczę te niwy —
I znów szatana . . . ściągnę do łańcucha!
O! bo się zerwał z piekielnej otchłani,
I na dnie duszy mej ugrzązł przekłęty!
Nad przepaść wpędził, z kąd byli strącani
Wraz z nim — ohydni w bezbrzeżne odmęty!
— A więc już wytrwam bez trwogi, do końca!

Cóż straszniejszego grozi mi od śmierci!
Piekło — w mej duszy zbrodziłam, żyjąca
Serce? mą dłońią posiekłam na ćwierci!

SCENA VI.

Kr. Joanna, (*biegną w trwodze*) c. Sankcja, ks. Ludwik, potem Bertrand i żołnierze.

C. SANKCJA.

Joanno! biada! jesteśmy straceni!

Ks. LUDWIK.

Z najwyższej wieży bój obserwowałem —
Nic już wyroku na nas nie odmieni . . .
Lach, jako morze, wdziera się nawałem!

Kr. JOANNA (*ze wzgardą.*)

Lepiej byś zrobił, waleczny mój książę!
Żebyś wśród walki czynił spostrzeżenia . . .
Ciekawych boju, ręka z bojem wiąże!
Okno na mieczu — zbliża punkt patrzenia
O nędzni! podli! tchórze i zaprzańce!
Wiecie, jak popchnąć ofiarę swą w ognie
Ale samemu wystąpić na szaniec,
Być tarczą, której żaden grot nie pognie,
I sobą stanąć, jak mur nieprzełomny,
Jak wchłaniająca pioruny opoka!
Przeciw orkanom, które duch przytomny
Wasz — przedtem, kusząc, przypędził z wysoka . . .
O! tego nigdy! nigdy nie zdołacie!
Bo skoro tylko zagrzmią czynu hasła,
Jak gad, po norach . . . sycząc, uciekacie —
By o was pamięć, w tę dobę, zagasła.

C. SANKCJA.

Zanadtoś gniewna!

Ks. LUDWIK.

Dziwne wymagania —
Za szeregowca nie przybyłem służyć.

BERTRAND (*wbiega z garstką żołnierzy.*)

Królowo! zguba! los cię nie ochrania —
Łotr Vetturino pomógł wrogom zburzyć
Ostatnie szance i przeszedł w ich rotę.

C. SANKCJA (*odchodząc od przytomności.*)

Tortura! koło! stryczek . . . z ognia łożę!
Lepsza śmierć nagła . . . (*zażywa truciznę z pier-
[ścienia swego i kona.]*)

Kr. JOANNA (*z rezygnacją.*)

Ha! koniec roboty!
Na wrzących czynach do snu się położę . . .

Ks. LUDWIK (*do Bertranda przerażony.*)

W proch zdruzgotali! straszne śmierci lico!

BERTRAND (*do żołnierzy, ze źle udaną wzniosłością.*)

A wy! łańcucha tego rwijcie skręty!
Krwiaż pożar gaście! Waszą więc prawicą
Cios od królowej ma być odepchnięty,
Dopóki litość zwycięzców nie skruszy,
Niosąc nieszczęsnej . . . śmierci przebaczenie!

Kr. JOANNA (*wydobywa miecz.*)

To druh ostatni! obrońca mej duszy

Na nędznej ziemi — z nim ostatnie tchnienie
Katom w twarz plunę!

SCENA VII.

(*Wpadają na koniach Polacy, z wodzem Ręboszem na czele.*)

Ciż, Rębosz (*walka -- Joanna otoczona swymi.*)

REBOSZ (*do Bertranda.*)

Ha! zbójco haniebny!

BERTRAND (*zasłaniając się.*)

Jam nie niewinny! przebacz w imię Boga!

REBOSZ (*przebija go.*)

Pierwszy raz w życiu — Bóg ci jest potrzebny!...
(*do Ludwika*) A gdzie Andrzeja krew święta i droga?!

Ks. LUDWIK (*pada na kolana.*)

Przebacz! litości! Bertrand był mordercą!
O panie! wierzaj!

REBOSZ (*do swoich.*)

Wszyscy w pierś tę razem!
Może tę trumnę te żądła przewiercą!? (*Przebijają go.*)

SCENA VIII.

Rycerz w przyłbicy zamkniętej (*biegnie gwałtownymi ruchami do Joanny*), Rębosz (*ze swoimi żołnierzami walczy przeciw Joannie rycerstwu.*)

RYCERZ (*do Joanny.*)

Z trwogi skalana, stałaś się już głazem!

Kr. JOANNA. (*zastaniając się orężem.*)

Zamknij twe wargi, a mów do mnie mieczem!

RYCERZ.

Na pożegnanie . . . słówek przyjmij parę . . .
Nie pilno! przecież i tak was wysieczem!
Hojnie płacicie za naszą ofiarę

Kr. JOANNA (*szydlerczo.*)

Szkoda — że trocha jesteście po czasie
Wtenczas to było zasłonić go lepiej —
A może byłabym i w ambarasie . . .
Tylu oślepić!

RYCERZ (*otwiera przyłbicę, pod którą kryła się d.
Roza.*)

O nie wszyscy ślepi
Byli i wówczas —, ja widziałam jasno . . .
Broń się zbójczyńio!

Kr. JOANNA (*przerażona.*)

. . . . Więc żyjesz nikiemna?!

D. ROZA.

Broń się gadzino! lecz twą bronią własną!
Do mordów tylko zda się dłoń najemna! (*Zabija
[Joannę.]*)

SCENA IX.

Ciż, nadbiega Vetturino, potem król Ludwik,
Gara, świta królewska i żołnierze.

D. VETTURINO (*nad trupem Joanny.*)

Pozwólcie, oręż, choć w jej martwym łonie
Zbluzgać krwią czarną!

D. ROZA (*chwytą go za ramię.*)

Ha! stój zapalczywy!

D. VETTURINO (*zdrętwiały.*)

Chryste! tuś Rozo?

D. ROZA.

Dosyć wczas — po zgonie . . .

Upiór się błąka . . .

D. VETTURINO (*z rozpaczą.*)

O! ja nieszczęśliwy!

REBOSZ.

Pamiętasz podły! twoją pierwszą zdradę?
Naszego króla czystą krew niewinną!
Dziś wtórą zdradą — przyniosłeś zagładę
Dla twoich własnych, nam dłonią czynną . . .
Morderczą broń twą, tu — w Joanny trupie,
Naprawdę chciałeś z królobójczej zbrodni
Obmyć zdradziecko — by w fałszu skorupie
Legnąć nam u stóp naszych najniegodniej!
Twoje przeniewierstwo i dziś twoja zdrada
Nie zmażą dawnych twych szatańskich czynów! . . .
(*do żołnierzy*) Wziąć go w łańcuchy! później się
[pogada

Z tym wielkim łotrem plugawych wawrzynów!

(*Żołnierze spełniają rozkaz, a tymczasem zbliża się król Ludwik z Garą i całą świtą.*)

D. ROZA (*do Vetturina.*)

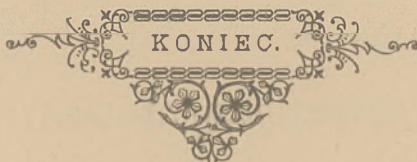
Zdasz i z don Padra, rachunek, nam — życia

D. VETTURINO (*trzęsąc się z trwogi.*)

O niczem nie wiem . . . nie . . .

Kr. LUDWIK (*uroczyście podnosząc rękę nad zwyciężonymi.*)

Fiat justitia !





Cieniom Ludwika Andruszewicza*.)

SONET.

Czcią przesadną otacza swoich luminarzy,
Swoich nibyto wielkich świat w śmierci godzinie;
Zapomniany od świata nieraz taki ginie,
Co może więcej od nich stał na ludu straży.
Andruszewiczu! życiem nowem gdy obdarzy
Genjusz Ojczyzny mężów, zasłużonych w czynie,
A nie słowami —, wtedy ciebie nie pominie
Zmartwychwstanie i światłość lśnić będzie z twej
[twarzy!

Boś Ty dał dla Ojczyzny, kiedy wrzały boje,
Nie marne słowo, ale krew i zdrowie swoje,
Ty dla Niej milcząc zniosłeś niedostatek wszelki;
Tys się nigdy nie płaszczył, nie podlił przed zgrają;
Twoje słowa i czyny wnuków zachęcają,
By szli za Twym przykładem... a więc przy-
[kład wielki!

Sambor, 17. Stycznia 1894.

G. Kohn.

*) Niezmiernie boleśnie dotknęła mnie wieść o śmierci Ludwika Andruszewicza, ojca serdecznego druha i współpracownika mego, Bolesława. Sp. Ludwik Andruszewicz był człowiekiem o charakterze rzadkim, fenomenalnym na nasze czasy. Prawość charakteru, miłość Ojczyzny, objawiająca się czynem a nie słowem, to były cechy jego gorącej duszy, i w tych zasadach chował on także potomstwo swoje. Brał gorliwy udział w powstaniu z r. 1863, gdzie walcząc pod dowództwem, jenerała Różyckiego, z rozmaitych utarczek i niewygód wśród moczarów i bagien wołyńskich, wyniósł zaród owej strasznej choroby, która siły dzielnego wojownika złamała przedwczesnie i powaliła go na łożo boleści, z którego powstać nie było mu już przeznaczone. (*Przyp. aut.*)



„Anioł Pański.“

RYMANÓW.

WIERSZ, POŚWIĘCONY

Hrabinie Annie z Działyńskich Potockiej,

właścicielce Rymanowa,

w dniu jej imienin.

(Z ryciną, przez autorkę naszkicowaną.)

Kiedy porankiem na rumianej zorzy
Zalśni promyczek wschodzącego słońca —
A duch świetlany, złotoskrzydły, boży
Świat ten obleci od końca do końca —
I gdy skowronek, ten śpiewak poranny,
Zadzwoni „Jutrznie“ do Najświętszej Panny;
Gdy od niebiosów echa dźwięków spłyną,
Po skali tonów gubiąc się doliną . . .
A przepióreczka odpowie im w zbożu,
Lub pszczołka przemknie po kwiecistym morzu,
Co, jakby lśnić się barwy świetlanemi,
Kapie się w słońcu, rozlanem po ziemi
A ty w ten świeży, słoneczny poranek
Z domku swojego wybiegniesz na ganek,
By się zachwycić tym prześlicznym światem:
Świat cały — jednym wyda ci się kwiatem —
I jednym wielkim, cudownym kielichem,
W którego tchnieniu uroczystem, cichem
Tyle brzmi dźwięków, pieśni i serc bicia,
I tyle z niego ulatuje woni,
I tyle kropel dyamentów w nim dzwoni,
Ze w głos zawołasz: to jeden kwiat życia!
To jedno wielkie, boskie, żywe tchnienie,
To Boża Wszecmoc, to Boże istnienie!

I mimowoli w przezyste lazury
Spojrzysz — i duszą wzniesiesz się do góry,
Westchniesz a kornie ugiąwszy kolana,
Oddasz hołd Ojcu, uczcisz niebios Pana.

* * *

Ale czy znajdziesz tyle życia tchnienia
I tyle czaru na łonie przyrody,
Cudnej harmonii uroczego pienia,
Szafiru nieba, kwiecica flory młodej . . .
Ale czy znajdziesz tyle blasków toni
I tyle szmerów srebrzystych strumieni
I tyle żywej, balsamicznej woni
I tyle chłodu modrzewiowych cieni . . .
Świeżych zefirów czy znajdziesz choć tyle
Pośród sielskiego błędzących liryzmu,
I tyle czucia w pełnej dźwięków sile,
Romantyczności i idealizmu
Tyle czy znajdziesz takiej mgły różowej
W innym zakątku lub w innej krainie,
Ile w krainie wioski Wołtuszczy
I ile w Taby uroczej dolinie? . . .
O nie! nie znajdziesz! — a choć wiosna, Majem
Świat ci się cały rozkoszą uśmiecha,
Tu ci się ziemia boskim zdaje rajem,
Tu boskie słyszysz i pienia i echa
Boskie rozkosze, anielskie tu życie,
Anielska zewsząd wieje atmosfera,
Anielski spokój, anielskie serc bicie
W nurtach fal górskich szczerze się przeziera.

* * *

Gdy już nadejdą letnie dni czerwcowe
I gdy już słońce doskwiera, dopieka,
Każdy, kto może, wnet w lasy szpilkowe,
Lub do zdrojowisk i do wód ucieka.
Każdy, kto może, spieszy w uroczyska,
Którędy strumień perlami rozpryska,
I szuka chłodu, lub wonnego tchnienia,
Balsamów zdrowia — dla zdrowia zbawienia.
Spieszy, organizm uleczyć tu chory,
Bo w zdrowem ciele zdrowa mieszka dusza —

I łańcuch myśli jej na zdrowe tory
Znowu powraca, łązy bolu osusza.

* * *

Kiedy w tym czasie w rymanowskie chłody
Wejdiesz — i okiem tu i owdzie rzucisz,
Całe już prawie spotykasz pochody
Kalek, — więc pieśń im błogosławieństw nucisz. —
Nucisz im razem z tymi słowikami,
Co wiecznie „Gloria“ brzmią na wysokości,
A śpiew po lesie rozplywa dźwiękami
Na nutę wiary, nadziei, miłości; —
Nucisz im razem ze szumem tych szczytów
Jodłowych wieżyc, co ponad doliną
Wznoszą się prawie do samych zenitów
I w dniu pochmurne aż w obłokach giną;
Nucisz im razem ze szmerem tej wody,
Co jak kaskada wciąż ze skały spływa,
A z pieśnią twoją i z pieśnią przyrody
Duch ich w nadziei do lotu się zrywa.

* * *

Gdy pomkniesz dalej w głąb leśnej zieleni
Ponad dolinę Czarnego Potoka,
Chłód cię owieje pożądaných cieni
I myśl rozkoszy przejmie cię głęboka. —
Tutaj w objęciach Klaudyi i Tytusa
I Celestyny — trzech źródeł leczniczych —
Wnet o cierpieniu zapomni twa dusza,
Olsniona blaskiem uczuć tajemniczych. —
Tu ci dziewuchna czyściutko ubrana
W przejrzystym poda kryształe nektaru,
A tyle dziewczę to w sobie ma czaru
I taką jakąś poezją owiana,
Że mimowoli do jej sielskich wdzięków
I do jej wiejskiej i hożej urody
Pełno w twej duszy odezwie się dźwięków
Na wzór sielanki, sonetu lub ody.

* * *

Jeżeli rajem zowiesz tę krainę
I jeśli rajskie wabią cię tu czary,

Gdzież znajdziesz tego wszystkiego przyczynę?
I gdzie odszukasz silnej w życie wiary?
O, niedaleko! — Spojrz tylko w tę stronę,
Kędy pomiędzy drzew liście zielone
Ciemne się górą przemykają ściany,
Których szczyt jakby mgłą niebios owiany . . .
Tam mieszka praca ze siostrzycą cnotą;
Tam miłość ludu i natchnień ofiara;
Tam świeci klejnot, droższy ponad złoto,
I tam to silna w życie ziemskie wiara! —
Tam mieszka matka ludu — duch nadziei, —
Pociecha w smutku, wspomnienie w znoju
I opiekunka wśród nieszczęść zawiei:
Przezacna Pani, właścicielka zdroju.

Jej to staraniem z zarysów tak małych
Wzniósł się ten zakład do wielkości prawie,
Z jej to dobrodziejstw tyle zubożałych,
Tyle tu kalek wciąż czerpie łaskawie. —
Gdzie tylko spojrzysz, w którąkolwiek stronę,
Czy na te rzeźby leciuchnych pałacy,
Czy na kobierce z kwiatów rozścielone,
Wszystko to owoc usilnej jej pracy. —
Sama do kwiatu podobna kielicha,
W kwiaty zdrój cały zdobi dookoła; —
Sama, jak anioł i święta i cicha,
W postaci ludzkiej pełni czyn anioła. —
Wieczna jej czujność i ciepła opieka
Nad biednym ludem wszak powszechnie znana,
Jak ta kraina szeroka, daleka,
Jak cała nasza Ojczyzna kochana. —

* * *

Jeśli w słowiczej kochasz się piosence,
Jeśli skowronka nadśłuchujesz dźwięków,
Jeśli w lirnika wiejskiego lirence
Tyle znajdujesz melodyjnych jęków,
Czemuż dlatego miałbyś tą kapelą
Gardzić, co w zwykłe dnię lub też niedzielą
Wciąż brzmi przy źródle w rymanowskim zdroju
Pośród sielskiego ustronia spokoju? . . .

O! niechno tylko zabrzmie ta kapela,
A już się serce twoje rozwesela,
Smutek i troska umykają z czoła. —
Na twarz wstępuje spokojność anioła. —

A jeśli dźwięki rosna uczuć falą
I pieśń miłości Ojczyzny zanucą —
Nad włoską ziemią kiedy się użalą,
A potem znowu ponad Wisłę wrócą :
Pełno w twej duszy ozwie się nadziei,
Że choć ta ziemia krwią, łzami spłynęła,
To pośród nieszczęść i gromów zawiei
Jeszcze Ojczyzna nasza nie zginęła! . . .

* * *

Czasami jednak inna tu muzyka
Słyszeć się daje: gra dzikiej natury.
Wówczas to słońce tak nagle gdzieś znika,
Czernieją szybko błękity, lazury,
Kręcą się wichry świszczącemi koły
Przed walką, którą rozpoczną żywioły. —
Huk grzmotów z dala słyszeć się już daje
I wszystko szuka przed burzą schronienia,
I huczą lasy i zielone gaje,
I deszcz rześisty w ulewę się zmienia. —
Wtem błyskawica, krwią jaśniejąc cała,
Rozdziera niebo — i rykiem pioruna
Uderza w skałę; — runęła w dół skała,
Zadrżała ziemia . . .

I znów krwawa łuna
Olśniewa niebo — i znów grzmot za grzmotem
Straszliwym lasy napelnią łoskotem. —
Na chwilę wszystko ucichnie, grom usnie,
To znów się zbudzi i wodą znów chluśnie;
Aż wreszcie z poza czarnej tej opoki
Przemknie się promień słońca złotooki. —
Po burzy ziemia cała odświeżona
I jakby z wiosną świeżo odrodzona;
Kielichy kwiatów poją znów swą wonią,
Korony jodeł srebrne krople ronią.
Ptaszę, co z trwogi przed burzą się skryło,

Wesołą piosnkę znowu zanuciło —
I słońce w tysiąc blasków się rozlało
I tysiąc pereł w koło rozsypało

* * *

Nareszcie gdy już dość późnym wieczorem
Ostatni promyk na zachód się skłoni —
I niebo załśni pozłocistym wzorem,
A krówka z dala w powrocie zadzwoni —
I ptaszę pieśnią umilknie znużone
Pośród gęstwiny — a gaje zielone
Zaszumią zwykłą do snu kołysankę,
A zefir zrosi wonną macierzankę —
I gdy w tę smętną uroczystą ciszę
Skrzydłami „Anioł Pański“ zakolyszę
I do modlitwy wspólnej wszystkich woła:
Na odgłos tego Bożego anioła
Dusza z upojeń rajskich się wrywa
I na obecność Wszechmocnego wzywa; —
A niosąc Panu za te hojne dary
Podziękę z aktów miłości i wiary,
Dotąd się przed Nim w uwielbieniu korzy,
Aż ją wśród modłów sen dziękczynień zmorzy. —
Wówczas śni jeszcze o Panu nad Pany —
I o Dziewicy śni Niepokalanej . . .
I o anielstwie na tym ziemskim rajcu . . .
I o urokach ojczystego kraju . . .

Sanok, 26. Lipca 1893.

Olga Lissówna.



OPIS BUDYNKU

c. k. gimnazjum im. Arcyksiężn. Elżbiety

W SAMBORZE,

według opracowania

Karola Negrusza,

inżyniera-budowniczego miejskiego,

ze wstępem słowem, wypowiedzianem przez wydawcę.

Wstępne słowo.

Jak człowiek starą, zużytą suknię gwoli potrzeby zrzuca, aby ją zmienić na strój odpowiedniejszy i nowszy, tak i miasta, aby się w tyle nie pozostać, zmieniają starą, przenoszoną facjatę, rozszerzając się i upiększając powoli, ale stopniowo. Zakłada się nowe bruki, buduje się nowe domy. Taki nowy dom — okazały przybytek nauki — z inicjatywy rady miejskiej w Samborze, szczególnie zaś z inicjatywy obecnego dyrektora gimnazjalnego Dra. Petelenza, powstał w nowym gimnazjum, którego opis według opracowania budowniczego miejskiego, p. Karola Negrusza, wyjęty z „Sprawozdania Dyrekcji c. k. gimnazjum Arcyksiężniczki Elżbiety w Samborze za rok szkolny 1893“, niniejszem podajemy.

Przy tej sposobności dodam od siebie, że Sambor w przeciągu ostatnich lat trzydziestu bardzo korzystnie się zmienił, i nie poznałby z pewnością miasta ten, który je sobie przypomina z r. 1864. Wówczas rynek miał jeszcze gdzieniegdzie parterowe zabudowania, prawdziwe rudery, które całkowicie

znikły i wszędzie ustąpiły miejsca piętrowym. Miasto ma obecnie Seminarjum nauczycielskie, Szkołę handlową, istnieje także kurs niedzielny nauk dla rzemieślników i sług, o większem zamięrowaniu do czystości a w pewnym względzie nawet do wytwor-

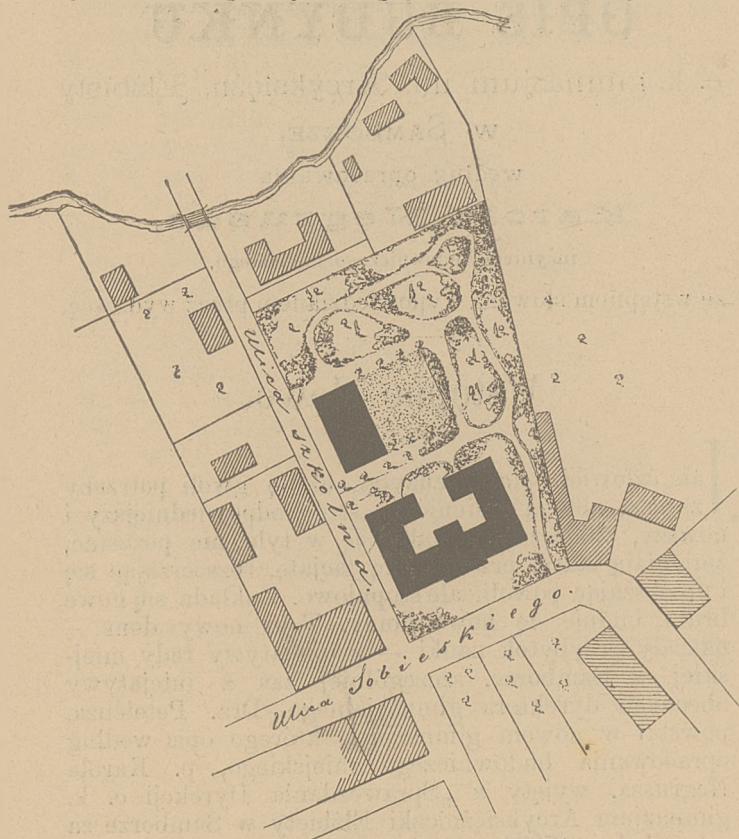


Fig. 1. Plan sytuacyjny.

ności świadczy zaś nowy bruk kostkowy trembo-welski, niedawno dopiero w rynku i przytykających doń ulicach założony, jakoteż bruk betonowy na ulicy przemysłowej przed domami aptekarza Alexie-wicza i dwóch żydowskich przedsiębiorców.

Miasto ma zdrowe powietrze, tanie w stosunku do innych miast mieszkania, rzekę w pobliżu i uchodzi za rodzaj Eldorada dla galicyjskich pensjonistów. Obecny burmistrz miasta jest Dr. Ignacy Budzynowski, adwokat krajowy, były żołnierz z powstania r. 1863.

Budynek gimnazjalny, którego frontową stronę okazuje fig. 2. a stronę tylną fig. 3., stoi ze wszech stron wolno na przestrzeni, obejmującej 8504 m. kw. powierzchni, z której zajmuje 1600 m. kw. i jest po stronie południowej i zachodniej sztachetami, po stronie północnej i południowej parkanem otoczony. Frontem na oddalenie 15·7 m. zwrócony jest do ulicy Sobieskiego, zachodniem skrzydłem na oddalenie 6 m. do ulicy Szkolnej, a wschodniem do własnego ogrodu. W kierunku zachodniego skrzydła, w oddaleniu 14 m., wznosi się budynek gimnastyczny, zajmujący 378 m. kw. przestrzeni. Z niezabudowanej powierzchni, wynoszącej 2240 m. kw., urządzone jest boisko, na którym umieszczone są przyrządy do ćwiczeń gimnastycznych w polu. Reszta powierzchni zajmująca 4218 m. kw. przestrzeni, przeznaczona na ogród botaniczny, około którego w bież. roku rozpoczęto roboty przygotowawcze. Plan sytuacyjny przedstawia fig. 1.

Gmach gimnazjalny zbudowany w kształcie litery E., a kąty jego odpowiadają czterem stronom świata. Jednopiętrowy front ma 57·8 m. długości, a obydwa skrzydła wznoszą się na wysokich suterynach i mają po 40 m. długości; przylegające do nich skrzydła boczne są po 26 m. długie. Szerokość całego budynku wynosi wszędzie 10 m., z czego 7 m. przypada na sale, a 3 m. na korytarze. Tylko w środkowej części frontu na długości 16·5 m. wynosi szerokość budynku 11 m.

Do budynku wchodzi się z ulicy Sobieskiego szerokim chodnikiem, prowadzącym przez przednią część ogrodu. Wielkimi drzwiami wchodowymi wstę-

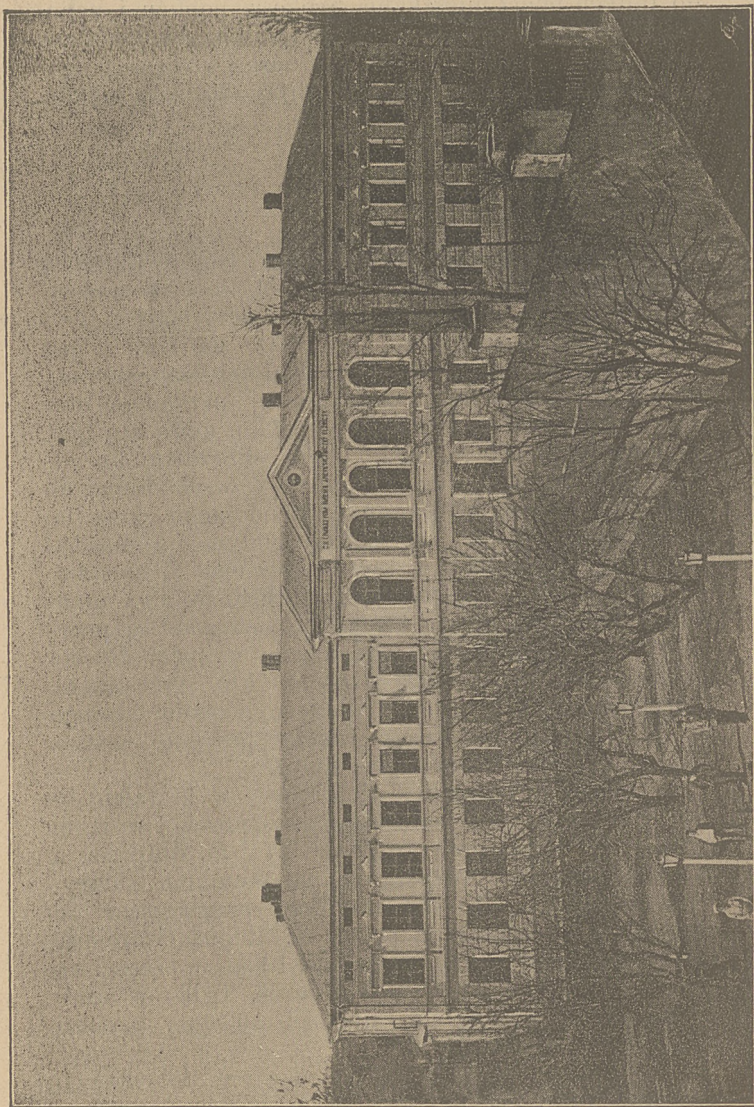


Fig. 2. Widok przedniej strony budynku gimnazjalnego.

puje się do wygodnego przedsionka, z którego 3 drzwi wahadłowych prowadzi do drugiego przedsionka, z kąd wchodzi się na korytarz parterowy. Po prawej stronie tego korytarza znajduje się gabinet historii naturalnej, po lewej gabinet fizyki; każdy gabinet składa się z 2 pokojów: mniejszy przeznaczony jest dla odnośnego nauczyciela, pokój większy zaś stanowi umieszczenie gabinetu; z każdym gabinetem połączona obszerna sala do nauki. Sali wykładowej fizyki używa się wyłącznie do nauki fizyki; w sali wykładowej historii naturalnej może być umieszczona także klasa, ponieważ do nauki historii naturalnej tylko w klasach wyższych koniecznie potrzebna osobna sala wykładowa. We wschodnim skrzydle budynku mieszczą się 3 sale klasowe, po 10 m. długie a 7 m. szerokie, w zachodnim zaś sala do nauki religii i mniejsze sale klasowe, od 5·95 m. do 8·10 m. długie a 7 m. szerokie, tudzież pomieszkanie I. tercjana, mianowicie jedna izba i część kuchni. Z korytarza prowadzą drzwi do bocznych skrzydeł. We wschodnim skrzydle mieszczą się: pierwsza boczna klatka schodowa, sień do wychodków i wychodki; zachodnie skrzydło obejmuje część kuchni, należącej do pomieszkania pierwszego tercjana, drugą boczną klatkę schodową, przedsionek i wychodki (fig. 4.) Z korytarza parterowego (w miejscu, położonem naprzeciw głównych drzwi wchodowych) prowadzą szerokie, na dwa ramiona dzielące się schody na pierwsze piętro, w którego środkowym trakcie znajduje się aula, 16·5 m. długa, 8·35 m. szeroka a 5 m. wysoka. Na wschód od auli znajduje się klasa o 9 m. długości i druga klasa o 11 m. długości; we wschodnim skrzydle mieszczą się trzy klasy o takiej przestrzeni, jak w parterze. Na zachód od auli prowadzi korytarz do przedpokoju, z którego środkowe drzwi prowadzą do kancelarii dyrektora, 5·45 m. długiej a 7 m. szerokiej, drzwi po stronie prawej do prywatnego pomieszkania dyrektora, a po stronie lewej do sali konferencyjnej, 10 m. długiej a 7 m. szerokiej. Z tej ostatniej sali w kierunku do auli idzie się do biblioteki, 8·15 m. długiej a 7 m. szerokiej, która łączy się drzwiami

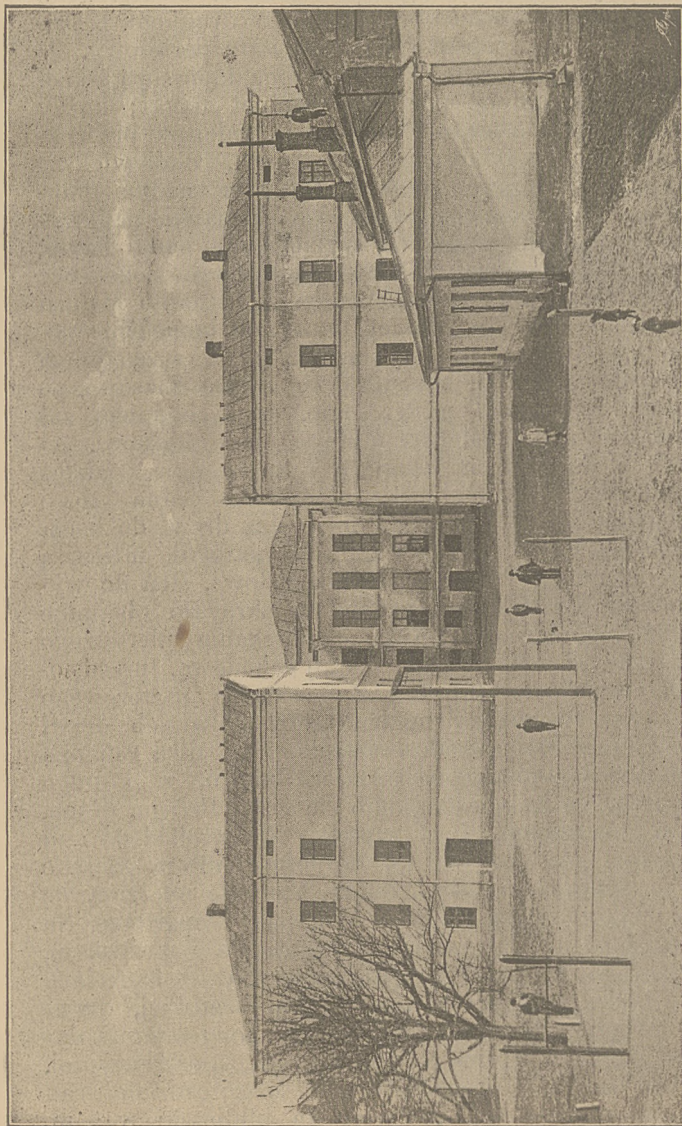


Fig. 3. Widok tylnej strony budynku gimnazjalnego.

z aulą, do której także z korytarza prowadzą osobne drzwi.

Pomieszkание dyrektora składa się z 4 pokojów, 2 gabinetów, kuchni i przedsionka, które to ubikacje wraz z przynależnościami zajmują część skrzydła zachodniego i północne skrzydło boczne. Do tego pomieszkания prowadzą schody, wymienione przy opisie parteru (fig. 4.)

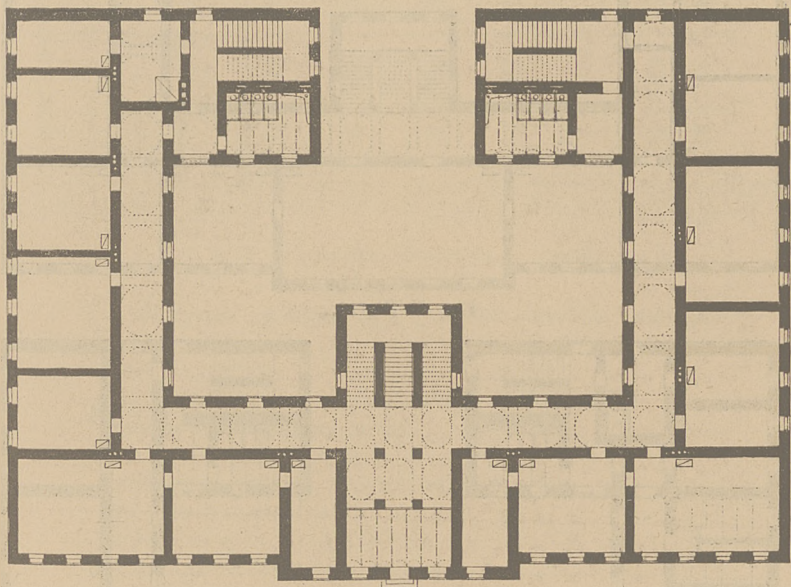


Fig. 4. Parter.

Z parteru (po prawej i lewej stronie schodów głównych) prowadzą schody do suterynów, w których skład wchodzi korytarz frontowy wraz z dwoma korytarzami bocznymi, podobnie jak w parterze, następnie pomieszkание drugiego terejana, pomieszczone w zachodnim skrzydle, a obok niego izba, przeznaczona na skład dla gabinetu fizykalnego, i piwnicy. We wschodnim skrzydle znajdują się trzy obszerne sale (jak parterowe), przeznaczone do nauki dla uzu-

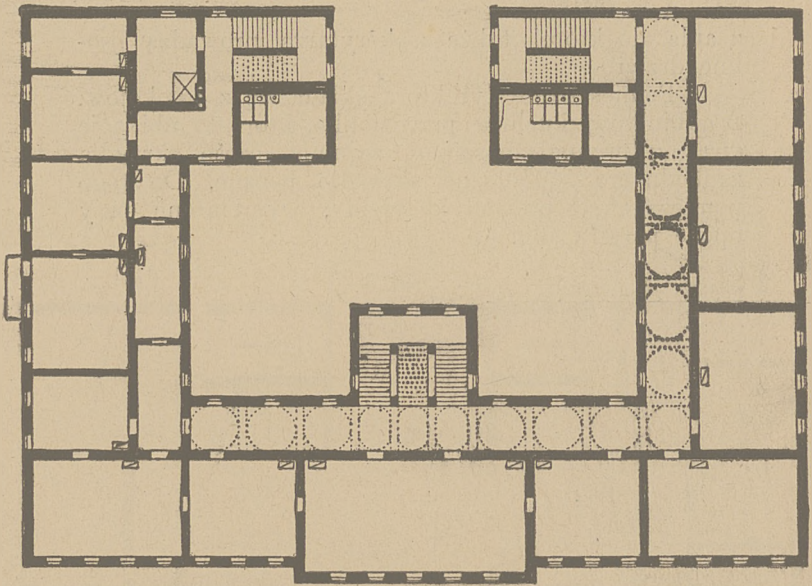


Fig. 5. Piętro.

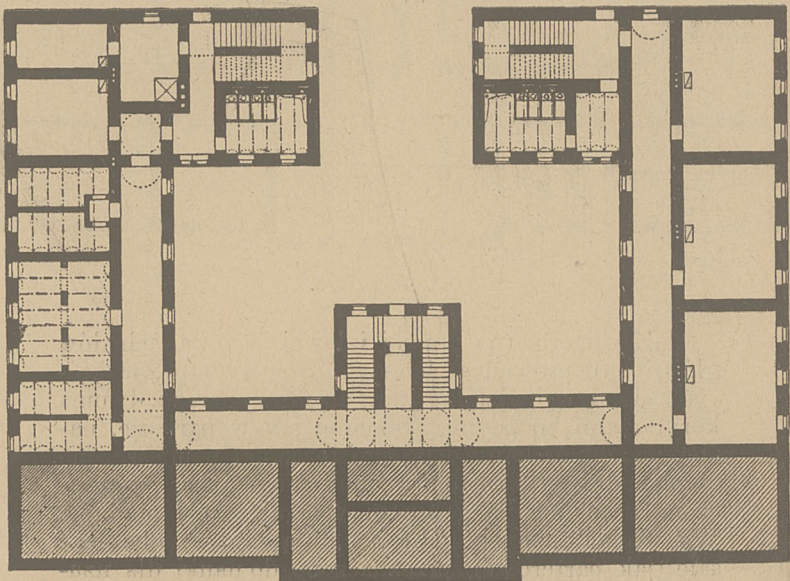


Fig. 6. Suteryny.

pełniającej szkoły przemysłowej (fig. 6.) Pionowy przekrój budynku gimnazjalnego przedstawiony na fig. 7.

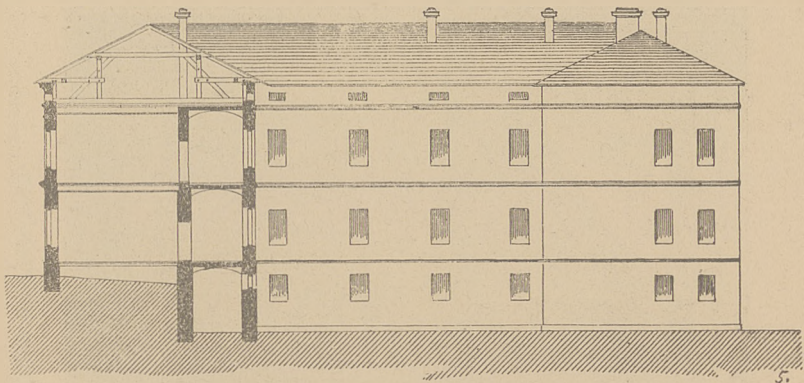


Fig. 7. Pionowy przekrój budynku gimnazjalnego.

Budynek gimnazjalny mieści zatem następujące ubikacje:

aulę	1
sal klasowych (trojaskich rozmiarów)	15
gabinetu fizykalnego sal	3
do nauki fizyki salę	1
gabinetu historii naturalnej sal	2
do nauki religii salę	1
kancelarję c. k. dyrektora	1
salę konferencyjną	1
salę biblioteczną	1
pomieszkania dyrektora izb	7
pomieszkań terejanów izb	4

Ogółem 37 sal.

Wszystkie sale ogrzewają piece kamyczkowe; na korytarzach znajdują się piece żelazne. Poszczególne sale pomalowane są odpowiednio do swego przeznaczenia, a podłogi w salach i na korytarzach zrobione z parkietowych deszczulek dębowych.

Urządzenie sal klasowych stanowią: ławki, brązowo pokostowane o 3 i 4 ścianach, katedra, tablica, przytwierdzona do ściany, trzymadła na mapy

(Koenig's Kartenstaender), stołek na dzbanek i szklankę, kosz na papiery i 2 spluwaczki. W każdej sali klasowej znajduje się prócz tego na ścianie nad

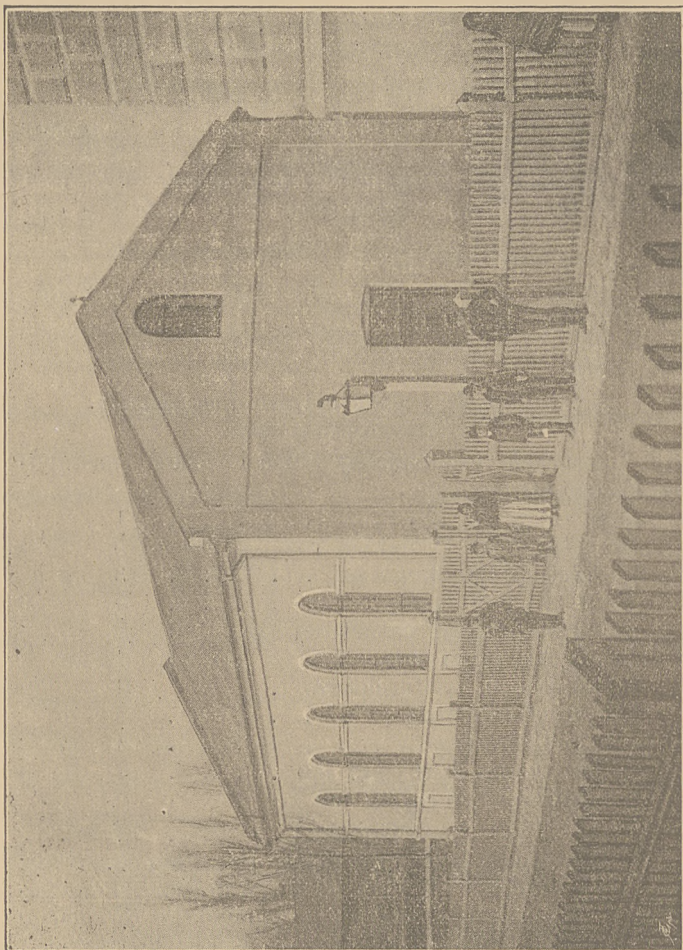


Fig. 8. Widok przedniej strony budynku gimnazjalnego.

katedrą krucyfix a pod nim obraz, przedstawiający Najdost. Rodzinę Cesarską. W klasach niższego gimnazjum, w których się udziela nauki historii natu-

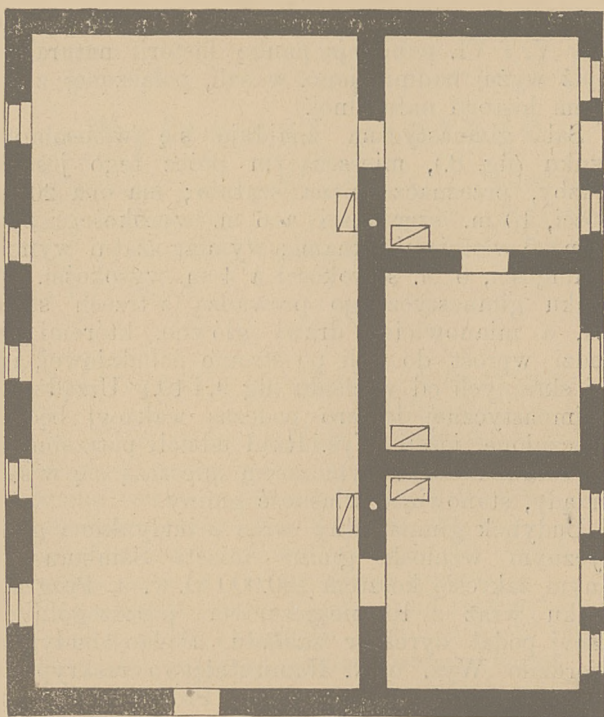


Fig. 9. Rzut poziomy sali gimnastycznej.

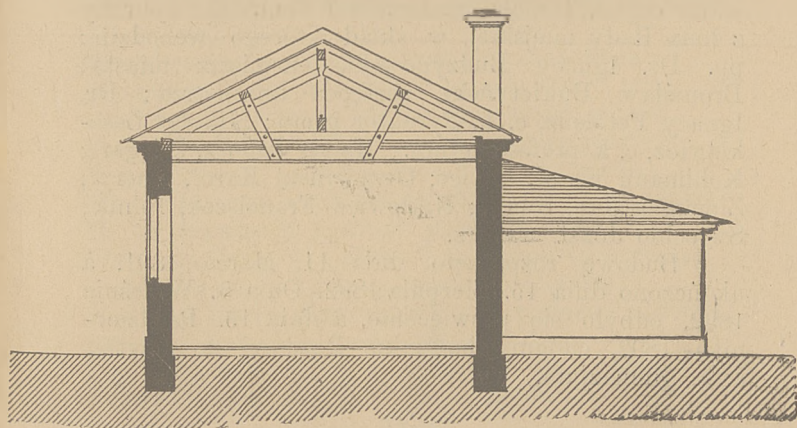


Fig. 10. Przekrój pionowy sali gimnastycznej.

ralnej, umieszczone są również stale gablotki na okazy. (Klasy V. i VI. pobierają naukę historii naturalnej, jak już wyżej nadmieniono, w sali, połączonej z gabinetem historii naturalnej.)

Sala gimnastyczna znajduje się w osobnym budynku (fig. 8.), mieszczącym prócz tego jeszcze trzy izby, przeznaczone na szatnie; ma ona 20 m. długości, 10 m. szerokości a 6 m. wysokości i zaopatrzona 5 wielkimi oknami; wymiar szatni wynosi 7 m. długości, 6 m. szerokości a 4 m. wysokości. Do budynku gimnastycznego prowadzą z trzech stron drzwi, a mianowicie: drzwi główne, któremi się wchodzi wprost do sali po stronie południowej, i 2 drzwi skrajnych od wschodu (fig. 9. i 10.) Urządzenie sali gimnastycznej dopiero podczas wakacyj będzie uskutecznione, jeżeli Wys. Rząd udzieli potrzebnych na ten cel funduszków. Tymczasem mieszczą się w sali przyrządy, stanowiące własność gminy.

Budynek gimnazjalny wraz z budynkiem gimnastycznym wzniosła gmina miasta Sambora we własnym zakresie kosztem 130.000 zł. w. a. Program budynku wraz z rozmieszczeniem poszczególnych ubikacyj podał dyrektor zakładu, a plan budynku zatwierdziło Wys. c. k. Namiestnictwo reskryptem z dnia 8. Czerwca 1891. l. 10101. Prócz innego potrzebnego materiału użyto pod budowę 1,950.000 sztuk cegieł. Budowę nadzorował komitet, wybrany z łona Rady miejskiej, w skład którego wchodziłi: pp. Dr. Ignacy Budzynowski, burmistrz miasta; Bronisław Bukietyński, zastępca burmistrza; Dr. Ignacy Petelenz, c. k. dyrektor gimn.; Mikołaj Łaskiewicz, c. k. profesor gimn.; Haisig Juliusz, księgarz; Kohlmann Karol, kupiec; Grzywiński Karol, emeryt; Ziemiak Jan, rolnik; Niklewicz Franciszek, rolnik; Świechło Józef, murarz.

Budowę rozpoczęto dnia 11. Marca 1891. a ukończono dnia 15. Sierpnia 1892. Dnia 5. Września 1892. odbyło się poświęcenie, a dnia 15. Października 1892. oddanie budynku Rządowi do użytku c. k. gimnazjum.



Wytrawni pisarze.

(Wiersz, poświęcony panu i. i., sprawozdawcy „Gazety Przemyskiej“, za jego artykuł: „Z ruchu literackiego na prowincji,“ umieszczony w numerach 30—33 pisma z r. 1893.)

Kiedy chwalić, to chwalić — rzecz wytrawnie
[bierzmy! —

A gdy ganić, to ganić, dym wypuszczając z gęby —
Publiczność głupia na to — w słaby punkt uderzmy! —
Sofizmem ziarno dobre zmienimy w otręby.

Tu się słowo przekręca, opuszcza, dodaje;
Nieświadomości blichtrzem olśniewa się tłumy,
I wielkie dzieło z głębin nicości powstaje,
I „błaga krytycyzmu“ wzrasta nad rozумы.
Nie szukaj w drukowanych tych „ocenach“ prawdy,
Logika niech zapłacze, srodze pokrzywdzona,
Język niechaj się krzywi, znieważony zawdy,
Światło niechaj pod ręką pana i. i. kona.

„Niech będzie ciemno!“ — niechaj jak w umyśle
[jego

Wszędzie mrok zapanuje nad jasnością bożą;
Nie „ducha nam odrodzić!“ szkoda trudu tego,
Lecz światło stłumić, ducha skępować obrożą.
Poco „ducha odrodzić?“ — to „frazes utarty!“
Raczej stłumić iskierkę, co tli się w popiele,
Na straży nam natchnienia zbrojne stawiać warty:
To „wytrawnych pisarzy“ narodowe cele!

Wszystko inne, to „plewa“, to kąkol, to śmiecie,
A skromność jest zaletą, mierność ideałem;
Skromny bardzo pan krytyk, nie podpisał przecie
Referatu imieniem i nazwiskiem całym.

Lecz na wszystkich i wszystko jak wściekły się
[miota,

Gillerów i Kraszewskich zdania za nic nie ma;
Mój panie referencie! gdzie skromności cnota?
Chyba czart taką pychę usta twe wydyma!
Bądź spokojny! psu brechać wolno i na Boga,
Tem bardziej jeszcze wolno brechać na przechodnia;
Lecz przestań już raz mówić, że ci „prawda droga” —
Bo dalibóg! twierdzenie takie — to już zbrodnia!
Bądź „wytrawnym pisarzem;” wszyscy twego cechu
„Wytrawni” równo z tobą, panie i. i. luby!
Wzorem będziesz nam chyba „pisarskiego grzechu”,
Wzorem blagi nam będziesz, lecz nie celem chluby!
Ty i tobie podobni, „wytrawni” jednak,
Uczciwy „pisarz” gardzi tobą w swej prostocie;
On pospólstwo zasługą dźwignie siedmioraką —
A ty bardzo „wytrawnie” zbabraj ręce w błocie!

Sambor, 2. Maja 1893.

G. Kohn.

(Przypisek autora: Dawniej, gdy „Gazeta Przemyska” wychodziła jeszcze pod kierownictwem uczciwszej, niż obecnie, redakcji, sam byłem współpracownikiem rzeczonoego pisma. Czem sobie zasłużyłem na nienawiść obecnej redakcji — nie wiem; ale wiem, że istnieje ona już od przeszło trzech lat.

Radzili mi wprawdzie niektórzy, zaniechać polemiki z „Gazetą Przemyską,” ponieważ to tylko pisemko trzeciorzędne, najmniejszego nie mające znaczenia ani w kraju, ani w mieście, w którym wychodzi, a tem mniej za granicą. Nie podzielałem tego zdania. Wróg każdy jest dla mnie wrogiem, czy to mały, czy wielki, ukąsić może tak dobrze potężny brytan, jak i śmieszny w zajadłości swojej mopsik, szczególnie, jeśli z tyłu napada przechodnia, a znane ogółowi przysłowie: „Qui tacet, consentire videtur.”

Zresztą nie poczytałbym sobie obecnie jako żyd z dziada i pradziada, za wielki zaszczyt, być współpracownikiem pisma nawskróś żydożerczego; wielcy mężowie jak Giller, Kraszewski, Lenartowicz i inni, których uwielbiałem, których znałem albo osobiście, albo też z pism, nie byli antisemitami, a

jako męczennicy idei narodowej, jako prawdziwi patrioci i demokraci polscy, nie byli zwolennikami takzwanego socjalizmu, ani też socjalnej demokracji, która niepotrzebnie młode, niedowarzone umysły zamąca i od polskiej sprawy odciąga. Ich zdanie jest dla mnie wyrocznią, a nie zdanie jakiegoś i. i. lub k. l. w., nieznającego ani języka polskiego, ani logiki a mającego przeciwieństwo tyle zuchwałości, aby z poza krzaka na mnie ujadać.

Mimo to przykro mi, że się w polemikę wdrażać muszę z pismem tak niegodnym nie tylko mego pióra, ale w ogóle pióra jakiegokolwiek uczciwego literata. Niestety! polemika ta stała się rzeczą nieuniknioną. Oświadczam jednak, że to ostatnie moje słowo w tej nawskroś obmierzłej mi sprawie. Pozwalam zatem „Gazecie przemyskiej” na przyszłość, czekać na mnie i ujadać, ile jej się żywnie podoba, pamiętny przysłowia o tych głosach, które pod niebiosa nie pójda.

Nim to jednak nastąpi, pozwolę sobie bodaj kilku słowy streszczać postępowanie tego pisemka. „Gazeta Przemyska” umieściła przed laty pod redakcją, co prawda nie obecną dwa fejetony, w których publiczność poinformowałem o stosunkach międzynarodowych literackich Polski z Niemcami. Przytoczyłem w tym celu rozmaite tłumaczenia z niemieckiego, przezemnie dokonane i umieszczone również w „Gazecie przemyskiej”. Przedwstępna ocena wielkiego mego dzieła: „Polska w świetle niemieckiej poezji,” umieszczona przez redaktora ówczesnego Zygmunta Pisiewicza, brzmiała również pomyślnie.

Wreszcie dzieło to, które mnie 13 lat kosztowało pracy nateżonej, opuściło prasy drukarskie; piśmiennictwo polskie i publiczność zarówno entuzjastycznie przyjęły moją pracę. Na tuziny mogę liczyć listy pochwalne nie tylko obskurnych figur, ale takich rzeczoznawców głośnych, jakich świat literacki ceni w osobach Duchnińskiej, Lenartowicza i Ujejskiego.

Tem bardziej zdumiewało mnie ogłoszone w „Gazecie Przemyskiej” czekanie jakiegoś pana k. l. w., poświęcone memu dziełu. Pominąwszy inkonsekwencję niesłychaną, zawierającą się w szczególe,

że pismo, które mnie poprzednio tak gorąco chwaliło, za tę samą rzecz teraz żakowskie jakieś nagany mi udziela —, to znalazłem w pracy pana k. l. w. tyle inkonsekwencji, taki rażący brak logiki, że rozbiorowi tej pseudokrytyki trzebaby chyba osobny artykuł krytyczny poświęcić. Na tyle zaszczytu nie zasłużył sobie pan k. l. w. Dałem mu szcztka w nos moim „Sądem literackim.“

Aliści wrogowie nie zasypiali gruszek w popiele. Napada znowu na mnie jakiś student, który szkół niedokończył, jakiś pan i. i., nie umiejący ani po polsku, ani po niemiecku, nie znający ani logiki, ani języka, ani literatury polskiej i zaczyna mnie w „Gazecie Przemyskiej“ besztać za mój szesnasty „Rocznik Samborski.“ Nie będę się z panem i. i. długo rozprawiał; ale może sobie ten wielce obiecujący na polu nieuctwa młodzieniec kilka z moich uwag przeciw zapiśze „ad majorem dei gloriam.“

„Giller i Kraszewski dla niego nie są wyroczniami“ . . . bardzo być może! ale on także dla mnie nie jest wyrocznią. Oni, co wypowiedzieli, to jasno, logicznie, z zapalem; nie fałszowali nigdy prawdy gwoli osobistych celów swoich, jak pan i. i.; ich język zawsze czysty a logika nienaganna. Niech im pod tym względem dorówna pan i. i., jeśli chce być wyrocznią dla starszych odeń pisarzy. Jeśli nie wie o uroczystościach narodowych; jeśli nie wie o tem, że żył jakiś poeta Seweryn Goszczyński, któremu — czcząc jego zasługi literackie — naród polski poświęcił „Sobótkę“, a z którego to dzieła wiersz mój:

„Odrodźmy ducha wspólnymi siłami!

„Ta szczytna praca jeszcze nam została!“ —

wyjęty przez Stanisława Wegnera i przerobiony na aforyzm, umieszczony został w dziele: „Skarby rozumu i serca“ — to niech nie plugawi pamięci lepszych odeń ludzi, niech nie nazywa „utartym frazesem“ to, co dla niego nie było napisane; — bo pisząc mój wiersz, nie myślałem o „odrodzeniu ducha pana i. i.“; — niech autorów nie sędzi według ich imienia i tytułu prac, nie mając o tych pracach nawet wyobrażenia; niech krytykując moją niemieczyznę, nie wyrывa się z zdaniem, że germanizm: „jestem

zdania“ oznacza: „ich bin des Satzes“, a nie: „ich bin der Meinung.“

Ale sędzę, że dosyć już i przedosyć nawet tej odprawy, danej sowizrzalowi! Żal mi go niezmiernie; ale jeszcze bardziej żal biednej redakcji, identyfikującej się z takimi współpracownikami. Na jedną rzecz zwracam jednak jej uwagę: u uczciwych ludzi nie uchodzi to wcale, umieścić w łamach pisma swego wiersz, jak np.: „Szczyty gór niebotycznych“ — przeznaczony przezemnie dla innego pisma, a to bez wiedzy i zezwolenia autora. Takie postępowanie nie uchodzi żadną miarą, uważane wszędzie za kradzież literacką — a wreszcie pominąwszy i to, nie liczę sobie za zaszczyt, figurować w piśmie, w którym genjusze, jak pan i. i. i k. l. w. rej wodzą.)



OFIARY IDEI.

Biją o skałę bystrych wód fale
I białą srebrzą się pianą;
Hucząc pryskają na twardej skale
I płyną w dal gdzieś nieznaną.
Ileż się fal tych rozprysnie, ile?
Nim rwąc granitu atomy
Po latach tylu, za wieków tyle
Przebiją w skale wyłomy.
Ulegnie skała, choć grunt jej twardy,
Prądowi wiekowej siły;
Ale któż zliczy fal tych miljardy,
Co się wpierw o nią rozbiły?
Sam świat jest walką; w zmiennej kolei
Różne w niej łamią się prądy.
Jak woda skałę, światło idei
Kruszy wiekowe przesady,

A w tej idei, co z wiekiem płynie,
Wierząc w przesądów granicę,
Tysiące ludzi walczy i ginie,
Łamie swe losy i życie.
Jedni bezwiednie, drudzy świadomi
Giną w tej walki odměcie,
Z ofiar krociami w wieków ogromie
Nurzą się w toń niepamięci,
I gdy myśl nowa na miejsce starej
Zyska ludzkości uznanie,
Czyż przyszłe wieki wspomną ofiary,
Co legły przez nią lub dla niej?
Kto wspomni onych ofiar seciny,
Które jak gładz lub cementy
Tworzyły z jestestw swych podwaliny
Dla sprawy wielkiej i świętej?
Lub tłumy, które potrzeba było
Wytrącić z życia kolei,
By nad ich szczęścia, życia mogiłą
Wytknąć tor nowej idei.
Tych, co na dziejów powierzchni płyną,
Poniosą dzieje do chwały,
Masy w zapomnień odměcie zginą,
Chociaż walczyły, cierpiały.
Idea, światło niosąc ludzkości,
Im światła tych nie udzieli,
Nie wspomni o nich nikt z potomności,
Myśli ich w siebie nie wcieli.
Czyż ich ofiara, chociaż bezwiedna,
Również bezwiednie zaginie?
Czyż jej nie wspomni ludzka myśl jedna
W późniejszych wieków godzinie?
Ludzkość nie wspomni, w ciągłej pogoni
Do nowej dążąc zdobyczy;
Lecz Bóg, co wieki trzyma w swej dłoni,
Bóg wszystko waży i liczy;
On, co w moc swego sprawił imienia,
Ze żaden atom nie zginie,
Czyżby przeznaczał do zatracenia
Atomy ofiar jedynie?

A. S.

List Juliusza Słowackiego z za grobu.

Umarłem ja z bólu pod obcem mi niebem,
I nie mam pomnika ni kopca,
I obcy uczcili mnie skromnym pogrzebem
I ziemia przygniata mnie obca.
Przy szumie Sekwany, zdaleka od Wisły
Dziś braknie mi nawet kącika,
Bo obce mogiły tak grób mój ucisły,
Że prawie z powierzchnią zanika.
Nad grobem się moim nie modlą Sarmaci,
I w kraju nie myśli nikt o mnie;
Więc muszę z za grobu napisać do braci,
Choć pisać o sobie nie skromnie:
„Gdy innym wy groby kujecie w marmurze,
Do kraju wieziecie Lirnika,
To dla mnie poświęćcie choć składki nie duże
Na kosztą skromnego krzyżyka.
Nie o mnie mnie idzie, lecz o was, rodacy!
Niech obcy nie miota potwarzą,
Że o swym poecie niewdzięczni Polacy
Zabyli, o swoim pieśniarzu!
Inaczej zarządca z Montmartre'u cmentarza
Wyrzuci mój szkielet spróchniały,
Jak ongi za życia, tak zwłoki pieśniarza
Nie będą spokoju tam miały!“

Emanuel Nelin Gordziewicz.



Jeden z ostatnich, sylwetka z natury.

Dziwnie się plecie na tym tu bożym świecie.

Jan Kochanowski.

Bawiąc dłuższy czas we Lwowie, miałem sposobność poznać tam pewnego staruszka, mieszkającego w tej samej co i ja ruderze na krakowskiem przedmieściu. Nazywał się Białkowski. Zajmował on obok mnie niewielki pokoik. Jako bliscy sąsiedzi poznaliśmy się łatwo i jakaś nić sympatyczna od razu nas połączyła. W wolnych od zajęć chwilach bawiliśmy się przyjacielską pogadanką, na której nam czas przyjemnie i niespostrzeżenie schodził. Gdym się przez cały dzień naślęczał przy pracy po różnych biurach i lekcjach tak, że późnym wieczorem mózg mi prawie wysychał, wtedy ożywiały mnie te pogadanki z staruszkiem sąsiadem; po skromnej bowiem przekąsce schodziliśmy się zazwyczaj na fajeczkę i herbatę, których to artykułów nigdy memu sąsiadowi nie brakło. Wolał nie jeść a fajkę i herbatę mieć musiał, popijając takową „z przykładku,” jak mawiał, t. j. patrząc się na kawałek cukru, który obok szklanki z herbatą na stole leżał. Namiętność ta do fajki i herbaty pozostała mu z Sybiru, gdzie dłuższy czas bawił w katordze, a potem na posileniu i gdzie tylko te dwa specjały — jak nieraz twierdził — utrzymywały go przy siłach. Przywyknienie do fajki i herbaty było tak silne u niego, że cały dzień i całą noc gotował się u niego samowar i herbata była na pogotowiu; obudziwszy się w nocy, pykał fajkę i popijał herbatą, poczem zasypiał, co kilka razy na noc się powtarzało.

Jak mi opowiadał, pochodził z Królestwa z obywatelskiej osiadłej tamże rodziny, która w dawniejszych walkach narodowych całkiem zubożała. On sam za udział w powstaniu w r. 1831 służył jakiś czas w sałdatach jako prosty żołnierz, a za rok 1863 dostał się na Sybir. Reklamowany przez jednego z obywateli galicyjskich, powrócił do Ojczyzny, za którą tęsknił. Lecz po krótkim czasie czuł się w niej nieszczęśliwym. Bieda i nędza przyczyniły się do tego. Sądził, że każdy dla niego wrogo usposobiony, że każdy mu kawałka chleba żałuje i tęsknił potem nieraz znów do tych lodów sybirskich, gdzie, co sobie zapracował, to miał, podczas gdy go tu uważają za nieudolnego do wszelkiej pracy. To prawda, że obcy już stosunkom tutejszym, stary i nienawykły do nich, nie nadawał się do pracy systematycznej, ale z drugiej strony niesłusznie sądził o ludziach, którzy chleb mu dawali, choć pracy nie żądali. Był jednak ambitny i umiał swoją godność cenić.

Narzekał też dość często przedemną na Opiekę Narodową, której przewodcy pode drzwiami stać mu kazali. Bracia — mawiał — wtedy tylko, gdy się bić trzeba. Może być, że był niewdzięczny, albo miał swoje widzimisie. Co go skłoniło do osiedlenia się we Lwowie, nie wiem, prawdopodobnie niechęć do ludzi, z którymi przedtem żył, a może i pociąg do koczowniczego życia, długo bowiem na jednym miejscu wytrzymać nie mógł nigdy —, wiem tylko, że żył z małego kapitaliku, przytem zarabiał jako tokarz, krawiec i szczotkarz-samouk, mając dość liczną, choć biedną klientelę.

Życie nauczyło go wiele; miał też co opowiadać. Razu pewnego był więcej gadatliwy niż zwykle, bo zeszedł aż na spowiedź ze swego życia. Podaję ją właśnie, bo może kogo zająć potrafi.

* * *

„Wszyscy, według słów śp. Walentego Chłędowskiego, wszyscy do szkoły chodzimy na ziemi, gdzie profesory uczą rozmaite“ — tak mówił Białkowski — „rozkosz i boleść, pomyślność, mozoły, wszystko to tylko mistrze jednej szkoły,“ a ci mi-

strze uczą nas całe życie. Lecz i oni w końcu zostawiają nas nieukami, bo jak ten sam poeta mówi, dopiero „tam dokończymy, cośmy tu zaczęli.“ Ja swoją naukę rozpocząłem gruntownie prawie od tego czasu, od którego żyję. Jakieś nieubłagane fatum nie szczędziło mi doświadczeń, przypadków i cierpień, a to od najwcześniejszej młodości. Bo już kiedy „baba“, jak mi opowiadano, wiozła mnie od chrztu z miasteczka w stanie podchmielonym, (gdyż po chrztach wstępowało się zwykle do Abramka w zajeździe na szklaneczkę wina, którego potem pito więcej niż potrzeba) — zgubiła mnie po drodze i tylko to miałem wówczas szczęście, że zanim mnie znaleziono, nie zamarłem w drodze lub wilki mnie nie zjadły. W dzieciństwie przechodziłem najcięższe choroby tak, że kilkakrotnie zwątpiono o moim życiu. Ale wola Boska inaczej postanowiła. Przypominam sobie niby przez sen, jak mnie podczas silnej gorączki matka całymi dniami i nocami na rękach trzymała. Gdzie znalazła tyle sił i poco mnie swem niestrudżonem poświęceniem zachowała na poniewierkę w świecie, nie wiem. Potem wyrósłszy, częściej niż każdy inny dostawałem w szkole plagi, najczęściej za winy współuczniów. Gdy zrobiłem zadanie i dałem je odpisać koledze, on miał „bardzo dobrze,“ a ja zaledwie „dostatecznie“. Kiedym się popatrzył zwyczajnie na kogo, pytano mnie: „czemu się tak patrzysz?“, a kiedym się nawet nie śmiał, pytano mnie: „czemu się śmiejesz?“ Chodząc do szkoły odmroziłem ręce, jadąc raz na święta Bożego Narodzenia z gimnazjum, odmroziłem dodatkowo uszy, nogi i nos.

Jeszcze przed ukończeniem szkół dotknął mnie ciężki cios. Straciłem obojga rodziców: naprzód ojca, potem matkę. Pamiętam do dnia dzisiejszego, jak rozszalały z bólu biegłem za trumną ojca, ciągniętą parą wołów „pod topole, na mogiłki“, bo już wtedy czułem sierocą dolę zdaleka, jak kruk wietrzy padlinę. Życie też było w istocie odtąd coraz cięższe dla mnie i dla matki, bo ojciec na utrzymanie rodziny zapracował żmudno, a po śmierci jego pozostała tylko chata i kawałek roli, z której żyć musieliśmy oboje;

trochę zaledwie zapracowywałem sam lekcjami na utrzymanie siebie i matki. W ten sposób biedując dopchałem się do ostatniego gimnazjalnego egzaminu. Mój przysłowiowy „pech“ stał się już strasznym i dla mego bliższego otoczenia.

Jakieś nieszczęście osobliwsze chciało, że właśnie w tym roku, kiedy zdawałem ostatni egzamin, pytano mnie szczegółowo także z języka i literatury polskiej, choć zwykle tego nie robiono. Zadawano mnie pytanie o życiu i pismach Krasickiego. Podczas odpowiedzi zanadto dobitnie podniosłem stronę patryjotyczną pism księcia warmińskiego i dodałem, że gdyby wszyscy wrzekomi patryjoci rozumieli tak byli miłość Ojczyzny jak on, mielibyśmy ją jeszcze dziś „od morza do morza.“ Gdym to mówił, profesor mój pocziwie psykał na mnie, abym się nie wygadał, ale co się powiedziało, już przepadło, dostawszy się raz do wiadomości zwierzchności szkolnej. Ja dostałem wprawdzie z języka polskiego bardzo dobrze, ale mój profesor, który nas ucziwie przez lat ośm uczył, na dwa tygodnie przed nowym kursem otrzymał uwolnienie od służby, jakby pokojówka jakaś, bo był tylko zastępcą nauczyciela. Fatum mnie przesładujące, zaczęło więc z mego powodu także innego i o mnie również nie zapomniało.

Wcześniej straciłem wówczas matkę ukochaną, która tylko mną żyła, zapominając prawie całkiem o sobie. Po śmierci ojca był to drugi straszny dla mnie cios. Jakkolwiek bowiem każdy z nas wie, że nikt wiecznie żyć nie może i że rozłąka nasza na ziemi nieunikniona, to z drugiej strony zdaje mi się, że niema człowieka, któryby zniósł śmierć osób najdroższych bez wielkiej boleści. Ja przynajmniej odchorowałem te katastrofy raz po raz. Po śmierci matki sprzedałem zagrodę i jako już zupełny sierota przeniosłem się do stolicy, aby uczyć się na uniwersytet.

Uczęszczałem tedy jako spokojny obywatel akademicki to na filozofię, to na prawa, „porobiłem“ potrzebne egzamina i byłem bliski ziszczenia szczytu moich marzeń ówczesnych, t. j. zostania przy jakimkolwiek urzędzie aplikantem lub jak to w Galicji mówią

praktykantem, gdy pewna zawierucha polityczno-pochodniowa, podczas której niejednemu poczciwcowi rozłupano przypadkiem głowę, mnie także prawie kark skręciła. Wmieszano mnie w „borbę“, miałem coś z komisarzem policji do czynienia, któremu przypadkiem podczas pochodu wąsy pochodnią osmaliłem a rezultat był taki, że mnie żadna dykasterja nawet na bezpłatnego aplikanta przyjąć nie chciała. Pękła jak bańka mydlana świetna, wymarzona przezemnie przyszłość, bo kto wie, czy nie byłbym już dziś naczelnikiem powiatu a może i daleko wyższą figurą... (Tu skrzywił ironicznie usta Białkowski.)

Potem uczyłem „cudze dzieci.“ Pomimo moich liberalnych zapatrywań i takiejże nauki, niektórzy z nich są dziś już naczelnikami powiatów... Co to znaczy, mój panie, samodzielność i wolna wola ludzka! — zaznaczył Białkowski drwiąco. Ponieważ jednak niektórzy uczniowie moi, jakkolwiek mieli warunki na naczelników powiatowych, przez komisje egzaminacyjne szkolne byli zawsze za nieuków uważani, skutkiem czego ich rodzice a moi chlebodawcy przypuszczali ten sam przypiót także u mnie i wypowiadali mi moje guwernerskie stanowisko, nie pozostawiało mi więc nic innego, jak tylko porzucić niewdzięczny zawód i wstąpić jako przystało „ukończonemu prawnikowi“ do adwokata na praktykę. Wstąpiłem więc do mecenasa Wielkoluda w miasteczku B. osiadłego. Dobry to był człowiek. Stary radca apelacyjny był ewangelicznej zacności człowiekiem, ale swoją magnifikę chyba poznał przy studni, gdy jego wielbłądy... przepraszam, jego konie poiła. Mniejsza jednak o to, nie to ładne, co ładne, ale to, co się komu podoba. Koniec końców, mój mecenas był zacnością wcieloną. Było wszystko dobre. Temida wyraźnie zapraszała mnie do siebie na subdyakona. Lecz niestety — muszę się przyznać — miałem i mam, jak pan widzisz, dotychczas pieprzyk na nosie. Zobaczyła go raz pani mecenasowa na recepcji u siebie — taki małeńki pieprzyk! Dla wyjaśnienia dodaję, że pani mecenasowa była kokiетką starą, która na mnie nie robiła żadnego wrażenia... Na drugi dzień po recepcji widocznie już dobrze namy-

śliwszy się pan mecenas z wielką powagą do mnie powiada:

— Pan ma pieprzyk, panie koncypjencie?

— Do usług pana mecenasa — odrzekłem — i to niejedyn, te pieprzyki żyć mi nie dają.

— Taaaak?? — Tooo paaan maaaasz... tyle pieprzyków?? — Potem nastąpiło milczenie i urzędowanie z klientami.

Na trzeci dzień, gdy pan mecenas już zdał sprawę pani mecenasowej o moich pieprzykach a pani mecenasowa oświeciła go o ich, t. j. pieprzyków pochodzeniu, właściwości i wpływie na ustrój człowieka a prawdopodobnie i wszechświata, za pierwszym widzeniem mnie w biurze pan mecenas hu-
cznie kichał.

— Na zdrowie mecenasa! — zawołałem.

— Dziękuję panu, panie koncypjencie. Tak mi pieprz do nosa załazł, że giń człowiecze albo mecenasie! (takie było jego przysłowie.)

— A cóż pan mecenas miał tyle z pieprzem do czynienia? — zapytałem.

— Ot proszę pana, mówmy otwarcie — odrzekł mecenas —; żona mi tyle wczoraj o wielkich pieprzach i małych pieprzykach mówiła, gdym już drzemał, że mnie woń pieprzyku czy prawdziwego pieprzu zaraz w nosie tak silnie zalechtała, że kichałem potem całą noc i teraz kicham i prawdopodobnie jeszcze tydzień kichać będę. Ot, giń człowiecze albo mecenasie...

Na czwarty dzień wybiega synek pana mecenas, „sztubak“, jak tu mówią z pierwszej klasy „normalnej“ i mówi do mnie: „pan ma pieprzyk.“ Jak na rozsądnego człowieka przystało, który na gawieź nie uważa, udałem, że nie słyszałem tych słów i poszedłem do bióra mecenas. Po dwóch godzinach wychodzę z kancelarji na świeże powietrze, a tu córeczka pana mecenas piszczy na progu: „pan ma pieprzyk.“ To mnie już rozzłościło, ale zapanowałem nad sobą. Ba, ale piątego dnia już nawet papuga w salonie państwa mecenasostwa, który przytykał do naszej urzędowej kancelarji, wrzeszczała: „pan ma pieprzyk.“ Teraz już wściekłość mnie opanowała,

złapałem karafkę z wodą, która stała na umywalni w kancelarji, cisnąłem nią w klatkę z papugą, zgruchotałem ptaka wraz z klatką, połamałem ze złości mój wspianiały cylinder, uważając go w głupocie mej dotychczas za pewną zewnętrzną oznakę inteligencji, opuściłem bez pożegnania kancelarję mecenasa, kupiłem sobie dzokajską czapkę i dalejże w świat, szukać innego chleba... Bo i cóż było robić? Próbowiałem już różnych zawodów, lecz nadaremnie; w szczególności zaś słuchać fochów babskich po biurach mecenasów i rejentów po jednym przykładzie miałem już dosyć. Chciałem tedy przyjąć posadę służącego u wielkiego pana, bo tam już wiedziałem, czem mam być. Ale to nie od razu przyszło. Byłem naprzód dyurnistą w sądzie.

Mój pieprzyk podobał się pani kanceliścinie, której mąż nieboszczyk ululany wiecznie jak nieboskie stworzenie, był moim zwierzchnikiem. Wdzięczność z tej i z owej strony spowodowała mnie do tego, żem mego szefa i w biurze i w domu godnie zastępował... Żyłem jakiś czas bez trosk. Ale to względne szczęście wreszcie się urwało jak ucho u dzbana.

Mój zacny szef zawieruszył gdzieś ekspedycję dotyczącą uwolnienia aresztanta tak dalece, że biedny aresztant coś cały miesiąc dłużej w więzieniu siedział, niż potrzeba było. Pan naczelnik sądu zły jak brytan, wpada tedy do ekspedytu, t. j. do tego żołądka, który trawi i na świat wypuszcza wszystkie zdrowe i niezdrowe koncepta pp. sędziów i komisarzy, jak u nas zwano kancelistów i odzywa się do dyrektora tegoż, t. j. mego bezpośredniego szefa w sposób następujący:

— To mi się pan zalewasz u Indyka i Feliczkera a aresztant cały miesiąc dłużej siedzi?... Dyscyplinarka natychmiast i odszkodowanie niewinnego...

Mój szef mnie kochał, ale cóż? — bliższa koszula ciała, niż kożuch — poświęcił mnie dla siebie. Przyjąłem więc jego winę na swe barki i za to wśród rżęsiстых łez obojga małżonków musiałem opuścić posadę, na której w dalekiej przeszłości uśmiechało

mi się stanowisko kancelisty. Przeznaczenie pchało mnie dalej...

W pewnym majątku dostałem posadę pisarza prowentowego. Szlagon był co się zowie, bo to i fortuna i figura. Raz spalił mu się cały folwark z krescencją i z inwentarzem żywym i martwym. Machnął tylko ręką — ot trochę mi się jedno skrzydło osmalilo, dodał. W wojewódzkim mieście jeździł wielbładami, a gdy przyszło mu raz illuminaować kamienicę, wszystkie okna kazał zamurować. Dobrze mnie płacił i było mi nie źle. Na moje nieszczęście hodował sobie on stary wdowiec jakąś Parenię od dziecka. Djabeł nie spał i zrobił, że się dziewczynie mój perkaty nos a mnie jej rozkoszna postać spodobały. Hrabia się dowiedział, dał mi zaraz „laufpass“ a moje biedactwo z rozpaczy za mną później samo ze dworu uciekło i jak słyszałem, dostało się, jak zwykle w takich razach, pod opiekę jednego z lepszych moralistów naszego wieku, z kąd już najbliższa była jej droga do nocnych kawiarni. Zmarniała a szkoda dziecka!

Potem dostałem się na dozorcę magazynu wódki do innego szlachcica. Dozorowałem uczciwie, ale cóż się stało? Oto pewnego ranka znaleziono magazyn otwarty, mnie w łóżku z kluczami a w magazynie pustki... Już mi nie dużo brakło do tego, aby mi prokurator królewski odczytał donośnym, dźwięcznym głosem krasomówczy akt oskarżenia, litując się nad mą podłością i podnosząc straszną ohydę mego czynu... Na nieszczęście jednak mojego chlebodawcy a moje szczęście na drugi dzień ulubiona córka nagle mu umarła a równocześnie po zmarłej właśnie ciotce otrzymał półmilionowy spadek. Te wypadki wprawiły go w osłupienie. Co myślał, nie wiem, to tylko pamiętam, że żegnając mnie powiedział:

— „Dziwnie się plecie na tym tu Bożym świecie, a ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić, i zginie i nie będzie umiał w to ugodzić“...

Dał mi jeszcze 150 rubli naddatku i wyrzekł:

— Bądź zdrow a pilnuj gdzieindziej lepiej magazynu.

Z tego widziałem, że los pchał mnie jeszcze niżej. Ot i zgodziłem się na pomocnika lokaja u pewnego magnata osobliwszego rodzaju. Od tego czasu los zaczął mi widocznie sprzyjać, bo wkrótce mój zwierzchnik umarł a ja zająłem jego miejsce. Ale mój pan było to coś wyjątkowego. Dziedzic kilkumiljonowej fortuny, czysty jak brylant, mogący hodować liczne i dorodne potomstwo, był bezżenny, żył jak zakonnik... Nigdy nie ujrzałem go wesołym, nigdy inaczej aniżeli w płóciennej bluzie, burce lub jeszcze po wierzchu w bundzie, z nieodłącznym swym towarzyszem, t. j. mną we własnej osobie. Czasem po obiedzie wyrwał się ze mną na objazdżkę pól i folwarków, ale tylko na to, aby swemu rządcy, który żył wygodniej od niego, przerwać dobry obiad lub wista i zabrać go ze sobą, a tem samem przypomnieć mu jego obowiązki służbowe. Kiedy indziej tłumaczyliśmy z panem razem Don Żuana, pisaliśmy rozprawy o literaturze indyjskiej, ale to nie przeszkadzało mu wcale w prowadzeniu rachunków gospodarczych i rachunków z przedsiębiorstwa czyszczenia kanałów i ulic sąsiedniego gubernialnego miasta, które wziął chyba na to, ażeby pokazać ludziom głupim, że żadne zajęcie lub przedsiębiorstwo uczciwe nikomu nie ubliża.... Podatku nigdy dobrowolnie nie zapłacił. Musiał przyjechać do niego co roku urzędnik i na każdym folwarku osobno fantowanie przeprowadzić. Dopiero, gdy mu doręczono edykty licytacyjne, płacił bez szemrania wszystko. Mawiał przytem: niech sobie biedny urzędnik przy mnie także co uczciwie zarobi... Majątek był olbrzymi a wzrastał ciągle rządnością i dobrem gospodarowaniem. — Osłabły na siłach chciał mój pan zrobić jaką fundację, lecz wiedząc z doświadczenia, jak tego rodzaju instytucje w dalszem swem trwaniu pod obcą ręką często się paczą i nawet w części idei twórcy nie odpowiadają, zaniechał tego. Co myślał z tym majątkiem zrobić? Co robił z dochodami, wiedziałem dobrze. Z nichto niejedna biedna sierota dostawała posag, niejedna biedna wdowa pomoc na kształcenie dzieci, niejednen zdolny chłopiec wychodził na człowieka, niejednen

niezamożny szlachcic, mieszczanin, wieśniak, nauczyciel, urzędnik dźwigał się z ruiny.

Razu pewnego — o dziwo! — po spowiedzi i przyjęciu sakramentów wyjechał mój pan bezemnie do miasta. Z powrotem wręcza mi akt donacji całego majątku, akt intabulacji i pokwitowanie na uiszczoną należność przenośną. Struchlałem. Coś szczęście z nadto zaczęło mi sprzyjać... Obawa się ziściła, gdyż stary hrabia zmarł na drugi dzień. Przed śmiercią ułożył się do łóżka i zawezwał mnie do siebie. Wezwał mnie, abym majątku używał według jego sposobu myślenia, pobłogosławił mnie, ucałował, zmówił modlitwę, poczem nastąpiła krótka agonja... Żal mój za nieboszczykiem był nieograniczony...

Jak widzisz, zostałem człowiekiem bogatym, a że miałem wyższe wykształcenie, więc umiałem z tego majątku korzystać. Rzuciłem się do nauk i oddałem się im z całym zapałem... Z powodu mych prac naukowych powierzono mi nawet docenturę filozofii na jednym z uniwersytetów niemieckich. Jak daleko mnie złamanemu starcowi dziś do tego, ktoby mnie o to posądził?! Dusze nasze grały wtedy hymn zmartwychwstania, bo to wszystko idealne, co dzisiaj zamarło, ożywiało piersi wszystkich młodych ludzi, bogatych i ubogich. Wyzwolenie ducha z pod jarzma obskurantyzmu, uprzedzeń, przemocy, było hasłem nas wszystkich. Służąc pod tem hasłem a posiadając majątek, łożyłem cały mój dochód z niego na to, aby kształcić te duchy, które rwały się do tej wolności, wspierałem ich materjalnie a oni roztwierali przedemną bezgraniczne światy lepszej przyszłości. I z chlubą mogę powiedzieć, że żaden z nich nie zmarniał...

Nadeszła bohaterska walka w r. 1831. Należałem do niej jeden z pierwszych, za to odpokutowałem w sałdatach jako prosty żołnierz lat dwanaście... Spytasz mnie pewnie, co nas zgubiło, co zła mało tego olbrzyma, który się zerwał do boju za wolność swoją i cudzą? Brak wytrwałości, jedności i prawdziwego poświęcenia. Nieraz potem przypominały mi się słowa naszego wachmistrza Dorosza;

„Zle w tej stronie,
„Kłątwa kraju na niej leży...“
lub karcące niesforność służbową w wojsku:
„Z takim wojskiem, z takim ładem
„Niech pioruny w pułk ten trzasną...“

Niewesołe wspomnienia... Przed powstaniem majątek sprzedałem, gotówkę ulokowałem w bankach zagranicznych, lecz powstanie pochłonęło bardzo wiele. Okruszyna zaledwie z milionów się została, jednak życie można było jeszcze prowadzić wygodne... Uwolniony po dwunastu latach z wojska przesiedliłem się do Galicji i brałem udział w pracach ówczesnych przywódców ruchu umysłowego. Ta praca, w której topił się pomału i kapitalik, nie zaspokajała mnie. Byłem samotny. Samotność dokuczała mi. Przypomniałem sobie słowa stwórcy: „Zle jest człowiekowi samemu.“ Zacząłem się oglądać za towarzyszką życia. I znalazłem panienkę miłą i piękną, zdało się dobrą i szlachetną, nawet z dobrego domu, bo z wyższej szlachty zagranicznej, ale w Galicji osiadłej. Rozmowy na tle literatury i sztuki europejskiej, samotne pogadanki z ukochaną przy śpiewie słowika w gąszczy bzów pachnących, przechadzki przy świetle księżycy po pysznych parkach, rzucających romantyczne cienie i roznoszących balsamiczną woń kwiatów, przejażdżki konne po rozkosznych gajach i lasach przerwały mi dotychczasowe prace. Zacząłem żyć całym jestestwem, bo kochałem. Iskra mojego życia pragnęła zetknąć się z iskrą drugiego jednostkowego, dobranego życia i wybuchnąć płomieniem... Wkrótce miało to nastąpić. Dzień ślubu już był naznaczony. Pewnego wieczora przyjechałem więc z daleka do domu bogdanki, aby przygotować zabiegi swoje uwieńczyć skutkiem.

Przyjeżdżam z bijącym sercem pod dom mojej narzeczonej... Zastaję ciszę; wszystkie światła pogaszone, drzwi pozamykane, państwa ni służby w domu. Zadrżałem od złego przecucia... Stary oddźwierny jeden nie spał. Zaledwie zdobyłem się na odwagę, aby zapytać starca, co ta głucha cisza znaczy. Dowiedziałem się; dlaczego jednak nie postradałem przedtem słuchu i zmysłów? Powiadomił mnie, że

moja narzeczona uciekła — z kamerdynerem. Godny rywal, wszak i ja kamerdynerem niegdyś byłem. Padłem bez przytomności; przyszedłem jednak do siebie, ale nie byłem już tym, czem dawniej. Prawie w apatji przeżyłem dalsze lata... Dopiero rok 1863 znowu pobudził mnie do życia... Poszedłem, gdzie mnie obowiązek wzywał. Lecz walka, prowadzona z wielkimi ofiarami, skończyła się, jak było do przewidzenia, jeszcze smutniej niż pierwsza, a dla mnie wywiezieniem na Sybir, gdzie jako niepoprawny przestępca przesiedziałem w katordze lat ośm i dopiero po odsiedzeniu tej kary przeniesiono mnie na posilenie.

Wyszędłszy z katongi, ciężkiej, strasznej niewoli, którą dla Ojczyzny tylko znieść można, przebyłem na posileniu lat kilka w Jakucku. Pobyt na posileniu jest wolniejszy; nie jest się tak strzeżonym, wolno bez nadzoru polować, łowić ryby, dysponować sobą, jak się chce, byle nie uciekać. Korzystałem z tych wszystkich przyjemności oprócz ucieczki, a na chleb zarabiałem jak dziś. Praca rzemieślnicza ogromnie popłaca na Sybirze; zarabiałem przeto więcej niż na życie potrzeba było. Okolice Leny, nad odnogą której Jakuck leży, są latem prześliczne, a co więcej urodzajne. Mieszkańcy ciągną z rolnictwa a zwłaszcza z uprawy żyta i z chowu bydła znaczne dochody, nie są więc nigdy bez grosza. Handel futrzany kwitnie, myśliwstwo, rybołówstwo i furmanka do Ochocka niesie dochód. Ale okolica i pod względem estetycznym czarująca. Lena rozlewa się na milę szerokości, wylaniają się z niej odnogi, pośród których sterczą wyspy liczne (tajgi), umajone lasami, zieleniejące runią zbóż i pastwisk. Pośród nich sterczą jurty drewniane ziemią obłożone i szałasami brzoście. Gdy w lecie 30° ciepła dokuczają, chętnie pod taki szałas się chronisz lub w cień lasów, gdzie pomimo smutku ludzkiego zawsze wesołe ptaki jednako śpiewają; a gdy serce jeszcze nie śpi i ma pole do działania, tem milej czas tam spędzisz w towarzystwie milej bogdanki....

Właśnie w jednej takiej jurcie na wyspie rzeki Leny pod Jakuckiem poznałem jedną z najzacniej-

szych rodzin patryjotycznych naszych. Staruszek ojciec wygnany przed laty na Sybir, osiedlił się tu z musu — wraz ze swoją żoną i córką, które za ojcem, względnie mężem dobrowolnie na wygnanie poszły. Gdy tę rodzinę poznałem, matka już nie żyła, córka za to rozkwitła hoźo, choć w sieroctwie i pracy ciężkiej pod opieką zacnego rodzica. Był to człowiek o wiele lat odemnie starszy a zacny jak rzadko. Ale był też nad wyraz nieszczęśliwy. Nie było dlań nadziei powrotu do kraju, pomimo starań wielkich, bogatych i wpływowych krewnych. Mimo wszelkiej materialnej przewagi caratu, jednego człowieka tak się obawiano. Na szczęście miał żyć z czego. Miał kawał ziemi znaczny, dość bydła, pastwisk i ról a podporę w tym wdzięcznym kwiatku, który przy nim kwitł, w swej córce. Zresztą miał to także, co nie każdemu dane, wielką bojaźń Boga i pokorę przed Jego wyrokami i ufność w Nie i nadzieję w lepszą przyszłość i miłość bliźnich, nawet tych, którzy mu całe szczęście zburzyli, którzy go katowali... Łatwo sobie wyobrazić, że człowiek taki zupełnie nieszczęśliwym być nie mógł. Widok jego mógł nawet zepsute osoby podnieść moralnie, a cóż dopiero, gdy te same zasady i uczucia, które tego starca ożywiały, miały wcielenie swoje także w jego córce?... Poznawszy tę rodzinę odmłodziłem duchowo i fizycznie, bo rześkość ducha orzeźwia także ciało. A co więcej rozgorzałem miłością do wygnanki, nie tak wprawdzie gwałtowną, jaką była pierwsza miłość, ale zawsze potężną a poważną. O ile możebnem to było, łagodiliśmy odtąd spólnymi siłami dolę naszą i marzyliśmy o przyszłym połączeniu się naszym. Kto wie, czy to nastąpić nie mogło, kiedy wszystko jest w mocy Bożej? —

Ileż to pięknych chwil przepędziliśmy wspólnie na pogadankach wśród uroczej natury letniej, o powrocie do Ojczyzny i założeniu domowego ogniska. Nie wąpiliśmy, że i nam czas zlitowania przyjdzie i że my także jako ptaki z klatki puszczzone powędrujemy z powrotem do naszej ukochanej ziemi, dla której znosiliśmy tyle katuszy.... Czy lato, czy zima, żyliśmy tą tylko nadzieją. Z wiosną jakby armatnie

wystrzały pęknięcie lodów rzeki Leny dawało znak, że wspólne pożycie nasze na dłuższy czas przerwane. Więzy lodów nie wnet uwalniają tu wody i tworzą się wtedy ogromne zatory lodów, które miesiącami stoją, zanim kra ruszy i odpłynie do morza lodowatego... Morze samo ogromem wód i lodów tamuje ten proceder. Wody tymczasem zatamowane w biegu i rozlewające się na bok, oraz bryły lodu unoszące się z niemi, niszczą często wszystko, co im się tylko nawinie.

Przyszła też raz kolej i na jurt moich zacnych przyjaciół i gdyby nie odważna pomoc z mej strony i od moich towarzyszków, byłiby niechybnie zginęli; woda bowiem już ich unosiła ze szczątkami siedziby. Uratowałem ich, ale niedługo już nimi się cieszyłem. Wkrótce stali się oboje łupem choroby i śmierci, a ja po raz niewiadomo już który osieroconym nieszczęśliwcem. Nie było co mówić; tak Bóg chciał; trzeba było być niemym, choć serce pękało...

Gdy wróciłem ze Sybiru za staraniem jednego z moich przyjaciół w Galicji, fortuna moja prawie już nie istniała. Ostatnie powstanie pochłonęło ją. Mały zasób pieniędzy podjąłem z banku, żyję z procentu i rękami na życie pracuję. Dodać tu muszę, że gdy wracałem do kraju, prawie na samym wstępie przejęło mnie tak bolesne uczucie, że nieomal przeklinałem mój powrót do niego. Ta wymarzona podczas bezsennych nocy Ojczyzna, do której się wzdychało wśród trudów katorgi, przejmujących do szpiku mrozów w Jakucku i awantur rozhukanej Leny, ci bracia i siostry rodacy, jakże się zmienili od lat dziewięciu! Dawnych bohaterów miano nas już teraz za zapaleńców, za półgłówków! To bowiem, co się nie da na pieniądze oszacować, prawie już dziś wartość straciło... Największe to szczęście dla mnie, że stojąc nad grobem, niedługo się na to patrzeć będę, że wreszcie Pan Bóg dodaje mi siłę, że pracować mogę. Mogę bowiem być ludziom użytecznym i na chleb sam zapracować. Stary weteran — żebrać nie potrzebuję...

Widzisz — dodał po chwili — przeżyłem tyle kolei, że prawie nie jest do uwierzenia, aby je przejść

mógł jeden człowiek, a przecież tak jest. Jestem właśnie świadkiem dziwnej zmienności losu, nad którą myślącemu człowiekowi warto się zastanowić, ażali nie niweczy ona zupełnie teorii o bronionej przez niektórych tak zaciętej wolności woli ludzkiej? Czy palec boży lub los, względnie zbieg okoliczności nie grają równorzędnej roli w życiu człowieka z jego wolą i logicznym następstwem czynów jego? —

Na tem urwał, a ponieważ północ już była, uściskał mnie za rękę, życząc dobrej nocy i odszedł do swej izdebki. Za chwilę wrócił do mnie i wyrzekł:

— Nie wątpij nigdy, jest Bóg, który wgląda w serca nasze i który dobrej ludzkiej woli jak najszersze roztwiera granice. Słuchaj tylko wewnętrznego dobrego głosu swego, a będziesz szczęśliwy. Wrogów twoich Pan Bóg sam pokarze. —

Uściskał mnie jeszcze raz i odszedł do siebie. Ja nad jego opowiadaniem długo dumiałem.

Poczciwy, biedny Białkowski! Gdyby miał mniej wrażliwości a więcej hartu duszy, innem byłoby niezawodnie jego życie, dla niego przyjemniejsze i w owoce bogatsze dla społeczeństwa. Lecz czy byłby on wówczas godniejszy poszanowania, aniżeli obecnie?

Wyjechawszy wkrótce potem ze Lwowa, straciłem go z oczu. Znikł jak sen, jak tyle innych znajomych, przyjaznych twarzy i postaci, pozostawiających w duszy nieskończoną tęsknotę za sobą i smutek. Wywiadywanie się o nim za pośrednictwem dzienników nie odniosło pożądanego skutku. Od owej chwili tyle też lat upłynęło, że trudno się ludzi nadzieją, ażeby drobna, zgarbiona sylwetka Białkowskiego w polskich butach i w żupanie barankiem podbitym, w rogatywce, z sękatą laską własnego wyrobu, z psem u rękoności, z fajeczką w ustach, wąsami zachodzącymi za uszy, z krótkostrzyżoną brodą szpakowatą, — zarysowała się gdziekolwiek na powierzchni tego globu. Najprawdopodobniej poszedł i on już tam „ou va toute chose, ou va la feuille de rose et la feuille de laurier.“ W takim razie spokój jego duszy, bo tyłu burzami umęczona

zasłużyła sobie nań rzetelnie, a światłość wiekuista
niechaj mu świeci na wieki wieków!...

Sokal, 31. Lipca 1892.

Władysław Krzyworóg.



Z KRAJU i ZE ŚWIATA.

Szkice wierszem,

przez

Bolesława Andruszewicza.

—

Płoną ognie ponad rzeką,
Fala wodna je odbija,
Silny wichur lot rozwija,
Dym unosi w świat daleko.
A las siny ponad wodą
Szumi pieśni jak do boju.
Puszczyk z sową spory wiodą,
W wiecznym z sobą niepokoju.
Półmrok w koło — na zachodzie
Czarne chmury niebo kryją,
Księżyc krwawo z drugiej strony
Wzniósł się w górę, odbił w wodzie;
Psy ponuro, smutnie wyją:
Bo krew wietrzą. W zamku dzwony
Rozjęczały się żałośnie
Kto wie? jutro czy zadzwonią,
Gdy na gruzach chwast porośnie?
Któż wie zamek czy obronią

Któż wie jutro co los zdarzy? . . .
Dzisiaj zamek jak na straży
Stoi dumny i wspaniały,
Jak na skale orzeł biały,
Taki jasny od księżycy —
Ale jutro ach! nieznane
Na zachodzie błyskawica
Po niebiosach przeleciała,
Chmury wiatrem przeganiane
Swym połyskiem okrwawiała.

Jutro rano krew popłynie:
Kto zwycięży a kto zginie? . . .
Och to jutro tak nieznane! . . .

.
Tu garść tylko, a tam chmury —
Tutaj serca niezachwiane,
A tam dzikich sił bezmiary!

Chmury płyną, księżyc gaśnie,
Tylko ognie płoną jaśnie —
Tylko iskra strzeli czasem,
Puszczyk jęknie ponad lasem.

Smutno w Polsce, w całym kraju . . .
Tatar zalał żyzne ziemie,
W plon zabiera lackie plemię —
Zagon przeszedł — łzy zostają . . .
Krew zostaje w krąg rozlana,
Gruzy z zamków i kościołów.
Górą łuna lśni świetlana,
Dołem całun zgliszcz, popiołów!
Polsko biedna, Polsko droga,
Ileż cię dotknęło ciosów!
Ileż bólów z ręki wroga,
Ileż gromów, plag z niebiosów!
Ale precz z rozpaczy łzami,
My wierzymy w przyszłość swoją,
Piers hartujem twardą zbroją!
Precz z marzeniem, precz ze snami!
Łzy i rozpacz nie przystoją,
Łzy i rozpacz nie pomogą,

My iść musim swoją drogą,
Choć się czoła potem znoją!
Nas dwadzieścia milionów!
By nas zniszczyć, tyleż zgonów,
Tyleż Boskich trzeba gromów,
Tyleż hańby, tyleż sromów! . . .

Srom i hańba nam nieznane —
Móże gromy też wstrzymane?

.
Gniezna szumi, w dal ucieka
Nad nią Tatar obozuje —
Na zachodzie niedaleka
Ranna zorza bój zwiastuje.
Legniesz zamku w gruzy, legniesz,
Ogień twe obejmie stropy,
Twe wyniosłe czoło zegniesz,
Buńczuk wionie nad okopy

Dzielny rycerz zamku broni,
Pierwej zginie, niż się podda,
Pierwej wszystką krew uroni,
Niż wrogowi zamek odda.
Ha! krwią własną rządzić snadnie
Lecz krew przelać towarzyszy,
Zadrzeć w sercu wpierw wypadnie,
Wpierw nim jęki ich usłyszysz
Rozpacz nic tu nie pomoże,
Nie wysiłek choć anielski:
Tu garść tylko, a tam morze,
Całe morze — tłum djabelski.
Słodko umrzeć, ponieść trudy,
Gdy krew własna zbawi ludy,
Ale darmo krew przelana
Zbudzi gromy niebios Pana.

Rycerz zwołał towarzyszy:
Czy się poddać, czy też bronić?
Czy wzniesić sztandar, czy go skłonić?
Okrzyk jeden w nocnej ciszy
Zagrzmiał w koło: „W bój na wroga!
Jeśli zginiem — wola Boga!

Ale w jasyr nie pójdziemy,
Raczej wszyscy tu zginiemy!“

Rankiem echo po dolinie
Rozszalało się gromami,
Tłum Tatarów bieży, płynie,
Już są blisko, pod murami.
Z murów hejnał brzmi wiekowy,
Matce Bożej pieśń rycerzy,
Echem wtórzają im dąbrowy.
W serca płynie zapal świeży,
Z murów sztandar się rozwiewa,
Na nim orzeł biały świeci:
Zda się orzeł ponad drzewa,
Ponad zamek w niebo leci
A tu dołem dzikie hordy,
Pod obłoki „Allah“ wyją!
Spieszą w zamku roznieść mordy:
Oni Lachów krew wypiją!

Starły się walczące siły
Powódź hord zalewa mury —
Mury hordy odtrąciły,
Ustał walki zgiełk ponury.

Tatar nie dał za wygraną,
Codzień napad swój ponawia,
Codzień świeży huf wyprawia:
Naszych siły wyczerpane
Krzepią się rycerze w boju,
Walczą nadludzkimi siły,
Walczą w ciężkim, krwawym znoju:
Krew, krew, dymy ich owiły.
Pryśł nadziei promień złoty,
Garstka mężnych w pół stopniała
Wrogów nowe płyną rotę,
Tu maleje garstka śmiała

Znasz zwątpienia straszne siły,
Gdy nadziei promień znika,
Gdy się serca rozstroiły,
Kiedy rozpacz je przenika?

Znasz tę otchłań straszna, czarna,
Gdy cię siły opuściły,
Gdy swą pracę widzisz marną:
Bo ją gromy w puch rozbiły!
Stokroć lepiej legnąć w grobie,
Niżli żyć tak bez nadziei
Nurzać serce swe w żalobie,
Błądzić w myśli swych zawiei!
Praca, bole ach daremne . . .
Duch upada już zwątpiały,
Pograżony w nocie ciemne . . .
Czyż nie zleci Anioł biały?
Anioł biały, co ci ducha
Znow ukrzepnie, tchnie nadzieje:
Pieśnią wdzięczną ci do ucha
Nowe męztwo w serce wleje?

Och ten Anioł ciebie blisko:
On ci stworzył twe ognisko,
On ci ziemię w raj zamienia,
Życie całe rozpromienia.
Kiedyś smutny — on weselem,
Kiedy cierpisz — on pociechą:
On ci tylko przyjacielem
Pod samotną twoją strzechą!
Wiesz, kto Anioł ten promienny,
Co ci w serce męztwo wlewa?
Gdyś zwątpiały, duchem senny,
Pieśń zwycięstwa duszy śpiewa?
To twa siostra, twa kochanka,
Matka twoja, twoja żona
To kobieta — pół niebianka,
To pół Anioł — twa korona!

Podnieś czoło, Polsko młoda!
Choć twe córki w całun strojne,
Podnieś czoło! już swoboda,
Już zwycięstwo idzie zbrojne!
Póki córkom twym Uspiona!
Biją w piersiach serca wierne,
Niczem tłumy sił niezmierne —
Będziesz, będziesz Ty zbawiona!

W córkach Twoich — życie Twoje:
Tam Twój szaniec, tam Twe zbroje,
Czucia Twoje — bole Twoje!

I ty także wodzu mężny,
Wznies swe lica: Anioł płynie!
Choć cię złamał trud orężny,
On cię skrzydłem swem owinie.
Chociaż sam zwątpiłeś w siebie,
On z otuchą bliski ciebie!

Gdyś ty mężem — on kobietą,
On nadzieją — gdyś zwątpiały:
Męztwa, duszy twej podnieta
On, ten Anioł jasny, biały!
Gdyś ty mieczem — sercem ona,
Gdy twój oręż błyskawicą,
Białem skrzydłem jej ramiona!
W domu ona twą prawicą!

Lecz gdy matka wszystkich woła:
Ona córą nieodrodna!

I jej zapal lśni u czoła:

„Matko moja! bądź swobodna!
„Bądź ty wolną, matko droga!
„Raczej męża pierś przebije,
„Śmierć mu zadam z woli Boga!
„Niech umiera, niech nie żyje,
„Gdy ledz nie śmie z ręki wroga!
„Potem własną pierś rozkroję:
„Dla Ojczyzny życie moje!“ . . .

Słyszą to rycerze śmieli,

Słyszy także wódz waleczny:

„Hej na wroga, na bój wieczny
„Niech prowadzą nas Anieli!“ . . .

Rankiem surmy znów zagrały,
Znów żelazo o mur zgrzyta,
A nad zamkiem orzeł biały
Nowych zwycięstw zorze wita.
Wytrwaj, wytrwaj garstko wierna,

Choć tu w koło noc niezmierna,
Choć twe siły omdlewają —
Wytrwaj: bracia się zbliżają!

Pierzchły tłumy od zamczyska:
Stepem płyną polskie szyki,
Wichrem mkną przez uroczyska,
Wiatr tu niesie ich okrzyki:
„Hura! hura w imię Boga,
„Nam zwycięstwo, strach na wroga!“

.
Zamku bramy otworzone,
Bracia braci już witają.
W dali tłumy porażone
Pędem wichru umykają.

Z gruzów znowu siola wstają,
Rolnik bujną ziemię orze,
A ptaszęta pieśń śpiewają:
„Kiedy ranne wstają zorze.“

W Lubieniu, dnia 25. Lipca 1893.



CHWILA NATCHNIENIA.

Rajski kwiat młodych lat,
Płyn ma pieśni dalej w świat;
Płyn szeroko, płyn wesoło.
Chociaż smutne moje czoło,
Płyn ma pieśni! Tyś ma duszą,
Tyś mem sercem, wszystkiemś ty!
Niech twe tony boleść kruszą,

Niech na dźwięk ich serce drży. —
Płyn ma pieśni! Zwawo płyn,
Unieś dusze z niższych sfer,
Uchwycić uczuć dusz tych ster,
Popłyn z niemi tam do Boga,
Tam, gdzie łask i prawdy droga,
Lecz, gdzie nie ma jej, tam zgiń! , . . .
Płyn ma pieśni! Dalej płyn!
Krusz po drodze, co zepsute,
Słodź, co jadem żądz zatrute,
Podnoś wszystko cnotą żywe,
Dobre serca, nieszczęśliwe,
Pełne wiary w życie czyn!
Pieśni moja! Płynże wraz,
Wznoś odważnie dumne czoło,
Promień światła siej w około,
Na świtanie przecież czas! —
Pieśni moja! Trwaj mi długo,
Bądź wciąż pełną, żyzną strugą!
Płyn ma pieśni! A dla siebie
Proszę Pana Boga w niebie,
O zdrój myśli uświęcony,
Bym je pojał i natchniony,
Mógł na strunach duszy grać! —

A. D.



Pan burmistrz
Z WIELKICH KOZŁOWIC.

KROTOCHWILA

W

DWÓCH AKTACH.

Napisał

POBRATYMIEC.



O S O B Y :

Agapit Projektowicz, burmistrz (liczący 49 lat.)

Honorata, jego żona (l. 44 lat.)

Ildefonsa, jego córka (l. 21 lat.)

Kalasanty Onożka, mieszczanin, (l. 46 lat.)

Bronisław Frygowski, urzędnik, (l. 26 lat.)

Szumł Goldfass, faktor.

Jan, policjant.

Rzecz dzieje się w małym miasteczku w domu burmistrza. —

(Prawo i lewo rozumie się od widzów.)

Teatr przedstawia pokój wylepiony tapetami. W głębi drzwi, tak samo na lewo. Po prawej stronie w pierwszej kulisie okno, w drugiej lustro stojące. Na przodzie sceny stół, nakryty serwetą. Obok kilka krzeseł. Za stołem po lewej stronie kanapa, wybita ceratą.



Akt I.

SCENA I.

Burmistrz (sam), potem Jan.

Burmistrz (dobrej tuszy, okrągłej twarzy; bujna czupryna, wąs zawieszisty; czupurny, zawadjacki, krzepki. Ubrany w surdut granatowy skrojony na kształt czamary; pantaloney szerokie; pod szyją czarna krawatka; buty z szerokimi nosami. — Siedzi na kanapie i przewraca pugilares.) Uj! źle! niewesoło! Wczoraj obębniłi mnie w resursie do ostatniego centusia. Ale bo też szalony miałem pech! Uważcie tylko państwo; w żydku było ze dwadzieścia sztonów, ja nie byłem na ręce; ale miałem razem z kupnem cztery kara: króla, damę, dzieciątkę i małe: asa i damę; gram panie tego ten proste trzy; jak mi zaczęli panie tego ten podchodzić, kraść, zabijać, lażować, położyłem się na takiego żyda dwa razy, ale to powiadam państwu położyłem się jak baran. Niech to jasny piorun spali! A tu dochodów niema prawie żadnych. Mojej córce zachciało się onegdaj nowej sukni z jakimiś giupiurami, tiurniurami i djablami, człowiek zapłacił przeszło 50 blatów. Miało się ją przez dwa lata na edukacyi; dziewczyna nauczyła się wprawdzie perle w ufranse, i grać jakieś tam awantury i trubadury na klawicymbałach, ale czterysta blatów, — co się je pożyczycyło u żydków — poszły ot tak: fu! (dmucha na dłoń). Gospodarstwo idzie pod psem; od dwu lat podatki nie zapłacone, a tu dochody, jak dla zwykłego oczajduszy, ale nie dla burmistrza Wielkich Kozłowie i głowy miasta. Trzebaby koniecznie coś wykalkulować, aby sobie nie dać biedzie dmuchać w kaszę, inaczej — jak mi Bóg miły — przyjdzie burmistrzowi tak starożytnego i szlachetnego grodu jak Kozłowice Wielkie, — świecić piętami jak pierwszemu lepszemu

powsinodze. (Zamyślając się wzdycha głęboko.) Hm! hm! (po chwili). Choćby i uchwalili ostatecznie tę budowę mostku na Śmierdzącej, to i cóż z tego? Taki mostek s a c k u n d p a c k kosztować będzie, licząc tak po naszymu, z jakie 200 blatów. Człowiek zarobiłby na nim stóweczkę i a u s ! Tu trzeba panie tego ten coś innego wymyślić, i na najbliższym posiedzeniu Radę z m a j k i z a ż y ć, przedstawiając jej potrzebę rozpoczęcia tej budowy w jak najkrótszym czasie, bo ja pieniędzy na gwałt potrzebuję. (p. chw.) Żeby chcieli wybudować jaki nowy ratusz kosztem miasta, albo coś monumentalnego tak á la wieża Eiffel, to byłoby dobrze, i człek by sobie żywot przy takiej okazji dobrze pomascił. Cóż, kiedy gadajże tu tym łbom zakutym coś o postępie. Zaraz zakrzyczą. Chyba, żeby im zaproponować tymczasem budowę koszar dla wojska, a potem się o stały kwaterek dla Kozłowic postarać? Z wojska zysk ogromny, to może by się na tę wędkę naszych przemysłowców w Radzie zasiadających, ująć dało. Hm! To znowu nasi księża będą na to ujadać, bo to tam, gdzie wojsko stoi w l a g r z e, strasznie się im białołowy zwydrzą. To nie!... trzebaby coś innego w y k a l k u l o w a ć... Hm! (mruczy)... albo, albo... hm! gdyby tak zaproponować budowę łaźni parowej, bo tej w mieście brak ogromny. A prawda! projekt znakomity! (powstaje) jak ich na ten projekt nie złapię, to każę się zetrzeć na tabakę i starym dziadówkom do tabakierek nasypać! Bo tu panie tego ten dla nas matadorów tak starożytnego grodu, potrzeba koniecznie parówki, żeby się przecież człowiek miał gdzie z brudów obmyć. A jakże! Jak mi Bóg miły; co to za rozkosz panie tego ten parówka! Zafundujemy sobie w Kozłowicach łaźnię na sposób zagraniczny: wanny, s i t z b a d y, pryśnice, tusze, przytem można tam urządzić i salę do tańca, żeby użyteczne z korzyścią połączyć! Bravo! bravo! łaźni mieszkańcy miasta potrzebują na gwałt! Zrobimy kosztorys na jakie 10 tysięcy, to człowiekowi się przy tej budowie okroi parę tysiączek i będzie g u t ! Ale bo to wstyd doprawdy, aby w takim mieście jak pani tego ten Kozłowice Wielkie, nie było parówki. Pfu! (spluwa na podłogę.) Łaźnia

jeszcze w tym roku stanąć musi koniecznie, inaczej ja zrezygnuję z godności burmistrza i tak zmasakruję i zbabrzę w gazetach całe Kozłowice Wielkie, że nie będą śmiały po za swoje rogatki i kawałka nosa wyściubić!... Janie! hej! Janie! bałwanie jakiś!

Jan (przy szabli, w fartuchu.) Co pan prezydent rozkaże?!

Burmistrz. Dawaj mi tu zaraz pióro i kałamarz, ino prędzej tak eins, zwei, drei. (Jan wychodzi. Burmistrz zaciera ręce.) Zaraz sobie napiszę wniosek co do tej łaźni, aby go mieć już na posiedzenie Rady gminnej gotowy. U mnie tak zawsze. Co w myśli, to i w głowie! nie!... co w głowie, to i na języku!... nie! co na języku, to i... nie! nie tak!... et! co sobie ta będę łeb po próżnicy suszył...

Jan (przynosi przybory do pisania, stawia je na stole i wychodzi.)

Burmistrz (siada przy stole, wyciąga szufladę, z niej papier i zabiera się do pisania.) Paradna myśl! Ja przepadam za parówką. Bo co to za rozkosz, proszę państwa: człowiek rozbiera się do nagusienka i wygrzewa w łaźni, a tu panie tego ten fagas chłoszcze człowieka po gołych plecach miotelką, jak w teorbán. Satysfakcja, jak Boga kocham, satysfakcja! (Wyjmuje papier i zabiera się do pisania, zamaszycie ręką uzbrojoną piórem, machając.) Panowie! hm! tego ten! panowie! — Najgorzej o wstęp, a ten już mam. — Wiadomo wam z doświadczenia, iż nic tak nie działa dobrze na zdrowie ludzkie, a dodam w nawiasie, i na bezduszne stworzenia, czego dowodem ryby, — jak kąpiel parowa w porządnej łaźni, — a miasto winno dbać o zdrowie swoich mieszkańców, co ustawa sanitarna najwyraźniej wskazuje; (doskonale!) — dlatego stawiam wniosek i gorąco go popieram, aby świetna Rada gminna powzięła uchwałę: co rychlej łaźnię wybudować kosztem miasta, inaczej zdechł pies! — to jest... tego ten... inaczej.. inaczej (słysząc pukanie do drzwi) inaczej ani my mieszkańcy i obywatele tak szlachetnego i starożytnego grodu, ani nasze żony, dzieci i inne nasze osoby, w łaźni się nie będą mogły kąpać, i...

i... (słysząc pukanie powtórne) ...i ani my, ani też nasze żony, i dzieci... (znowu pukanie. Burmistrz z wściekłością zrywa się z siedzenia i przyskakuje ku drzwiom, uchylając je.) Kto tam?! do trzysta djabłów!

SCENA II.

Burmistrz. Szmul.

Szmul (wchodzi, kłaniając się uniżenie.) Upodom do nóg, pana burmiścia! upodom do nóg!

Burmistrz. Nie mam czasu; jestem teraz zajęty (chce go wypchnąć.)

Szmul. Panie burmiściu, jo tylko na chwileckie...

Burmistrz. Nie mam czasu, powiadam; później, do kancelaryi przyjdź.

Szmul. Kiedy jo tak na osobnoszczy chciałem powiedzieć słoweczko...

Burmistrz. No, no, gadaj żydzie, ino prędko, bo mi się spieszy ogromnie.

Szmul. Pon burmiść bezie laskawo wisluchacz, jo przisied do niego (tajemniczo do ucha) z bardzo fajnym interesem.

Burmistrz. No słucham, gadaj! (chodzi zniecierpliwiony.)

Szmul (j. p.) Panie burmiściu! jo jestem bardzo poziondny człowiek, jo nie kce nikomu krzywdy robicz, ale ten garborz Myszura przyjon szystek obstalunki z Biały, i un skóry garbuje do Biały, a mój żencz muszy z zieckiem i bachorami z głodu zdechnąć. (Burmistrz wzrusza ramionami, chcąc przerwać mówiacemu, Szmul go mityguje.) Niek pon burmiść tylko wislucho. Ten Mysiura to straszny gałgon, a gejłom, a szikejrim, un garbuje skóry taniej i on dlo tegie mo taki sciong do swojej garbarni, ale jo psisied do pon burmiść z uzioleniem o pomoc (chyttrze) jo się będę znoł na ziecy.

Burmistrz. Ale mój Szmulu, cóż ja ci na to poradzę?

Szmul. Jak tilko pon burmiść bezie chcioł, to un już poradzi. Temu fabrykantowi z Biały bardzo

pylno o te skory a garbarnia Mysiury jest nieczysto, i smrodliwo, bo un ji nigdy nie wycysco. Jak pon burmiść koże jemu zamknąć tego garbarnia, chociaź na tydzen skruny tego, bo sie jesce tutaj cholera może zawiązac, to ten fabrykant muszi odebracz skory, i do je do garbarni mój żencz, i będzie gut! Panie burmiść, jo nie chce tegi za darmo, (wyjmuje pugilares) panu burmiściowi to pon Bóg stokrotnie wynagrodży (wkłada burmistrzowi do ręki parę banknotów, ten niby to nie chce przyjąć, wzrusza ramionami i chowa w tył ręce) tego nikt nie poczebuje wiedzecz, jo si jeszcze poznom na ziecey, (wtyka mu pieniądze do kieszeni, czego burmistrz zdaje się nie widzieć) tylko prosie pięknie pana burmiścia, jesce dżiszok to zrobicz, bo mój żencz strasnie biydno człowiek, un z głodu muszy zdechnąć skruny tego drob Mysiura.

Burmistrz (zamyślony.) Hm! hm! to jest sprawa zawikłana.

Szum. Jo wiem, co pon burmiść wsistko zrobiy jak ino bezie keziol. Upodom do nóg! (spiesznie chce odejść.)

Burmistrz (prędko.) Panie Szmul! czy wy izralici kontenci jesteście ze swojej łaźni?

Szum (zdziwiony.) Dlo cegie mi momy bycz nie kontenci?!

Burmistrz. Jaktó?! nie życzylibyście sobie, żeby wam miasto swoim kosztem wybudowało porządną łaźnię, w którejbyście przed szabasem mogli się wykoszerować porządnie, i wasze żony, dzieci...

Szum. Pon burmiść może śpasuje...

Burmistrz. Ale nic nie śpasuję. To wstyd jest, żebyście i wy płacąc tak grube podatki i przyczyniając się zarówno do dobrobytu kraju i miasta, nie mieli mieć panie tego ten... osobno porządnej łaźni. No, no, pomyślę ja o tem. A dieu!

Szum. Upodom do nóg w pokorzie. A niek pon burmiść nie zapomniy zamknąć tego Mysiura. (Wychodzi kłaniając się.)

Burmistrz (sam. Wyjmuje otrzymane pieniądze i liczy.) 20 blatów, dobre i to, tymczasem. Zupełnie słuszna uwaga Szmula, że niechlujstwo tego garbarza

sprowadzić nam może cholerę do miasta. Strach! co to za obowiązki człowiek dźwiga na swoich barkach. Hm! hm! (zasiada przy stole i odczytuje wniosek napisany poprzednio, mrużąc) inaczej my mieszkańcy i obywatele, tego ten... tele, tele, wystawimy.. wystawimy, albo przedstawimy całą sprawę w gazetach krajowych i zagranicznych. Miejsce...

SCENA III.

Burmistrz, Honorata, Ildefonsa.

Ildefonsa (pozuje na sawantkę. Wchodzi.)

Bon jour, papa! (Całuje ojca w rękę.)

Burmistrz. A bon dziorno, bon dziorno, ki w a n o! (Wchodzi Honorata, kobiecina zawojowana, ubrana skromnie lecz czysto, ma biały muszlinowy czepek na głowie, który ciągle poprawia.)
Bon dziorno, le magnifikus domine!

Honorata. Dzień dobry burmistrzowi!

Burmistrz (powstaje z siedzenia.) Ile razy usłyszę Fonsię mówiącą po francuzku, to mi się zaraz Italia i język włoski przypominają. Tylko tu się mówi: bą żur, a tam bon dziorno, i tak dalej. No, i jakże się córusi spało? dobrze?

Ildefonsa. Niekoniecznie dobrze. Złe było pościelone łóżko, bo sobie bok na jakimś guzie słomianym odgniotłam. Mógłby już tatko kupić do łóżka materace.

Burmistrz. Dobrze, dobrze, kupię ci je do wyprawy i to panie tego ten z sprężynami. Córka burmistrza Wielkich Kozłowie może sobie pozwolić na sprężyny.

Honorata. A co może kosztować taki śpas?

Burmistrz. Hm! ja myślę, że z jakie 15 blatów.

Honorata. No, to jeszcze nie tak wiele. To wypadałoby już kupić córce cały garnitur materacy do dwu łózek: dla niej i dla męża.

Burmistrz. O! o! a to dobre! ja będę jeszcze mojemu zięciowi materac do łóżka kupował. Moja kochana, za dużo by było dwa grzyby do barszczu.

Ale... ale... wy kalkulowałem tutaj dzisiaj rano coś, co was niezmiernie ucieszy, jeżeli tylko mój projekt się utrzyma.

Honorata. No?

Ildefonsa. Cóż takiego?

Burmistrz. Zgadnijcie!

Honorata. Pewnie znowu jakąś bibę urządź zamysłasz..

Burmistrz. Nie zgadłaś tą razą.

Ildefonsa. (pospiesznie.) Może tatko wynalazł sposób, żebyśmy na wystawę międzynarodową pojechać mogli?

Burmistrz. Et! co tam wystawa. To także wystawa, ino nie międzynarodowa. No, nie będę was dręczył, skoro odgadnąć nie możecie. Otóż rozmyślając tak nad dobrem miasta, wpadłem na szczęśliwy pomysł; postanowiłem starać się, aby gmina nasza postawiła swoim kosztem w Kozłowicach łaźnię parową.

Ildefonsa (zawiedziona.) Łaźnię?

Honorata. Parową, powiadasz?

Burmistrz. A tak, parową! Uważcie tylko, moje panie! (do żony się zwracając.) Ciebie reumatyzm w krzyżach łamie, (do córki) a tobie coś panie tego ten brakuje.

Ildefonsa. Mnie nic nie brakuje.

Burmistrz. O! o! pytanie wielkie, moja panno!

Ildefonsa. O! nie.

Burmistrz. No, no, no. Nie będę ja się z tobą sprzeczał, smarkulo. Otóż nawiązując mowę, coś nam w naszym grzesznym cielsku dokucza; łaźnia jest, my ein, z wei, drei, bierzemy nogi na ramię, i hała, drała do łaźni. Przychodzimy tam, a tu panie tego ten posadzka jak lustro szklę się na wszystkie boki, wanny jak fliżanki z najczystszej porcelany, basen jak reitszula, rozbieracie się moje panie, i frajda, (pokazuje jakby pływał.) Moja Fonsia pływa sobie po basenie jak karaś w sosie, a moja magnifika siedzi w wannie, a fagas panie tego ten we fraku froteruje ją szczotką po krzyżach aż miło.

Ildefonsa (zapłoniona zakrywając oczy). Fi donc!

Burmistrz (zły, że mu przerwano.) Dlaczego z biędą?! przecież matka ma grzbiet gładki Potem panie tego ten, rzeźkie jak rybki przychodzicie do domu z szalonym apetytem, i (żartobliwie, obracając się do córki) moja córunia, nie grymasi już, że chleb razowy niesmaczny, ale p u c u j e go, jak nigdy nic. (Zaciera ręce.) I cóż wy na to?

Honorata. Ja pochwałam projekt burmistrza.

Ildefonsa (z uśmiechem.) I ja także, tylko zdaje się, że z tą łaźnią tak samo będzie, jak z temi plantacjami, których założenie miał tatko wykołatać u Rady.

Burmistrz. Cóż to? ty będziesz powątpiewała jeszcze w moją energię tam, gdzie się rozchodzi o przysporzenie tego ten... chciałem powiedzieć.. o sprawienie przyjemności dla mieszkańców miasta? (Chwyta papier ze stołu i uderza weń ręką.) Tu... tu... macie całą łaźnię, jak na talerzu. Nie dojem, nie dospię, póki moje słowo w czyn się nie zamieni. (Szuka kapelusza.) Zaraz lecę i kaptuję radnych na moją stronę.

Honorata. Mój Pitasiu! nie odchodźno jeszcze; chciałam z tobą porozmawiać w bardzo ważnej sprawie. (Córka podaje ojcu kapelusz.)

Burmistrz (w kapeluszu na głowie.) No, słucham, słucham.

Honorata. Usiądź trochę, sprawa, którą ci przedstawię, jest wielkiej wagi i potrzebuje szerszego omówienia.

Burmistrz (siada, nie zdejmując kapelusza z głowy.) No, no, słucham, (szarpie wąsa z niecierpliwością.)

Honorata. Bo to widzisz, jak się znowu zajmiesz budową tej łaźni, to zapomnisz zupełnie, że należałoby pomyśleć coś o weselu naszej córki.

Burmistrz (zdejmuje kapelusz i uderza się dłonią w czoło.) Prawda, prawda, zapomniałem na śmierć, a poczciwy Onożka t y s i, żeby już tej niedzieli dać na zapowiedzi. (Przy słowach „Onożka“ Ildefonsa wzrusza z grymasem ramionami i opuszcza pokój.)

Honorata (siadając.) Fonsia grymasi trochę nad Onożką, że za stary, że na nogę utyka...

Burmistrz (macha ręką.) Fanaberje, moja Honorko, fanaberje, nic więcej. Co to panie tego ten znaczy za stary?! Chłop ma wprawdzie 40 kilka lat, ale zdrowy jest przytem jak rydz i ma dzięgi, a to grunt. A że tam trochę kulawy, no to i co? Przecież to nie jest jeszcze wada tego rodzaju, żeby go robiła niezdolnym do małżeństwa. Nieprawda? A potem jeszcze i ta okoliczność za przyjęciem go przemawia, że w razie jakiejś ruchawki, właśnie dla jego kalectwa nie wezmą go do pospolitego ruszenia, i chłop panie tego ten, zostanie w domu przy babie.

Honorata. Richtig.

Burmistrz. Ja nie wiem, co się to teraz tym naszym pannom kręci po głowie. Każda chciałaby pójść za męża za jakiegoś mecenasa, doktora, sędziego, a rzemieślnik choćby był majątny i porządny, to u niej za nic. Smarkule! Ja także w młodości byłem tylko rzemieślnikiem, a dziś panie tego ten, dziękować panu Bogu — człowiek się i honorów doczekał i majątku dorobił, a to wszystko panie tego ten pracą rąk. A potem, czy jej to przy Onożce zabraknie czego? Chłop ma gotowe pieniądze, i gospodarzy niegorzej, i w gimnazjum liznął oświaty, i po niemiecku ś w a n d r o c z e jak rabin, i rajcą miejskim go zrobili. Co u diabła chce więcej od niego? Będzie sobie przy nim opływała w wszelkie dostatki jak pączek w maśle, bo poczciwy Onożka zakochał się w dziewczęciaku, i modli się do niej, nieprzymierzając jak kocur do polewki.

Honorata. Ano, może ty masz i słusznie.

Burmistrz. A potem widzisz moja Honorko, winniśmy mu te paręset reńskich, których nam pożyczył bez procentu. Chłopisko czeka cierpliwie, ani się nie upomnie, ani nie, wypadaloby zatem koniecznie odwdziaczyć się za tę delikatność w ten sposób, że mu damy córkę za żonę. Niech sobie tam za tę uczynność, u Fonsi słodkiego żywotu pokosztuje.

Honorata. Masz r e c h t.

Burmistrz (poufnie.) A ostatecznie moja Honorko! gdybyśmy i chcieli córkę wydać za kogo innego, to gdzież masz u diabła takiego głupca? Dziewczyna się starzeje, a każdy wie, że oprócz tego, co się jej ta po naszej śmierci w spuściznie dostanie, prócz ładnego liczka i wyprawy, obecnie nic więcej mężowi do domu nie wniesie. —

Honorata. No widzisz, drogi burmistrzu, Frygowski także się koło niej kręci.

Burmistrz (z złością.) Tylko mi też nie wspominaj o tej frydze, bo mnie zaraz na wspomnienie o nim szerokie pasje biorą. Cóż ona szczególnego widzi w tym fanfaronie? Praktykancina podatkowy, ma 300 złr. rocznej płacy, długów póty, (pokazuje na uszy) zarozumiałości póty (pokazuje na głowę), a we łbie sieczka zmieszana z trocinami.

Honorata. Ale ona ma do niego inklinację.

Burmistrz. Furda inklinacje. Jak się znajdzie po ślubie pod jednym dachem z Onożką, to i do niego inklinację poczuje. My, nimeśmy się z sobą pobrali, tośmy także żadnych gwałtownych sympatyj do siebie nie czuli, a potem (szturkając żonę figlarnie) pamiętasz Honorka jakieśmy się to nieraz ze sobą ciałkali. He, he, he! W końcu a propos Frygowskiego, muszę ci nadmienić, że my mamy pomiędzy sobą jeszcze jeden rachuneczek niezalutowiony... (grożąc) Zawsze mi on się jak piskorz z ręki wyslizgnie, ale niedoczekanie twoje, czy ja cię dołapać nie potrafię, a wtedy (zgrzyta zębami) ych! Kreuzkriminal...

Honorata. Burmistrzu! szanuj swoje zdrowie, nie irytuj się. A za cóżeś ty na niego taki oburzony?

Burmistrz (z gniewem.) Ja mu powiem za co, aż mu się prababka przyśni; ja go nauczę, co to znaczy gwizdać po kościele! (Uderza ręką w stół.)

Honorata. No?! Pitasiu! złościsz się, a nie objaśniesz mi, za co go tak nienawidzisz?!

Burmistrz. E, co ci ta będę opowiadał. (Macha ręką.) Paskudna historia i koniec.

Honorata. No? ale przecież...

Burmistrz. Hm! Ja myślałem, że ci ta historia jest znajomą, bo w swoim czasie głośno o tem po mieście trąbili. —

Honorata. Jako żywo, nic nie wiem.

Burmistrz (wstaje, zakłada ręce w tył i zaczyna chodzić po pokoju, mając głowę na dół spuszczoną. Po chwili jakby zażenowany, nie patrząc w oczy żonie, cedzi słowo za słowem:) A... graliśmy sobie preferka w resursie, było tam masa gości, i przy kartach od słowa do słowa, ten bałwan ośmielił się nazwać mnie kulfonem i . . . jeszcze jakimś tam tytułem mnie obdarzył. Ach! kreuz - kriminal - schockschwerennoth - vermale daj te . . . Należę ja ci gorącego sadła za skórę. (Zaciska pięście.)

Honorata. A to hultaj skończony. Nie mógł ci to tego we dwa oczy powiedzieć . . .

Burmistrz. Szubienicznik! (Chwila milczenia. Burmistrz wielkimi krokami mierzy pokój.) Uf! (oddycha głęboko) ale na czem my to skończyli, aha! na stanowczem przyjęciu Onożki za zięcia. Trzeba będzie kazać zapowiedzi wywołać z ambony.

Honorata. No a jakże? masz na tyle pieniędzy, aby teraz sprawić jakie porządne wesele?

Burmistrz. Pieniądze się znajdują.

Honorata. Znajdą, ale kiedy?

Burmistrz. Otóż widzisz moja Honoroko, wesele naszej córki tak jest z sprawą budowy łaźni powi-
kłane, że chcąc jedno doprowadzić do skutku, trzeba i drugie rozpocząć . . .

Honorata. Jakto?

Burmistrz (siada.) Widzisz, przy takiej budowie, albo się od przedsiębiorcy jakieś grube łapowe capnie za to, że się mu przy odbieraniu budowy na różne usterki będzie przez palce patrzyło, albo też wzięwszy z kimś interes do spółki, tak się kosztorys wykroi, że zawsze panie tego ten większa połowa pieniędzy pobranych z kasy miejskiej zostanie... tu! (Wsuwa rękę w kieszeń.) *V e r s t a n d e n*?

Honorata. No, ja już z wszystkim się na ciebie spuszczam. (Powstaje z siedzenia.)

Burmistrz. A zatem (wkłada kapelusz na głowę) ty przysposób jeszcze Fonsię, i wytłumacz jej, żeby żadnych fochów nie stroiła, a ja dla jej szczęścia pójdę za budową łaźni, no i do proboszcza wstąpię po drodze. Adieu! (Zabiera się do odejścia.) Laskę mi podaj!

Honorata (szuka laski, a znalazłszy ją podaje burmistrzowi.) Niech cię Bóg prowadzi! (Burmistrz otwiera drzwi i spotyka się w nich oko w oko z wchodzącym Onożką.)

SCENA IV.

Ciż i Onożka.

Onożka (już dobrze podtatusiały człowieczek z pokazną łysiną; jedną nogę ma cokolwiek sztywną; twarz okrągła, rumiana, świecąca się od potu; wiecznie chytrze uśmiechnięty, stawia się zaraz prosto, wydymając się przytem cokolwiek naprzód.) Hy! hy! hy! Wie geht's Pitek? hy! hy! hy! Całuję rączki pani burmistrzowej (wita się z nią.)

Burmistrz. O wilku mowa, a wilk tu. (Zdejmuje kapelusz i powraca odedrzwi.) Witam! witam acana!

Honorata. Jakże się tam panu powodzi?

Burmistrz. Siadajże (podstawia mu krzesło.)

Onożka. Hy! hy! hy! dziękuję. Jak groch przy drodze, (siada) hy, hy, hy!

Burmistrz. Cóż tam słyhać nowego u ciebie?

Onożka. A jak zwykle. Bięda, aże piszczy. Hy, hy, hy!

Honorata. E, pana Kalasantego to się zawsze żarty trzymają.

Onożka. Nie przeczę, nie przeczę, hy, hy, hy! (Uderza się ręką o kolano.) A cóż to? panny Ildofonsy pewnie nie ma w domu.

Honorata. A jest, jest. Koło gospodarstwa się krząta, ale lada chwila nadejdzie.

Onożka. Gosposia, gosposia, hy, hy, hy!

Burmistrz (częstuje cygarem Onożkę.) Powiadam ci, dziewczyna się zupełnie we mnie wdała.

Onożka (ugryza łebek cygara, burmistrz mu podaje zapalękę.) Hy, hy, hy! (ciągnie cygaro). Co prawda... py... py... py... to nie grzech.

Burmistrz (zapalając cygaro.) Py... py... py... satysfakcja pomyśleć, co tu będzie... py... py... py... z niej później... py... py... py... skoro już teraz takie to panie tego ten do wszystkiego ciekawe. Ale á propos Fonsi (puszcza kłęb dymu) muszę ci kochany przyjacielu powiedzieć, że właśnie mieliśmy tu przed chwilą konferencję z moją żoną, rezultatem której jest, dać najbliższej niedzieli wywołać pierwszą zapowiedź, a po trzeciej pobłogosławić was, no i wio wózek!... niech się kółka obracają. Będą miały bociany tego roku świeżą robotę, he, he, he!

Onożka. Hy, hy, hy! (powstaje wzruszony) przyjacielu mój, (ściska się z burmistrzem) dobrodziejko, (całuje obie ręce Honoracie) ja tu będę wam się starał wszystko stokrotnie wynagrodzić, jak nie na tym, to na tamtym świecie. (Siada i wyciągając kraciastą chustkę z kieszeni, ociera oczy.)

Honorata (wzruszona.) Nigdyśmy nie zwątpili w pańskie dobre chęci. —

Burmistrz. Dobrześ powiedziała (poważnie), *Kalasanty* (ściska mu ręce), wierzaj mi, że jeszczem cię nie znał, a mając córkę, przemyślałem tylko nad tem, aby znaleźć dla niej męża, któryby był do ciebie zupełnie podobny.

Onożka. Hy, hy, hy! (głaszcze łysinę i kłania się.) Dzięki stokrotne!

Honorata. Tylko panie *Onożka!* (płaczliwie ocierając oczy) niech też pan z początku delikatnie się z *Fonsią* obchodzi, bo to takie delikatne jak kurczę. (Siąka nos.)

Burmistrz. Hm! panie tego ten...

Onożka. A cóż to ja moja dobrodziejko baszybuzuk, albo zwierz jaki, żebym się pastwił nad taką śliczotą? hm?

Burmistrz. Potwierdzam, potwierdzam, panie tego ten..

Onożka. Huncwot moje imię, czy jej ze wszystkim dogadzać nie będę.

Burmistrz (grożąc mu na nosie.) Filucie, filucie! co to panie tego ten za ogień młodzieńczy w jego łonie. Poznać zaraz ludzi dawnego autoramentu.

Onożka (gładząc się po łysinie.) Hy, hy, hy! zawsze byłem oszczędnym w szafowaniu uczuciem!

Burmistrz. Bravo, bravo! co dzień młodszy! (Do żony, która nos wysiąkłszy, uśmiecha się.) No, no, moja. Honorko, skoczno i powiedz córce, żeby się ubrała i przyszła tutaj powitać swego narzeczonego, panie tego ten. Powiedz jej, że bez niej wytrzymać nie może.

Honorata. Przepraszam (wychodzi.)

Onożka (głaszcząc łysinę, kłania się.) Hy! hy! hy!

Burmistrz. A my sobie tutaj tymczasem pogadamy jeszcze o niektórych ważnych sprawach. (Przysuwa krzesło bliżej Onożki.) Właśnie miałem iść do ciebie, aby ci zakomunikować jeden projekcik, który jeżeli popierasz, zobowiąziesz mnie tem wielce. (Suwa palcami przed oczyma Onożki tak, jakby przeliczał pieniądze.)

Onożka (chciewie.) No, no, gadajno, ciekawym.

Burmistrz. Z naszym projektem budowy ratusza z babraliśmy się na Radzie okropnie; chcąc obecnie naszą reputację poprawić, mam zamiar postawić projekt nowej budowy, której cały świat przyklasnąć musi.

Onożka. Gadaj, gadaj.

Burmistrz. Chcę wybudować dla dogodności mieszkańców miasta, panie tego ten... łaźnię, ale powiadam ci coś... coś... non plus ultra, (posyła w powietrze całusa.)

Onożka (krzywiąc się.) Zbytek!

Burmistrz. Jako zbytek? konieczna potrzeba, ale nie zbytek. Przepisy sanitarno-policyjne nakładają na gminy obowiązek starać się o zdrowotność mieszkańców miast, a cóż tak działa równie dobrze na zdrowie ludzkie, jak porządna parówka? No, powiedz? nie mam słuszności? A obecnie w jakiż sposób odbywa się u nas ten akt, będący konieczną potrzebą dla utrzymania zdrowia? Otóż — ja ci powiem. Z braku łaźni, tak my, jak również i nasze żony i nasze dzieci zmuszeni jesteśmy kąpać się

w brudnej wodzie stawu, do którego zdechłe psy i koty wrzucają, do którego włączając nie może człowiek wiedzieć, czy mu tam jakiś potwór wodny którego członka panie tego ten nie ugryzie, do którego włączając narażamy się na śmierć nieochybną, bo w razie zaplątania sobie nóg pomiędzy zielska, które ten staw porastają, i maszyna parowa by nas ztamtąd wyciągnąć nie potrafiła. A potem mój kochany, człowiek kąpiący się w nim, nie może należycie ukryć swej nagości przed okiem ludzkim, co znowu sprzeciwia się przepisom o obyczajności publicznej i ma być surowo karaniem. Dla tego projekt mój jest czemś tak wzniosłym i tak pożądaną rzeczą, by przyszedł do skutku, że zaliczanie go do zbyteków i nieprzyznawanie słuszności moim wywodom, jest poprostu nonsensem, godnym panie tego ten publicznego skarcenia. (Ociera czoło.)

Onożka. A wiesz co? twój projekt zaczyna mi się podobać, tylko powiedz no mi, ile by budowa takiej łaźni kosztowała?

Burmistrz. A bo ja wiem, może 10 do 12 tysięcy.

Onożka. 10 do 12 tysięcy?! Bój się Boga! Miasto się nigdy na taki wydatek nie zgodzi.

Burmistrz. Musi. Tu nie rozchodzi się obecnie o cenę, tu rozchodzi się głównie o uznanie potrzeby przedsięwzięcia takiej budowy, a za jaką cenę to się stanie, będzie rzeczą inżyniera, kosztorys układającego. Obecnie najważniejszą rzeczą jest postarać się o to, aby projekt mój, który na najbliższem posiedzeniu Radzie przedłożę, przeszedł absolutną większością głosów.

Onożka. W tem sęk!

Burmistrz. Owszem, nie widzę tu żadnego sęka. Zasiada nas w Radzie ośmnastu, potrzebujemy zatem głosów 10. Ja i ty to już dwa głosy, nieprawdaż?

Onożka. No tak.

Burmistrz. Świstackiego, Chłystka i Kiszkę skaptujemy na naszą stronę przyrzeczeniem, że przeznaczy się ich do nadzoru tych robót za wy-

nagrodzeniem z kasy miejskiej po 5 złr. dziennie. Będziemy mieć wtedy głosów pięć...

Onożka. No tak.

Burmistrz, (liczy na palcach.) Kijas panie tego ten mając kamieniołom, a Tyrkociński cegielnię, przy takiej budowie grubo zarobiliby na dostawie materiału budowlanego; doliczając zatem ich dwa głosy, będziemy mieć głosów siedm, Mordko będzie bez prośby przemawiał za projektem, bo on nasz; mamy zatem razem głosów 8; rozchodzi się tedy jeszcze tylko o 2 głosy, a o te się już postaramy.

Onożka. Łatwo powiedzieć.

Burmistrz. Mój kochany, ty wszystko widzisz z złej strony. Między dziesięcioma potrafimy przecież jeszcze dwa głosy na naszą stronę skaptować. Już Widłowski jako krewniak Kiszki nie będzie przeciwko nam panie tego ten występował, widząc, że Kiszka po naszej stronie; a myślisz, że Fafuła za jakąś tam łapówkę nie będzie razem z nami szczekał? a Barnaba lepszy? a Mopsiewicz? Tylko się szczerze zabrać do dzieła i z energią, a zrobimy, co zechcemy.

Onożka (klepiąc się po kolanach.) Hy, hy, hy! a to byłoby dobre.

Burmistrz. Paradne! Że po tysiącce by się nam okroiło, to tak jak amen w pacierzu; (klepie po ramieniu Onożkę.) Mój kochasiu! zakręć no się ty koło tej sprawy, tak jak to umiesz, a ja znowu z swej strony stosowne kroki poczynię.

Onożka (j. p.) Ta dobrze, dobrze.

SCENA V.

Ciż, Ildefonsa.

Ildefonsa (wchodzi z otwartą książką. Onożka kłania się jej uniżenie, ona odklania się lekko głową i wykrzywiając usta, z ruchem wzgardliwym siada przy stoliku, omal tyłem obrócona do Onożki. Zagłębia się w czytaniu. Onożka głaszcze z pośpiechem łysinę, pochrząkując, jakby zbierał myśli.)

Burmistrz. Fonsiu! połóż no tę książkę! Nie widzisz to, że pan Onożka przyszedł do ciebie?

Ildefonsa (półgębkiem, nie odwracając oczu od książki.) Niezmiernie obowiązana.

Onożka (chrząka i po kilka razy poprawia się na krześle.)

Burmistrz (do Ildefonsy zwrócony.) Połóż tę książkę, mówię.

Ildefonsa (czyniąc jego żądaniu zadość, niechętnie.) Kiedy właśnie stanęłam na najciekawszem miejscu.

Burmistrz. Potem dokończysz.

Onożka. Zapewne romans. (Powstaje i czyta napis.) „Safo, romans paryski Alfonsa Daudeta.“ Nie, nie znam tego, a czytało się przedtem tego paskuctwa (zakrywa usta przestraszony, p. c.) m a s a m i. (Siada.)

Burmistrz. O! moja Fonsia to pasjami lubi te książki. Przyjdzie wieczór, to czyta i czyta do późnej nocy, że czasem muszę wstawać z łóżka i obcesowo gasić lampę, żeby spać poszła.

Onożka. Hy, hy, hy! To bardzo pochlebne o Pani, ta chęć wzbogacenia swej wiedzy. Ja także lubię czytać, tylko mam taką bestjałską naturę, że jak wezmę romans do ręki, zaraz chrapię. (Fonsia się szyderczo uśmiecha.)

Burmistrz. Kubek w kubek tak samo i u mnie. Dla mnie kroniczka w gazecie jakiś panie tego ten w i t z w kalendarzu, wystarczy za całą lekturę. Co za nadto, to nie zdrowo.

Onożka (do Fonsi.) Co mnie jeszcze dosyć zajmowało, to ta „Błada hrabina“, co zeszytami z Wiednia przychodziła. Czytała Pani?

Ildefonsa. Być może.

Onożka. Te morderstwa, otrucia, kradzieże, to mnie jeszcze bawiły, hy, hy, hy! tylko że jak się człowiek tych okropności naczytał, to później i spać nie mógł, tylko się po łóżko przewyrtał, a przewyrtał, a zasnąć nie mógł. A tak! hy, hy, hy! wciąż się mu te morderstwa na śnie bajdurzyły.

Ildefonsa (szyderczo.) Więc aby się pozbyć tych sennych widziadeł, zaprzestałeś pan książki czytać?

Onożka. Nie zupełnie. Nim się spać położę, przewyrtam sobie zawsze kartki kalendarza.

Ildefonsa (j. p. z naciskiem.) Przewyrtasz Pan sobie?

Onożka (śmieje się głośno.) Ta, co mam robić proszę pani! hy, hy, hy! kawaler

Burmistrz (wybuchając śmiechem, na stronie.) Bestja dowcipna!

Ildefonsa (zgorziona, nie patrząc na Onożkę.) I nic już pana teraz więcej po nocach nie straszy, odkąd pan prócz kalendarza inne książki czytać zaprzestał?

Onożka (zapalając się stopniowo.) Ta, straszyć mnie nic nie straszy, ale jeszcze nie zupełnie spię spokojnie. Człowiekowi wiecznie czegoś brakuje. Hy, hy, hy! wiecznie za czemś tęschni, kogoś oczekuje...

Burmistrz (j. p. na stronie.) A to psia krew, wymowna.

Ildefonsa (j. p.) I jakże tam pańskie kanarki? zdrowe?

Onożka. Dziękuję za pamięć łaskawą. Jeden samiec pierzy się teraz, więc nie śpiewa, ale za to drugi różnie kuranty od świtu do zmroku aż miło. Hy, hy, hy! Radbym ja jeszcze innego kanareczka dołapać, bo klatkę już mam...

Ildefonsa. Hanowera?

Onożka. Hy, hy, hy! On Kozłower proszę pani, ale Hanowery przed nim w ką. (Klepie się ukontentowany z swego dowcipu po kolanie.)

Burmistrz (wybuchając śmiechem.) A niechże go...

Ildefonsa (po chwili, ciągle nie patrząc na Onożkę, który ją pożera oczami.) No, a na gitarze pan grywasz jeszcze?

Onożka. Czasami się ta cokolwiek zabrzączy, jeżeli jest człowiek w humorze.

Ildefonsa. A kiedy pan jesteś w humorze?

Onożka. A zawsze.

Ildefonsa. To pan powinieneś ciągle grać na gitarze...

Onożka. Hy, hy, hy! i to prawda. Człowiek by ta i grał wciągle, tylko go nie ma kto słuchać.

Ildefonsa. Zapomniał pan o kanarkach i...

Onożka. I?

Ildefonsa. I o swojej ukochanej gospodyni. (Burmistrz trzepie ręką w powietrzu, jakby się sparzył: Onożka połknął ślinę, zeszytywniał, chrząka głaszcząc łysinę. Przykre milczenie.)

Burmistrz (powstając.) Panie tego ten.... (patrzy na zegarek.) Jedenasta godzina, trza mi będzie zaglądnąć do kancelarji. Dobrodziej tutaj zostaniesz?

Onożka, (który ciężko westchnął.) Nie, idę z tobą.

Burmistrz. Ale zostań, pogadacie sobie razem, przecieżeście narzeczeni....

Ildefonsa (udaje, że nie słyszy.)

Onożka. E, ja tu jeszcze przyjdę, a teraz muszę jeszcze wstąpić do Sapalskiego po interesie.

Burmistrz. Dobrze i tak, ale pamiętaj zaglądnąć tutaj po południu; pogwarzymy w kółku familijnem. (Zabiera się do odejścia. Onożka kłania się głęboko Ildefonsie.) Cóż to! nie podacie sobie ręki? (Onożka wyciąga dłoń, Ildefonsa swoją z odrazą podaje.) No! m l a s k! (Onożka składa chciwie pocałunek, Ildefonsa wzburzona wyrywa rękę.) Tak to mi się podoba. Adieu!

Onożka (zadowolony, śmieje się głaszcząc łysinę.)
Moje uszanowanie.

Ildefonsa. (ze złością.) Szanowanie. (Wychodzą.)

SCENA VI.

Ildefonsa (sama.)

Ildefonsa (z furją.) Bałwan! obrzydliwy niedołęga! Co jemu się zachciewa?! (Chodzi po pokoju, i od czasu do czasu to książką, to czem innem uderza z gniewem po stoliku.) Ja mu te amory z głowy wyżnę, ani się tatko nie spodzieje, kiedy się to stało. A to dobre, żebym ja takiego idjoty żoną być miała! O! raczej śmierć! Stary, brzydki, kuternoga! Coby moje koleżanki na to powiedziały? Zostać żoną spanoszonego rzeźniczuka, tfu! (spluwa.) Ładne widoki! Dom za kratami i stary wyga, wiecznie uśmiechnięty, niezdolny wznieść się nawet myślą do wysokości

takiego uczucia, jakim jest miłość. Ja sobie to przedstawiam, jak wygląda pożycie małżeńskie z takim Onożką. Miałabym tam u niego wszelkie wygody dopóty, dopóki bym temu niedołądze schlebiać chciała. Miałabym go zawsze u nóg swoich z gitarą i morisonami, — śpiew jego kanarków zastępywałyby mi przyjemny szczebiot kochającego małżonka, — w łóżku piłabym kawę przekąsając ją kiszka —, na obiad jadłabym kiszka z ziemniakami i pieczeń wieprzową z kapustą, za którą on tak przepada, a na kolację kawałek kielbasy lub ozoru. Moje towarzystwo składałoby się z jego siostry, która wyszła za mąż za jakiegoś kupczyka handlującego niciami, z sąsiadki, pani Grzegorzowej, która całe życie spędziła na cerowaniu pończoch, z pana Lubierajskiego, takiego starego idjoty, jak mój pan in spe i z pana Goldfassa, za pośrednictwem którego Onożka pożyczła pieniądze na lichwę. (Wybucho głośnym śmiechem.) Ha! ha! ha! śliczna perspektywa (chodzi po pokoju chwilę i znowu się śmieje) ha! ha! ha! Inaczej ja sobie mą przyszłość przedstawiam. Chociaż nie spodziewam się już dostać za męża jakiejś grubej ryby, ale przynajmniej przy Frygowskim mogę bywać w świecie. Lada dzień zostanie adjunktem, a jako adjunkt na partykularzu może uchodzić za dygnitarza. W domu będziemy sobie żyć skromniutko, ale na zewnątrz wystawnie. Wynajmiemy sobie eleganckie mieszkanie, garderobę swoją zupełnie uporządkuję, będziemy bywać na balach, zabawach, wydawać wieczorki, będę olśniewała tualetami, kokietowała, imponowała, etcætera, etcætera. Urzędnikowi prędzej jakoś pożyczą pieniędzy, niż komu innemu, a zresztą od tatki zawsze coś wycisnąć potrafię. — Lepszą zrobiłabym partję, wychodząc za mąż za Poraja, cóż kiedy się ten facet coś zanadto z sobą drożył. Ale co tam! Frygowskiego kocham i czuję, że będę z nim szczęśliwą.

SCENA VII.

Taż i Honorata.

Honorata (wchodząc.) Cóżęsty Fonsiu taka roz-

ogniona? gonisz i gonisz, jeszcze się o co uderzysz i potłuczesz.

Ildefonsa. To mamusia także przeciwko mnie spiskuje?! A ładnie. (Siada na krześle i szlochać zaczyna.)

Honorata (siadając przy niej, tuli ją do siebie.) Ależ córunio moja, o jakimże ty znowu spisku wygadujesz. Nic nie pojmuję. Nie płacz....

Ildefonsa (nie przestając szlochać.) Chcielibyście się mnie jak najprędzej z domu pozbyć.

Honorata. Kto? co? jak? co ty pleciesz, biedna dziewczyno? ja ci się chcę pozbyć z domu? Fonsiu! coś ty powiedziała?

Ildefonsa (j. p.) A tak! tak! chcecie mnie wypchać za Onożkę.

Honorata. Ja?! Bój się Boga! Ja... ja... o niczem nie wiem. To ojciec.

Ildefonsa. Gdyby się mamusia na to nie zgadzała, toby się i ojciec tak nie opierał.

Honorata. Ja... ja... byłam zawsze przeciwko Onożce, protestowałam, wystawiałam, cóż kiedy sobie ojciec nie dał nic powiedzieć.

Ildefonsa. O! biedna ja, biedna! To na to kazaliście mi się kształcić, żeby później takiemu obrzydliwcowi wydać na łup? to na to trapiłam się nad książkami, abym później tem więcej umiała uczuć całą różnicę, jaka nas rozdziela? O Boże! Boże! z mojem wykształceniem zostać żoną takiego potworu, to coś okropnego!

Honorata (tuli córkę w objęcia.) Fonsiu! Fonsieczko! słuchajno, nie płacz; ja jeszcze raz ojcu wystawię, stanowczo się oświadczę przeciwko Onożce, nie płacz...

Ildefonsa. Mama tylko obiecuje, a jak tatko jeno wąsami ruszy, znowu z nim przeciwko mnie wystąpi.

Honorata. Nie, nie. Teraz już nie wystąpię, tylko nie płacz, uspokój się; no nie płacz, przysięgam ci na wszystkie świętości, stanowczo się ojcu oprę.

Ildefonsa (przestając szlochać, całuje matkę po rękach.) A pewnie?

Honorata. No, skoro ci się już przysięgłam, to mi zaufać możesz. (Westchnąwszy głaszcze córkę po głowie.) Będzie to jakoś, będzie. Ojciec się pozłości, ale w końcu musi odstąpić od swego zamiaru.

Ildefonsa. A mówiła mu mamusia o Frygowskiem?

Honorata. Mówiłam, ale sobie nie dał o nim nawet wspominać. Strasznie na niego zagniewany. —

Ildefonsa. Szczęście córki ma za nic.

Honorata. Frygowski ojca ciężko obraził; nie może zapomnieć.

Ildefonsa. Ależ to być nie może. Frygowski taki spokojny, nikogo nie zaczepi.

Honorata. Ojciec by przecie nie kłamał. Nazywał go kulfonem, i jeszcze coś paskudnego na niego w kasynie powiedział.

Ildefonsa. To nie może być; ja się go zaraz spytam; musi się usprawiedliwić, ojca przeprosić.

Honorata. No próbuj, próbuj; ojciec ma żal do niego, skompromitował go w obec obcych.

Ildefonsa. Nie chce mi się w to wierzyć.

Honorata. Dowiedz się, ja ojcu jeszcze raz w y s t a w i ę.

Ildefonsa. Niech mu mama powie, że Frygowski ma przyszłość przed sobą. Rodzice jego mają folwark w Galicji wschodniej. Zawsze się mu coś w spadku dostanie, bo folwark dobrze zagospodarowany, a jest ich tylko sześcioro rodzeństwa. Jeden brat, adwokat, jest już na swoim utrzymaniu; dwie siostry poszły za mąż i dostały część swoją; tylko jeszcze on, jeden brat młodszy i jedna siostra mają prawo do spadku. Niech mu mamusia te słowa detailicznie powtórzy, bo Frygowski nie ma przedemną żadnych sekretów, i jak tylko znajdzie sposobność ze mną się spotkać, wszystko mi zawsze odkrywa. To bardzo poczciwy chłopiec. Skończył cztery gimnazjalne, piątą zaczął, ale musiał wystąpić, bo go belferzy ogromnie sekowali; nie mieli co z nim w domu robić, tak go wepchali do urzędu podatkowego. Egzamina złożył i lada dzień zamianują go adjunktem, choć nie jest na turze, ale ma za to plecy we Lwowie. Jego wujaszek, co jest księdzem na Rusi, jeździł

umyślnie w tej sprawie do samego prezydenta, a potem proteguje go także jeden radca, którego synowi dawał Frygowski lekcje na skrzypcach, jak jeszcze chodził do gimnazjum. Niech mamusia ojcowi przedstawi, że skoro Frygowski parę lat jako adjunkt posłuży, zostanie kontrolorem, potem poborcą, potem nadpoborcą, i będzie miał do 1400 złr. rocznej pensji, przytem *quinquena* i dodatek aktywalny. Nie zapomni mamusia?

Honorata. Nie zapomnę.

Ildefonsa. Niechże mamusia powie także ojcowi, że on umie piłeczką wyrzynać z takich deszczulek różne śliczności. On wyróżnie ojcowi podzegarek i jeszcze coś. Moja kochana mamusiu (ściska i całuje matkę), niechże mamusia nie zapomni powtórzyć tego ojcowi, bo on lubi ogromnie przyjmować prezenta, a co do tej rzekomej obrazy, to ja się o wszystko wypytam, a potem opowiem. (Słychać kroki za sceną.) O! o! zdaje się, że ojciec nadchodzi. Moja droga mamusiu! (Zarzuca matce ręce na szyję, całuje ją i spiesznie wybiega.)

Honorata (poprawiając czepek na głowie.) Po-cziwa dziewczyna!

SCENA VIII.

Honorata, Burmistrz, Jan.

Burmistrz (w złym humorze; wchodząc szepce:) Jesteś tu?

Honorata. A jestem. Cóż tam słysząc nowego? Jakiś nie swój.

Burmistrz (rzucając kapelusz o stół.) Niech ta djabli biorą, mieć coś do czynienia z tymi kołtunami. (Chodzi po pokoju rozgniewany.)

Honorata. Cóż?

Burmistrz (macha ręką.) A! zdaje się, że skroś tego łotra Kiszki, cały mój projekt zejdzie na psy. Inom wyszedł z domu, spotykam się oko w oko z tym powsinogą, wykładam mu panie tego ten całą rzecz jak na talerzu, a ta bestja tylko uśmiecha się,

a szczerzy zęby, a szczerzy, a przytakuje i formalnie drwi sobie ze mnie. No i co tu począć z taką hołotą? Jak nie będę miał za sobą Kiszki, to nie będę miał Widłowskiego, Świstackiego i Chłystka, bo te bestje razem kąty po szynkowniach wycierają, kupy się trzymają i jeden bez drugiego ani mru, mru.

Honorata. A dla czegoż Kiszka przeciwny twojemu projektowi?

Burmistrz. Ano, chce koniecznie sprzedać miastu swoją budę, co się już wali, nibyto, aby ją z placu rozebrać, a przeto gminną targowicę na bydło rozszerzyć, i boi się, żeby poczynając budowę łaźni, panie tego ten, pieniędzy dla niego w kasie miejskiej nie zabrakło.

Honorata. A to huncwot!

Burmistrz. Szubienicznik! (p. c.) A tak sobie to elegancko wykalkulowałem. Tu by się coś oberwało, tu coś, człowiek by sobie kieszeń naładował, teraz wszystko p f u t s c h!

Honorata. A nie dałoby się jeszcze coś zrobić, aby przecież z czasem projekt twój do skutku doprowadzić?

Burmistrz. Ta czekaj tatka do latka, aż kobyła zdechnie! Ja na gwałt potrzebuję pieniędzy. Onożkę wysłałem do proboszcza, aby dał na zapowiedzi; chcąc wesele sprawić potrzeba mieć m u e s, a tu w kieszeni płótno. Od projektu mego jeszcze nie odstępuję i walczyć będę za przeprowadzeniem go do skutku do upadłego, tymczasem jednakowoż trzaby zkąś chociaż jaką stóweczkę wytrzasnąć, inaczej zdechł pies. (Głośno.) Janie!

Honorata. Co zamyślasz?

Jan (wchodząc.) Co pan prezydent rozkaże?

Burmistrz. Zawołaj mi tu Goldfassa!

Jan. Zaraz. (Wychodzi.)

Honorata. A tobie co po Szmulu?

Burmistrz. Ano pchnę go gdzieś pomiędzy żydów; może pożyczą.

Honorata. A słuchaj no Pitasiu! nie dałoby się to może z tym Onożką odwlec jeszcze trochę? Przecież....

Burmistrz (zły, mierząc pokój wielkimi krokami.) Nie da się, nie da się.

Honorata (chodzi za nim.) Dla czego się nie da? Potrzebnie to zadłużać się, skoro Fonsi nie pilno iść za męża.

Burmistrz (j. p.) Nie pilno? ale mnie pilno. Jak ją za męża wydam, będę miał złej na głowie.

Honorata. Ale mój kochany burmistrzu, zastanówno się trochę. Ta ona znowu nie jest tak wielkim ciężarem dla ciebie, żebyś się jej miał tak obcesowo z domu pozbywać.

Burmistrz. Czy jutro, czy pojutrze — jeden djabeł. Onożka mi nie daje spokoju, Onożce się słowo dało, ludzie zaczynają przebąkiwać, że nie sprawiamy wesela, bo w domu bieda, trza im raz pyski zamknąć. Za dwa tygodnie ślub i basta. (Chodzi wciąż po pokoju.)

Honorata. Ale możeby...

Burmistrz. Żadnego ale. Befehl ist Befehl und basta!

Honorata. Chciałabym ci jeszcze raz wystawić...

Burmistrz. No, no. Wystawiaj, wystawiaj, ino tak ein-zwei-drei, bo mi już głowa pęka od tych kłopotów.

Honorata. Bo widzisz, jak mi Fonsia mówiła, to ten Frygowski, ma wcale ładną przyszłość przed sobą.

Burmistrz. No to i co? (Nie przestaje przechadzać się, ręce obie ma schowane w kieszeniach. *Honorata* to przystawa, bawiąc się jakimś przedmiotem w palcach, to znowu za mężem swoim postępuje.)

Honorata. To może i on byłby dla niej stosowniejszy na męża?

Burmistrz (z gniewem, przystając.) Kreuz-kriminal-schockschwerennoth-bassamavermaledajte! — jak zacznę klnąć i teremtetować, to się ten cały dom djablami zapełni! Gadałem wam już tysiąc razy, żebyście mi o Frygowskim nie wspominały, bo... (chłodniej) bo z tego nic nie będzie. Jak widzę, to ci znowu córunia tym

frygą głowę zawracała, jak mnie w domu nie było.
(Chodzi wzburzony.)

Honorata. A mówiła, że to taki chłopak spokojny, nie chciał cię z pewnością obrazić...

Burmistrz (przystając.) Czy on to chciał zrobić, czy nie chciał, to mnie to nic obchodzić nie może. Dość że obraził i to grubo. (Grozi.) Ja go dostanę. (Chodzi po pokoju.)

Honorata. Bo widzisz mój kochany burmistrzu, jak Fonsi nie pozwolimy iść za tego Frygowskiego, to ona nam w oczach zmarnieje.

Burmistrz. Fanaberje, moja Honorko, nic więcej.

Honorata. Ona za nim przepada.

Burmistrz. Fanaberje, powiadam.

Honorata. Więc żadne względy nie wpłyną na zmianę twego postanowienia, byś Fonsię wydał za Frygowskiego?

Burmistrz (zaperzony, drze się na całe gardło.) Ależ nigdy i za nic w świecie, jeszcze raz powiadam. (Chodzi znowu.)

Honorata. Choćby się pokazało, że gniew twój nie jest usprawiedliwiony?

Burmistrz. Choćby i to.

Honorata. Bój się Boga człowieka, ty chyba nie kochasz swej córki, skoro dla przyjaźni Onoźki chcesz mu ją oddać za żonę, wiedząc o tem, że ona za innym przepada.

Burmistrz. Ano, słowo się rzekło, kobyła u płotu.

Honorata. Lepiej przecież słowo złamać, niż upieszcześliwić dziewczynę.

Burmistrz. Onoźka ma dzięgi.

Honorata. I Frygowski je mieć będzie.

Burmistrz. W nosie.

Honorata. No zobaczysz, kiedy. Jego rodzice mają folwark na Rusi.

Burmistrz. Jego rodzice mogą mieć, ale on ma figę.

Honorata. Zostanie wkrótce adjunktem.

Burmistrz. Jutro.

Honorata. Nie jutro, ale tymi dniami.

Burmistrz. A niech sobie zostanie. Będzie jeden adjunkt więcej. (Nie przestaje chodzić.)

Honorata. Ma ogromne plecy we Lwowie.

Burmistrz (parska śmiechem.) Ciekawym, ktoby drapał we Lwowie za takim świdygałem.

Honorata. A ma tam jednego radcę, co mu syna uczy grać na skrzypcach.

Burmistrz. W nosie.

Honorata. A żebyś wiedział, jak ślicznie wyrzy-na piteczką!

Burmistrz. Wyrzynanie mu chleba nie da.

Honorata. Wyrznął by ci podzegarek.

Burmistrz (podnosząc pięść do góry.) Ja mu wyrżnę podzegarek, aż mu się na cyferblacie wska-zówki pokrzywią.

Honorata (przystępując ku niemu, łagodnie:) Mój Pitasiu! nie bądź no tak zagniewanym: Dziewczęćisko się na śmierć w Frygowskim zakochała.

Burmistrz. Tylko mi też nie bajtluj i nie terkocz za uszami, bo to się psu na budę nie przyda. Pókim dobry, jeszcze ci raz powtarzam: za dwa tygodni, jakem burmistrz Wielkich Kozłowic i głowa miasta, Fonsia pójdzie za Onożkę i basta! A teraz a dieu!

Honorata (ostrzej.) No to ja ci znowu powiem, jakem matka swojej córki, że Fonsia nie pójdzie za Onożkę i basta! Adieu! (Odchodzi.)

SCENA IX.

Burmistrz (sam,) potem Jan.

Burmistrz (osłupiały.) A to co? (dyszkantem) a to co? Bunt! spisek! wypowiedzenie wojny w moim własnym domu! przeciwko mojej własnej osobie! Kreuzkriminal schock schwerennoth! Ja was nauczę. Ordnung muss sein! i basta! Ja tutaj rozkazuję, a wy macie słuchać jak pies trąby! Subordynacja grunt! Jeżeli mi córka nie ze-chce dobrowolnie stanąć do ołtarza z Onożką, to ją wydziedziczę! wyprę się jej! każe ją do kościoła

policjantami sprowadzić i tak na swoim postawię! A toby mi się podobało?! A to dobre! One mi się będą sprzeciwiać! A zasie karasie! A toby się wszyscy djabli śmieli! Kto tu rządzi? (krzyczy coraz głośniej.) Baby? czy ja? Verflucht noch a mal! (Policjant wchodzi niosąc gazetę.) Czego chcesz trutniu?

Jan (przestraszony i pokrzywiony we troje.) Melduję panu prezydentowi, że przynoszę gazetę. (Burmistrz wydiera mu ją z rąk.)

Burmistrz. Goldfass przyjdzie?

Jan. Przyjdzie za chwilę, proszę pana prezydenta! (Cofa się ku drzwiom i znika nagle.)

Burmistrz (siada i machinalnie rozkłada gazetę, fukając, sapiąc i zrywając się co chwila.) To mi się już dawno nie przytrafiło! patrzajcie się! baby mi tu będą dmuchać w kaszę! (Zatapia się w czytaniu, mrużąc.) „Jak robak zgnieciony ręką tytana, czołga się w prochu liberalizm, zgrzyta zębami i jedną pięść kurczowo zaciskając, drugą woła o ratunek.“ Żeby wiedział, że świat cały do góry nogami przewrócę, na swoim postawię! (Mruczy:) „Ajencja Stefaniego donosi z Massawy.“ Ale co się babinie zachciało, przeciwko mnie występować? takie to zwykle potulne, zgodliwe! ha! córnia mi ją buntuje! to córni sprawka! Poczekaj źmijko, wybije ja ci z głowy te amory! (Sapie i znowu mruży, jakby czytał po cichu gazetę.) „Rozwiązanie księżniczki Ximenes (Jimenes) odbyło się według zwykłego w Hiszpanii ceremonjału, o godzinie 12, minut 15 w południe.“ (Spluwa i przeciera czoło.) Jak mnie tak te baby opadną, to potem ani rusz skupić umysłu nie mogę. Tak jakby mi kto zamiast głowy, stare pudło do tułowia przyśrubował. (Czyta ogromnie zajęty z pośpiechem:) „Fejleton. Krwawe znamię. Romans Xaviera de Montepina. Noc była czarna, księżyc wyglądał jednym okiem z poza chmur zbitych w kupę, oświecając wspaniale okolice, zasłaną jednym wielkim całunem z śniegu. Tam, gdzie wążka ścieżyna sąsiadowała z ciemnym borem, widać można było stado wilków, zbliżających się ku wsi, jak gdyby łup wietrzyły. Za każdym ich krokiem zosta-

wały na śniegu czarne plamy.“ (n. str.) A to bestje! musiały przed tem gdzieś przez atrament przepływać. (Czyta:) „Jeden z naszych podróżnych zoczywszy je, wyjmuje nabity rewolwer i mówi do swego towarzysza:“ co ten łajdak Goldfass dzisiaj nie przychodzi?! Policjant!

Jan (wpadając z warzechą w rękę.) Co pan prezydent rozkaże?

Burmistrz. Co to? Goldfassa jeszcze nie ma.

Jan. A nie ma, proszę pana prezydenta.

Burmistrz. Poślij no raz jeszcze Walka po niego, skorós ty zajęty. Niechaj zaraz przychodzi. Powiedz, że mi się spieszy.

Jan. Dobrze, proszę pana prezydenta. (Wychodzi.)

Burmistrz (czyta:) „Srebrzysta koloratura panny Akselband drgała po majestatycznych falach śpiewu pani Ixypylon, podobna poruszeniom mewy, wzlatującej nad powierzchnią morza; zdawało ci się, że słyszysz głos organów przy dźwięku dzwonu spiżowego, spiewem słowika obramowanego...“ (n. str.) to rozumię, ten pisze! Że ja psiakrew jakoś nigdy na takie grzeczne wysłowienie zdobyć się nie mogę. (Przewraca gazetę.) „Posiedzenie Rady miejskiej odbędzie się we czwartek dnia 26 b. m. o godzinie 5 po południu. W kościele Świętej Barbary pobłogosławił ks. Litwos w sobotę...“ (mruży.) Co? co? (Czyta uważnie:) „Sławny nasz ilustrator Andriolli wczoraj rano opuścił Kraków, udając się do Zakopanego. Po drodze zabawił jakiś czas w Swoszowicach, gdzie hrabia Derdidas urządził na jego cześć bankiet; (mruży) bawiono się... wiwatowano, urządzano fakelzug i... Dalsza wycieczka prowadzi na Kozłowice Wielkie.“ Przecież się nie mylę, bo tu stoi wyraźnie jak byk napisane: „na Kozłowice Wielkie.“ (Mruży.) A psiakrew! a my o tem nic nie wiedzieli. (Wstaje.) Panie tego ten, to musi być nie byle jaki ilustrator, skoro go tak sam hrabia w Swoszowicach podejmował. Hm! ja myślę, że jeżeli takie głupie Swoszowice mogły sobie na przyjęcie tego pana pozwolić na bibkę, to byłoby niedbalstwem nie do darowania, żeby gród tak szlachetny i stary jak Kozłowice Wielkie przy tej powszechnej owacji, panie tego ten, miał pozostać w tyle!

(coraz więcej rozgorączkowany.) Trza będzie urządzić jakieś powitanie, panie tego ten, obiad kosztem miasta... korowód z pochodniami... potem przy bengalskiem oświetleniu oprowadzimy go po naszym składzie rekvizytów ogniowych!.. hm! cóż tu jeszcze?... trzeba czemś jego zmysł malarski podrażnić. (Namysłą się.) Mamy tutaj na strychu portret jakiegoś kasztelana, co tutaj w Kozłowicach przed stu laty mieszkał, ale cóż kiedy go bestje wróble ogromnie popaskudziły (p. chw.) No to nic! każę go policjantom mokrą szmatą wytrzeć i będzie wyglądał jak nowy. Ślicznie! paradnie! (zacierą ręce) może się i człowiekowi coś przy tem okroi, (p. chw.) ale bo to wypada koniecznie, ale to koniecznie coś zrobić, inaczej wstyd by nas było przed światem za taki dyshonor, panie tego ten.. Ale oczywiście tu innej rady nie ma. (Klaszcze w dłoń.) Hej policjant!

Policjant. Co pan prezydent rozkaże?

Burmistrz. Leć mi na złamanie karku po panów asesorów i powiedz im, że w nader ważnej sprawie zapraszam ich do kancelarji gminnej na miutkę. Tylko zaraz, na jednej nodze. No! ruszaj!

Jan. Pędzę. (Wybiega.)

SCENA X.

Burmistrz (sam), potem Ildefonsa.

Burmistrz. Zwierzchność musi uchwalić dla mnie kredyt do wysokości pewnej kwoty, celem godnego przyjęcia tego jegomościa. Urządzimy panie tego ten przyjęcie non plus ultra; człowiek palnie mówkę panie tego ten, jakiej jeszcze w życiu nie słyszano i będzie git! (Ugania po pokoju). Policjant! (p. chw.) aha! wyszedł! sam skoczę. (Szuka laski i kapelusza.)

Ildefonsa (we drzwiach.) Prosimy tatka do obiadu.

Burmistrz. A mnie tam teraz obiad w głowie. (Wybiega pospiesznie.)

(Zasłona spada.)

Akt II.

SCENA I.

Ildefonsa (sama.) Ojciec polecił, jakby go tarantula ukąsiła, i ani go widno, a nazłościł się na mnie i na mamę, aż fe! Niech tam! pozłości się, ale w końcu i tak uledz musi. (Idzie ku oknu.) Ale gdzie on tak długo bawić może? chyba w urzędzie, bo mi Walenty mówił, że w tamtą stronę zdążył. Obiad wystygł zupełnie. (Stoi przy oknie.) Pisałam do Bronia, żeby mi co rychlej wyjaśnił, jaką to awanturę miał z tatkiem w kasynie. Jeżeli się mu wytłumaczyć potrafi, będzie mógł tutaj stawić się, i osobiście sprawę przedstawiwszy, uzyskać w końcu jego pozwolenie, abyśmy się ze sobą pobrali. Mój ojciec (odchodzi od okna) jest ogromnie drażliwy na punkcie honoru. Jeżeli go tylko kto zadraśnie, choćby mu w oczy nigdy za to nie robił wymówek, skrycie będzie zawsze przeciwko niemu z jak największą zaciętością występował. (Ziewa.) Straszne nudy w tych Kozłowicach. Ani zabawy żadnej, ani wycieczki, ani towarzystwa stosownego; żebym nie miała Bronka, z którym czasem jeszcze ukradkiem porozmawiam, tobym tutaj zupełnie zdziczała. Terazniejsza młodzież, to jeden w drugiego skończone safandule; pozują na starych, grają w kręgle lub w karty, romansują z kucharkami, i na tem im schodzi życie. Ciekawam bardzo, czy wszędzie oni jednacy? Ciekawam, gdzie się podzieli ci bohaterowie, o których z książek tyle ładnych rzeczy można się dowiedzieć? Albo istnieją oni tylko w imaginacji autora, albo znajdują się oni gdzieś rozprószeni po świecie, po za granicami Kozłowic Wielkich, po za granicami naszej okolicy. Gdzie ich szukać? W kościele ich nie znajdziesz, na zabawę zgromadzi się paru jak na próbkę, a na przedstawieniach zwykle świecą pustkami. Chyba to musi być prawda,

że teraz na pięć białogłów zaledwie jeden mężczyzna przypada i to taki, którego i za połówkę uważać nie można. Dobrze, że ja sobie złowiłam Bronka, bo inaczej bym starą panną została, albo by mi przyszło zostać żoną tego nieznośnego Onożki. Koniec świata! (przedrzeźnia) koniec świata! — jak mawiała nasza Przewielebna Ksieni. (Słychać chrząkanie za drzwiami.) A tam kto? Może Bronuś zwał, że ojca nie ma w domu! (Uchyła drzwi i odskakuje.) On!

SCENA II.

Ildefonsa i Bronisław.

Bronisław (wchodzi. Ubrany pretensjonalnie, nadzwyczaj ruchliwy. Małe bokobrody. Pince-nez. Zamyka drzwi i w podrygach zbliża się do Ildefonsy.) Moje uszanowanie! (Ogląda się na wszystkie boki.) Nie ma nikogo. (Obejmuje Idefonsę w pól i usiłuje pocałować. Ona się wydziera.)

Ildefonsa. No, no, no. Cóż znowu?

Bronisław. Moja ty perełeczko! tylko się nie dąsaj, bo to nie ładnie. Lepiej powinszuj panu adjunktowi. (Kłania się.)

Ildefonsa (uradowana.) Na prawdę?

Bronisław (znowu kłaniając się szarmancko, zacięra ręce.) Bardzo mi przyjemnie, że mogłem pierwszy tę wiadomość pani adjunktowej dobrodziejce zakomunikować.

Ildefonsa (udając oziębłą.) Tylko bez tych tytułów, mój panie! Kto wie, komu jeszcze ten tytuł przypadnie...

Bronisław. Jaktó? nie chcesz mnie?

Ildefonsa (smutnie, skubiąc wstążkę u fartuszka.) Ojciec nie chce dozwolić...

Bronisław. E?! to nie może być! (Idzie ku niej i pieśczoćliwie ją w pól obejmuje, czego mu ona nie broni.) Ja cię tak kocham.

Ildefonsa. Wiesz przecie, że ci jest wzajemną, (Bronisław całuje ją w policzek, ona ma ciągle oczy

spuszczone) ale ojciec obrażony na ciebie, chce mnie gwałtem wydać za tego idjotę Onożkę.

Bronisław (odskakując.) A psia... (zasłania usta pospiesznie) Pardon mademoiselle!

Ildefonsa. Nie otrzymałeś to mego listu?

Bronisław. Nie, nic nie dostałem.

Ildefonsa. Musiał ci go jeszcze policjant nie oddać. Pisałam do ciebie, że dzisiaj z ojcem miałam z tego powodu ciężką przeprawę. Miałeś go obrazić w resursie w obec świadków i obiecał, że ci tego nigdy nie przepuści.

Bronisław. Ależ moja kochana! to było tylko takie małeńkie nieporozumienie. Ja nie wiedziałem wtedy, że twój ojciec jest ową osobą, i jakieś ostre słówko mi się na język nawinęło, ale słowo honoru daję, że dla pana burmistrza żywię jak największy szacunek, i gdybym wiedział, że mnie wysłucha, tobym go uroczyście za to nieporozumienie przeprosił.

Ildefonsa. Ano spróbuj.

Bronisław. Tylko że twój ojcaszek taki gwałtowny. Jakoś zawsze obawiam się do niego przystąpić. (Z prośbą, ku Ildefonsie przystępując.) Gdybyś ty wzięła na siebie tę misję...

Ildefonsa. Nie, nie. Musisz sam to zrobić; mnie nie uwierzy.

Bronisław. A nie możnaby to listownie załatwić? Widziałem, że pan burmistrz przeszedł się do kancelarji, pójdę, napiszę do niego list i pošlę mu go przez woźnego.

Ildefonsa. Lepiejby stokroć było, gdybyś osobiście się wytłumaczył.

Bronisław (po chwili wahania.) Kiedy bo... ja się boję. Sądziłem, myślałem, że jak mu sama sprawę przedstawiisz, usprawiedliwisz mnie przed nim, przestanie się dąsać na mnie i puści wszystko w niepamięć. (Zamyśla się.)

Ildefonsa. Ogromnie na ciebie zagniewany.

Bronisław (nastraszony, biorąc kapelusz do ręki.) Ogromnie powiadasz?! Strach! jakby mnie tak tutaj teraz zastał.

Ildefonsa (uśmiechając się.) Cóżżeś tak tchórzem podszyty?

Bronisław (z fanfaronadą.) Kto? ja?! o! nie znasz mnie jeszcze, moja droga; ja się nikogo nie boję, ale nie lubię tych hec, ekscesów i t. d. (p. chw.) Więc cóż mnie radzisz uczynić?

Ildefonsa. Ano, pomówić z ojcem bez pośredników, i to jak najprędzej, bo on już nawet poczynił starania, aby w najbliższą niedzielę zapowiedzi moje z Onożką z ambony wywołano.

Bronisław. A psiak... (zakrywa usta) ja myślałem, że skoro zamianowany adjunktem zostanę, ojciec twój złoży zaraz za mnie kaucję służbową.

Ildefonsa. Złożyłby, gdybyś mu tylko wytłumaczył.

Bronisław. A cóż matka?

Ildefonsa. Mama za tobą.

Bronisław. A ona nie mogłaby...

Ildefonsa. Już próbowała, ale ojciec nie dał się ułagodzić.

Bronisław. A wnet do domu powróci?

Ildefonsa. Ino go widno.

Bronisław (zrywając się.) To ja się jeszcze namyślić muszę. (Podaje jej rękę na pożegnanie.)

Ildefonsa (wzgardliwie, nie przyjmując podanej ręki.) Z ciebie rycerz nielada.

Bronisław (urazony.) Do czego zmierzasz?

Ildefonsa (j. p.) Tak sobie tylko powiedziałam.

Bronisław. Ho! ho! nie znasz mnie jeszcze! ja bym się diabła samego nie przeląkł. No, no, poczekaj! Niech tylko ojciec nadejdzie; zobaczysz, jak się postawię. (Chodzi po pokoju zamyślony.) Powiem mu: panie burmistrzu dobrodzieju! mam żal do pana burmistrza, że... że... że... ma tak złe o mnie wyobrażenie, iż... iż... iż... okrzyk z mej piersi wydobyty, spowodowany tylko podówczas wyjątkowo nadmiernem użyciem alkoholu, (Fonsia robi grymas, Bronisław błagalnie:) Fonsiu! nie chmurz się. Ja o tem wspominam tylko dla tem większego uwydatnienia mej niewinności. Ja nic nie piję; jak Boga kocham, nic nie piję. Czasem tylko w browarze parę kufli piwa wysączę, bo tam dają za darmo.

Ildefonsa. No, no. Już dobrze. Deklamuj dalej.

Bronisław. Powiem: panie burmistrzu dobrodzieju! (kłania się przed Ildefonsą) gdybym był wiedział, że źle rozumiany mój wykrzyknik będzie tak przezeń zapamiętanym i z tego powodu tak długo żał do mnie żywionym, ani chwili nie wahałbym się był, zaraz po tym wypadku przyjść do Niego i wytłumaczyć się z rzekomej winy, na klęczkach prosząc o przebaczenie. Że tego dotychczas nie uczyniłem, niechaj to posłuży za dowód, że mówię prawdę. A co?

Ildefonsa (klaszcząc w dłonie.) Ależ wybornie! Brawo! brawo! Tatusi musiałby wstać bardzo rano, aby się na te słówka nie dał złapać.

Bronisław. No widzisz pieścotko! (obejmuje ją w pół) jakiego to ze mnie będziesz miała wymownego męża. (Całuje ją w szyję, ona niby to mu się wydziera.)

Ildefonsa (figlarnie.) Dajno spokój: jeszcze mama nadejdzie.

Bronisław (nie puszczając jej z objęć.) Przecież mi powiedziałaś, że mama nasza.

Ildefonsa. Prawda! Ale nuż by tatko.

Bronisław (odskakując.) Masz słusność. Zapomniałem.

Ildefonsa (wybuchając śmiechem.) Ha, ha, ha!

Bronisław. Śmieję się, śmieję. Przyjdzie czas, że za to, coś mi się nieraz nadokuczała, odpłacę ci z procentem.

Ildefonsa. Jeżeli procent przyjąć zechcę.

Bronisław (przystępując ku niej, figlarnie.) Oj ty! mój klejnociku! Jeszcześ mi nie podziękowała za nowinę, którą ci przyniosłem.

Ildefonsa A podziękowałaś mi ty za nowinę, którą tobie powiedziałam?

Bronisław. Jaka?

Ildefonsa (figlarnie obwijając koło palca wstążkę od fartuszka.) A no, o Onoźce...

Bronisław. Ha, ha, ha! prawda! (Obejmuje ją wpół i całują się wzajemnie.) (P. chw.) Cóż? „Safo“ przeczytałaś? (Siadają obok siebie na kanapie.)

Ildefonsa. Już kończę.

Bronisław (otwierając książkę.) Romans trochę niemoralny, nie prawda?

Honorata (za sceną.) Fonsiu! (Obydwoje się zrywają z siedzenia. Matka wchodzi.)

SCENA III.

Ciż i Honorata.

Honorata. Fonsiu! A... tutaj jesteś. (Odpowiada ukłonem na ukłon Bronisława.) A pan zkad się tu wziąłeś? (Ildefonsa szeptem jej do ucha: „Został adjunktem!” Matka udaje niedowierzanie, córka zapewnia ją oczyma.)

Bronisław (całując rękę burmistrzowej.) Wiedząc, że pana burmistrza dobrodzieja, który coś cierpi do mnie, — w domu nie zastanę, przyszedłem zapytać się panny Ildefonsy, czy książkę już przeczytała?

Honorata. Proszę! niechże pan siada... Musiała panu córka powiedzieć, co dało powód, że mój mąż czuje żal do niego.

Bronisław. A jakże; mówiła mi Fon... (połyka sylabę) to jest pa... panna Ildefonsa (Ildefonsa mu za plecami matki grozi na nosie) i nie mogę przyjść do siebie ze zdumienia, że pan burmistrz przywiązuje tak wielką wagę do słowa, które mi się wówczas przypadkowo z ust wyrwało. Tylko brak sposobności sprawił, że dotychczas nie usprawiedliwiłem się przed nim z tego nieporozumienia.

Honorata. No to urzędźże to już pan jakoś, żeby było dobrze, bo on sobie nam tego nie da wytłumaczyć, a ja... ja... nie mam nic przeciwko temu, żebyście się z Fonsią pobrali.

Bronisław (całuje Honoratę w rękę, Ildefonsa pogwizduje.) Nie mam słów, aby wyrazić, jak czuję się szczęśliwym w tej chwili, i jeżeli tylko Fon... to jest pa... pannę Ildefonsę za małżonkę dostanę (rzuca ku niej wzrokiem, ona mu pokazuje trąbkę na nosie), staraniem mojem będzie, jak najprzykładniejszem pożyciem (Ildefonsa parska śmiechem, Bro-

nisław się mięsza) i... i... słodyczą (Ildefonsa wybucha głośnym śmiechem, matka się ku niej z napomnieniem obraca, Bronisław jakby urażony prostuje się) stać się tej łaski godnym.

Honorata. Ani chwili nie wątpiłam w dobre intencje pana...

Ildefonsa (półgłosem.) *Adjunkta...*

Honorata. *Adjunkta*; tylko ojca trza będzie przyposobić, i z nim sprawę łagodnie omówić, bo to ogromny z niego gorączka. Zdaje mi się, że słyszę jego głos. (Razem z Ildefonsą zbliża się do okna.)

Bronisław (nagle staje się nadzwyczaj elastycznym, spogląda w okno.) Aha! tak! to on! Ale coś musi być bardzo rozzłoszczony, bo straszliwie laską wywija na wszystkie strony. Prze... przepraszam bardzo! na momencik muszę panie opuścić. (Pilno się żegna i wybiega. Ildefonsa wybucha śmiechem.)

Ildefonsa. Widzi mamusia! został adjunktem!!

Honorata. A! to ładnie.

Ildefonsa. Teraz pole dla mamy, naszą sprawę jeszcze raz przed forum taty wytoczyć.

Honorata. Ano, spróbuję.

Ildefonsa (tuląc się do niej.) Moja kochana mamusiu, tylko też niech mama ojcu nie ulegnie.

Honorata. No, no, nie bój się.

Ildefonsa (całuje ją; we drzwiach:) Tylko ostro! (Wychodzi.)

Honorata. No, no! (Dodaje sobie animuszu. Burmistrz wpada jak bomba.)

SCENA IV.

Honorata i Burmistrz.

Burmistrz (wywija laską.) *Victorja! Victorja!* (rzuca kapeluszem o stół.)

Honorata. *Burmistrzu!* a tobie co się stało? Tu nie ma żadnej *Wiktorji*.

Burmistrz (śmiejąc się.) Ale, bo widzisz, moja *Honorko*, ty nie rozumiesz po łacinie. *Victorja* to znaczy: zwycięstwo. Jeden sławny panie tego

ten malarz, czy ki djabli — jak wyczytałem w gazecie — pod wieczór przyjedzie do Kozłowic. Zwołałem zaraz asesorów, no i uchwaliliśmy panie tego ten, aby powitać tego pana mową i obiadem w sali miejskiej, na którego cel kasa miejska wypłaci na moje ręce 200 blatów. Słyszysz Honorko! (Przyskakuje ku niej i podnosi ją do góry.)

Honorata. Pitasiu! zgnieciesz mnie na miazgę.

Burmistrz (stawia ją na podłodze.) Do samej śmierci nic ci nie będzie. (P. chw.) Zaprosimy także młodego pana sędziego, bo on panie tego ten lubi takie okazyjki, no i pohulamy sobie trochę. Żeby mi tylko bestja Dudzik z fletem dopisał, bo jak usłyszałem, skwarczki mu się na wargi wysypały i dmuchać nie może, a tu pić zdrowia bez przygrywki, to jakoś niejako by wyglądało. (P. chw.) Słuchaj no Honorko! ja się tu tymczasem ogolę, a ty przygotuj mi czarny surdut, nową koszulę i szpilkę do krawatki, wiesz, tę z podkową. Albo nie, tę z żabką na drabinie. (Idzie ku lustru i odpina kołnierz od koszuli.) Policjant!

SCENA V.

Ciż i Jan.

Jan (wchodzi.)

Honorata. A cóż to obiadu jeść nie będziesz?

Burmistrz. Ale mam ja ci tam czas myśleć o obiedzie. Zjedźcie go dzisiaj bezemnie. (Do policjanta.) Przyniesiesz mi tutaj brzytwę i mydlniczkę.

Jan. Duchem będzie. (Odchodzi.)

Burmistrz. Człowiek dla dobra miasta, to i nie dospi i nie doje. Patrzaj matko, jak spadłem z ciała. Wszystko wisi na mnie jak na tyce. (Pokazuje na kamizelkę, chcąc się zapiąć na ostatni guzik, co mu się jednakowoż z powodu nadmiernej tuszy nie udaje.) Uf!

Jan (wchodzi i kładzie na stoliku przyrządy do golenia.) Jest wszystko!

Burmistrz. Rozrób no mydło!

Jan (rozrabia mydło w puszcze, podczas gdy burmistrz, zbliżywszy twarz do lustra, układa swe wąsy, ogromnie zajęty.)

Honorata (u. str.) Ani rusz do niego dostąpić (Wychodzi.)

Burmistrz. No już?

Jan. A będzie już, proszę pana prezydenta. (Podaje mu mydlniczkę.)

Burmistrz (namydla trochę twarzy, dreszcz go przejmując.) Uf! zimne! (z gniewem) przylej no trochę ciepłej wody. Zawsze ci trza wszystko jak na talerzu wykładać.

Jan (wybiega z puszką.)

Burmistrz (chodząc po pokoju.) To ten pan, co tu dzisiaj przyjedzie, to jak słyszę strasznie sławny człowiek, skróny tych swoich malowideł. Co prawda, to ja tam jego kupersztychów nie widział, ale opowiadał nasz ks. proboszcz, co to ciągle szpera po papierach, że go strasznie chwalał po gazetach i w Paryżu, i w Londynie, i w Amsterdamie, i w Mantuy.

Jan (wchodzi.)

Burmistrz. Jest?

Jan. Jest, panie prezydencie! (Podaje mu puszkę.)

Burmistrz (przed lustrem, okrywa całą brodę pianą z mydła.) No, dobrze, teraz możesz już a b-tretten!

Jan (odchodzi.)

SCENA VI.

Burmistrz (sam), potem Honorata.

Burmistrz (do siebie, zajęty wciąż goleniem.) Trzebaby, panie tego ten skomponować sobie jakąś mówkę, żeby człowiek później znalazłszy się oko w oko z taką znakomitością, języka w gębie nie zapomniał.

Honorata (wchodzi.)

Burmistrz. Dobrze, że jesteś; pomożesz mi.

Honorata. W czym?

Burmistrz. Albo nie! zawołaj no mi tu Fonsię; ona więcej obczytana.

Honorata. Jè obiad.

Burmistrz. No, to później. Widzisz moja Honoroko, chcę jaką uczciwą mową tego pana malarza powitać.

Honorata (nieśmiało.) Może byś się Frygowskiego zaradził, on...

Burmistrz (przestaje się golić.) Co?

Honorata (unikając jego wzroku.) Został adjunktem i oświadczył się o rękę Fonsi.

Burmistrz (z brzytwą w rękę stoi jak osłupiały, wybałuszwszy oczy.)

Honorata. Mówił mi przed chwilą, że przyjdzie i wytłumaczy ci, że twój gniew przeciwko jego osobie nie miał i nie ma żadnej podstawy.

Burmistrz (uniesiony gniewem, skacze jak oparzony, sapiąc.) Jak Boga kocham, ty chyba naumyślnie przysłaś mnie drażnić tym twoim Frygowskim wtedy, kiedy się gołę, abym sobie mógł prędzej gardło poderżnąć. (Przystępuje ku niej.) Powiedz mi kobieto chrześcijańska, coś sobie dzisiaj do mnie upatrzyła?! Czy cię co przemieniło? Czyś z czarownicami na Łysej górze harce tej nocy wyprawiała? bo słowo uczciwego człowieka dają, nic a nic już nie rozumię. (Ręce zakłada w tył, oczy na wierzch wytrzeszcza, i przysuwając swą twarz rozognioną ku twarzy żony, krzyczy:) Ty mnie nie drażń! nie przyprowadzaj do ostateczności! przestań mi dokuczać, i nie patrz się tak na mnie tymi twoimi niebieskimi migdałami, bo ja cię znam jak łysą kobyłę. Tyś się dzisiaj uwzięła, aby mnie do ostatniej pasyi przyprowadzić. Ja ci jeszcze raz powtarzam, schowaj sobie twoje przemówki dla kogo innego, i nie kłuj mnie w oczy tą bestją, bo będzie źle, powiadam ci — jak Boga kocham — będzie źle... (odskakuje od niej, kierując kroki ku lustru.)

Honorata. Ależ mój kochany...

Burmistrz. (z furją.) Ale idźże sobie do trzysty djabłów z twoim „mój kochany,“ i nie drażń mnie powtarzam po raz tysięczny! Powiadam ci, że jak mi włosy na dłoni urosną, to wtedy Frygowskiego

przyjmę za zięcia; wcześniej nie! No, a b t r e t t e n !
(Prycha i próbuje się golić.)

Honorata. Ależ... Pitasiu!

Burmistrz (coraz głośniej,) A b t r e t t e n , powie-
działem!

Honorata. Zlituj się..,

Burmistrz (j. p.) A b t r e t t e n !

Honorata. Pozwól sobie powiedzieć..

Burmistrz (tupiąc nogą, rozwścieczony.) A b t r e t t e n
do trzysta djabłów! inaczej albo się sam
poderżnę tą brzytwą, albo wszystko w koło siebie
wyrżnę do nogi. (Zamierza się brzytwą.)

Honorata (odchodzi, szlochając.)

SCENA VII.

Burmistrz (sam)

Burmistrz (rzuca brzytwę na stół.) No i gol się
tu człowieku, kiedy mi się ręce trzęsą jak w febrze.
Ażeby was jasne pioruny ogarnęły! (Przechodzi się
po pokoju, gwałtownie wzburzony.) A to ci pech
przeklęty! Człowiek ma dzisiaj tyle do roboty (bije
pięścią o swą dłoń), a tu nie! i nie! A żebyście
z piekła nie wyjrzały! Ja się chcę golić, a tu jak
cię panie tego ten baby omotały, ani rusz ręką, bo
ci brzytwa (pokazuje na szyję) zaraz jedzie do gar-
dła! No! słyszał kto coś podobnego?! Ażeby was
drzwi ścisły! (Siada desperacko na krześle, głowę
zwiesza na dół, nogi szeroko rozkłada i sapie.) Uf!
czuję, że mnie z tej alternatywy jeszcze szlag
trafić gotów, bo tak we mnie krew kotłuje, jak
gdyby mi kto w żyłach wszystkie śluzы pootwierał.
(Głosem coraz więcej osłabionym.) Uf! słabo mi się
ogromnie robi, czuję, że i koniec już bliski, bo i oczy
mi coś kurzą ślepotą zachodzą i język mi tak ze-
sztywniał, że nim obracać nie mogę. (Spluwa.) Masz
djabła kaftan; jeszcze skłapnę tutaj na tym stołku
i nie będzie mi kto miał nawet zawrzcć powiek.
Uf! strasznie mnie coś po wnętrzu rozpiera, że i
tehu złapać trudno. (Woła po cichu jakby przez

Izy:) Janie! Janie! (Stęka i ogląda się ku drzwiom.) Nikt mnie nie przychodzi ratować, a na mnie już pot śmiertelny wystąpił. Uf! uf! (po chwili głośniej:) Janie! Janie! (p. chw.) Bestja nie przychodzi, a tu śmierć panie tego ten z kosą do ócz człowiekowi zagłada. Uf! Janie! Janie! uf! (Zrywając się z siedzenia, krzyczy z złością:) Janie! do kroćset!

SCENA VIII.

Burmistrz i Jan.

Jan (nastraszony, wpada jak bomba.) Co pan prezydent rozkaże?

Burmistrz. Czy ty spiszesz, czy co u diabła?

Jan. O! jako żywo, nie spałem; ino nie wiedziałem, że... ten...

Burmistrz (z złością.) Jak cię wołam, to powinienś przyjść natychmiast! Rozumiesz gapiu?

Jan. Ro... rozumiem.

Burmistrz (j. p.) No, teraz ruszaj do swojej roboty i pamiętaj sobie, że jak drugi raz nie przyjdiesz natychmiast na moje zawołanie, to cię posiekam, porąbię na kawały, pasy z ciebie drzeć będą, zabiję na miejscu a potem cię uśmiercę jak psa! Rozumiesz?

Jan. Ro... rozumiem.

Burmistrz. A teraz w o n ! !

Jan. Więcej mi pan prezydent nic nie po...

Burmistrz (ostrzej.) W o n !

Jan (spiesznie wybiega.)

SCENA IX.

Burmistrz (sam.)

Burmistrz (przystępuje do golenia się, chłodząc w miarę.) Babina się na dobre rozbeczała, ale bo po co mnie ciągle nachodzi tym Frygowskim (prze-drzeźniając); został adjunktem, został adjunktem! A

niech sobie ta i o b e r a d j u n k t e m zostanie, mnie djabli do tego. Obiecałem Onoźce, że mu dam córkę za żonę, słowo się rzekło, kobyłka u płotu. Burmistrzowskie słowo, to nie psie szczekanie, ale świętość, rzecz nie mogąca uledz ani zmianie, ani przestoczeniu. To trudno. Tu nie ma co więcej teraz i gadać o tej sprawie... Co to znaczy: Frygowski się oświadczył? Oświadczył się, to niech się odświadczy! A potem oświadczył się, ale komu?! U mnie nie był, bo mnie zna i wie, że ze mną nie przelewki. Ale bo to tak zwykle z temi babami: (prze-drzeźniając) Fonsia jego kocha, a on Fonsię też kocha, (prze-drzeźniając szlochaniem) co chcesz to rób, bo oni się kochają! A toby mi się podobało, żebym ja swojej własnej córki, owocu moich starań i zabiegów, nie mógł wydać za mąż, za kogo mi się będzie podobało?! Słyszał kto coś podobnego?! Jeszcze dzisiaj, wiedząc, że ja jestem zajęty, jakby na upór wciąż mi kołaczą głowę tym powsinogą. (Po chwili.) Jak się wybeczą, to ustaną fochy stroić, a człowiek musi na swoim postawić! Jeszcze trochę z tej strony (znowu mydli brodę i goli się.) Mówkę mu palnę, byle mnie tylko wymowa nie opuściła, bo po tylu utarczkach z babami, to i rozum mój gdzieś do pięt się zabłąkał. (Słysząc pukanie do drzwi.) Kogoż tam znowu djabli przynoszą? Wolno!

SCENA X.

Tenże i Szmul.

Szmul (wchodzi.) Upodom do nóg, pon burmiść.

Burmistrz. A! toś ty żydzie? Servus!

Szmul. Jak się pon burmiść mo?

Burmistrz. A tak ta. Siadaj no trochę Szmulu. Widzisz, że jestem zajęty.

Szmul. Dziękuję pon burmiść, jo se ta postoję. (Przygląda się z boku burmistrzowi.) Ej! ej! że tyż to pon burmiścia nie umie uszanowacz tako ślicno brode, corno jak... scur. (Mlaska językiem.)

Jo jakbim miał takie brode, to jo bim jo tam z pewnoszczom nie goliuł. Aj waj! Co to za szkoda takom ślicną brode. (Cmoka.)

Burmistrz. Już! Będę może chodził obrośnięty jak dziad, a tu dzisiaj mamy w mieście uroczystość.

Szmul. Jaką uroczystoszcz?

Burmistrz. Nie słyszałeś nic? Przejeżdża jeden sławny malarz przez Kozłowice do Zakopanego.

Szmul. Aj waj!... A komu ten malorz maluje?

Burmistrz. A no komużby, jużci nie żydom ściany po bożnicach, ino obrazy, i to panie tego ten, takie wielkie! (Pokazuje ręką, jak wielkie.)

Szmul (cofając się przed brzytwą.) Ojch! pomalućku, bo mi pon burmiść jesce oko w głowie wydzubnie.

Burmistrz (zajęty goleniem.) Cały świat panie tego ten powiada, że to obrazy nie byle jakie, i ogromnie ci go za te malowidła chwałą.

Szmul. To un muszi bycz bogaty, ten pon maliorz.

Burmistrz. No, ma się rozumieć! inaczej by ci przecież nie jeździł do Zakopanego na taką drożyznę. Cóż ty myślisz sobie?! taki malarz to musi mieć żonę nobel, dzieci z tuzin, i lokaji cały batalion.

Szmul. Mo pon burmiść re ch t. Co taki puryc, to nie my kapcuny. A kiedy un tutok przyjedzie?

Burmistrz. Ino go widno. (Ogoliwszy się, obciera się ręcznikiem, potem poufnie do Szmula:) Słuchajno mój kochany! Mysiura ma już garbarnię zamkniętą na jakie dwa miesiące. Kazałem sekretarzowi, aby mu zaraz wielkimi literami napisał, (Szmul się kłania) tylko skoro ja was wspieram, musicie i wy mnie czasem wesprzeć.

Szmul (kładzie rękę na sercu.) Panie burmiściu!...

Burmistrz (przerywając mu to wynurzenie się.) Krótko a węzłowato ci powiem, o co się rozchodzi: otóż wydając córkę za mąż, potrzebuję pieniędzy. (Kładzie rękę na ramieniu Szmula.) Posłałem zatem po ciebie, wiedząc, że ty do takich interesów jesteś jedyny, abyś mi wytrzasnął gdzie jaką stóweczkę na procent, choćby i najwyższy, byle pieniądze były

wkrótce. Za to dostaniesz odemnie łapowe, no i znać się będą na rzeczy. (Mruga tajemniczo oczami.)

Szumł (zwija końce bródki i pcha je do ust. Zamyślony, po chwili:) Panie burmiściu! pon burmiść wie, że jo jestem cłowik poczcziwy, ale pinjadz nie do poczczywoszczy nie mo... Teraz jest grajcor częszki...

Burmistrz. To twoja rzecz go dostać.

Szumł. Jo nie obiecuję pon burmiść, bo teraz interes idzie pod psem, wszędzie biyda aż gwizdo...

Burmistrz. Ależ ja te pieniądze wkrótce oddać się obliguję. Cóż ty myślisz sobie, że ze mną już tak krucho? Co?! Najdalej za jakie 2—3 tygodnie dostanę parę set blatów, i pieniądze ci zwrócę samemi talarami. (Pokazuje na dłoni, jakby liczył talary.)

Szumł. Jo wierzę; jo wszystko pon burmiść wierzę, tylko zkađ tu wżaszcz te pijądze...

Burmistrz. Niech tam twoja a nie moja głowa nad tem trzeszczy, zkađ je wziąć. Jeszczebym ci coś więcej powiedział, tylko widzisz, że teraz nie mam czasu. Lada chwila malarz nadjedzie.

Szumł. No, jo nie wim...

Burmistrz. Ale ja wiem. (Przystąpiwszy ku Szumłowi, mówi pospiesznie:) Mój Szumulu, tyś także nie z jednego pieca jadł chleb; powiedz no mi, jak by tu tytułować tego pana malarza, co tu ma przyjechać; bo ja ci się przyznam, nigdy jeszcze w swoim życiu z taką grubą rybą nie gadałem.

Szumł (zamyśla się, po chwili:) Jobim miszłał: Euer Hochwohlgeboren Herr von Maler!

Burmistrz. Ale kiedy bo widzisz, trza będzie po polsku...

Szumł. No, to, wielijemożny pon maliorz dobrożyj!

Burmistrz. Tak powiadasz?! a to dobrze. Dziękuję ci mój Szumulu za radę! (wypycha Szumula delikatnie ku drzwiom) a pamiętaj tam o mojem zleceniu, i przy tej sposobności szepnij kupcom tutejszym na ucho, że za dwa tygodnie wydaję córkę za mąż, i że wypadałoby im posłać burmistrzowi do domu jakie prezenta przy okazji takiej uroczystości. Możesz im

powiedzieć, że nie jestem od tego, aby im za to czemś się odwdziaczyć, panie tego ten. Wiesz? rozumiesz?! no, no, mądrej głowie dość na słowie. (Wypycha go za drzwi.) Bądź zdrow, a kłaniaj się tam odemnie twojej pani Szmulowej! (Zamyka drzwi i powraca na środek sceny.)

SCENA XI.

Burmistrz (sam.)

Burmistrz. Jeszcze spróbuję u Onożki zaciągnąć pożyczkę, aby mieć jakąś gotówkę do dyspozycji, gdyby mnie Szmul zawiódł, w co jednak nie wierzę. (Zaciera ręce.) No, i z tego obiadku coś się człowiekowi okroi. Policzy się panie tego ten wszystko w ten sposób, że rachuneczek będzie wyglądał uczciwie. Chotkowskiego pchnąłem do oberży, aby zamówił porządny obiadek na 20 osób, a u Mośka nabrał wina na rachunek miasta. On się tam już koło tego zakrzęta. (Mruga oczami.) A teraz (chwyta się za głowę) skupmy umysł i ułożmy bibkę.. chciałem powiedzieć mówkę. Ten Szmul ma słuszość; najlepiej mu będzie powiedzieć: „Panie Dobrodzieju“, bo to „Dobrodziej“ wcale grzecznie brzmi. Jak się komu nie chce ani z tytułu nic ująć, ani go też zbyt nie przesalać, to mu się rznie: „Panie Dobrodzieju“ i basta. A zatem: Wielmożny Panie Dobrodzieju! (Rozkłada nogi szeroko, ręce wkłada do kieszeni, robi marsa na twarzy, policzki nadyma i zamyśla się.) Jak Kozłowice Kozłowicami..

SCENA XII.

Burmistrz i Honorata.

Honorata (wchodzi.) No, ubranie już masz.

Burmistrz (j. p.) Dobrze, dziękuję ci.

Honorata. Musiała ci dopiero Fonsia czyścić surdut benzyną, boś miał cały zachlapany.

Burmistrz (jakby nie słyszał.) Jak Kozłowice Kozłowicami... (chrząka ostro i podkręca wąsa. Honorata spogląda przez chwilę na burmistrza, wreszcie składa ręce jak do modlitwy i westchnąwszy wychodzi.) Jak Kozłowice Kozłowicami (chrząka), nie było tu między nami takiej czcigodnej osoby, (podnosi głos coraz to więcej) osoby tak znanej od morza adryatyckiego aż po morze błękitne, od gór uralskich, aż po... po... Karpaty... Nie! jeszcze dalej! (n. str.) Chcę mu tem wysłowieniem się dać poznać, że cała Europa ma na niego oczy zwrócone. Hm! od gór uralskich... aż... aż... trzeba by się gdzie do mapy popatrzeć. (Zdąży prędko ku drzwiom.) Fonsiu! Fonsiu! (powraca) trzeba mu panie tego ten jakoś zaimponować. Niech chłop wie, że burmistrzowi Wielkich Kozłowic, i granice Europy nie obce.

SCENA XIII.

Burmistrz i Ildefonsa.

Ildefonsa (w drzwiach.) Czego sobie tatko życzy?

Burmistrz. Moja kochana, nie masz gdzie mapy, ino tak eins, z wei, drei, (prztyka w palce.)

Ildefonsa. Mam obie półkule.

Burmistrz. To za mało. Potrzebuję całej Europy. Słuchaj no córuniu! ty musisz pamiętać, co jest z tej strony (pokazuje ręką w jedną stronę kulis), na samym końcu Europy?

Ildefonsa (z wahaniem.) Mnie się zdaje, że cieśnina Somo-Sierra, proszę taty.

Burmistrz (ucieszony.) To, to, to, to! Somosijera. No! to już gut! dziękuję ci. (Przybiera dawną postawę. Ildefonsa przez chwilę spogląda na ojca, wreszcie uśmiechnąwszy się, odchodzi.)

SCENA XIV.

Burmistrz (sam.)

Burmistrz (j. p.) Od morza adryatyckiego, aż po morze błękitne, od gór uralskich aż po same Somo-

sijera, osoby tak cenionej, poważanej, szanowanej (chrząka), uwielbionej, uczonej, (do siebie) no! no! weiter! (chrząka) osoby tak lubianej, kochanej (chrząka), któraby tak była znaną, cenioną, lubianą, czczoną, poważaną, szanowaną, rozrywana, tak... panie tego ten, tak (chrząka) oczekiwana, i.. i... mile oglądana etc. etc., dlatego przybyciem twojem panie dobrodzieju tego ten, do naszego starożytnego grodu (chrząka), do tego grodu, który ma w swoim herbie: kozła wierzgającego, a w którym nieraz nasi królowie polscy ze swojemi żonami i dziećmi królewskimi, odpoczynek po trudach wojennych znajdowali, i tu się różnym uciechom oddawali i... (chrząka) tutaj sobie żyli (chrząka) jakby nigdy nie (chrząka) na chwałę Bożą, a pożytek narodu polskiego, oddychając tem samem powietrzem, na równi z mieszczany, otóż panie tego ten (chrząka) przybyciem twojem, o! panie! (chrząka) jeszcze raz o! panie! do tego starożytnego grodu czujemy się na wskrós przejści i wzruszeni, na wskrós rozradowani i ucieszeni, i (chrząka) witamy cię zatem z głębi serca naszym staropolskiem „Bóg zapłać“ a prosimy o jeszcze! (zaciera ręce.) Ja sobie to przez parę razy powtórzę, aby nie zapomnieć, a potem dodam: (przybiera dawną postawę.) A teraz pozwól pan dobrodziej, że mu przedstawię naszą.. (chrząka) tego ten... (n. str.) jakby się tu wyrazić? aha! nasze obywatelskie filary i podwaliny miasta. (Kłania się publiczności, wskazując ręką.) To jest pan Jagodziński viceburmistrz i majster kunsztu szewskiego! to jest pan Onożka asesor, a mój przyszły zięć! to jest pan Dryblas zwany Wiatrakiem, bo ma strasznie długie ręce! (robi ruch odpowiedny) to pan Chłystek masarz, którego wyrób kielbasek á la Armułowicz bardzo przyjemny, oddźwięk znajduje w naszych sercach! to pan Świstacki, obnosiciel cechy miejskiej do naszego lasu gminnego, frant, kuty na obie nogi, elegancką umie przyrządzać k r a m p a m p u l ę! to pan Kijas dzierżawca kopytkowego, to Widłowski właściciel realności i starszy brat Różańca świętego w naszym parafialnym kościele! i tak dalej, i tak dalej! Potem kiwnę na muzykę, kapela urźnie „Gott erhalte“,

nasza straż ogniowa wystąpi ze sztandarem i odda honory wojskowe przed tym jegomością, potem znowu muzyka urznie polonesa o tej Zosi, co się jej to zachciało, ja wezmę sobie pod ramię pana malarza jak nigdy nic, i szepnę mu do ucha: panie tego ten, przed obiadkiem kieliszeczek koniaczku nie zawadzi, i parami panie tego ten powlecjemy się na salę. (Pokazuje gestykulując odpowiednio, z jaką to okazałością postępować będzie) (p. chw.) Ciekawym bardzo, czy ten pan malarz widział kiedy w swoim życiu taką paradę.

SCENA XV.

Burmistrz i Onoźka.

Onoźka (w czarnem ubraniu, wpada zziąjany.)
Uf! uf! (Rzuca się na krzesło i obciera sobie chustką czoło.)

Burmistrz (pospiesznie.) Co?! już jest?!

Onoźka. Aus! (Macha ręką.)

Burmistrz. Co aus? co to znaczy? gadaj prędzej, bo z ciekawości pypcia dostanę.

Onoźka. Ano, niema się na czyje przyjęcie przygotowywać, bo Andriolli już... fiut!

Burmistrz. Fiut! co fiut?! nie rozumię...

Onoźka. Ano przejechał przez Kozłowice przed kwadransem.

Burmistrz (załamując ręce.) Co ty gadasz?! Przejechał przez Kozłowice i nie popasał nawet?

Onoźka. Ale owszem popasał tutaj z jakie pół godziny, tylko któż się tam mógł spodziewać, że to Andriolli. Nikomu o tem ani słówka nie pisał. —

Burmistrz (irytując się.) No, toby człowieka już djabli wzięli ze złości. A nie mówiłem tym bałwanom, żeby pilnowali, czy kto z obcych do hotelu nie zajedzie i w razie przybycia jakiej podejrzaney osoby, zaraz miasto alarmowali?!

Onoźka. Otoż właśnie stosownie do twego nakazu wszyscy oczekiwali twego malarza w powozie, a on przyjechał konno,

Burmistrz. A psiakrew! Dwieście blatów zmar-nieje. (Siada zrozpaczony na kanapie, oczy ma sze-roko roztworzone.)

Onożka (przysuwając się ku niemu.) Ale powia-dam ci, jechał sobie na koniu jak jaki zwykły czło-wieczyna. Hy, hy, hy! Samem go widział. Miał na głowie (pokazuje ręką) czapkę, wiesz: taką z daszkiem, w niebieskie i białe paski, i takie jakieś śmieszne ubranie, na nogach buty z cholewami z żółtej skóry, u których uszy na wierzch sterczały, a za nim jechał znowu jakiś drugi jegomość na koniu, tak samo kuso, jak tamten ubrany.

Burmistrz. A żeby tę historję wszyscy djabli wzięli. A ja sobie taką śliczną mówkę w y k a l k u l o w a ł e m, i ogoliłem się na tę intencję.

Onożka. No djabliż się tam spodziewali takiej siurpryzy, hy, hy, hy! Dopiero Wanderer wiesz: ten żyd z murowanej karczmy przychodzi do miasta i pyta się naszego policjanta: „No i cóż panowie! widzieliście tego sławnego malarza, co to go tak w Swoszowicach przyjmowali?” Ten wywalił na niego oczy jak na raroga, a żyd mu dopiero opisuje tego jegomością, jak wyglądał, jak był ubrany, jaki był koń pod nim; jak mu ci go dopiero opisał, tak nasz policjant zgłupiał formalnie. Leci do hotelu, aby zaciągnąć języka, i tam mu gadają, że taki pan dopiero co odjechał ku Zakopanemu. Dopiero ci na naszym policjancie skóra ścięła; rżnie do kancelarji gminnej i tam opowiada nam zebranyam całe zdarzenie. Hy, hy, hy! (ociera się chustką.)

Burmistrz (urazony.) Dobrze ci się śmiać, bo cię to nic nie kosztuje, ale co ja teraz pocznę...

Onożka. Hy, hy, hy! nie masz sobie znowu czego tak bardzo do głowy przybierać.

Burmistrz. Gadaj zdrów. Zawsze by się coś człowiekowi przy tej sposobności oberwało.

Onożka. Hy, hy, hy! Powetujesz to sobie przy innej okazji.

Burmistrz (do siebie, ciężko westchnąwszy.) Prę-dziej bym się był śmierci spodziewał.

Onożka. Ano, to trudno! Hy, hy, hy! Dla mnie to także zawód, bo się człowiek i przewlekać musiał,

i umyślnie już dzisiaj Morisona nie zażywałem, bo Morison jakoś wina nie przyjmuje. Hy, hy, hy!

Burmistrz. A myślisz, że ja co jadł od śniadania?

Onożka. Hy, hy, hy! co tam o to. Musieli ci przecie w domu obiad jaki zostawić.

Burmistrz. Mnie się i już jeść odechciało...

Onożka. Et! dałbyś pokój i nie trapił się taką bagatelą. Za to na naszym weselu urządzimy sobie taką bibkę, że aż ha! Hy, hy, hy!

Burmistrz (poważnie.) *Apropos* wesela, muszę ci powiedzieć, że sprawienie go natrafi na pewne trudności!

Onożka (gorliwie.) No, no? na jakież?

Burmistrz (suwa palcami, jakby przeliczał pieniądze.) Tego nie ma. Spodziewałem się, że przy okazji przyjęcia tego malarza, coś bodaj jaką beczkę wina przycygną na rachunek miasta, a tu nici z tego.

Onożka. No, to ty tam sobie już i w tym wypadku poradzić potrafisz. Jakbym ja był burmistrzem, bądź pewny, żeby mi ta nigdy niczego w domu nie zabrakło.

Burmistrz. Gadaj sobie zdrów.

Onożka. Wiesz, co ci zawsze radzę. Gdzie się tylko da wziąć, bierz! gdzie się brać nie da — wydrzej! albo inaczej mówiąc (pokazuje rękami.) Bierz na prawo, bierz na lewo, bierz na wszystkie strony!

Burmistrz. Dobrze ci mówić, ale to nie zawsze się można stosować do tej maksymy. Jak czasy ciężkie, to panie tego ten i wydrzeć nikomu nic z łapa nie potrafisz, bo łapa pusta.

Onożka. Udajesz, burmistrzu, udajesz. Na twojem miejscu będąc i dom bym odpowiednio prowadził, i jeszcze kapitały naskładał.

Burmistrz. Tere, fere, kuku...

Onożka. Tylko bo ty nie umiesz być oszczędnym. Widzisz te karteczki, to także ci nie koniecznie do zbawienia potrzebne.

Burmistrz (oburzony.) E, co mi ty tam będziesz wykladał, co mi do zbawienia potrzebne.

Onożka. O preferansie nie mówię, bo to niewinna gra, ale ten ferbel to czyste oszukaństwo. Żebyś chociaż wygrał kiedy, ale ciebie zawsze obębnią do ostatniego grajcara, i puszcza gołego jak święty turecki.

Burmistrz. Otóż właśnie się mylisz, grubo się mylisz, mój kochany, bo ja jeszcze nigdy więcej nie przegrałem po nad te głupie 10 blatów.

Onożka. Hy, hy, hy! Głupich 10 blatów w jeden dzień, na drugi dzień znowu głupich 10 blatów, na trzeci głupich 10 blatów, to za dziesięć dni: uczyni mądrą stówkę.

Burmistrz. Et! co ty tam będziesz wglądał w nieswoje rzeczy. Ot! lepiej poradź mi, zkaż tu wziąć pieniędzy, bo przecież ciebie sprawa ta, jako nowożeńca zarówno cokolwiek obchodzić powinna.

Onożka. Hy, hy, hy! alboż ja wieni.

Burmistrz. No, przecież. —

Onożka. Do Szmula się udaj.

Burmistrz (uśmiechając się podkręca wąsa i patrzy na Onożkę badawczo.) A tybyś to nie mógł?

Onożka (przestraszony.) Ja?! cóż ty myślisz sobie, że ja mam pieniądze?! Hy, hy, hy! Ja nie mam nic. Co mam, to na założenie gospodarstwa potrzebuje, a reszta u ludzi.

Burmistrz (urazony odmową.) Ładną emeryturę przecież pobierasz...

Onożka. No to i cóż z tego. Co wezmę, to i wydam zaraz, bo teraz życie takie drogie. Korzec ziemniaków kosztuje u nas 1 złr., kapusty kopa 2 złr., (na palcach licząc) podatek wynosi około 40 złr. na rok. Za mleko zapłać, za mąkę zapłać, za jaja zapłać, za mięso zapłać. Zkądże by się te pieniądze brały? Nie mam, jak cię kocham, nie mam. Ja sam za groszem gonię. U moich dłużników bieda, żaden nic nie oddaje, i u ciebie mam te 400 złr....

Burmistrz, (który przez cały czas trwania tej mowy uśmiechał się szyderczo, gładząc wąsa, usłyszawszy ostatnie słowa, unosi się nagle gniewem.) Boisz się o nie?

Onożka. O nie! niech mnie Bóg zachowa. Jak się kiedy zdobędziesz, to oddasz córce....

Burmistrz. Więc ty mi stanowczo tej pożyczki odmawiasz?...

Onoźka. Ja?! odmawiam?! tobie?! Gdzieżbym ja ci mógł co odmówić, tobie mój najserdeczniejszy, najzaciewniejszy przyjacielu. Ale jak w kieszeni pusto, to trudno ci przecież nie odmówić. (Chytrze.) Przyznam ci się, że ja nawet miałem zamiar ciebie prosić o małą pożyczkę, ale (burmistrz powstaje zagniewany) skoro nie masz, to człowiek musi jakoś przebiedować.

Burmistrz (przechadzając się po pokoju wzburzony.) No, no! będziemy razem biedować.

Onoźka (powstaje i chodzi za burmistrzem.) Ty mi może nie wierzysz, że ja nie mam pieniędzy, ale ci się przysięgam na wszystkie świętości, że mówię prawdę. Ostatnią gotówkę, jaką miałem, pożyczyłem przedwczoraj Zarwanicy. Gdybyś mi był przedtem powiedział, byłbym jemu odmówił, a tobie dał.

Burmistrz (j. p. półgębkiem.) Masz przecie jeszcze pieniądze, złożone na książeczkę kasy oszczędności.

Onoźka (składa się przed burmistrzem.) To nie moje. To depozyt mojej siostry... Toś ty myślał, że to moje oszczędności?! Ale gdzież znowu? To te pieniądze, co to siostra wyprocesowała od Nikity, i mnie prosiła, abym je w bezpiecznym miejscu ulokował. (Burmistrz się szyderczo uśmiecha.) A!... żeby to były moje pieniądze, to co innego. Zaraz bym je przecież podjął z kasy, wiedząc, że u ciebie tak by one były bezpieczne, jak i w kasie, ale to nie moje.

Burmistrz (nieszczercze.) Ano, to nie mówmy już o tem. Dziękuję ci bodaj za dobre chęci. (Podaje mu rękę.)

Onoźka (odetchnawszy głęboko.) Tak, tak.

Burmistrz (p. chw.) Wypadałoby może jakoś, tę naszą dzisiejszą porażkę z powodu wymknięcia się nam z rąk tego malarza, oblać po ludzku. Skoczmy może do Trembeckiego?

Onoźka. Ano i owszem, ja nie jestem od tego. Morisonów dzisiaj nie zażywałem.

Burmistrz (patrzy na zegarek.) Trzecia. Poczekaj kwadransik, tylko co skłapnę, bo tak na pusty żo-

ładek, to nie zdrowo łać w siebie jak w dziurawą karafkę.

Onożka. A no, dobrze. Ja ci nie będę przeszkadzał. (Podaje rękę.) Zaczekam w trafice. Wstąp po mnie!

Burmistrz. Dobrze, dobrze. Do widzenia! (*Onożka odchodzi.*)

SCENA XVI.

Burmistrz (sam.)

Burmistrz (spluwa z pogardą.) Szuja! Córki mojej to mu się zachciewa, ale poratować człowieka w tarapatach, to mu się panie tego ten nie chce. Poczekaj bruderku! nie mów hop! aż przeskoczysz. Myślisz, że skorom ci córkę obiecał dać za żonę, to już z nami kwita?! Że ojca możesz teraz wyrzucić jak starą miotłę na śmiecia?! O! poczekaj bruderku! ja pieniędzy i tak bez ciebie dostanę, ale twojej odmowy do śmierci ci nie zapomnę. On mi będzie zawracał podniebienie, że nie ma pieniędzy, on, co gnije na kapitałach! Kutwa nieznośny! nie chce i grajcara popuścić z łapy, bo się boi, żeby mu nie przepadło. Innym to pożyczka, a mnie każe lizać łapę, bo się boi, żebym mu nie oddał. Poczekaj złodzieju! jeszcze ty kiedy pięknie się mnie o coś prosić będziesz. Żeby mi się tak nie rozchodziło o wstyd, co ludzie powiedzą, tobym ci i córki nie dał! Leżże sobie kuternogo na tych pieniądzech sam, jak ten pies na sianie, co go to sam nie jadł, a drugim ruszyć nie dał. (P. chw.) Powiedziałem łotrowi, że od tej pożyczki zawisło jego połączenie się z Fonsią, bo aby sprawić wesele, pieniędzy nie mam, mimo tego nie pożyczyl. O! mój zięciu kochany! to ty mnie masz widzę za jakąś hetkę - pętelkę?! i zdaje ci się, że córkę moją już masz w kieszeni?! O! Halt! nie tędy go wiodli! Doczeka się świeczka wieczoru,

SCENA XVII.

Burmistrz i Honorata.

Honorata (wchodząc.) No i cóż burmistrzowi? ubranie masz już od dawna przysposobione.

Burmistrz. Każ schować; wcale się nie będę przebierał.

Honorata. Dla czegoż?

Burmistrz. Ano, ten malarz bez naszego powitania przejechał sobie przez Kozłowice, nie ma się przeto dla kogo sztafirować.

Honorata. Przejechał?

Burmistrz. A jakże. Myśmy się spodziewali, że przyjedzie chociaż jaką dryndą, a on panie tego ten na koniu sobie myrdał z jakimś drugim obieżyswiatem, i tyleśmy go widzieli. (Pokazuje figurę.) A mówiłem durniom: „Skoro zobaczycie jaką podejrzaną osobę, dajcie mi zaraz znać!” Gdzie tam! gamonie zostaną zawsze gamoniami!

Honorata. Jakoś się wam nie szczęści.

Burmistrz. A no dopust boski i cała parada. (P. chw.) Nie masz tam co w szabaśniku z obiadu, bo taki mam żołądek pusty, że czuję najwyraźniej, jak mi w nim glisty po alejach spacerują.

Honorata. Nie mam. Ale jak chcesz, to ci kawy ugotuję.

Burmistrz. Ano dobrze.

Honorata (niby do odejścia się zabierając.) Ale mi się zdawało, że tutaj słyszała głos Onożki.

Burmistrz (spluwa.) A był, ale wyszedł.

Honorata (j. p.) Nie mówił, czy przyjdzie jeszcze?

Burmistrz (zły.) Niech go tam las trzaśnie. Kontent jestem, że go nie widzę.

Honorata (zadziwiona.) No?! cóż się stało?

Burmistrz (usiłując naprawić to, co mu się z ust wymknęło.) E nic! tak mi się tylko z gęby to przekleństwo wyrwało.

Honorata (nieśmiało.) Możesz się rozmyślił?

Burmistrz. W jakiej sprawie?

Honorata. Ano, żeby mu nie dawać Fonsi....

Burmistrz (unosząc się.) Tyś widzę na prawdę uwzięła się na mnie, żeby mnie maltretować. Otóż nie, nie, nie, nie i po tysiąc razy: nie rozmyśliłem się. Com postanowił, dotrzymam świącie. (Honorata pospiesznie odchodzi.).

SCENA XVIII.

Burmistrz (sam.)

Burmistrz. A to skaranie boże z temi babami! Widać podsłuchiła pod drzwiami naszą rozmowę, i domyśliwszy się, że mam Onożkę trochę w żołądku, lezie do mnie jak w dym. Czy je dzisiaj lichy opętało, czy co?! Człowiekowi od tych różnych kłopotów ledwie łeb nie spuchnie, a tu jeszcze ucieraj się ciągle z babami. A żeby was gęsiami wozili. A to ci panie historje!... Jak się babsko uparło przekomarzać się ze mną tym swoim Frygowskim, tak gdzie się ino ruszę,, w ciągle mi tym bałwanem głowę kotłuje.

SCENA XIX.

Burmistrz i Ildefonsa.

Ildefonsa (zapłakana, chustkę ciśnie ku oczom; wchodzi nieśmiało.)

Burmistrz. Cóż tam znowu?

Ildefonsa (padając przed burmistrzem na kolana.) Mój drogi ojczy! nie rób mnie na całe życie nieszczęśliwą.

Burmistrz (wybałusza oczy, ogromnie wzburzony.) Co? co? co? nie rozumię.

Ildefonsa (obejmuje go za nogi.) Rób ze mną, co chcesz! każ mi się zabić, otruć, utopić, ale mnie nie wydawaj za Onożkę!

Burmistrz (usiłuje się wydrzeć z jej rąk, w największej pasji.) Nie! wiecie państwo, że to już przechodzi ludzkie pojęcie! (Wyrwawszy nogi z jej objęć,

mierzy pokój wielkimi krokami.) Albo ja zwarzuję z tej alteracji, albo was wszystkie każę powywie-
szyć na pierwszej lepszej gałęzi. No! słyszał kto coś podobnego?! (Zakłada ręce po napoleońsku.) Ja mam jej kazać, aby się albo otruliła, albo zabiła, albo za-
strzeliła! ja burmistrz i głowa miasta Kozłowie mam spowodować samobójstwo dla tej przyczyny, że ją chcę z uczciwym człowiekiem węzłem małżeńskim połączyć! (Uderza się gwałtownie rękami po bokach). To już przechodzi granice! Albo ja się urznął jak cztery dziewczki i bajdurzy mi się coś na śnie, albo wy wszystkie strąbiłyście się jak kufy. (Poczyna pospiesznie chodzić po scenie, popychając i szturkając wszystko po drodze.)

Ildefonsa (szlochając, nie powstaje z klęczek.)
O... o... noż... ka... ma kucharkę... O... o... noż... ka stary. Ja... ja..., Onożki nie cierpię...

Burmistrz (j. p.) Milczeć! (Gwałtownie usuwa stolik z drogi.)

Ildefonsa. O... o... nożka... by... mnie zagłodził. On taki skąpiec, pieniądze cho... chowa... a... a... a... tylko samemi ochłapami ży... żyje. On... by... tatkę i mamę wyścigał z domu, bo... o... o... on tylko za posagiem po... po... o... luje.

Burmistrz (j. p. szyderczo.) Frygowski byłby lepszy?!

Ildefonsa. A... a... lepszy. On... ta... tkę uwielbia. O... on mówił, że dla... tatki taką czią jest prze... e... jęty, żeby jego sto... o... opy lizał...

Burmistrz (j. p.) Ehe! a kogo to nazwał kulfo-
nem i oczajduszą?

Ildefonsa. O... on... to nie do ta... tki powiedział, ty... y... lko na Onożkę, bo on... jest ba... a... rdzo zazdrosny o... o.. mnie.

Burmistrz (j. p.) Ho, ho! nie dam ja ci się zdurzyć. To z cicha pęk!

Ildefonsa. O... on już dwa listy... do tatki... na... a... pisał, wyjaśniając to nieporozumienie... a... a... ale jakoś nieśmia... ał posłać.

Burmistrz (przystaje na chwilę.) Ale?

Ildefonsa. Ma... a... ama... poświadczy.

Burmistrz. Świadczył się cygan swemi dziećmi.
(Zuowu chodzić poczyna.)

Ildefonsa. O... on... tu był na... a... awet dzisiaj w tej sprawie, ale ta... a... atki w domu nie zastał.

Burmistrz (j. p.) Hm!

Ildefonsa. O... on się strasznie ta... a... atki boi, bo tatko taki zawsze o... ostry... i... i... i... zawsze go prześladuje.

Burmistrz (znowu na chwilę przystaje.) Co? co takiego? ja go prześladuję?

Ildefonsa. A tak! mówił mi, że go ta... a... atko zawsze Frygą prze... e... zywa i obiecuje, że... że... mu kości połamie. (Wybucha głośnym płaczem.)

Burmistrz (poczyna znowu mierzyć pokój wielkimi krokami, i szarpie wąsa. Coraz łagodniej:) Ja tego wcale nie mówił.

Ildefonsa. A nieprawda, ja sama słyszała. O... on mówił, że mu tatko nigdy na... a... wet słowa uczciwego nie da, ale zawsze na niego psioczy i prze... e... eklina...

Burmistrz. Jako żywo, to nieprawda. Ja nie mam tego nigdy w zwyczaju.

Ildefonsa. Dzi... i... isiaj przed mamą, płakał na... a... ta... a... atkę, i mówił, że... so... o... obie życie odbierze.

Burmistrz. A to bałwan! ale żebym mu to kiedy chociaż marne słowo powiedział... (Chodzi coraz prędzej po pokoju.)

Ildefonsa. Został a... a... djunktem, ale powiedział, że go to... na... a... wet nie cieszy, sko... o... ro u burmistrza miasta nie ma... szacunku za zła... a... manego szeląga.

Burmistrz (zrywa się.) Ale ja mu nigdy nic złego nie zrobił, i panie tego ten... nie wiedziałem... to jest... nie miałem zamiaru go nienawidzić, czyli... przezywać.

Ildefonsa. Ta... ak mu to jest przykro, że mu się aż coś robi.

Burmistrz (zamyślony, przystając.) No, patrzajcie się. Któżby się spodziewał, że on sobie to tak wszystko do serca przybierze.

Ildefonsa. O... on... ma serce ta... akie czule, i choruje na... a... wet na serce, i mówił, że skróny ta... a... atki, to mu się na... a... wet pogorszyło.

Burmistrz. A to historia! jak Boga Kocham! (Zapina wszystkie guziki u surduta bardzo troskliwie. Chwila milczenia.) Więc powiadasz, że on to nieporozumienie już dwa razy listownie chciał... tego ten... (zwalnia kroku i łowi uchem wyrazy Ildefonsy.)

Ildefonsa (potakując głową.) Tak jest; wytłumaczyć. Ty... tylko się bał, że mu tatko list nie... e... eprzeczytany zwróci, i znowu Bóg wi... wie, co za tę śmia... a... ałość nawymyśla. —

Burmistrz (zamyślony, szarpie wąsa. Ildefonsa udaje ciągle szlochanie, a zerkając ukradkiem na ojca, uśmiecha się do publiczności.) Hm! (p. chw.) To... to... czemuś mi u diabła zaraz nie mówiła, panie tego ten, że ten.. ten... to... panie tego ten...

Ildefonsa. O czym?

Burmistrz (z gniewem.) No, o czym?! o czym?! Juści nie o czym innym, tylko o tem, że ten wasz Frygowski to taka nieduda (spluwa), ot! pożałuj się Boże! (Chodzi spieszniej po pokoju.)

Ildefonsa. Kiedy tatko zaraz się gniewał.

Burmistrz (j. p., przystając.) Co! ja się gniewał?! Cóż mi ty będziesz do oczu lgała i wpierała we mnie jak w żyda chorobę, że ja się gniewał! Jak widzę, to wy obie z matką jużście się tak przyzwyczaiły, że jak z was tylko która co złego przeszkobie, to zaraz na mnie winę składacie. Jaki klin taka dziura, jaka matka taka córka. Wstyd, jak Boga Kocham, wstyd! (Drepcze znowu po pokoju.)

Ildefonsa. A nie gniewał się tatko na Frygowskiego? i na mnie? i na mamę, co o nim mówiła?

Burmistrz (j. p.) Już ty zawsze masz na wszystko gotową odpowiedź! (Mierzy gwałtownymi krokami pokój. Chwila milczenia.)

SCENA XX.

Ciż i Honorata.

Honorata (wchodzi niosąc kawę i chleb; spogląda badawczo na córkę klęczącą, potem na burmistrza.) A to co znowu?

Burmistrz (zakłopotany.) A jak się dowiaduję panie tego ten, wasz Frygowski pisał do mnie, że... że... na serce biedak choruje.

Honorata (uśmiecha się pod nosem, stawia jadło na stole, potem do burmistrza...:) No, jedźże, masz kawę, chleb świeży... (Ildefonsa powstaje i siada na krawędzi stolika, nie odsłaniając chustki od oczu.)

Burmistrz. E, mnie się już nawet jeść nie chce. (Siada machinalnie.)

Honorata. Będziesz miał później dosyć czasu na rozmyślania, jak Frygowski sobie skrócy ciebie w łeb wypali. Teraz jedz. (Burmistrz się zachnął, w końcu zasiada przy stole. Po chwili Honorata zaczyna:) Jak wydamy Fonsię za Onożkę, możeby im dać nasze meble, bo jego takie obszarpane...

Burmistrz (po dłuższej chwili milczenia, sapiąc.) Cóż ci się znowu tak spieszy?

Honorata. A no przecież to tylko dwa tygodnie jeszcze do ślubu, trzebaby o tem zawczasu pomyśleć. (Po chwili.) A jak myślisz burmistrzu? czy zamówimy zaproszenia na wesele w drukarni, czy też każesz w kancelarji napisać?

Burmistrz (poprawia palcem zapięcie u kołnierza kosztuli.) Pomyślmy jeszcze o tem. —

Honorata. A nie wypadaloby zaprosić także na wesele i Konopickich z Brzozówki? To ponoś pana młodego bliższy krewni...

Ildefonsa (szlochając.) Chodzą w kyrpcach...

Burmistrz. Pomyślmy o tem...

Honorata. A jak myślisz burmistrzu, co będzie z muzyką? czy możebyśmy się bez niej obeszli?

Burmistrz. Hm! hm! zobaczymy.

Honorata. Bo to widzisz, Fonsia za tańcami przepada, i tybys sobie mazura rad uciąć, a Onożka kulawy trochę, nie tańczy, będzie może tańcom przeciwny.

Burmistrz (dławiąc się chlebem.) Pomyślmy, pomyślmy. (Ję zawzięcie.)

Ildefonsa (płacze głośniej.)

Honorata. Wypadaloby może i kucharza na ten dzień z Leżajska sprowadzić, żeby co upitrasił. Same sobie rady nie damy.

Burmistrz (jé chciwie.) Aha! trzebaby...

Honorata. I księdza Wijarę wypadaloby także na ślub zaprosić do a s y s t y. To ponoś twój bliski znajomy.

Burmistrz (j. p.) A juści.

Honorata. Tylko, że pan młody podobnoś księży nie lubi. Zawsze na nich wygaduje.

Burmistrz (rozpinając surdut, jakby mu było w nim za ciasno; z modulacją w głosie :) A juści...

Honorata. To ks. Wijara gotów nie przyjechać.

Ildefonsa. Mój katecheta. (Płacze głośniej.)

Burmistrz (j. p., usta ma chlebem zapchane.) Hm! hm!

Honorata. To i nasz wikary nie będzie chciał może asystować, bo oni się z Onożką gniewają. (Po chw.) Ładne będzie wesele.

Burmistrz (prycha, zbierając troskliwie okruszyny ze stołu.)

Honorata. I na Szymonowicza nie ma co liczyć, bo oni zawsze z Onożką byli na bakier.

Ildefonsa. O mój Boże! mój Boże!

Honorata. Z tego samego powodu i Brochwiczów prosić nie można.

Burmistrz (gwałtownie.) A to dla czego? (Powstaje.)

Honorata. No przecież Brochwicz publicznie...

Burmistrz (j. p.) Brochwicz mój opiekun, dobrodziej, drugi ojciec...

Honorata. A no kiedy on z Onożką zawsze drze koty i znieść go nie może.

Burmistrz (j. p.) Co ty mi dzisiaj tym Onożką tak dogryzasz i dogryzasz. (Krótko.) Ja nie mam córki dla Onożki.

Ildefonsa | (powstaje z radością i biegnie do ojca.) Mój ojcze!

Honorata | (udając zdziwienie.) A to co znowu?

Burmistrz (ogromnie zagniewany, odtrąca córkę i przyginając się, tupie nogami o podłogę.) Nic znowu! Powiedziałem, że nie mam córki dla Onożki i rzecz skończona. —

Honorata. Ależ to być nie może!

Burmistrz (podpierając sobie boki, wyzywająco:)
Ciekawym, dla czego?

Honorata. Przyobiecałeś przecie?

Burmistrz. No, kiedy nie dam. Powiedziałem raz, że nie dam i słowa dotrzymam, choćby tutaj siarczyste pioruny trzaskały. (Tupie nogą i poczyną gwałtownie przechadzać się po pokoju.)

Honorata. Daleś przecie zapowiedzi wywołać z ambony.

Burmistrz (j. p.) To się je odwoła, a ja mu córki nie dam, choćbym wiedział, że jutro za to będę d y n d a ł.

Honorata. Ależ, Pitasiu!

Burmistrz. No, kiedy nie dam.

Honorata. Zkąd znowu to nagłe postanowienie...

Burmistrz. No, nie dam do trzysty djabłów, nie dam i cała parada.

Honorata. Ależ nie irytujże się. Wiesz przecie, że nie byłam nigdy za Onożką, ale... wydziwić się nie mogę...

Burmistrz. Dziw się i nie dziw, skoro ci powiadam, że nie dam, to nie dam.

Honorata. Ale i owszem, tylko, że to może ci Onożka za złe poczyta.

Burmistrz. Niech się i wścieknie, ja na swoim postawię i nie dam. (Nie przestaje przechadzać się pospiesznie.)

Honorata. Trudno ci będzie wytłumaczyć...

Burmistrz. Już ja wytłumaczę temu sknerze, aż mu się niedobrze zrobi. (Nagle z furją zwracając się do kobiet:) No! idźcie sobie już raz z przed moich oczu, nie napastujcie mnie ciągle temi pytaniami, bo mi się już błąd głowy chwyta.

Honorata. Fonsi czas by było iść za męża...

Burmistrz. Ty, ty, Honorko! tylko mnie nie drażnij, bo ja wiem, żeś się ty dzisiaj na mnie uwzięła, aby mi dokuczać.

Honorata. Ależ broń Boże!

Burmistrz. Już ty mi się tu nie sumituj! bo ja cię znam, ale to tak, d u r c h u n d d u r c h ! (Robi ruch odpowiedny ręką.) Ciebie i twoją córunię! Prycha.)

Ildefonsa (całuje w ręce ojca, które jej burmistrz wyrwać usiłuje.) Mój kochany tatusiu!

Burmistrz (przedrzeźniając jej.) Mój kochany tatusiu! moja kochana mamusiu! Ja was nauczę, co to znaczy, grać mi na nosie.

Honorata. Ależ burmistrz! nie irytuj się!

Burmistrz (j. p.) Nie irytuj się! a żga mnie temi swojemi słodkimi słówkami, jak nożem. Ja chcę tak, ona tak! ja chcę to, ona owo! To może człowieka do wściekłości przyprowadzić. (Rozpina kamizelkę.) Uf!

Ildefonsa. Tatusiu!

Honorata. Pitasiu!

Burmistrz. Idźcie precz!

Ildefonsa. Ojczulku!

Honorata. Burmistrz!

Burmistrz. Jeszcze mnie szlag trafi z tej alteracji. (Staje na środku sceny i krzywi się jak do płaczu.)

Ildefonsa. Ja tatusia tak kocham. (Całuje go po rękach.)

Honorata. Cóżes ty sobie znowu dzisiaj do mnie upatrył (uciera nos o fartuch.) Wyklinasz mi od rana, dobrego słowa nie użyczysz...

Burmistrz (bliski płaczu.) E! bo mi już tak dokuczacie...

Honorata. Ja ci dokuczam? ja? (Szlocha.)

Burmistrz (uciera oczy rękawem od surduta, wargę wierzchnią wydyma, j. p.) Maltretujecie mnie...

Honorata (płacze.) Na stare lata tegom się od ciebie doczekała, byś mnie przeklinał, jak jaką ostatnią...

Burmistrz. No! Honoroko! nie płacz...

Ildefonsa (płacze.) Biedna mama.

Honorata (j. p.) Jak sobie pomyślę na swą dolę, to mi się aż co si k robi.

Burmistrz. No, no, nie płaczcie już (tuli obie w objęcia), nie płaczcie, ja się poprawię, tylko mi też nie dokuczajcie, bo mi jeszcze serce pęknie i będzie a u s. Uf! Tak mnie coś na wnętrzu rozpiera, że wiatru złapać nie mogę. (Robi miny, jak gdyby go na krzyż przybijano.) Tyleście mi dzisiaj nadoku-

czają, że mam serce jak stara macherzyna podziurawiona na wszystkie boki. Oj! oj! czuję, że mi mrówki po ciele łążą (wstrząsa się cały) i... i... i... słabo mi się robi... o... krop... nie. (Stęka.) Za wiele wzruszeń! za wiele! (Udaje zemdlenie; kobiety go podtrzymują i sadzają na krzesło.) (Uf! (Popłoch.)

Honorata (nastraszona.) Rany boskie! on na prawdę zemdlął!

Ildefonsa (rzucając się ojcu na szyję.) Ojcie! ojczusiu!

Honorata. Fonsiu! podajno prędko wody. (Ildefonsa wybiega.)

Burmistrz (przewracając oczyma.) Oj! oj! umie... ram....

Honorata (na pół z płaczem.) Ojcie nasz! który jesteś w niebie.... (Ildefonsa wbiega, niosąc wodę. Kropią omdlałego.) Święć się imię Twoje... zawołaj Jana i przynieś octu... (Ildefonsa wybiega.) Przyjdź królestwo Twoje....

Burmistrz. Uf! (Ildefonsa z Janem wbiegają, wspólnie nacierają burmistrza octem, Jan co chwila siąka nos w rękaw u surduta.)

Honorata. Bądź wola Twoja....

Burmistrz (kicha.)

Honorata

Ildefonsa

Jan

} Na zdrowie!

Burmistrz (krzywi się do kichania.) Dzień... dzień...

Ildefonsa. Tatusz przemówił!

Honorata. Jako i w niebie, tak i na ziemi.

Burmistrz (kicha.)

Honorata

Ildefonsa

Jan

} Na zdrowie!

Burmistrz. Uf! (Ociera sobie chustką twarz.)

Honorata. Lepiej ci?

Burmistrz (kicha.) Dziękuję. Uf! (Stęka.) Straszniem osłabiony.

Ildefonsa. Możeby po doktora!

Honorata. Janie! przeskocz no! (Policjant zabiera się do odejścia.)

Burmistrz (protestuje żywo.) Nie, nie trzeba.

Honorata. Boli cię co ?

Burmistrz. Nie, nie ; już mi lepiej. (Powoli powstając do policjanta :) Możesz odejść. (Policjant odchodzi, składając ręce jak do modlitwy i wzrok wznosząc do sufitu.)

Honorata (wraz z Ildefonsą podtrzymują burmistrza.) A widzisz?! zawsze ci mówię, nie irytuj się, boś ty tak jak to kurczę; ino cię co zabolii, zaraz umierasza.

Burmistrz (stęka co chwila.) Uf! uf! djabliż się ta spodziewali, że mnie tak rozbierze. Uf! uf! (ociera oczy) tak mi się teraz zdaje, jakbym się na nowo na ten świat bez paszportu pokazał.

Honorata. To przejdzie. Ugotuję ci rumianku, (burmistrz się na te słowa otrząsa) położysz się do łóżka, wypocisz i siły odzyskasz.

Ildefonsa. Tylko się niech tatko znów nie irytuje, o niczem nie myśli....

Burmistrz (j. p.) Tak! dobrze ci mówić! człowiek musi dźwigać całe Kozłowice Wielkie na głowie, i będzie ta miał łeb spokojny.

Honorata. Choćbyś parę dni niczem się nie zajmował, ino w domu siedział, to jeszcze sobie tam nikt głowy z tego powodu nie urwie.

Ildefonsa. Viceburmistrz tatkę zastąpi.

Honorata. Słabo ci jeszcze ?

Burmistrz (zwieszając głowę na bok, płaczkliwie.) O! słabo... słabo... Czuję, że mam całe nogi spocone. (Próbuje o własnych siłach postępować.) Widzicie!... jak mi się to nogi płaczą, jak po tyfusie...

SCENA XXI.

Ci sami i Bronisław.

Bronisław (otwiera powoli drzwi, wtyka głowę.)
Padam... (zoczywszy burmistrza, ucieka przestraszony.)

Honorata } Frygowski!
Ildefonsa }

Burmistrz (nagle odzyskując władzę w nogach, biegnie ku drzwiom.) Panie tego ten (patrzy po za drzwi.) Uciekł do trzysty djabłów! (Chce powrócić do pokoju, nagle zmienia swój zamiar i wybiega za scenę.)

Honorata. Wybiegł bez czapki, gotów znowu zachorować. (Niespokojnie nadśluchuje przy drzwiach.)

Ildefonsa (przy oknie). O! o! tam idzie! tam ojciec się wrócił... posyła policjanta. Co to wszystko znaczy?

Honorata. Nie bój się, nic mu złego nie zrobi, byle tylko znowu ojciec z wzruszenia nie zachorował.

Ildefonsa (odchodząc od okna.) Trzeba będzie wyjść po ojca.

Burmistrz (powracając; we drzwiach.) Drapnął psia wiara! — Co on mnie się tak boi?

Honorata. Ano, zawsze się na niego wygrażywał...

Burmistrz. No to i cóż z tego?

Ildefonsa. Co tatko zamysła zrobić?

Burmistrz. A no cóżby? (Z uśmiechem.) Kości mu pogruchoczę.

Ildefonsa (całuje ojca w rękę.) Drogi tatusiu...

Burmistrz (całując ją w czoło.) Ty... ty... panie tego ten... psiajucho... (*Ildefonsa* całuje matkę w rękę, ta ją głaszcząc po włosach.)

Honorata. Ogromnie zakochana.

Burmistrz. Ano, posłałem po niego policjanta. Byłby czas, żeby mi się przecieź formalnie oświadczył.

Honorata. Będzie miała Fonsia chociaż ładnego męża.

Burmistrz. Pe... cóż kiedy gołego.

Honorata. Ale co ty gadasz?! Przecie pensję ładną bierze...

Ildefonsa. Rodzice jego mają wieś.

Burmistrz. Podobno folwark.

Ildefonsa. No, to tak jakby wieś.

Honorata. Pieniędzy żadnych na wiano nie żąda.

Ildefonsa. Prócz 600 zlr. gotówki na kaucję, którą chce zaraz złożyć...

SCENA XXII.

C i s a m i i O n o Ź k a .

Onożka (wchodzi, kłaniając się zebranym. Burmistrz usiłuje ukryć zakłopotanie; chrząka.) Hy, hy, hy! padam do nóżek! Dobry wieczór! (Wita się z obecnymi.)

Burmistrz (n. str.) Masz dziadu bułę! (Głośno.) No?! Wie geht's?

Onożka. Coś tu częstym gościem zaczynam być u państwa. Hy, hy, hy!

Honorata. Proszę siadać.

Burmistrz. Siadajże. (Podstawia krzesło.)

Ildefonsa. Bardzośmy panu wdzięczni. (Kryguje się do Onożki.)

Onożka (siadając.) Hy, hy, hy! dziękuję niezmiernie. (Głaszcze się po łysinie. Do burmistrza:) Obiecałeś przyjść do Trembeckiego, czekam na ciebie i czekam, a tu... jak cię nie ma, tak cię nie ma. Hy, hy, hy!

Burmistrz (coraz więcej zaniepokojony.) Przeszkoda niespodziewana... panie tego ten... przeszkoda.

Honorata. Ledwo nam tu burmistrz nie zgasł przed chwilą.

Onożka. Ale?

Burmistrz A jakże... panie tego ten. Dostałem jakieś parcie koło śledzony, że mi aż tchu zabrakło.

Ildefonsa. Ledwośmy ojczulka zratowali.

Onożka. A to historia! Hy, hy, hy! Boleję... boleję...

Honorata. U niego to tak zawsze; ciska się, irytuje, gniewa, a potem zaraz zachłystnie się i koniec.

Onożka. Hy, hy, hy! (Uderza się w kolano.) Ja tam dziękować panu Bogu zdrów jestem zawsze jak koń.

Ildefonsa. A widać to, widać. Panu Kalasantemu zdrowie zdaje się tryskać z oczu.

Onożka. A jakże, a jakże. Czasem tylko na żołądceczek nie domagam, ale sobie go Morisonami reguluję i dobrze mi z tem. Hy, hy, hy!

Burmistrz (nieukrywając swego niepokoju, chodzi koło drzwi.) Ho! ho! panie tego ten — Morisony, dobra rzecz!

Honorata (po cichu do córki.) Co to będzie, jak on przyjdzie?

Ildefonsa (na odpowiedź wzrusza pogardliwie ramionami. Chwila milczenia.)

Onożka (do burmistrza.) Coś ty taki jakiś nie swój? Nie siadasz, ino drepcisz, a drepcisz koło tych drzwi. Czy oczekujesz kogo?

Burmistrz (pospiesznie.) Ale zkądże znowu?! Kogóżbym ja oczekiwał?!... Tu nikt nie przyjdzie. Tak sobie chodzę, bo mi czegoś gorąco i pocę się cały. (Ociera czoło chustką.)

Honorata. Widać z osłabienia.

Ildefonsa. Tatus powinien się położyć do łóżka.

Honorata. Po takim ataku spokój gruntu!

Onożka. Wiesz co? zażyj Morisona!

Burmistrz. Ale nie potrzeba. To przejdzie.

Onożka. Radzę ci, zażyj Morisona. Weź numer pierwszy na noc, a numer drugi przed śniadaniem; to ci dobrze zrobi.

Burmistrz. Ale nie chcę. (Do żony po cichu.) Wyjdźno do sieni.. rozumiesz... tego ten... (Mruga.) No i cóż przyjacielu? podobnoś z blamowaliśmy się z tem przyjęciem malarza.

Honorata. Przepraszam. (Wychodzi.)

Onożka. Hy, hy, hy! (Kłania się odchodzącej i głaszcze łysinę.) Podobnoś. (Cicho do burmistrza.) Cóż z Szmulem?

Burmistrz (również po cichu.) A dobrze, dobrze.

Ildefonsa. Widzę, że panowie macie jakieś sekreta. Nie będę przeszkadzała. Do widzenia! (Zabiera się do odejścia.)

Onożka (powstając mówi pospiesznie.) Ależ gdzież znowu!... ja tak tylko...

Ildefonsa. Zaraz powrócę. (Wychodzi w tę stronę, co i matka.)

Burmistrz (n. str.) Aż mi się lżej zrobiło. Nie dopuszczają spotkania,

SCENA XXIII.

Ci sami bez Ildefonsy i Honoraty.

Onożka (siadając napowrót.) No, i czemuż się nie przyszedł?

Burmistrz. Przecież dopiero co słyszałeś, żem zasłabł niebezpiecznie, ale to powiadam ci tak niebezpiecznie, że panie tego ten myślałem, że już będzie po mnie. (Nadsłuchuje podedrzwiami.) Powiadam ci myślałem, że już będzie koniec. —

Onożka. Hy, hy, hy! Zrobiłbyś niejednemu frajdację.

Burmistrz. Jak to?

Onożka. Ano, byłyby nowe wybory na burmistrza. Hy, hy, hy!

Burmistrz. Da Bóg! długo oni będą jeszcze czekać na te wybory.

Onożka. Hy, hy, hy! Ma się rozumieć. Wiesz dobrze, że ja w tej całej sprawie także niepoślednią odgrywam rolę.

Burmistrz (trochę zaperzony.) Widzisz mój kochany, panie tego ten, i mój zmysł tu coś znaczy.

Onożka. Nie przeczę, nie przeczę, ale cóż kiedyś w piórze słaby.

Burmistrz. O! nie znasz mnie — panie tego ten. Czasem to jakoś konceptu dołapać nie mogę; ale jak się rozsierdzę, to różną jak sto djabłów. Powiadam ci, aż mi pióro furczy w palcach!

Onożka. Hy, hy, hy! Nie bój się nic. Skoro twoje urządowanie jako burmistrza za rok się skończy, a nie wybiorą cię na nowo, jak zacznę pisać rekursa, przedstawienia, reklamacje i skargi, to przez pięć lat sprawa ta ciągnąć się będzie, a ty będziesz sobie przez ten czas furt burmistrzował, a na ostatek tak urządzimy, że cię znowu przy nowych wyborach na burmistrza wybiorą.

Burmistrz. Ja też tak myślę, chociaż te draby powinny i bez rekursów mnie nim wybrać, bo że człowiek pracuje dla dobra miasta, jak ten wół w jarzmie, każdy przyznać musi.

Onoźka. Hy, hy, hy! Gospodarujesz, gospodarujesz niezgorzej.

Burmistrz. Może nie?

Onoźka. Hy, hy, hy! Nie przeczę; tylko radzę ci, nie wdawać się z arystokracją, bo to tałałajstwo na iks cię wyprowadzi.

Burmistrz. Ho, ho! nie głupim, panie tego ten. U mnie grunt żydzi i mieszczenie. Oni górą. Ci dygnitarze z pierwszego koła trzymają się bestje kupy i tylko brylować by wszędzie chcieli. Hołota! co się im to mieszać do spraw miejskich. Patrzyliby lepiej swego nosa i nie pchali się tam, gdzie nie dali grosza. Ale to tak: jednemu z nich tytuł rady się uśmiecha, a inny chciałby przewodzić między nami, jak szara gęś po niebie.

Onoźka. Hy, hy, hy! Nie bój się, nie. Mają oni nas za hetki - pętelki, i że przy nas większość. To też jak chcą jakoś sprawę na Radzie przeprowadzić, ładnie się nam kłaniają.

Burmistrz. Opryszki! Jak Boga kocham, ja, gdybym tak był ministrem, tobym wziął miotły, i całe to tałałajstwo ze wszystkich Rad wykurzył. Co im się to mieszać w nieswoje rzeczy. Nasze jest miasto, to my i w niem sami rządzić powinni, ale nie przybłądy.

Onoźka. Nie bój się nic. Zięcia masz za sobą. Hy, hy, hy!

Burmistrz (pod nosem.) Jak tam do tego.

Onoźka. Coś powiedział?

Burmistrz. E, nic. Tak sobie powiedziałem, że tego ten... nie damy się zjeść w kaszy.

SCENA XXIV.

C i s a m i i J a n.

Jan (wchodzi.) Proszę pana prezydenta! później przyjdzie.

Burmistrz. Hm! dobrze, dobrze. Możesz odejść.

Onoźka. Któż to taki? Szum!

Jan. E nie, tylko (nie zwracając uwagi na znaki burmistrza) pan Frygowski. (Wychodzi.)

Burmistrz (n. str.) Żebyś oniemiał gamoniu!

Onożka (nadzwyczaj zaciekawiony.) Co? co? Frygowski?! cóż ty masz za interes do niego?

Burmistrz (przekładając nogę za nogę; nie patrzy na Onożkę.) E, to żona... chciałem powiedzieć panie tego ten — ja... ja... chciałem wyjaśnić mu niektóre podatkowe sprawy.

Onożka (badawczo spoglądając na burmistrza, p. chw.) Cóż się tak zmieształ?

Burmistrz (prędko.) Kto? co? jak? ja się zmieształ? ja?! czyś zmysły postradał?! Cóż ja bym się miał mieszać. Posyłałem po Frygowskiego, bo to sprawa pilna, i... chciałem mu podatkową sprawę moją własną przedstawić. (Pospiesznie siąka nos w chustkę i chowa ją raz do jednej, raz do drugiej kieszeni. Onożka nie spuszcza z niego oczu.)

Onożka (powoli.) A czemuż to do urzędu nie poszedłeś w tej sprawie, tylko go tutaj sprowadzasz? wiesz, jak ja sobie tego nie życzę. A potem i ty podobnoś do pewnego czasu nie bardzoś był na niego łaskawy.

Burmistrz (zły.) Cóż ty tutaj będziesz ze mnie ciągnął p r o t o k ó ł?! Zaprosiłem go do domu, bo mi się tak podobało, i basta.

Onożka (ironicznie.) Nie unos się burmistrzu, bo to nie zdrowo. Nic tu takiego nie powiedziałem, o co by się wściekać było można. Tylko skorośmy już na ten temat zesзли, muszę ci powiedzieć, cobym ci był przy najbliższej sposobności widzenia się z tobą sam na sam powiedzieć musiał. Powiadają po mieście, że twoja córka, a (z przyciskiem) moja naręczona, utrzymuje jakieś tajemne stosunki z tym pajacem poza twojemi plecami. Podobnoś pisują do siebie listy, zamieniają pomiędzy sobą książki i td. Nie jest to jeszcze nic takiego zdroźnego, bo jak córkę twoją pojnę za żonę, wszystkie te amory ustaną. Spodziewam się jednakowoż, że teraz twoim obowiązkiem byłoby, wiedząc o tem jej postępowaniu, zrobić to, co jabym zrobił na twojem miejscu będąc.

Burmistrz, (który podczas tej przemowy niespokojnie szarpał wąsa.) To jak widzę, ty uważasz się już tak za męża mojej córki, jak amen w pacierzu (uśmiecha się z musem) i nie tylko nad nią, ale nad mojem postępowaniem panie tego ten swe opiekuńcze skrzydła rozciągnąć zamysłasz.

Onożka. Mój kochany, Ordnung muss sein! Dlatego tylko biore twoją córkę za żonę, że mi się primo podoba, a secundo, że ją mam za uczciwą panienkę. Jak ją taki Frygowski zbałamuci, możesz sobie ją potem w domu na nasienie zostawić.

Burmistrz (unosząc się.) Ależ przecie ja ci się z nią wcale ani nie wmawiał, ani też wmawiać nie myślę.

Onożka (jakby słów tych nie słyszał, nie patrząc na burmistrza.) Pieniędzy żadnych za nią nie biore, chyba jeżeli się ta co po twojej i twej żony śmierci pozostanie, notabene jeżeli jeszcze tego, co masz dzisiaj, z czasem nie przepuścisz. (*Burmistrz* prycha.) Nie wyglądasz na suchotnika, więc zdaje się, że dłużej pożyjesz, z czego znowu wypływa, że na ten ewentualny spadek długo jeszcze czekać będę musiał.

Burmistrz (jak upiór czerwony, z furją wymachuje rękami przed *Onożką*.) Ty... ty... trupie stary! ty... ty... wole! ty mnie będziesz liczył lata?... ty... ty... kuladro!

Onożka (powstając zmieszany.) Co?! co?!

Burmistrz (j. p.) Ty... ty... powsinogo! ty, psu-bracie! lada dzień djabli cię wezmą, a ja będę żył, żył, żył i żył, póki panie tego ten nie umrę.

Onożka. Wiesz mój kochany! Jeżeli to żart, to bardzo niesmaczny.

Burmistrz. Jabym się z twojem zdrowiem za nic w świecie nie mieniał. Rozumiesz błaznie?! Ja... jabym jeszcze takich młodzików jak ty dziesięciu przeskoczył!... ty... niedołego!

Onożka (ostrzej.) Wyprosiłbym sobie takich żartów.

Burmistrz (j. p.) Ja ci dam żarty! Jak cię zamaluję w ten twój poszczerbiony cyferblat, to ci

wszystkie sprężyny w werku popękają! ty... ty... szkarado świata!...

Onoźka (podnosi palec do góry.) *Halt!* Już dosyć!

Burmistrz (ręce splata na plecach i przybliża swą twarz ku twarzy *Onoźki*. Z sykiem:) Ty... ty... brzydal!u!

Onoźka. (j. p.) *Halt!*

Burmistrz (j. p.) Ty... ty... ropucho!...

Onoźka (odpycha go od siebie.) Ale idźże sobie do diabła i nie pchaj się na mnie. Lepiej słuchaj, co ci powiem.

Burmistrz (j. p.) Ty... ty...

Onoźka (zatyka mu usta dłonią.) No, no, no, uspokój się, nie chciałem cię obrazić. Dla mnie możesz sobie żyć i sto lat!

Burmistrz (j. p.) Ty... ty...

Onoźka (j. p.) No, no, dosyć już, dosyć. Nie gniewajmy się, bo to złość piękności szkodzi. Lepiej pogadajmy z zimną krwią.

Burmistrz (j. p.) No, no, pogadajmy... ty... ty...

Onoźka. *Pst!* cicho! (Posuwa się do burmistrza.)
Czy dasz mi córkę za żonę, czy nie?

Burmistrz. Nie.

Onoźka (zdziwiony.) Nie?

Burmistrz. Nie.

Onoźka (p. ch. innym głosem.) Nie?

Burmistrz. Nie.

(Dłuższa pauza, podczas której obydwaj mierzą się wzrokiem rozognionym, jak dwa — wojnę staczające — koguty.)

Onoźka (po chwili, hamując wściekłość.) A komu ją dasz?

Burmistrz. Komu będę chciał.

Onoźka. Frygowskiemu?

Burmistrz. Być może. (Dłuższa pauza.)

Onoźka (j. p.) A kiedy mi oddasz pieniądze?

Burmistrz. Na święty *G d y - g d y*...

Onoźka (odskakuje jak oparzony.) Kiedy?!

Burmistrz. He, he, he! jak będę miał!

Onoźka. Ja chcę dziś...

Burmistrz. Tra ta ta! tra ta ta! ne ma hroszy u tata!...

Onoźka (unosząc się stopniowo, podczas gdy burmistrz coraz spokojniejszy.) Już ja ci pokażę, co to znaczy, że mną się zadzierać; przedewszystkiem chcę jednakowoż odebrać swoje pieniądze.

Burmistrz. O mój przyjacielu! u mnie ci one nie zgiąą. Sam przecież przed chwilą powiedziałeś, że masz mnie za tak pewnego, jak i kasę oszczędności.

Onoźka (zaperzony, skacze koło burmistrza.) Jak mi ich nie oddasz do trzech dni, to cię do Sądu zaskarżę, ograbię do ostatniej koszuli i puszczę na świat, gołego jak turecki święty.

Burmistrz. He, he, he! zobaczymy to, zobaczymy.

Onoźka (zabierając się do odejścia i co chwila od drzwi powracając.) Ani godziny tutaj więcej jako burmistrz śmierdzieć nie będziesz...

Burmistrz (uśmiechając się złośliwie.) Ale?

Onoźka (j. p.) Okradaczu miasta, zdechniesz w kryminale jak pies pod płotem. Ja cię nauczę, co ja znacę!

Burmistrz (j. p.) Nie może być?!

Onoźka (j. p.) Nie będziesz miał i dachu nad głową, jak mi tych pieniędzy z procentem do dni trzech nie oddasz! Wyrzucę cię z Rady, zniszczę, zgniotę, zmiażdżę jak robaka! Ta chwila stanie ci kością w gardle!

Burmistrz (z zimną krwią.) I cóż więcej?

Onoźka (przyskakuje ku niemu znowu ode drzwi.) Będziesz leżał jak pies na barłogu, lub pójdiesz z torbami w świat! bo cię ztąd psami wyszczuję. (Zabiera się do odejścia.)

Burmistrz (j. p.) Mój przyjacielu! nie odchodź! powiedz coś jeszcze!

Onoźka (j. p.) Nie drwij dudo z balbierza, nie drwij! bo moja zemsta straszna!...

Burmistrz E... e?!

Onoźka. Twoją córkę z tym pijakiem zje z nę-dzy gadzina, a ciebie djabli wezmą razem z kościami!

Burmistrz (ironicznie.) Odchodzisz już? ta zostańże jeszcze... (przysuwa mu krzesło) siadaj!

Onożka (przyskakuje, chwyta za krzesło i robi ruch, jak gdyby je chciał rzucić na burmistrza. Potem z złością usunąwszy je na bok, odchodzi.) Żebyś pękł, dziadowskie dziecko!

Burmistrz. A dieu! (Śmieje się i zaciera ręce.) Nie uwierzycie państwo, jak mi to dobrze na nerwy robi, jak widzę kogoś, co się na mnie wścieka. Jakbym wypił panie tego ten kieliszek najprzedniejszego koniaku. (Mlaska językiem.)

SCENA XXV, (ostatnia.)

Burmistrz, Honorata, Ildefonsa, Frygowski.

Honorata. Co się tu stało? (Wchodzi, za nią Ildefonsa i Bronisław.)

Burmistrz (w dobrym humorze.) Chodźcie dzieci, chodźcie (podaje obie ręce Frygowskiemu.) Poleciał jak oparzony. Ale powiadam wam, myślałem, że trzaśnie ze złości. Aż się pienieł. Szkoda, żeś pan wcześniej nie przyszedł. (Frygowski, ile razy do niego zwrócona rozmowa, kłania się.) Widziałbyś rozszoszczonego mamuta na dwu nogach! Powiadam panu, satysfakcja było patrzeć. (Śmieje się, zacierając ręce.)

Ildefonsa. Dobrze, że się go tatuś pozbył.

Honorata. Będzie miał złość do ciebie.

Burmistrz. Drwię sobie z jego złości. Ha, ha, ha! Od dawna pragnąłem sobie takiego przedstawienia w tym guście, bo mi to humor naprawia. (Do Frygowskiego.) Nie wierzysz pan, jak mi to dobrze działa na nerwy. Bo widzi pan, to dopiero początek tego dobrego; na każdym posiedzeniu Rady gminnej będę miał ciąg dalszy przedstawienia. A jakże! Sto pociech będę miał z tym pocziwym Onożką, bo trza panu wiedzieć, że ja — jak się nie mam z kim kłócić panie tego ten — to jakby mnie kto — za przeproszeniem wypatroszył!

Honorata (zakłopotana.) Nie potrzebnieś mu ułomność jego wymawiał.

Burmistrz. He, he, he! jejmość jak widzę pod drzwiami podsłuchiwała. No, no! nie martw się; jakoś to będzie. (Do Frygowskiego.) Ale czemu pan adjunkt nie siada? (Przysuwa krzesło.) Proszę!

Bronisław (występuje ku niemu.) Panie burmistrzu dobrodzieju! Wiadomo mu z ust żony i Fon... to jest pa... panny Ildefonsy, jak wielkim szacunkiem jestem dla jego osoby przejęty, którego nie zdołały osłabić ani posłuchy, że pan burmistrz dobrodziej żywi do mnie jakąś niechęć osobistą, ani...

Burmistrz (podaje mu rękę.) Panie adjunkcie! nie ścierpię tego zarzutu...

Bronisław. Ależ...

Burmistrz. Nie, nie! Nie dam sobie tego powiedzieć. Jak Boga kocham, nie dam!

Bronisław. No, to opuśmy ten przedmiot nieprzyjemny, a...

Burmistrz. Tak jest, opuśmy...

Bronisław. Więc: opuszczając ten przedmiot...

Burmistrz. Tak jest! opuszczając... (trzyma wciąż Frygowskiego za obie dłonie, któremi co chwila potrząsa.)

Bronisław. Przystępuję do rzeczy. (Chrząka.)

Burmistrz. Tak jest! do rzeczy... do rzeczy... (chrząka.)

Bronisław. Wiadomem być musi panu burmistrzowi dobrodziejowi...

Burmistrz. Tak jest! wiadomem mi jest... (potrząsa jego rękę.)

Bronisław. Jak kocham Fon... pa... pannę Ildefonsę...

Burmistrz. Tak jest! przed chwilą mi to powiedziała (j. p.)

Bronisław. I jak pragnę jej szczęścia...

Burmistrz. I to mi powiedziała (j. p.)

Bronisław. Więc gdyby pan burmistrz dobrodziej i (zwracając głowę ku Honoracie) pani burmistrzowa dobrodziejka...

Burmistrz. Tego ten.

Bronisław. Tego ten... to jest...

Burmistrz. Umhu!

Bronisław. To byłbym tak śmiałym...

Burmistrz. Tak śmiałym...

Bronisław. Prosić ich, by...

Burmistrz. Dalej! dalej panie adjunkcie! dalej!
(Potrzasa mu rękę.)

Bronisław (melodramatycznie.) Nie czynili zapory między nami...

Burmistrz. Między nami... Gut! ino rznij pan śmiało dalej!

Bronisław. I ofiarując mi ją za żonę w ten sposób mi szczęście zagwarantowali...

Burmistrz. Zagwarantowali... Ładny pan masz styl! Dalej, panie adjunkcie, dalej...

Bronisław. I... i...

Burmistrz. Nur weiter! nur weiter!
(Potrzasa jego rękę.)

Bronisław (bąkając.) I... i... i... nic więcej.

Burmistrz. Nic więcej?! to i tyle dosyć. (Nie puszczając rąk Frygowskiego i ciągle niemi potrząsając, skupia umysł.) A teraz ja panu adjunktowi na to odpowiem. (P. chw.) Panie adjunkcie dobrodzieju! (oddycha głęboko) co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Więc o tem, co było a nie jest, nie będę gadał; powiem tylko rzecz partykularnie pod rozwagę wzięwszy, że mi się pan podobasz z swym zapalem młodzieńczyny, i tym... panie tego ten... animuszem, który się z pańskich słów i panie tego ten z pańskiego... zapatrywania się na sprawy, przebija. Punkt! Dlatego nie będę dużo gadał,... ino tak jak to u mnie w zwyczaju... powiem otwarcie, że i styl pański jest ładny, i pańskie zabiegi koło mojej córki po za mojemi plecami, — czynione, toleruję... panie tego ten... w zupełności, i nie mam nic przeciwko temu. Punkt! Co się tyczy jej ręki, z góry udzielam mą aprobatę, (z naciskiem) tylko proszę się w tej mierze odnieść jeszcze do drugiej instancji (pokazuje oczami na żonę), a jak ona nie będzie miała nic przeciwko temu, nie będę panu zapory robił, do zagwarantowania jego — panie tego ten — jego szczęścia. (Potrzasa dłużej rękami

Frygowskiego i puszcza je z swych dłoni.) Co podaje do publicznej wiadomości. (Kłania się z powagą.)

Bronisław (całując ręce burmistrzowej.) Pa... pa...

Honorata (dobrodusznie.) Ależ ja nie mam nic przeciwko temu. Jak burmistrz zezwala, to ja tu nie mam nawet co gadać. (Burmistrz ujmuje za rękę Ildefonsę, i obydwójce klękają przed rodzicami tej ostatniej. Honorata rozczulona:) Niech was Bóg błogosławi, tak jak ja, was błogosławię. W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego! Amen! (Robi nad ich głowami znak krzyża św., burmistrz machinalnie postępuje tak samo. Podczas gdy młodzi rzucają się celem ucałowania rąk Honoraty, burmistrz zoczywszy łzy w oczach żony, wyjmuje chustkę z kieszeni, krzywi się jak do płaczu i nos siąka hałaśliwie. Potem całuje się po kilka razy z Frygowskim i córką.)

Burmistrz. Kochajcie się aż do szóstego pokolenia i szanujcie swoich ojców, albowiem ich byt ciężkim jest na tym padole płaczu. (Powtórnie siąka nos w chustkę.)

Ildefonsa. Ja tatusia zawsze będę kochała i... mamusię też. (Całuje po kolei ręce rodziców.)

Burmistrz. O ty, ty przylepeczko! (do adjunkta) wiesz... jakże to panu na imię?

Bronisław. Bronisław!

Burmistrz. Wiesz Bronusiu! Broneczku! będziesz miał panie tego ten, babę straszliwie dowcipną.

Honorata. E! co też ty gadasz, burmistrzu!

Burmistrz. Już ja wiem, co mówię. (Wzajemne uściski.) A teraz Honorko! zakrzatajno się koło kuchni, żebyśmy sobie żywota poprawili, bo mi tak jakoś w żołądku hurgocze, jakbym ze 40 dni ze żydami i Mojżeszem na pustyni pościł. Aż mi się z pyska ślini! Jak Boga kocham. No! no! dzieci naprzód! (Bronisław podaje ramię Ildefonsie i wychodzą na prawo. Burmistrz bierze obcesowo rękę żony pod ramię, tak, że jej ta wyżej łokcia po za ramię burmistrza wystaje. Półgłosem do żony:) Wiesz ty Honorko! te draby nie mieliby chyba

sumienia, gdyby mi teraz na najbliższem posiedzeniu Rady jakiejs renumeracyjki z kasy miejskiej wypłacić nie uchwalili. (Do publiczności.) Państwo poświadczycie, że człowiek od świtu do zmroku h a r o w a ł dla dobra miasta, jak wół!

(Kurtyna spada.)



Do braci Żydów!*)

Cóż to? Ty płaczesz Judo? Izy cieką Ci z oczu?
Myśl jakaś głęboka, zmartwienie na twem czole?
Zdała od gwaru świata stoisz na uboczu,
Sama z piętnem pokory, wrytem przez bole!
Czyś tam może myślą, gdzie doła dawna nasza,
Czyś Ty tam może duszą, gdzie Jordanu brzegi?
Tam, zkąd słońce najpierw promienie swe roz-
[prasza,
Zkąd w świat cały skry wiedzy rozpoczęły biegi?
Wiem już, wiem... Twe oczy grób skrapiają swobody,
To łza dziecięcia na drogiej matki mogile!

*) Najrozmaitsze prądy nurtują obecnie wśród dorastającego plemienia żydowskiego: takim prądem, zupełnie niezgodnym z duchem czasu, jest także partja „Syonistów.“ Autor niniejszego wiersza zdaje się należeć do rzeczzonego stronnictwa. Umieściłem jego wiersz li tylko w tym celu, aby dać wyobrażenie jasne o mrzonkach tej partji, nigdy zrealizowania spodziewać się nie mogących. (Przyp. red.)

Wolne prawie wszystkie dokoła są narody,
Tobie, biednej sierocie, obce słodkie chwile!

Tobie zimne serca wydarły prawo bytu,
Wzgardzono Tobą, tchórzem niecnie Cię prze-
[zwano!

Któżby się uśmielił w dobie twego rozkwitu?

O nikt nigdy! potęgę Twoją wszakże znano!

Lecz nie płacz, nie płacz Judo, słuszne wstrzymaj
[żale

I wskrzesz się przeszłością, dziejami dawnych braci..
Przenieś się w wiek Machabeów, na Syonu wale,
Tam walka wre... odwagi duch mężny nie traci!

Ha, co widzę... pękły mury, twierdza już pada,
Wróg wściekły pędzi w miasto, z mieczem śmier-
[ci w dłoni...

A tam, w Judzie, w stolicy między braćmi zwada...
Jehowo? Czyż Twój naród wolność swą obroni?

Jedna część Żydów wrogom podle się poddała,
Uzcila jego bogi i w święty gród wprowadza.
Przy Jehowie szlachetnych tylko garstka mała,
A reszta?... Ojczyznę, matkę swoją zdradza.

Jeden z nich nawet... jeden przy ołtarzu Boga
Ważył się Jowiszowi złożyć w dank ofiary;
Czynem niecnym tym chciał on łaski zdobyć
[wroga,

Lecz za czyn taki podły nie ujdzie on kary.

Bo staruszka godnego widziały go oczy,
Matatias go spostrzegł i ściał zdrajcy głowę,
A pięciu mężnych synów jego walkę toczy
Z wszystkimi, którzy śmieli obrazić Jehowę.

Bój nowy powstał.. Machabeusze na czele.

Garstki prawych ziomek gonią wroga za mury..

Zwycięstwo! Tak zwycięstwo! Wrogów padło
[wiele!

Ku niebu się dziękczynne ludu wznoszą chóry!

I z chwałą poległ starzec, czterma otoczony
Synami, którzy śmiercią zdobyli zwycięstwo,
Juda Machabeusz wrogie zalał zagony

Posoką krwi, aż Żydów zwyciężyło męstwo!

O tak, my Żydzi mamy przeszłość wielką, złotą,
Narodu męstwa żywych my świadków mamy!

Żydzi się chlubili i chlubią dotąd cnotą,
Dzieje nasze brylantów okalają ramy.
Dość już, dość wrogich obelg! Nie zniesć nam ich
[dłużej!

Odżyjmy synowie i córki Izraela!
Wstań, o Judo! Twój język jasną przyszłość wróży,
Wskrześ go z grobu a pieśni zanucisz wesela!!

Jakub Salzmann.



Jużeś mi zniknął, promyku złoty.

Jużeś mi zniknął, promyku złoty,
Zniknął w ciemnościach bez końca —
A moja dusza pełna tęsknoty,
A serce rwie się do słońca.

Jużeś mi zgasło, słoneczko jasne,
Coś mi zabłysło na chwilę,
Zgasłoś nieboże! tak jak ja zgasnę,
Gdy wreszcie legnę w mogile.

Wszystkoś pochłonał, krwi, łez niesyty,
Potworze — światem nazwany —
Czemuś, gdyś wyssał szczęścia zachwyty,
Okuleś w życia kajdany?

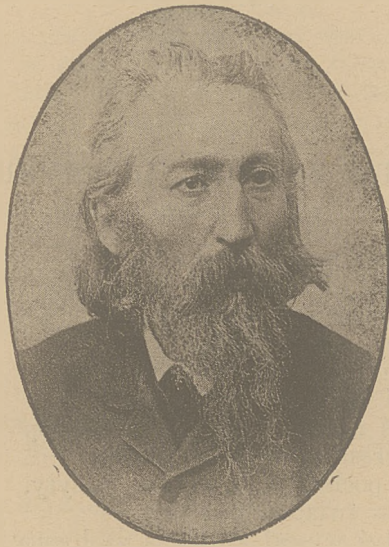
I tętno życia i serca bicie
W ofierze złożyłam tobie —
Czemuż, o świecie — gdy śmiercią życie —
Spokoju nie dasz w tym grobie?

Stefania Kossowska.



ZGON MATEJKI

(z ryciną i winietą.)

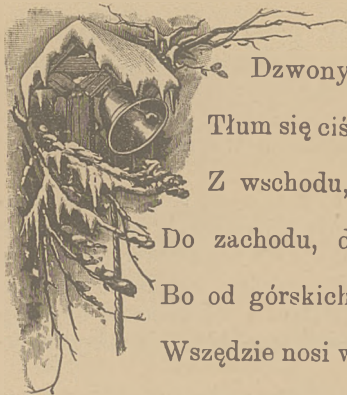


I.

Znów gwiazda zgasła na polskim zenicie,
Znów w kraje ciemna duch podążył wielki,
Syn godny pracą Matki-rodzicielki,
Mistrz wielki sztuki, co przezeń w rozkwicie!
Matejko umarł, on, co całe życie
Dla niej pracował, co dobytek wszelki
Z krwi, z ducha złożył na tej karmicielki
Wzniosłych idei ołtarzu w zachwycie!

„Lubelska Unja“ i „Grunwaldzkie boje“
I „Polskich królów poczet“ niechaj świadczą
O tym, po którym w żałobie rodacy,
I Akademii otwarte podwoje,
I słowa zgonu, co garstkę tułaczą,
W imię Ojczyzny wzywają do pracy.

II.



Dzwony dzwonią, światła płoną,
[idzie moc narodu,
Tłum się ciśnie, fala tłoczy z wschodu
[do zachodu,
Z wschodu, w którym wedle podań
[światło łśni nauki,
Do zachodu, do Krakowa, do kolebki
[sztuki;
Bo od górskich Karpat stoku aż do śnie-
[żnych Tater,
Wszędzie nosi wieść żałobną lotem skrzy-
[dła wiater:
„Twórca „Unii Lubelskiej“ i „Grunwaldzkich
[bojów,“
Mistrz Matejko zeszedł z świata, z ziemskich spo-
[czął znojów.“
Płacz, osierocona sztuko! płacz Ojczyzno biedna!
Zgasła znów pochodnia jasna, zgasła znowu jedna!
W setny rok rozbiorów wielkich, w setny rok żałoby
Duch królewski królów ducha ma zamieszkać groby!
W dniu zaduszek rozbrat wzięła z ciałem jego dusza,
Pozostawszy nam w spuściznie memento genjusza:
„Módlmy się za tę Ojczyznę biedną, rozszarpaną,
Wspólną pracą ją dźwigajmy, jak każdemu dano!“
Dzwony dzwonią, światła płoną, idzie moc narodu,
A chorągwie czarne wieją z martwych szczytów grodu,
Duch królewski w kraje wiecznej unosi się chwały,
A w obłokach srebrnopióry krąży orzeł biały!“

Lwów, 3. Listopada 1893.

G. Kohn,

I n t e r m e z z o .

Był dżdżysty, chmurny, posepny dzień marcowy. Wicher pędził tumany mokrego śniegu, topniejącego w brudną kaszę, na ulicy. Chwilami zamieć wzmagała się do tego stopnia, że nie widać było najbliższych wież kościołów, a w pokoju robiło się ciemno, jak w grobie.

Choć godzina była wczesna, zmrok jednak spuszczał się powoli na ziemię, otulając ją w wilgotne, ciężkie chmury, zaciemnione złowrogo. Wicher huczał na dworze, zginając do ziemi szare, bezlistne drzewa, uderzając drzwiczkami na dachu i łomocząc o szyby.

Było to jakby jakieś szamotanie się natury posepne i smutne.

Oparta o framugę okna stała smukła, urocza postać kobiety. Dokoła niej opuszczające się majestatycznie aksamitne kotary obejmowały jej kibić w malownicze draperje; na tle ich ciemnem kontury białej sukni rysowały się wyraźnie, choć miękko, falisto...

Z całej jej istoty wiał ciepły, nęcący urok. Nieuchwytny i tem właśnie potężny. Zdawało się, że z ciemnych, delikatnie ufryzowanych włosów ulatnia się woń łagodna, rozkoszna, oszałamiająca zmysły — że z dużych brązowych oczu bije tajemny, niezbadany czar, głęboki i jak noc nieprzenikniony — zdawało się, że drobne, prześlicznie rzeźbione rysy twarzyczki wystąpiły z obrazu Lisiewicza — że usta blad różowe, w pół rozchylone są pysznym kwiatem cieplarni. Była to piękność niezwykła, straszna w swej genialnej niedoskonałości — nieograniczona w swej potędze.

Średniego wzrostu zaledwie, wydawała się wysoka, tak wytwornie wydłużone były pyszne kształty jej ciała.

Twarz jej spokojna, lekko uśmiechnięta, miała wyraz znudzenia — oczy zamysłone błękały po ulicy.

— Jaki okropny dzień! — szepnęła do siebie — i w taki to dzień on miał serce, pozostawić mnie samą...

Wstrząsła się dreszczem nerwowym i odstąpiwszy od okna, poczęła przechadzać się po pokoju. Ruchy jej, niby powolne, miały jednak jakąś zwinność kocią; falowały. Gdy szła, falowała jej kibić, jej suknia biała, białe koronki u piersi i ramion, białe kwiaty we włosach — cała jej postać falowała tak, że głowę można było stracić, patrząc na to. Było coś niespokojnego, nerwowego w tem łagodnem falowaniu — niby groźny spokój fal morskich przed burzą.

Drobne maleńkie stopy w aksamitnych pantofelkach migwały się chwilami z pod długiej, powłóczystej sukni.

Rzuciła się niedbale w głęboki fotel i zakryła oczy rękami, przeciągając się ruchem pantery. Nudzila się śmiertelnie.

On obiecał wrócić przed północą, a dopiero piąta... To wiek cały! Przytem ten wicher w kominie i ten śnieg lepiący do okien... Umrzeć można z samej samotności w taką porę... Zmuszała się, aby myśleć o nim, ale on nie dawał tematu do myślenia, i myśli chwilowo dokoła jego osoby skupione rozbiegały się gwałtownie — rozpieszczone, rozbujałe, nowych wrażeń żądne...

Był tak dobrym mężem, tak idealnie dobrym, tak łagodnym, tak uprzedzającym wszystkie myśli swej pani, tak ją ubóstwiał, tak się kochali i tak to życie od lat pięciu było piękne, rozkoszne, że nie było co myśleć o tem...

Ach, gdybyż to jakie małe intermezzo!

Ale dzisiaj, koniecznie dzisiaj, kiedy jest sama, kiedy na dworze tak okropnie i ona tak smutna... koniecznie dzisiaj!

Gdyby się coś niezwykłego zdarzyło, jakaś przygoda, jakaś niespodziana wiadomość, jakiś wypadek, ale co?

Co mogło spotkać ją, tę piękną, bogatą, ubóstwianą, którą mąż majątkiem i miłością bezgraniczną oddzielił niby chińskim murem od wszelkiej prozy życiowej, od najmniejszej możliwości jakiego zmartwienia? Ją, wszechwładną królowę wśród tych perskich kobierców, bronzów, starożytnych waz i palm cieplarnianych — ją, oddzieloną od ulicy całym piętrem, czterema przedpokojami i mnóstwem służby?

Nic.

Stała znów przy oknie, śledząc rzadkich dziś przechodniów, choć ulica należała do najbardziej ożywionych. Jakaś kobieta, niosąca w jednej ręce kilka pakietów a w drugiej ogon zamokłej sukni, szła szybko, krzywiąc twarz młodą i przystojną do wiatru, który wbijał jej w oczy garście śniegu i oblepiał wilgotnym, białym całunem czapeczkę futrzaną.

Idący po za nią mężczyzna z dużą brodą i kołnierzem, podniesionym do góry — dogonił ją i zatrzymał ukłonem. Widziała wyraźnie, jak twarz kobiety oblała się rumieńcem radości i zdziwienia, jak z uśmiechem szczęścia podała mu rękę... Odebrał od niej pakiety i znikli wkrótce razem na rogu ulicy.

Uczuła zazdrość do tej kobiety.

Porwała ją nagle chęć zejścia na ulicę, ubranej skromnie, zmieszania się z tłumem...

Poczęła szybko rozpinać białą suknię, i w polowie zatrzymała się...

— Szalona jestem! — rzekła głośno i z wyrazem najwyższego zniechęcenia rzuciła się na otomanę. Do buduaru! wszedł lokaj, niosąc na tacy samowar i przybory do herbaty.

— Wziąć to — rzekła krótko.

— Czy wnieść światło?

— Nie potrzeba...

Zwinęła się na szerokiej otomanie w kłębek prawie jak kotka; głowę oparła o aksamitne poduszki i oczy ciemne, błyszczące, rozwarte szeroko utkwiała w okna bezmyślnie....

Okna były już ciemno-szare od zmroku — ramy tylko rysowały się czarno. Zmrok gęsty pochłonął już wszelkie barwy, pozostawiając ledwie kontury z nich. O okna obił się żółty, przyćmiony blask latarni, zapalonych na ulicy.

Zrobiło się w pokoju ciemno i cicho; rozlegało się tylko lekkie tykanie zegaru z kominka, z ulicy zaś dochodził czasami głuchy odgłos przejeżdżających powozów... Wtedy powieki samotnej poczęły przesłaniać się zwolna, myśli zmęczone wysiłkiem uci-chły... Przymknęła oczy

Drzwi od salonu otwarły się cicho i na progu stanął on, ten pierwszy.... Stał niemy, nieruchomy, idealnie piękny — choć blady i niewyraźny, niby mgłą przysłonięty. Włosy złociste, jasne spadały z bladego czoła, opromieniając je niby aureolą — młodzieńcza, piękna twarz nosiła wyraz głębokiej melancholii — blade usta uśmiechały się smutnie, niebieskie, rze-wne źrenice tonęły w smętnej rozmarzeniu...

Stał taki jasny, piękny i smutny, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach i zaczął patrzeć w nią bez ruchu, bez wyrazu jednego.... Złękła się najpierw i chciała się podnieść, lecz spojrzenie niebieskie, magnetyzując przykuło ją do miejsca... Dreszcz ją przeszedł, potem uspokoiła się i oczy ich spotkały się

Czuła, jak ją ogarnia zachwyt niewypowiedziany. Wspomnienie pierwszej miłości obudziło się w jej umyśle i zaświtało ciepłym, różowym promieniem — rozkoszna, niebiańska błogość przejęła całą jej istotę i źrenice jej ciemne poczęły drżyć i migotać złotymi iskrami... Ogromnie dawno temu! Z ośm lat może, może z dziesięć.... Oboje byli młodzi, młodzi tą młodością kwietniową, chłodną, jeszcze — oboje piękni i ubodzy. Kochali się i snuli cudne projekta, lecz niedługo. Jego wysłano do Monachjum — ona długi czas płakała, potem tęskniła jeszcze, nakoniec zako-chała się i wyszła za męża.

Odtąd nie myślała już nigdy o nim.

Teraz nagle stanął przed nią piękny, blady, młody jak dawniej; niezmienny, jak gdyby nie

lata, lecz godziny dzieliły ich od pierwszej miłości... tylko smutny, tak ogromnie smutny, że serce się jej ścisnęło, gdy patrzyła nań i uczuła lzy, nabiegające do oczu....

— Stasiu! — szepnęła, wyciągając ręce.

Poruszył się i począł iść ku niej z wolna, nie odwracając źrenic niebieskich — przy samej otomanie ukląkł i ujął jej ręce....

— Czy pamiętasz mnie, Elo? — spytał z cicha.

— Pamiętam....

— Czy kochasz mię jeszcze?

— Kocham... — odparła bezwiednie.

Wtedy począł całować jej ręce powoli najpierw i łagodnie — potem przyciskać począł do ust coraz silniej, coraz namiętniej... Nie broniła mu, patrząc na ten smutek, niktający z jego oblicza...

Pochylił się nad nią i gorące usta uczuła nagle na czole, na ustach, na włosach... Sumienie jej drgnęło, lecz bezdennie smutny uśmiech młodzieńca stłumił to uczucie. Błogie ubezwładnienie czuła we wszystkich członkach... Z oczu niebieskich, świetlanych, z ust gorących biegły drżące promienie miłości i owijały ją całą i krępowały niby czarowną jakąś pajęczyną... Usta jej nie uchylały się od ust młodzieńca, ramiona jej nie odsunęły ramion opasujących jej kibić... Gdzieś w głębi duszy, na samym dnie sumienia odzywał się czasami słabiuchny, zgłuszony upojeniem, głos wyrzutu — lecz równocześnie tuż nad czołem brzmiał szept miłosny, stokroć głośniejszy, gorący, nieprzeparty... Nagle jednak ozwało się uczucie trwogi — płaskie, nikczemne prawie...

— Mój mąż! — zawołała zrywając się nagle — mój mąż mógłby wejść w tej chwili....

— Twój mąż! — powtórzył jak echo młodzieńiec tonem nieopisanej goryczy — ach! twój mąż!

I rozpacznie zakrył oczy rękami...

— Cóż mam robić? — spytała stając przed nim, zboliała jego widokiem.

— Pójdź ze mną — rzekł powstając i podając jej rękę.

Nie wahała się ani chwili. Mówił zresztą tonem, nie znoszącym oporu; nakoniec ona kochała go przecież, ach! cała ta dawna, czysta, wielka pierwsza miłość ozwała się naraz i ogarnęła ją tak, że nie było już w jej sercu miejsca na inne uczucie... Piękny, jasny, z czołem dumnie wzniesionem, wyglądał jak cherubin apostołujący, czuła się szczęśliwą, że jej rozkazuje i szczęśliwą z tego, że słucha go bez wahania.

Zarzuciła naprędce szal duży indyjski, główkę otuliła w kapturek z brabanckich koronek i z promiennym uśmiechem zwróciła się ku niemu.

— Chodźmy — rzekła.

Na progu jednak zatrzymała się przypomniawszy sobie rzecz jedną. —

Wróciła do biurka i na wielkim, białym arkuszu papieru nakreśliła naprędce ołówkiem wyrazów kilka. Oto ich brzmienie:

„Nie szukaj za mną. Wychodzę dobrowolnie z tym, którego kocham. Bądź zdrow. E.“

Ręka jej nie drgnęła; tak jak gdyby to nie był sztylet, który wbić miała w pierś męża po samą rękojęść...

Wyszli.

Gdy tylko brama zamknęła się za nimi, wiatr zimny z całą brutalnością prostaka rzucił jej w twarz mnóstwo mokrego śniegu wół z deszczem zmięszanego i rozwał ciemne włosy, zdzierając z nich przemocą delikatne koronki. Wstrząsła się, przejęta zimnem i przytuliła się do kochanka.

Na chodniku śnieg brzydki, brudny, błotnisty tworzył kałuże, w których jej drobne stopy nurzały się raz po raz... Uczuła w pantofelkach pełno wody... brzydkiej, szarej wody... Zimno przejmujące, straszne ogarnęło nagle całą jej istotę — zimno takie, o jakim nigdy nie miała pojęcia... Nadarmo tuliła się do Stasia, drząc okrutnie, on sam zimny był i zmochniony i trzęsący się prawie....

Jedną ręką starała się zebrać rozpaczliwie szal na piersi, drugą unosiła długi tren swej śnieżnej sukni, który teraz ciężki, przemokły błotem, stał się

podobnym do szmaty brudnej. A ona całe życie taki wstręt miała do błota i brudu!

Jakiś przechodzień idący szybko, potrącił ją brutalnie, zachwiała się przerażona i rozplakała się na głos...

— Ja chcę wrócić, Stasiu — rzekła urywanym od dreszczów głosem — chcę wrócić koniecznie... mnie zimno... ja się boję, Stasiu....

Wzniosła nań oczy błagalnie, zalane łzami... W tej chwili przechodzili właśnie obok świetnego sklepu, z którego blaski światła olbrzymich były na chodnik....

I ujrzała twarz Stasia chudą i mizerną, zsiniałe od zimna usta i zapadłe, bezbarwne oczy... Co więcej, ujrzała stary, zniszczony paltot, i nędzne ubranie i kołnierzyk wystrzępiony... Zgroza stokroć straszniejsza od zimna wstrzęsła nią całą... To miał być jej ideał młodzieńczy, jej Staś! jej cherubin! Ten cieńki, mizernie ubrany, drżący z zimna mężczyzna miał być tym, dla którego ona rzuciła swój buduar ciepły, swoje królestwo, swego męża...

I nagle w obec tej okropnej świadomości, w obec wichru zdzierającego jej okrycie, w obec tej zimnej, posępnej, mokrej nocy marcowej, w obec złodowaciących od zimna członków, uczuła całą doniosłość swego postępku, całą szkaradę swego czynu... Wróć! wróć jak najprędzej... byleby nie za późno!... Na samą myśl, że Karol już przybył, że może w tej chwili czyta jej kartkę i że przeklina ją może... serce jej kurczyło się z rozpaczą....

Zwróciła się nagle w przeciwną stronę i poczęła biedz jak szalona.

Widziała się zupełnie jak oną kobietę popołudniu, mokrą, zziębniętą, dzwigającą ogon zbłoconej sukni... Ku oknom oświetlonym na górze spoglądała jak ku wrotom rajy i z gorzką ironją wspominała swe szalone zachcenia... I za nią gonił mężczyzna i dogoniwszy zatrzymał, chwytając silnie za ramię... Lecz pomiędzy nimi rozpoczęła się walka straszna, ohydna....

— Puść mię! — jęczała z cicha — puść mię... do mego domu, do mego męża!...

I wiła się w jego uścisku zimnym, brutalnym, wiła się jak robak bezsilny, zgnieciony przemocą...

Byłoby trwało to szamotanie dłużej, aż dopóki nie wyczerpałyby się siły kobiety, lecz nagle szarpnąwszy się silnie, straciła równowagę i upadła...

Uczuła, jak miękkie, liljowe jej dłonie zanurzyły się w ślizkiem, okropnem błocie, uczuła to błoto przelewające się przez szyję, lepące do twarzy, do skroni, do włosów cieniuchnych... I krzyk okropny, nieludzki prawie wydarł się z jej piersi...

.

Otworzyła oczy.

W buduarze było jasno. Pochylony nad nią stał jej mąż, wpatrzony w nią z wielkim niepokojem....

Utkwiła weń wzrok obłąkany.

— Co tobie Elo? — rzekł prędko — czyś chora? co ci jest dziecko?

Usiadła, powiodła oczyma zgasłemi prawie po pokoju, przesunęła ręką po czole i nagle z wyrazem najwyższej radości zarzuciła mu obie rączki na szyję, tuląc się do jego piersi.

— Ach, jak to dobrze! — szepnęła z głębokim westchnieniem — jak to dobrze!

— Co takiego?

— Żeś już wrócił — odparła po chwili wahająco.

Zaczął ją pieścić i całować....

— Karolu — rzekła potem, wznosząc nań błagalnie cudne swe ciemne źrenice — proszę cię o jedno....

— Co, najdroższa?

— Nie zostawiaj mię nigdy samą, gdy tak brzydko na dworze.... Nie zostawiaj mię nigdy, mój drogi, złoty mężusiu....

Kazimiera Antonowiczówna.



Odkryj przyłbicę!

(Odpowiedź otwarta i nieanonimowa moim anonimowym potwarcom po pismach podrzędnych.)

Odkryj przyłbicę! niech widzę lice
Mego potwarcy, niech wiem, kto jest!
W boju otwartym z wrogiem zażartym
O waleczności walczy się chrzest!

Kto z poza krzaka tak jak sobaka
Napadnie wroga, na tego kij!
Kto z tyłu warczy, temu wystarczy
Kopnięcie nogą za żądło zmij!

Tam, gdzie śmierć z chwałą, dążę ja śmiało,
Gdzie usiłowań ucziwych kres;
A kto z zasadzki na zastęp chwacki
Uderzy z bronią — to tchórz i pies!

Sambor, 16. Lutego 1894.

G. Kohn.





Złożenie zwłok Lenartowicza na Skalce (według fotografii p. Stanisławowej Bizańskiej z Krakowa.)

W uroczystej chwili*),
wiersz,
wygłoszony przez autora w Krakowie
w „Kole literacko-artystycznym“
dnia 11. Czerwca 1893. (Z ryciną.)

Ciesz się Krakowie! oto w Twoje mury
Rzadki zawita znów nad gości gość;
Ukołysały w sen go włoskie chóry,
Lecz to syn Polski, to z jej kości kość.
Na obcej poległ do snu śmierci ziemi,
Choć się do Polski duszą ciągle rwał;
Dziś wykupiony ofiary setnemi,
W ojczystej ziemi będzie Lirnik spał.

*
Ciesz się narodzie*! cóż to? tve oblicze*
Chmurą się troski okryło w dniu łask?
Ze smutne wieści krążą? że zwodnicze
Słońce nadziei straciło swój blask?
Że na zachodzie i na wschodzie straty?
Głos się nawalnic mięsza w hymnu głos?
Że nam powodzie zabierają chaty
A ostateczny biednym grozi cios?

*) Wiersz, pod tym tytułem przezemnie ogłoszony, figurował także w „Djable“. Wkradły się wówczas w tekst oryginalny niektóre błędy, po części z winy redakcji, po części z mojej własnej. Wszystkie te usterki starałem się wyrugować w obecnej edycji, przyozdobionej ponadto bardzo udatną ryciną według fotografii nie mniej świetnej p. Stanisławowej Bizańskiej z Krakowa. Wiersz „W uroczystej chwili“ wygłosiłem w „Kole literacko-artystycznym“ w Krakowie w przeddzień pogrzebu Lenartowicza. (Przyp. aut.)

Czoła do góry! w górę trwożne serca!
Niejedną stratę już przeboleł lud!
Szydził z narodu polskiego bluźnierca,
A naród powstał jako żywy cud,
I dziś ten naród nie płacze, nie biada,
Ani w rozpacz nie łamie też rąk,
Dziś, gdy do grobu Wieszcza ludu składa,
Którego piosnka ziem obiegła krąg!
Straty doczesne, to rzecz nikła, marna,
Nadziei kraju nie rozbijają w puch:
Lecz strata krwawa i próżnia cmentarna
Wyludnią wszystko tam, gdzie zamarł duch!

*

Niebo wciąż chmurne: czyż to nie odbicie
Życia, co chmurą otoczone wciąż?
A przecież jasne chwile ma i życie,
W natchnieniu rośnie i odżyje mąż;
On, co się łamał z przeszkodami wielu,
Nieraz, gdy grobu przestępuje próg,
U marzeń stoi ulubionych celu
I rozjaśnione widzi końce dróg.
Tym jasnym blaskiem, co rozpędza chmury
I światłem lśniącem kres otacza dni,
To Twoje syny Polsko! to Twe córny,
Co u stóp Wieszcza kładą wyraz czci!

*

Chmury rzędnieją już na nieba stropie,
Słońca jasnego przedziera je błysk,
Po czarnych wróżen wraca horoskopie
Nadzieja znowu i zapewnia zysk.
Tym zyskiem będą znojne duchem pola,
Które odłogiem zostawiła dłoń,
I wspólna pracy i poświęceń dola,
Zbawiennych uczuć niezgłębiona toń;
Tych uczuć, które żywił dla swych kmieci
Lirnik Mazowska, gdy przeszłości czas
Odgrzebał wierszem dla Ojczyzny dzieci
I pieśnią ludu budził echo mas.
Powstań do śpiewu, powstań, o drużyno!
By godnie prochy twego mistrza czcić,
Niech za pieśniarzem tony pieśni płyną,
A Wieszczy, co umarł, niech nas uczy żyć!

Niech uczy kochać i miłować ziemię,
I nie odstąpić od prawa na cal;
Gdy tak się młode chować będzie plemię,
To nie żal pracy, ani życia żal!

*

Czoła do góry! w górę serca trwożne!
Oto na marach piosnek leży król!
Zanućcie hymny i pieśni pobożne
Po nim, co ludu zamknął w sercu ból.
Na ludu rękach niechaj pieśniarz ludu
Niesiony, piewców zamieszkuje grób,
On, co pieśń polską wskrzesił mocą cudu,
I śmierci wydarł zapomnienia łup!
Bartosz Głowacki i Kościuszko dzielny
I nieśmiertelnych woła Wieszców chór:
„W objęcia nasze spiesz o nieśmiertelny,
I cnót ojczystych daj promienny wzór!
Tyś na obczyźnie wierny był krajowi,
Tęsknota za nim trawiła twe dni;
Tą przyświecałeś miłością ludowi,
I naród, czcząc Cię, przeszłość swoją czci.
Los Ci zawistny dożyć nie dał pory,
Abyś odetchnął wonią naszych kniej;
Więc jako martwy wskaż mu życia tory,
Nadzieję w serca beznadziejne wlej.
Ty naszym będziesz, naszym już na wieki,
W ziemi ojczystej będziesz potąd spał,
Aż zmartwychwstania odgłos Cię daleki
Obudzi, przeszkód śmierci burząc wał!“

*

Płyn ludu polski,* płyn szeroką falą
Za jego pieśnią jako pieśni stróż!
Niech światła płoną, niech się dzwony żalą,
Ze życia niema w piersi zimnej już!
Płyn ludu polski jako niezgłębione,
Niezmierne morze za tem morzem dum,
Za pieśnią pływacie tłumy nieskończone,
Niech za zwłokami gęsty ciągnie tłum!
Na Kapitolu polskim ten wypocznie,
Co duszą całą umiłował lud,
I stare kiedyś spełnią się wyrocznie,
I wielki stanie się naówczas cud!

Wśród „zasłużonych“ Wieszczy pochowan stary,
Nadzieje lepsze niesie On nam w dań;
On jak Jozue zaklnie promień wiary
I głos potężny zagrzmiał: „Słońce stań!“

Kraków, 10. Czerwca 1893.

G. Kohn.



Korespondencja moja z Lenartowiczem. Studjum literacko-artystyczne.

Spuścizna duchowa wielkich mężów nie jest ich wyłączną własnością. Żyli i umierali dla narodu, myśli swoje porzucali wszędzie, porzucali z niebacznością hojnością nie tylko po dziełach, ale często i po listach, a ile takich listów ginie i gubi się bez użytku dla społeczeństwa, dla potomności!

Tak jak w poprzednich rocznikach ogłosiłem moją korespondencję z śp. Antoniewiczem i Kraszewskim, tak i teraz postanowiłem uczynić z Lenartowicza korespondencją. Osobiście nie znałem go wprawdzie, ale korespondowałem z nim.

Sp. Marja z Rutkowskich Bołoz Antoniewiczowa, jako autorka znana pod pseudonimem Marji z Rusiłowa, była pośredniczką między nami. Pierwsza zwróciła uwagę naszego Lirnika na moją osobę, pierwsza była mi pomocną do nawiązania stosunków literackich z autorem „Lirenki.“

Zaczął się to jak zawsze listem, w którym wyraziwszy Lenartowiczowi hołd, należny wielkim

jego zasługom i przysławszy mu własną podobiznę, prosiłem o odwzajemnienie, ewentualnie także o współpracownictwo w moich „Rocznikach Samborskich.“ Nie uzyskałem go wprawdzie ani wtedy, ani później, mimo kilkakrotnego upominania się o nie; ale fotografię z bardzo przychylnym dla mnie dopiskiem otrzymałem.

Odtąd też nie omieszkalem sędziwemu Wieszczeniowi od czasu do czasu nadesłać to i owo, a on z właściwą sobie szczerością i otwartością nakreślił swoje uwagi. Uwagi te niekoniecznie i niezawsze były dla mnie pochlebne, nieraz zdania nasze rozchodziły się nawet jak najzupełniej. Podaję jednak tekst tych listów wiernie, dosłownie, bez dowolnych fałszowań — czy treść ich brzmi na moją korzyść, czy też nie. Jako bezwarunkowy zwolennik prawdy, jako wielbiciel krytyki bezstronnej — nie mogę żądać i nie żądam, aby ta krytyka, jeśli tylko obiektywnie wypowiedziana, miała być równobrzmiącą z panegirykami — a i dla moich krytyk zastrzegam sobie zawsze i wszędzie taką samą wolność.

Pierwszy list Lenartowicza, do mnie wystosowany, nosi datę 20. Marca 1881. Wyraża mi w nim Lirnik Mazowiecki wdzięczność swoją za przysłanie mu egzemplarza mego dzieła niemieckiego „Libertas,“ w którym w tłumaczeniu także jego wiersz „na cześć 25. Lutego 1861“ przytoczyłem.

List Lenartowicza brzmi dosłownie :

„Florencja, 20. Marca 1881.

via Montebello 24.

Drogi Szanowny Panie !

Nieznam tak dobrze języka niemieckiego żebym miał decydować o wartości jego przekładów, zdaje mi się że bardzo dobre, aleby warto kogo innego więcej kompetentnego posłuchać a nie koniecznie panów professorów, przeczytaj drogi Panie jakiemu poczciwemu czującemu poezję i rozsądnemu Polakowi czy Niemcowi, a jeśli zobaczysz, że wrażenie wywiera prawdziwe, drukuj i nie pytaj o więcej, ani się radź nikogo,

Pieśń „Boże coś Polskę“ bardzo pięknie przełożona — mój Łazarz dość twardo brzmi, ale bo też i oryginał śpiewnością się nie zaleca i w odtworzeniu dosłownem przedstawia niemało trudności — szkoda że Szanowny Pan niewybrał z edycji krakowskiej czegoś coby miało większą artystyczną wartość.

Wdzięczny jestem Szanownemu Panu za jego zaufanie i życzliwość jakiej odbieram dowody — daj Boże odwdzięczać się jakoś, tymczasem racz przyjąć moje serdeczne podziękowanie za piękne twoje poezye

a razem zapewnienie wysokiego szacunku z jakim pozostaję — prawdziwy sługa

T. Lenartowicz.“

W liście tym dwa zdania odrębne powodują do głębszego rozmysłu. W jednym zdaniu: „aleby warto kogo innego więcej kompetentnego posłuchać a niekoniecznie panów professorów“ widzimy mniej więcej, aczkolwiek króciej i dobitniej to samo streszczone, co w 25m numerze „Tygodnika“, dodatku literackiego „Kurjera Lwowskiego“ z 19. Czerwca 1893 — o Lenartowiczu czytamy.

Wyraża się bowiem tam Lirnik Mazowiecki o krytykach:

„Krytycy nasi młodziutcy, bo starsi nie są tak zuchwali, zaprzeczają poetom natchnienia, dowodząc, że po Słowackim, Krasińskim, Mickiewiczu już nikt nie ma prawa mówić o Ojczyźnie rymowanym płaczem, należy więc mieć uwagę i na tych niedorostków i nie puszcząć w świat niewykończonych poematów, której to wolności pozwalali sobie Słowacki, Krasiński, tylko Mickiewicz nigdy. W ostatnich czasach teorje te wyrosły skąd? Ze stronnictwa, które walczy przeciwko poezji narodowej, siłąc się zdusić żywsze uczucia w narodzie.“

Ośmnaście lat minęło od czasu, kiedy Lenartowicz ten list do śp. Mieczysława Darowskiego wystosował. Młodziutcy krytycy postarzeli się tymczasem; ich zdania opaczne pozostały. Nieraz, gdy potępione przez Lenartowicza zdania wygłoszone

słyszę na serjo — chciałbym takiego krytyka zapytać o rodzaj jego własnej twórczości poetycznej. Nicować łatwo, nic nie ma łatwiejszego na świecie — dobrze robić, jakże trudno! Jeśli zaś taki krytyk czasami na polu prozy coś dobrego zdziałać może, to niekoniecznie także na polu poezji. Niech więc otwartym będzie, niech powie: „Poezja wszelka jest mi wstępną a to nie dla tego, że po Mickiewiczu nikt już nie powinien wierszów pisać, ale dla tego, że składając rymy — sam lichym byłbym poetą.“

Drugie zdanie Lenartowicza uderza równie oryginalnością swoją, świadcząc przytem o niepospolitem wyrobieniu formy poetycznej polskiej u autora „Lirenki.“ „Mój Łazarz dość twardo brzmi, ale bo też i oryginał śpiewnością się nie zaleca i w odtworzeniu dosłownem przedstawia niemało trudności.“ Trzeba zaś wiedzieć, że przytoczony wiersz ma same męzkie końcówki w rytmie oryginału i rzeczywiście z tego powodu nieco twardo brzmi. Ale istnieje różnica między niemiecką a polską poezją, gdyż właśnie męzkie końcówki w języku niemieckim bardzo są ulubione i nadają wierszowi wiele siły, o którą Niemiec więcej dba, niż o melodyjność. Tomik poezyj, kończących się samemi żeńskimi wierszami, zanudziłby na śmierć niemieckie ucho poetyczne. Co się zaś dotyczy „odtworzenia dosłownego“ — to o nie nigdy się nie kusilem, uważając je raczej za kaleczenie poezji, aniżeli za ozdobę.

Drugi z kolei list otrzymałem w pierwszej połowie Września 1881 r. Nosi on datę „Florence 11. Września 1881. via Montebello 24.“ a na ponowną prośbę moją o udzielenie mi jakiejś pracy dla mego wydawnictwa odpisuje mi autor:

„Najlaskawszy Panie!

Z prawdziwą przyjemnością przeczytałem nadesłane mi piękne i zacne prace Szanownego Pana, w których przedewszystkiem przebija się serce szlachetne i szczerą miłość Ojczyzny. — Daj Boże szczęście — przeciwko jednemu tylko protestuję, to jest tytułowi *Mistrza*.

„Bo ja chłop jestem i moje oczy

Wielmożna wielkość kole i mroczy“ —
jak to kiedyś pięknie powiedział Cypryan Norwid —
żaden Mistrz bracie ubogi, żaden Mistrz — tułacz
jak Wy i potrącani i ze wszystkich stron boleśnie
dotykani przez najniezgodliwsze istoty — starzec
i ubogi a co ja jestem, nic, nic, nic zaiste, ani
zasług żadnych nie mam, nie Mistrz żaden, biedny
Wasz brat — nie mistrzujcie bo serce pęka — Oj-
czyzna w kajdanach, niepodległość wykreślona
ze słownika mowy polskiej, lud na pokuszenie wo-
dzony, my sami w grzécu... Bracie kochany! źle
z nami. —

Nie mów nic o żadnej powadze, bo żadną nie
jestem, najnędzniejszy pomiędzy wami. —

Do pisma Samborskiego nie wiem co pisać a
jak w tej chwili, w której w prochu bym się tarzał
a w piersi bił kamieniem, to i niezdolny jestem do
niczego — jak będę miał myśl to napiszę, ale tak
na zawołanie to trudno, byle co dawni. Jeśli to ma
zachęcić do prenumeraty, to musi mieć jakąś wartość.

Pamiętam, mam na sercu, ale nie mogę czasem
mówić z wielkiego bólu — cierpiący też jestem fizy-
cznie na kamień i gastrykę, ale fizyczny ból, to
kwiaty, to rozkosze w porównaniu z cierpieniami
duszy, których mi nie szcędzą. —

Napiszę i prześlę bądźcie spokojni. — Zacni
jesteści kiedy o ubogich myślicie sam ubogi. Niech
Bóg Wielki Pan wszystkich ludów i wszystkich świa-
tów będzie z wami. —

Rękę waszą ściskam serdecznie

T. Lenartowicz.“

U boku tem samem małym, oszczędnem i nie-
wyrażnem pismem, którem się wszystkie listy Lenar-
towicza odznaczają, nakreślona uwaga, nie mająca
bliższego związku z listem, a którą też z tego powodu
jako post-scriptum uważać muszę:

„Wczora wróciłem z Lombardyi, gdzie lato
przebył.“

Uważny czytelnik znajdzie zapewne i w tym liście Lirnika Mazowieckiego niektóre charakterystyczne znamiona.

Lenartowicz protestuje żywo przeciw tytułowi „Mistrza“, nie chce być żadną powagą naukową i literacką, choć był nią rzeczywiście, różniąc się w tem wielce od naszych młodych i starych domorosłych poetów, z których każdy chciałby być co najmniej genjuszem, a na polu krytyki nieomylnym, choć same tylko pomyłki i aksjomata błędne jako niezbite prawdy głosi. Tłum to wstrętny i zuchwały, do którego z gustem zastosowałbym mój wiersz, zatytułowany:

„Do fałszywych krytyków.“

Rozliczne mamy dziś zdania
I mamy rycerzy pióra,
Przedmiotów do odwaniania
I recenzentów jest fura.
Ile tam strzeli się byków,
A ile zdań jest kłamliwych!
Krytyko! zabij krytyków,
A znawców wskrześ nam prawdziwych!
Ten stary, jak koziół twardy,
Zasobny w błędnych zdań wiele,
Spogląda ze wzrokiem wzgardy
Na młodszych czyny i cele.
„Per aspera — mówią — ad astra!“
To fałsz! o krytyko żywych!
Niech mruków zginie hałastra,
A znawców daj nam prawdziwych!
Ten młodzik, że nie zdał szkoły
A włóczył się gdzieś światami,
Myśli, że równo z sokóły
Pobuja nam nad głowami.
Nieszczęsna poezji dola,
Gdzie druhów ma tak życzliwych!
Krytyko! zojlów zmieć z pola
I wykształć znawców prawdziwych!
Wszędzie a wszędzie prywata,
Z zera wyrabia genjusza,

Z genjuszów zdarta dziś szata;
Bo nie dla tłumu ich dusza.
Ach! gdyby tych odwaniaczy
Odwaniać raz co się zowie!
Krytyko! uśmierć puhaczy
I prawdę daj nam w twem słowie!

Lenartowicz w kwestji współpracownictwa wyraża się wymijająco: „jak będę miał myśl to napiszę, ale tak na zawołanie to trudno“ — jak bardzo pod tym względem różniąc się od owych niepowołanych pismaków, którzy piszą — i bez myśli, szczególnie bez myśli przewodniej. Wszakże takiej myśli nie trzeba im wcale; ich przewodnią myślą jest ich beznamierna zarozumiałość i pycha. Według ich zdania „genjusze rodzą się na bruku“, analogicznie do przysłowia o owych „mędrcach“, których siać nie trzeba, bo sami rodzą się i wschodzą. Pierwszy lepszy gołowąsy korespondent brukowy trzecio- lub czwartorzędnego pisemka mieni się już być wielkim człowiekiem, ba nawet genjuszem, narzuca błędne swoje zdania natarczywie starszym i doświadczeńszym, a nie pamięta przecież, że to pierwsza cecha genjuszu, iż się bezpotrzebnie nie pcha naprzód i nie narzuca się byle komu. U tych młodzików inna zasada panuje: błyszczeć chwilowo, narzucać się każdemu, figurować wszędzie a gdyby nawet w pismach o charakterze wprost zgubnym — ale figurować, dać się poznać! Do podobnych sztuczek genjusz prawdziwy nigdy się nie poniży! On nie szuka, ale chce być poszukiwanym; on nie błyszczy chwilowo ognikiem błędnym, ale świeci pochodnią; on nie kołysze się po powierzchni życia, ale przenika je na wskrós; on nie jest zuchwały, ale dumny; on się nie przecenia, ale nie ceni się także niżej wartości.

Trafnie pod tym względem wyraża się w liście do młodego przyjaciela, Adama Pajgerta, nasz Kor-nel Ujejski, potężny autor „Chorału:

„Nigdy nie pragnij sławy od świata,
Świat ten zawistny i płochy,
Ona cię sama jak Cyncynata,
U prostej znajdzie sochy.“

A teraz przejdziemy do trzeciego, najważniejszego prawie i najbardziej uwydatniającego tendencje autora — ustępu: „lud na pokuszenie wodzony.“ Ten ustęp tłumaczyć muszę sobie w podwójnym znaczeniu. Pierwszy zarzut skierowany tu przeciwko „stańczykom“, którzy „lud na pokuszenie wodzą“, szerząc ideę służalstwa i poniżając a po części także fałszując świetną przeszłość Polski. Drugi zarzut sięga dalej. Lenartowicz był synem ludu, a więc szczerym demokratą polskim. Nie będzie twierdzeniem zbyt śmiałym, jeśli powiem: Giller, Kraszewski, Lenartowicz — to trójca literacka w duchu i myśli, tak jak Mickiewicz, Słowacki i Krasiński w pieśni.

Kraszewski, wielki powieściopisarz, prawdę uważa za podstawę główną każdej dobrej powieści, tak samo jak i powieść życiowa bez tej prawdy zejść musi na bezdroża i manowce; Giller, mistrz stylu prozaicznego, światłem prawdy oświeca dzieje; Lenartowicz, demokratą polski, wygnaniec, Lirnik Mazowiecki, posuwa się o krok dalej. On chce, aby ta prawda życia na wylot przeniknęła ciemne masy i aby przejrzał i prawdę poznał ten „lud na pokuszenie wodzony.“

Ustęp ten wymaga dalszego objaśnienia. „Stańczycy“ częściowo tylko i to głównie w zachodniej Galicji przyczynić się mogli do zamącenia zdrowych pojęć i myśli u ludu. Drugi wróg groźniejszy dla sprawy polskiej, albowiem obejmować zaczyna szersze warstwy ludu, a tym wrogiem — to socjalizm!

Niezgodny z wyrazem prawdy polskiej zdawał się Lenartowiczowi wyraz: socjalizm. Socjalizm, socjalna demokracja i t. d., to wszystko abstrakcyjne wyrazy, nie mające nic wspólnego z ogólnym wyrazem: Polska, a nawet odciągające od niej. Podnoszę tu szczegół, że i Giller był nieprzyjacielem idei socjalistycznej, co dobitniej jeszcze wykazałem w 6-m roczniku mego wydawnictwa. Z oburzeniem odpiera autor broszury „o serwilizmie i serwilistach“ uczy-niony mu zarzut socjalizmu; mniej bolało go wygnanie z kraju aczkolwiek bardzo dlań bolesne, aniżeli przypisywanie mu zasad, których zwolennikiem,

ani wyznawcą nie był. Giller listownie styka się z Kraszewskim i działa według jego intencji; Lennartowicz styka się z Gillerem, a wszyscy trzej działają jednomyślnie, zapatrywawia ich nawet są poniekąd jednakie.

Kwestja socjalistyczna nietylko przez tych trzech znakomitych pisarzy polskich na ten sposób została rozstrzygnięta. Spielhagen, ulubiony niemiecki powieściopisarz, w swoim „Sonntagskind“ i innych powieściach społecznych, traktuje z szczególnem zamiłowaniem kwestję socjalizmu. Do jakich jednak dochodzi rezultatów? Otóż uznaje, że socjalizm zgubny dla niemieckiego społeczeństwa. Uczciwi marzyciele stają się ofiarami tej idei; wyzyskiwacze wypływają na powierzchnię i bogacą się imieniem socjalizmu; prosty lud, który i tak wyzyskiwany był, imieniem socjalizmu w podwójną i potrójną wpada nędzę.

Zniewoleni jesteśmy dodać, że wolnomyślny w najwyższym stopniu Spielhagen bynajmniej do serwilistycznych pisarzy nie należy. Nie pisał dla tego, aby rządowi wyświadczyć przyjemność, ale pisał, jak mu przekonanie nakazało.

„Lud na pokuszenie wodzony“ -- oto uczucie, które zamąciło spokój duszy Lirnika, przypominającego sobie mimowoli tekst modlitwy: „I nie wódz nas na pokuszenie.“

W kilka miesięcy później posłałem mu znowu dwa dziełka, a mianowicie moje tłumaczenie „Wędrówek Ahaswera“ i oryginalną powieść wierszem: „Miłość Giaffara.“

Odpowiedź, którą otrzymałem, brzmi:

„Najłaskawszy Panie Dobrodzieju!

Najuprzejmiej dziękuję za piękne tłumaczenie Ahaswera i powieść wschodnią. Co do tej ostatniej w następnej edycji znajdzie Szanowny Pan pod względem języka i poetyczności wyrażenń coś do poprawienia, — styl prosty bardzo trudny, trzeba znać język, żeby nim władać poetycznie a szczególnie w tym stylu. —

Pan Dobrodziej pisał po niemiecku, więc dziwna że i tak wysoko zaszedłeś (w tłumaczeniu

są strofy bardzo ładne) trochę pracy i baczności przysłuchiwania się mowie ludowej, czytania autorów polskich (nie tylko poetów) jak i etnografów i historyków a wyrobisz się drogi Panie na poetę prawdziwego, mając tak święty zapał i miłość Ojczyzny. — Krytyk nie pisuję do żadnego pisma nie mam czasu zajęty robotą na kawałek chleba. —

Z literatury nie mógłbym żyć więc w glinie ręce zatrudnione a pióro na co się zdało prowadzić, kiedy to żadnego uznania w kraju nie ma — stary zresztą jestem i byłbym szczęśliwym, gdybym gdzie w jakim kącie resztę życia dokończył nie mieszając się do niczego. —

Dla ubogich Sambora jak się ułatwię z robotami przysłę coś z moich drobiazgów, na rzecz większą trudno żebym się zdobył.

Przyjmij Najlaskawszy Panie wyrazy mojej wdzięczności i wysokiego poważania

Flor. ²⁰/₁₂ 1881.

T. Lenartowicz.

Co do uwagi Pana Dobrodzieja, że większą korzyść z tych prac w polskim języku napisanych jako Polak odniosę niż z włoskich trochę mnie zadziwiło ile że nie wiem, czy znana jest tak dalece kochanemu Panu wielka literatura włoska; nie należy tak lekceważyć obcych literatur.“

I ten list do rozmaitych pobudza zapatrywań i myśli. „Krytyk nie pisuję do żadnego pisma nie mam czasu zajęty robotą na kawałek chleba.“ Czyby pisma krakowskie, lwowskie, warszawskie tej miary pisarzowi, jakim był Lenartowicz, odmówiły przyjęcia korespondencyj? Nie sądzę. A jeśli nie miał czasu do pisania krytyk, to czemuż miał go podobnie do pisania wierszów najrozmaitszych? Może go zniechęciły czytane nieraz w pismach krytyki niepowołanych do pisania pismaków? Być może. A także i to możebne, że przeczytawszy doskonale recenzje Gillera, Kraszewskiego i Zawadzkiego — sądził, że w ich gronie byłby tylko piątem kołem u wozu, na co znowu — zdaje mi się, że to najwła-

ściwszy wyraz — jego dumna skromność się nie zgodziła.

„A pióro na co się zdało prowadzić, kiedy to żadnego uznania w kraju niema“ — poczucie go-ryczy, przesadnej może, znamionuje ten ustęp. Nie znaleźli się wprawdzie w kraju księgarze, którzyby się podjęli wielkiego zadania zbiorowego wydawnictwa pism autora „Lirenki“; ale nie za tem idzie, aby już żadnego uznania w kraju nie miał. O nie! kochany nasz Lirniku! Dopokąd pamięć wielkich czynów dowódcy w sukmanie nie zagaśnie w narodzie; dopokąd postacie Bartosza Głowackiego, Rejtana, Puławskiego żyć będą w pamięci ludu; dopokąd chłodem śmiertelnym wiać na nas będą „Cienie Syberyjskie;“ dopokąd „Zygmunt“ na Wawelu głośić nam będzie zejście ze świata jednego z tych głośnych szerzycieli idei polskiej, nie zagrzebanej przecież razem z nim — i Ty żyć będziesz w sercu i pamięci wdzięcznych Twoich rodaków!

Nawał pracy, utrudniający mi częstą korespondencję z Lenartowiczem, przerwał ją na dwa lata. Zdobyłem się znowu na kreślenie kilku wierszów przy sposobności nadesłania mu pierwszego zeszytu moich przekładów z Chamissa. Otrzymałem odpowiedź (przez zapomnienie niefrankowaną), którą dosłownie przytaczam, chociaż niekoniecznie pochlebnie dla mnie brzmi:

„Florenceja, 20. Grudnia 1883.

Wielmożny Panie Dobrodzieju!

Jak prędko Wielmożny Pan w przedmowie do dzieła swego utrzymujesz, żeś umyślnie na rymy nie zważał cóż tu mówić o takowych, co bądź jeśli życzysz sobie mojej bezstronnej krytyki tedy powiem, żeś podobnych dowolności, których ucho nie znosi w pracach swoich następnych unikać powinien, sprawiają one albowiem wrażenie nieprzyjemne — szkoda wielka, bo tłumaczenie w ogóle jest bardzo dobre, ale kto przeczyta wyraz, którego w języku polskim nie ma n. p. gasie stworzony dla rymu pasie odłoży książkę na bok i powie sobie: ten poeta żartuje sobie chyba, albo rymy kładzie i zgładzi albo

z wieśza, który ma rymować do Derwisza albo podzielimy się z łupem i z wielbłądami po co to z præpositio, czemu nie łupem i wielbłądami i tp. — Rytm oryginału bardzo dobrze zachowany, jest i siła w wyrażeniach i nieraz płynność i gładkość piękna wiersza, tylko te przekłete rymy trzeba było porządniej dobrać. — Wysokiej także opinii Wielmożnego Pana o poecie Chamisso niezupełnie podzielam, Hejne o sto procentów wyżej stoi od niego, ale co do tego zresztą nie chcę się uprzedzać. —

Co się tycze zapytania, czy Wielmożny Pan dobrze zrobiłeś tłumacząc i czy się to opłaciło, toż najlepiej sam musisz wiedzieć, czy się opłaciło — gdybyś mnie Wielmożny Pan zapytał czy w przyszłości radziłbym mu tłumaczyć tego rodzaju poezje tedy odpowiem nie — szkoda talentu na tego rodzaju poetów, tłumacz Wielmożny Pan Hamerlinga n. p. Jan z Lejdy, tłumacz jakiś ustęp z Nibelungów a oddasz przysługę literaturze.

Przyjmij Wielmożny Pan wyrazy poważania

T. Lenartowicz.“

Nie we wszystkim mogłem się zgodzić, ani nie zgadzam się też ze zdaniem, przez autora w tym liście wypowiedzianem. Znane bowiem przysłowie: de gustibus non est disputandum — a jakkolwiek ten lub ów poeta temu lub owemu wyższemu zdać się może, to innemu niższemu i na przemiany.

Ale zarzut, że zbyt sobie lekceważę rymy, brałem sobie do serca; uznałem, że autor „Bitwy Racławickiej“ zupełną, najzupełniejszą nawet miał słuszność, karcąc mnie za moje niedbalstwo; uznałem co więcej, że nie niemożebność znalezienia porządných końcówek, ale poprostu leniwość autorów temu winna, jeśli się jeszcze spotykamy z końcówkami, jak np. „mury“ i „które“, „kłopotu“ i „cnota“, „kanarek“ i „kawałek“, „krwawa“ i „cała“ i tp., i otrząsałem się całkowicie z tego błędu.

W pismach napotykam jednak często jeszcze na podobne nieprawidłowości rymowe; „Djabel“

krakowski nie może się ich pozbyć; prace młodych nauczycieli i nauczycielek roją się niemi tak dalece nawet, iż zakazane te rymy nazwałbym wprost „rymami pedagogicznymi“ i nieodbięłbym z pewnością od prawdy, „rymy pedagogiczne“ czyli pouczające pouczają nas bowiem, jak się rymów składać nie powinno.

Zdaje mi się, że po tym liście niefrankowanym — drugi również niefrankowany otrzymałem, który mi się gdzieś zawieruszył, nad czym jak najmocniej ubolewam. Czułem się cokolwiek dotknięty otrzymaniem niefrankowanych listów, raz, że jako człowiek niezasobny a prowadzący mimo to rozległą bardzo korespondencję, często nie miałem pieniędzy na podwójną i potrójną opłatę listów, a potem, że wszystkie redakcje w zasadzie nie przyjmują listów niefrankowanych.

Zdaje mi się, że nawet podobną uwagę uczynić musiałem Lenartowiczowi, otrzymałem bowiem kartką korespondencyjną odpowiedź, zawierającą rodzaj usprawiedliwienia :

„Florenceja 29/1 1885.

Szanowny Panie! Mocno mu jestem obowiązany za przysłany mi egzemplarz jego tłumaczeń na język niemiecki poezyj Adama Mickiewicza, o których to tłumaczeniach jak mi Szanowny Pan donosi z wielkiem uznaniem rozpisali się profesorowie niemieccy. — Dziękuję za łaskawą pamięć a zarazem przepraszam za jakiś list niefrankowany, za które to nieopłacenie uważałeś Wielmożny Pan za stosowne wymierzyć mi admonicją.

Pozostają z poważaniem

T. Lenartowicz.“

I znowu musiałem zaprzestać miłą mi bardzo korespondencję z Lenartowiczem na jakieś siedm czy ośm lat. Bytność sprawozdawcza na wystawach czerniowieckiej i krakowskiej; wydawnictwo powiększających się stopniowo „Roczników Samborskich;“ wreszcie od tylu lat prowadzone mozolne przygotowania do mającego w 60-tą rocznicę listopadową wyjść dzieła — nie zostawiły mi chwili wolnej.

Wreszcie opuściło dzieło wymarzone: „Polska w świetle niemieckiej poezji“ prasy drukarskie. Publiczność przyjęła je z prawdziwym zapalem; koształożone na tę edycję, wróciły mi się z podwójnym i potrójnym zyskiem; ocen drukowanych a przychylonych mi w najwyższym stopniu było 8.

Nagle zawiał jednak wiatr z przeciwnej mi strony. Uwzięła się na mnie „Gazeta Przemyska“ i nuże zaczęła mnie besztać ustami swego wybrańca, pana i. i., który moje dzieło nazwał „kpinami strojonemi z publiczności“ i wspaniałomyślnie wyznaczył mi na przyszłość miejsce między humorystami polskimi, aczkolwiek nie naśladowałem dotąd jego przykładu i nie bawiłem publiczności jak kłown kosztem zdrowego rozumu humorem wymuszonym.

Straciłem już prawie pewność siebie; że zniechęcony byłem w wysokim stopniu mimo pochlebnych zkądinąd głosów, to nie podlega wątpliwości. Postanowiłem jednak jako do ostatniej instancji literackiej udać się do Lenartowicza i przyznaję, że się nie mało bał jego srogości. Przygotowany byłem zupełnie na wyrok potępienia. Tem bardziej czułem się podniesionym odpowiedzią sędziwego Wieszcza, którą też w dosłownem brzmieniu przytaczam:

„Wielce Szanowny Panie!

Otrzymałem, odczytałem z acną Waszą i z talentem poetycznym prawdziwym dokonaną pracę, na którą pospieszam z podziękowaniem najszczerzem — rzecz to zasługująca ze wszech miar na uznanie.

Zbiór ten pokazuje, że w narodzie niemieckim więcej współczucia cnego miewała sprawa naszej nieszczęśliwej Ojczyzny jak w pobratymcach Słowianach.

Rok 1831 w zbiorze tym jaśniej niekłamanym uwielbieniem dla walczących, czy późniejsze nasze usiłowania znalazły podobny, wątpię, dzisiejsze Niemcy śpiewają nam requiescat in pace razem z innymi, prócz może Włochów, pomiędzy którymi miałem sposobność spostrzegać żywą dla nas sympatją.

Z czeskich, serbskich, moskiewskich poetów nieznam prócz Rylejewa powieszzonego dekabrysty, któryby uczciwie nad naszą dolą zabolał. Francuzów pisało kilku, ale prócz Delavigna, żaden z większych — Wiktor Hugo jak to z biografii Adama się pokazuje, wieszczą naszego przyjął obojętnie, a jeśli kiedy poświęcił raczył frazes jeden za Polakami, wypowiedział to chyba że wówczas kiedy mu to potrzebnem było dla jakich innych widoków...

Dzieło Szanownego Pana w innym czasie obudziłoby entuzjazm patryotyczny, (widokiem szlache-tnych ludzi ku nam zwróconych) dziś cenione będzie jedynie jako dowód niezaprzeczonego talentu tłómacza, a że podobnych poetów żyjących jak Herwegh, Platen, Lenau, Gaibl etc. próżnoby szukał; — ocenią talent Szanownego Pana i być może, iż przy tej okazji zwrócą uwagę młodego pokolenia, że poświęcenie za Ojczyznę nawet u narodów wrogich znajduje cześć należną.

Tłómaczenie znalazłem tak pięknem, że często wydaje się jakby rzecz oryginalna. —

Niemcom dzisiejszym wartoby cały zbiór w ich języku jak był pisany wydrukować. —

Przyjmij Szanowny Panie wyrazy prawdziwej życzliwości i szacunku, z jakim mam zaszczyt pozostawać

Florencja $5/_{12}$ 1892.

*T. Lenartowicz.*⁴

Jakże korzystnie odbija powagą i gruntownością swoją ten list sędziwego Wieszcza od zabawnej arlekinady pana i. i. w „Gazecie Przemyskiej!” List w dalszym przebiegu przekształca się w analizę historyczną stosunku literackiego i społecznego Polski do otaczających ją narodów, przyczem szala sprawiedliwości w uznaniu polskich cnót i zalet (omijając Francuzów i pobratymczych Słowian) stanowczo na stronę Niemiec się przechyla.

Wyraża atoli sędziwy autor obawę, kulminującą w wyrazie: „Rok 1831 w zbiorze tym jaśnieje niekłamany uwielbieniem dla walczących, czy później-

sze nasze usiłowania znalazły podobny, wąpnię“ — jest to jednak obawa nieuzasadniona.

Plemię szlachetnie myślących nie wymarło i nie wymrze nigdy, a choć grono sprzyjających szczerze Polsce poetów niemieckich przez śmierć tego i owego znacznie zostało uszczuplone, choć jeden po drugim pokładli się do snu wiecznego: Juliusz Lothar, Gustaw Pfizer, Ferdynand Gregorovius, Konstanty Wurzbach — to jeszcze żyje garstka owych wybranych, co na obczyźnie wysoko trzymają sztandar Polski, zwyciężonej, ale niepodległej, rozbitej, ale nie upadłej na duchu.

Z gotowym odwetem na napaści falangi polakożerczej stoją na czele ruchu, sprzyjającego sprawie polskiej poeci i poetki tej miary jak: Rudolf Gottschall, Paweł Heyze, E. Kronowa z Szwajcarii, Juliusz Schanz, Henryk Vierordt i inni; z prozaików niemieckich zaś wymieniam wielce zasłużonego, szczególnie w literaturze polskiej badacza i kierownika szkoły w Szymanowie w pruskim Szlązku, Ludwika Kurtzmannna.

Zachęcony życzliwem przyjęciem mojej pracy wystosowałem znowu pod koniec r. 1892-go list do sędziwego autora „Lirenki.“ Przysłałem mu między innymi rzeczami — także mój 15-sty „Rocznik Samborski“ i wyraziłem zajszczersze życzenia moje. Była to chwila, kiedy cała Galicja wraz z stolicą swoją wrzała w oczekiwaniu radosnej wieści przyobiecanego od dawien dawna przyjazdu Wieszcza do kraju. Niestety! losy zarządziły inaczej!

Ostatni list, otrzymany od Wieszcza, chowam dotąd jak relikwię. Brzmi on w dosłownem streszczeniu :

„Najłaskawszy Panie!

Racz mi darować spóźnione podziękowanie za pismo perjodyczne Samborskie i piękne Jego poezje. Tyle miałem różnych przeróżnych zajęć, że mi czasu nie stało wydolać wszystkiemu, — w młodości łatwo mi to przychodziło, w 70-m roku trudniej, — myśl leniwo się obraca, częste niedomagania na zdrowiu zniedołęzniają, miejże Szanowny Panie wyrozumienie

i nie posądzaj mnie o zaniedbywaniu stosunków, albo gorzej o lekceważeniu pracowników szanownych na niwie literackiej. —

Dziękuję najuprzejmiej, że tam raczycie wspominać jeszcze starego wierszo-pisarza, którą to dobroć oceniam i cieszę się, tusząc sobie że życzliwość takowa przeciągnie się choćby na kilka lat po śmierci.

Pismo, którego redaktorem jesteście szanowny Panie zaleca się równie doborem artykułów jak i dążnością patriotyczną, wytrwajcież pomimo obojętności chwilowej, starajcie się rozszerzać dobre zasady zgody, wolności rozumnej, pracy i wzajemnego szacunku. — Co do mojego współdziałania radaby dusza, ale, ale... w obec tylu i tak zdolnych nowych autorów, jakże tu z lada czem występować publicznie, sumienie nie pozwala — jeżeli jednakże przyjdzie chwila szczęśliwej myśli, nie zaniedbam odpowiedzieć waszemu Szanowny Panie zawiązaniu a nim to nastąpi, polecam się dobremu jego sercu i pamięci,
prawdziwy sługa

Florence, 16/1 1893.

T. Lenartowicz.“

W liście tym przebija się coś jak gdyby przeczucie śmierci, które niestety szanownego autora nie zawiodło; w niespełna 3 tygodni naród dowiedział się z gazet o nagłej śmierci autora „Bitwy Racławickiej.“

Pośmiertne dzieje jego nie leżą już w obrębie mojej pracy — należą one do historii. Duch nieśmiertelny uleciał ku niebiosom, ciało spoczywa wśród zasłużonych.

Śp. Teofil Lenartowicz zeszedł ze świata bez potomka. Żyją wprawdzie Lenartowicze, krewni autora „Lirenki,“ ale on sam nie zostawił spadkobiercy swego imienia i swojej pracy. Panował w średnich wiekach zwyczaj, że nad grobem ostatniego potomka rodziny rycerskiej złamano tarcz herbową. Złamiemy również nad mogiłą Lenartowicza, tego ostatniego rycerza ducha, tarcz herbową jego walk i zasług? O nie! On walczył imieniem Polski i cierpiał

dla niej; nie tak szczęśliwy jak Mojżesz biblijny, nie miał przede zgonem ujrzyć kraju obiecanego. Jego tarcza, na której plama nie cięży żadna a której nienawistni skruszyć nie zdołają — to Ojczyzna; jego broń — to żywe słowo, które stłumić się nie da, które żyje i żyć będzie wiekami; pomnikiem wiekotrwałym jego chwały nie ta tablica, wmurowana w grobowcach „zasłużonych“ na Skałce, gdzie i Jego ciało spoczywa. On sobie trwalszy od żelaza i spiżu pomnik wystawił w dziełach swoich, co imieniem Wieszczka wołają:

„Exegi monumentum in ære perennius!“

Sambor, 13. Lutego 1894.

G. Kohn.



Bitwa pod Ostrołęką

(z Gustawa Kaczkowskiego*).

Uczestnikom walki narodowej 1831 r. na chlubę żyjącym a w cześć poległym — poświęca tłumacz

Zygmunt Ludomir.

Dokąd dzielne bojownicy
Te zastępy wasze dążą?
Pytaj orłów! nad te szyki

*) Według pamiętników Wybranowskiego.

Zdawna wiernie one krążą,
Wszak widziały różne boje,
I jak ległych braci mszczono,
Jak zwalczono wrogów roje
I ich wały w lot znoszono.
Bo te orły weterany,
Różne znaki już widziały,
Znak wolności zdruzgotany,
Zaś w dzień chwały znowu cały —
Gdy na Ostrołęki niwie
Stał potężny imperator.
— Czy dziś wietrzą trupów chciwie,
Albo śledzą, gdzie dyktator?
Dziewiętnaście roków pono,
Jak cezara tu widziały;
Już na mary go złożono,
Męża, co był pełen chwały.
Prochem dzisiaj Poniatowski.
Pokój bądź orlemu synu!
Gdzież ta perła, nasz Potocki?
Śmierć go wpięła do wawrzynu!
Dziś się Ostrołęka roi.
Jest tam wojsk, jak w zbożu kłosów.
Wszakże to rycerze Twoi,
Święta Panno, spojrz z niebiosów!
Narwio! ty nieczuła rzeko,
Ileż krwi z naszego kraju
Niosłaś w morze, hen daleko,
Lekko, jakby rosę w Maju.
— Pięknie temu jutrznia świta,
Kto pokrzepił snem powieki;
Czulej ją bojownik wita,
Oraz żegna ją na wieki.
Jak dziewczica, tak nieśmiele
Patrzy jutrznia na was chwaty.
Walczcie, gińcie! a łez wiele,
Spłynie pewno z lubej chaty.

Komu dzielne orły ninie
Wróżba zwycięstw w waszym locie?
Przy Dybicza wy drużynie?

Polsko! pokój chcesz w sromocie?
O Skrzynecki! te reduty,
Coś mógł wczoraj znieść bez śladu,
Dziś wam pluną jad zatruty;
Zginie wojsko z tego jadu.
Jaki demon myśl osłonił
Wodza, tak dzielnego w boju,
By wawrzyny swe roztrwonił,
Zyski tak krwawego znoju!

Gdzie nad Narwią most się ściele,
Bitwa krwawa się już wszczęła!
Wodzu! czyli zdrada śmieie
Ponad cnotą wagę wzięła?
Moskwę naprzód gna Szachowski,
Do ataku gna poprostu;
Lecz ich odparł Małachowski,
Więc cofają się ku mostu.
O Skrzynecki! te reduty,
Coś mógł wczoraj znieść bez śladu,
Dziś wam pluną jad zatruty;
Zginie wojsko z tego jadu.
Małachowski już ustawa,
Bo okropnie zieją działa
I już spływa struga krwawa,
Wąłem leżą martwe ciała.
Naprzód szturmem prze Rybiński,
Wódz go wysłał na armaty,
Naprzód spieszy i Kamiński,
Aby pomścić ległe braty.
Lecz już wraca, bo z drużyny
Ledwie garstka się ocali.
— Schodźże wodzu, schodź z wyżyny,
Bo twej chwały dom się wali.
Słysz, jak wściekłe ryczą działa,
Już się krwi polały strugi,
A mordercza stal błyskała,
Kładąc braci szereg długi.
Jak przyrody urągania,
Niby morze podczas burzy,
Słysząc jęki, wrzaski, łkania,
Zaś grzmot dział im głucho wtórzy.

Tych, co w tej polegli dobie,
Wszystkich grzebać wy nie w stanie!
W żadnym się nie zmieszczą grobie
I dla kruków żer zostanie.
Dziwni ludzie! kładą oni
Za swą ziemię mienie, życie;
A gdy legną, zwłok nie schroni
Im ta ziemia należycie.
Niechby ci, co zyszczą wiele,
Sobie to uprzytomnili,
Ze co chwyt pozyskał śmieje,
Głupiec straci w jednej chwili.
Wodzu, słysz, to rzekł Prądyński,
Ten szlachetny nasz generał.
Patrz, przez ciebie padł Kamiński,
Tak narzekał, gdy umierał:
„Za Ojczyznę chętnie ginę,
„A choć z śmierci tej jam dumny,
„Przecież kładę jej za winę
„Rozkaz wodza nierozumny.“

Jako kiedy grzmoty biją,
Potem cisza wśród natury,
W chmury czarne się okryją
Dookoła wszystkie góry;
Tak po dzikiej walki burzy,
Nagle trwożna cisza głucha,
Tylko gęsty dym się chmurzy,
Tylko potok krwi wybucha.
Zanim drogę zbieży słońce,
Dziwnie patrzy się w te strony,
Na poległe te tysiące,
Na obfite śmierci płony.
Słońce wiele już widziało:
Sztandar zwycięstw i ruiny,
Ludy mrące, wstałe z chwałą,
— Ale zawsze obraz inny.

Znowu srogie huczą działa,
Niby morza łoskot dziki,
A śmierć druhy swe wysłała
Między polskie bojowniki,

Kicki! dzielny Achillesie*),
Czujesz przeznaczenia siłę!
Wodza rozkaz w bój cię niesie,
Musisz walczyć o mogiłę.
Patrzcie, jak rozprasza wroga
Achillesa mężne ramię;
Lecz ognistych kul pożoga
Szyki jego jeźdźców łamie.
Więc wracają zdjęci trwożą,
Bo bez wodza, bez Pelidy —
Achillesa. Nie pomogą
Pomścić zgon ten Erynydy!**)
Patrzcie na te trupów wały,
Co naniósła śmierć obficie,
Im nie szczędźcie swej pochwały,
I za wolność nieście życie!

Bem znów wroga ognistemi
Jak Diomed***) razi grotty.
Już pierzchają, lecz za niemi
Nowe w bój wstępują rotty.
Diomedes walczy śmieie
Aż do ostatniego grotu,
A gdy własnych już nie wiele,
Nawoływa do odwrotu.
Walka wre. Wtem wiatr odgoni
Z przed ocz widza dym armaty:
Niech tam! lecą jeźdźce z koni,
Jak wśród burzy z drzewa kwiaty.

Już sierdzisty dzień się skłonił,
Już zamilkła boju wrzawa,
Księżyc błądliwy się wyłonił,
Grobu cisza znów nastawa.

*) Achilles, syn Peleusa, najwaleczniejszy (według Homera) bohater grecki, zginął podczas oblężenia Troji 1184 przed Chrystusem.

***) Eris, bogini waśni i zemsty, podawszy podczas wesela Peleusa z Tełydą, boginią morza, między boginie jabłko z napisem: „najpiękniejszej,“ zwaśniła je i spowodowała pośrednio 10-letnią wojnę trojańską.

****) Diomedes, jeden z dowódców greckich, oblegających Troję.

Niedobitki polskich szyków
Ciagną lasem jak upiory;
Więc stolica bojowników
Przyjmie, nie lesiste bory?
Oni by zostali radzi
Wszyscy, wszyscy wśród poległych;
Lecz w stolicę wódz*) prowadzi,
Chytróść patrzy z ócz przebiegłych.
Może laurem on pokryje
Dzisiaj czoło swe miedziane,
I nie psalmy i rekwije,
Lecz tedeum chce śpiewane?

Pole walki w mgłę już tonie,
Nic nie maści nocnej ciszy,
Tylko wietrzyk, co tam wionie,
Krwi i kwiatów wonią dyszy.
Ach! nie budźcie ich słowiki!
Niechaj śpią po ciężkim znoju,
Świętej sprawy bojownicy,
Niechaj w świętym śpią spokoju!
Precz ztąd okradacze trupów!
Skarb nie znajdzie podły zdzierca,
Bo tu dla was nie ma łupów,
Same bohaterów serca!
Nieszczęśliwa narzeczona,
Kogo szukasz mdląca cała?
Narwi spytaj, wszakże ona
Walczącego go widziała.
Żałośnica niestrudzona,
Wciąż po ziemi wodzi oczy.
Chce lubego znaleźć ona,
Albo grób, co ich zjednoczy?
Czasem sowa zaszeleszczy,
Już się nocne widma snują,
Słychać kruków wrzask złowieszczy,
Spadły w błonie i żerują.

Gdzież te orły, żar ten czysty,
Co wiódł w bój te szyki dzielnie?

*) Skrzynecki.

Zgasleś duchu nasz ojczysty,
Ugodzony tak śmiertelnie;
Wietrze w Maju! wstrzymaj tchnienia,
Milczcie fale, lzy nie ciecziecie...
Wstańcie, wy wolności śnienia!
Bohaterzy, w niebo lećcie!

Zabłotów, w Grudniu 1892.

Zygmunt Ludomir.



Miasto w rozkwicie

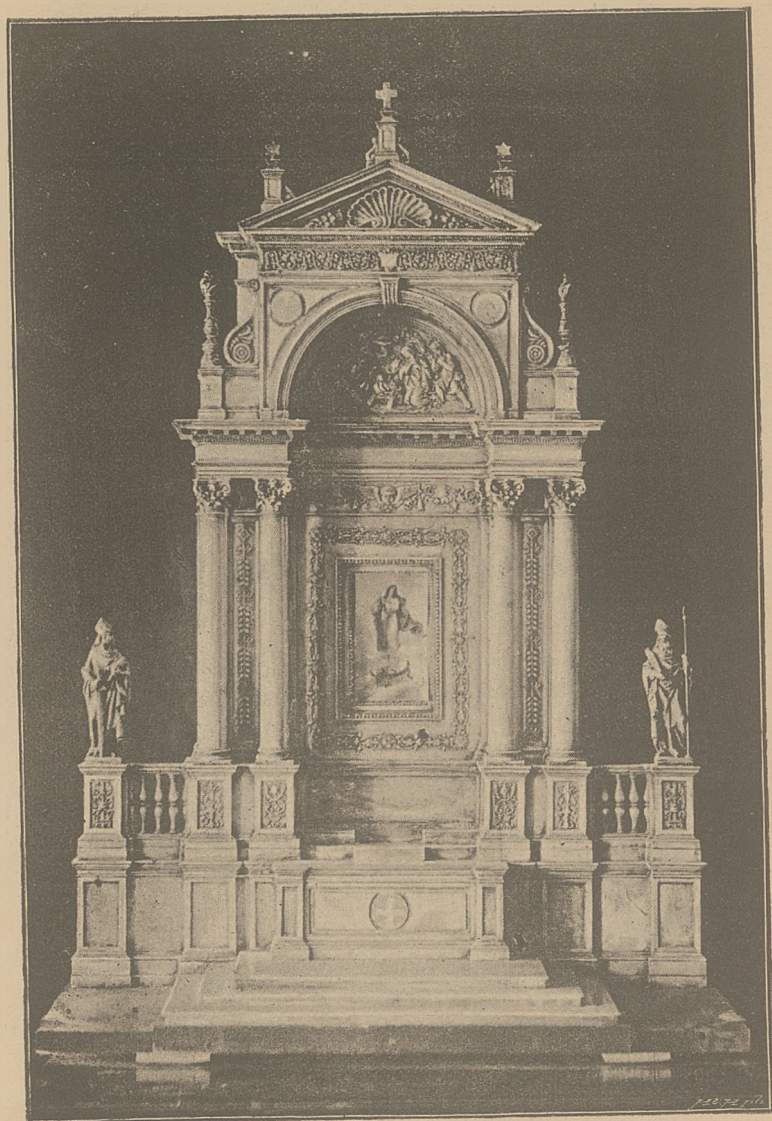
(z ryciną według fotografii M. Friedmana.)

Statystyka ostatnich lat dziesięciu wykazała u niektórych miast galicyjskich zastój lub upadek, u niektórych innych wzrost zdumiewający nie tylko co do ludności, ale także co do bogactwa, które zazwyczaj ręka w rękę idzie ze wzrostem liczby mieszkańców.

Do takich miast, w stosunkowo dość krótkim czasie rozkwitających się, zaliczamy: Przemyśl, Jarosław, Stryj, Podgórze, z mniejszych: Jasło, Krosno, Żółkiew, Gorlice.

Różne przyczyny złożyły się na upadek lub wzrost rzeczonych miast. Przemyśl i Jarosław wzrosły skutkiem napływu wojskowości; Podgórze skutkiem stosunków handlowych z Krakowem; Stryj skutkiem ostatniej pogorzeli; Gorlice, które się również spały, skutkiem fabrykacji nafty.

Do niedawna Gorlice były takzwanem „Marktflecken“, czyli miasteczkiem ostatniorzędem. Przy-



Oltarz w kościele gorlickim (według fotografii M. Friedmana z Nowego Sącza.)

wileje cesarskie przekształciły miasteczko w miasto, posiadające na równi z innymi miastami herb własny. Gorlice w Październiku r. 1874 dotknięte pożarem znacznym, spłonęły prawie doszczętnie. Głównie pastwą płomieni stał się rynek z kościołem

Miasto, malowniczo na wzgórku położone a dzielące się na dwie części, t. j.: na górną, obejmującą rynek z kościołem i przytykające doń ulice i na dolną, czyli t. zw. „Zawodzie“ — w ostatnich czasach dosyć szybko kroczy po drodze rozwoju materialnego. Posiada kolej własną z komunikacją dogodną we wszystkich kierunkach, liczne fabryki nafty i kopalnie w pobliżu, po głównych ulicach bruk kostkowy. Z nowszych budowli zastanawiają elegancją i przepychem c. k. Starostwo, szkoła, mieszcząca się obok urzędu gminnego w 2-piętrowym gmachu i 3-piętrowa kamienica, którą zamożny żyd na tem miejscu wybudował, gdzie się z rynku do „Zawodzia“ schodzi.

Kościół, ofiarami gminy gorlickiej i innych, odbudowany na nowo według planu architekta Wassilki, niedokończony jeszcze ze wszystkim; prawdziwe cacko sztuki rzeźbiarskiej stanowi główny ołtarz, wykonany za 14.000 złr. przez artystę-rzeźbiarza Marconi'ego. Ołtarz rzeczony przedstawia nam w wiernej reprodukcji z natury fotografia młodego a uzdolnionego fotografa, p. M. Friedmana z Nowego Sącza.

Gorlice mają warunki rozwoju na przyszłość, byleby tylko warunki rzeczone rozumnie wyzyskiwano. Miasto jest siedzibą c. k. Starostwa, sądu, notarjatu, pięciu adwokatów, posiada własną drukarnię, ma powietrze aczkolwiek ostre, ale zdrowe, w pobliżu jest Wysowa, miejsce kąpielowe; do niedogodności zaliczają jednak powszechnie drożyznę, równającą się z tą w wielkich miastach.

G. Kohn.



Powrót, ballada.

.....

Na spienionym koniu
Błady jeździec bieży,
Po polach, po błoniu...
W ręku lancę dzierży.
Do rodzinnej chatki
Tęskni serce jego —
Do braci, do matki,
Dziewczęcia lubego.
Lecz zapóźno wrócił,
O biedny młodzianie!
Wróg ci wydarł wszystko,
Płacz ci li zostanie. —
Staął jeździec, stanął
Przed rodzinnym progiem,
Zadrżał i poprzysiągł,
Zemścić się nad wrogiem.
Więc uściskał lancę
W silnej swojej dłoni,
Znów do walki z wrogiem
Przez step jeździec goni.

Stryj, 1886.

Antoni Stanisław Chołoniewski.



Niemiecki Estreicher.

Szkic biograficzny.

Nie odbiegnę od prawdy, jeśli mężowi, umarłemu z. r. w Berchtesgaden w podeszłym wieku, ten przydomek nadam. Mrówcza jego działalność bowiem wielce zbliżona do działalności naszego polskiego Estreichera.

Kreśląc te słowa mam na myśli śp. Konstantego Wurzbacha, urodzonego 11. Kwietnia 1818 w Lublanach a umarłego 16. Sierpnia 1893 w Berchtesgaden. Polska literatura temu Niemcowi wiele ma do zawdzięczenia, był też do ostatniej chwili życia swego gorącym rzecznikiem sprawy polskiej wśród niemieckich ziomków swoich i przyczynił się niepospolicie do budzenia sympatyj dla nas wśród kół obojętnych lub nawet niechętnych nam.

Obdarzony niezwykłym talentem poetycznym, żywą fantazją a jeszcze większem zamiłowaniem do badań źródłowych, młodość miał dosyć burzliwą; służył nawet w wojsku, gdzie wkrótce zdobył rangę oficera, i w tym charakterze też naprzód do Krakowa a potem do Lwowa przeniesiony został. We Lwowie zbrzydził sobie nagle służbę wojskową, przesycał się zaszczytami militarnymi i zapragnął tylko jednej odznaki: odznaki uczonego. Nie porzuciwszy jeszcze ze wszystkiem służby wojskowej, uczęszczał jako oficer austriacki na uniwersytet lwowski, zdobył 1843 doktorat filozofii, a już w rok później abdykował ze służby wojskowej.

Różniąc się pod tym względem bardzo korzystnie od swoich niemieckich ziomków Sacher-Masocha i Francosa, którzy utuczywszy się na polskim chlebie, plwali i plwają, na nasz kraj, postanowił

śp. Konstanty Wurzbach już za młodu, polskiej sprawie służył i nie sprzeniewierzył się tej sprawie aż do ostatniej chwili.

Mianowany kustoszem w uniwersyteckiej bibliotece we Lwowie w czasie, kiedy polskie słowo zakazane było, gromadził śp. Wurzbach w niemieckim języku materiały poetyczne i historyczne, odnoszące się do Polski, a które też później drukiem ogłosił.

Po sześcioletnim pobycie we Lwowie, w r. 1849 do Wiednia do ministerjum spraw wewnętrznych przeniesiony, gdzie z czasem na radcę nadwornego awansował, utrzymywał ciągle stosunki z krajem, któremu pierwsze naukowe i literackie natchnienia zawdzięczał. Jak nasz Estreicher w Krakowie, który się wślawił pomnikowemi dziełami i badaniami, tak ten niemiecki Estreicher rozpoczął i skończył dzieło pomnikowe, które jego imię wślawi na długie wieki. Tem to dziełem jest Wurzbacha słynny „Bibliograficzny leksykon cesarstwa austriackiego,“ rozpoczęty w r. 1885 a skończony wkrótce przed śmiercią autora (do r. 1885 wyszło 51 tomów rzeczzonego dzieła.) W dziele tem umieścił Wurzbach skrętnie biografje przeszło 500 polskich znakomitości literackich i naukowych, wywiedziawszy się poprzednio listownie o najdrobniejsze szczegóły, podane przezeń z taką pedantyczną dokładnością, iż z leksykonu“ Wurzbacha o niejednym polskim autorze o wiele więcej dowiedzieć się można, aniżeli z źródłowych dzieł polskich.

Na tem nie ograniczyła się jednak zupełnie czynność literacka śp. Wurzbacha. Nie przytoczymy tu liczne prace tego autora w języku niemieckim streszczone, o ile się do Polski nie odnoszą; ale pozwolimy sobie przytoczyć to wszystko, co z pod jego pióra wyszło a jaki taki związek z Polską ma.

Jako tłumacz wydał Mickiewicza „Ode do młodości“ i „Farysa;“ wydał poezje Wincentego Pola i innych poetów naszych.

Ale jeszcze większe są zasługi Wurzbacha w skupianiu materiału literackiego oryginalnego, o ile się tenże do Polski odnosi.

Historycznie komentował i wydał „Pieśni ludowe Polaków i Rusinów“ (1845), na podobny spo-

sób traktował także „Przysłowia Polaków“ (1852), wydał dzieło pod tytułem: „Przyczynki do historii oświaty w Polsce“ (1852), przeszłość sławną Krakowa opiewał w poemacie epicznym, zatytułowanym: „Z dziejów zapomnianego grodu królewskiego“ (Wiedeń, 1850), wierszem oryginalnym również sławił wielką przeszłość Polski i poetycznym stylem a barwnem piórem przedstawiał zalety i wady tego ludu polskiego, z którym się może więcej zrosł, aniżeli niejeden panicz, urodzony i żyjący w kraju a nie dbający o przynależność i obowiązki narodowe.

Drobne poezje oryginalne Wurzbacha, odnoszące się do Polski a z których szczególnie poematiki: „Daktyle i fijołki“ niezwykłym polotem i siłą poetyczną się odznacza, zgromadziłem, o ile mnie stać na to, i wydam je kiedyś — jeśli dożyję — w tłumaczeniu w dziele, mającem się pojawić jako dodatek do mojej „Polski w świetle niemieckiej poezji;“ autorowi zasłużonemu zaś jako hołd na świeżej mogile składam skromne te wyrazy.*)

Sambor, 20. Lutego 1894.

G. Kohn.



*) Zapóźno — bo dopiero po ukończeniu druku poprzedzającego arkusza — spostrzegłem, że się przez nieuwagę tam błąd wkradł; proszę więc czytelnika w następny sposób go sprostować: zamiast „rozpoczęty w r. 1885“ (str. 352, w. 19 i 20) powinno być: „rozpoczęty w r. 1855.“ (*Przyp. aut.*)

W 70-tą rocznicę śmierci TADEUSZA KOŚCIUSZKI,

zwycięzcy z pod Racławic i bohatera narodu polskiego*).

¹⁵/₁₀ 1817—¹⁵/₁₀ 1887.

Rozdźwiękły dzwony, głos po rosie płynie,
Echem swem trąca o miasta,
A w całym świecie sława wodza słynie,
Zapał się święty rozrasta.
Już siedemdziesiąt jesieni szumiało
Po nad mogiłą pamięci,
I siedemdziesiąt zim w Polsce srebrzało,
Dzierzgając trumień pieczęci.
Siedemset może z nas szydzić i więcej,
A my nie zadrżym, śmiałkowie!
Bo któż przykładem porywa goręcej,
Niż tacy szczytni wodzowie?
Zadrżycie, mury królewskiego miasta!
O uderz czołem, narodzie!
Powstań o Polsko! jak dzielna niewiasta!
I stań anielska na przodzie.
Stań, pobłogosław nam trójnarodowa,
Polskim, litewskim sztandarem,

W bieżącym roku jako pamiątkowym zwycięstwem wodza z pod Racławic, może nie zawadzi umieścić wiersz nieniejszy, należący do starszych utworów poetycznych autorki, panny Janiny Sedlaczkównej. Cieszy mnie, że przy tej sposobności gratulować jej mogę znacznego bardzo postępu na polu poezji, na którym jej dotąd tylko słabe rokować mogłem nadzieje. Znana panna Sedlaczkówna także w szerszych kołach jako redaktorka i wydawczyni jedyne go w kraju wychodzącego pisma dla kobiet, zatytułowanego: „Przedświt,” na które przy tej sposobności zwracamy uwagę naszych czytelników i czytelniczek. (Przyp. red.)

I wioń, gdzie senność zapadła grobowa,
I żyj, pamięci żyj czarem.
Po nad szermierza powioń ty prochami,
I od nas zanieś mu wieści,
Żeśmy wiernymi na zawsze synami
Ojczyzny i jego cześci.
Niechaj anielskie dziś rozebrzmia chóry,
Nadzieja wzmocni w pochodzie,
Że przez Twe modły spłynie łaska z góry,
Obrońco wiary w narodzie!

Lwów, 15. Października 1887.

Janina Sedlaczkówna.



Partja szachów.

OBRAZEK z ŻYCIA,

przez

Władysławę Torską.

Lampa, osłonięta blado niebieską koronkową umbrą, rzucała półcień tajemniczy a ponętny na piękny, damski salonik. Olbrzymie, weneckie zwierciadło oświetlało go, a na sympatyczną całość złożyły się nietylko umiejętnie ręce tapicera — ale zarazem wykwintny a miękki, miły i prawdziwie niewieści gust pani owego mieszkanka.

Róg jeden saloniku ozdobiony był grupą palm, a na tle ich zieleni tworzyło wdzięczny obrazek dwoje młodych ludzi, pochylonych nad zgrabnym stoliczkiem i zajętych partją szachów.

Cisza zalegała — tylko z za spuszczonej żaluzji dolatywał gwar nieuchwytnych głosów ludzkich i turkot przelatujących dorożek.

Dwoje graczy tonęło w głębokiem milczeniu, jakby oderwani od tego ruchu życia w wielkiem mieście.

Panienka, zajęta grą, wpatrzona badawczo w szachownicę, z paluszkami przy ustach — zdawała się coś rozważać i zamach jakiś przygotowywać; po dłuższej bowiem ciszy z pewnym tryumfem odezwała się srebrnym głosikiem: -- szach królowi! A odetchnawszy swobodniej, założyła rączki przed siebie, poruszając paluszkami i patrzyła z figlarnym uśmiechem w zamyślane a tak piękne oblicze pana Zygmunta.

Pan Zygmunt na pozór najspokojniej gładził zgrabną ręką wasy mistrzowsko ułożone, i wpatrywał się nie w szachownicę — ale w ruchy drobnych paluszków partnerki, zatopiony w myślach zdawał się nie rozumieć zapowiedzi strasznej katastrofy. Gdy paluszki czarnookiej przeciwniczki podniosły się w górę, to i jego oczy podążyły za niemi, zatrzymując się powoli na małej, miłuchnej twarzyczce, z drobnemi ustami, drgającemi pełnią życia lat siedmnastu.

— Panie Zygmuncie! czy pan nie słyszysz? szach królowi! — powtórzyło dziewczątko. — Pana to nie przeraża? Nie drżysz pan na zapowiedź dalszej porażki? — Pan, taki sławny szachista, najślawniejszy w stolicy, pobity, starty na proch przez takie słabe stworzenie! Zginie pańska sława, panie Zygmuncie, zginie, przepadnie bez echa... No! broń się pan, walcz — ratuj swego władcę! —

Słowa te wymawiała różowe usteczka powoli, układając się w prześliczny grymasik; a drobnutka postać partnerki kołysała się pod wpływem uczucia niewątpliwego zwycięstwa.

Usta pana Zygmunta milczały, natomiast oczy mówiły wiele; utonęły silniej jeszcze w twarzycze strasznego przeciwnika, i w wielkich, jak otchłań bezdennych, żrenicach. Po chwili dopiero uśmiechnął się pan Zygmunt jakoś dziwnie tajemniczo i przemówił obojętnym głosem:

— Świetny z pani strategik, plan całej kampanii i nieochybnego zwycięstwa mistrzowsko przeprowadzony — czuję się już bezsilnym, bezradnym w obec takich danych. —

Z temi słowy rzucił okiem na szachownicę i udanym ruchem tragicznej rozpaczki chwycił się za głowę i dorzuczał nieco ciszej:

— Panno Jadwigo! jeszcze nikt mi nie zadawał takiej porażki — nie ma ratunku — kapituluję — poddaję się w pokorze bez dalszej walki, brak mi już sił... panno Jadziu... poddaję się... błagam łaski... litości... błagam mi... miło... sierzdia... —

Ostatnie słowa wymawiał już szeptem i towarzyszyło im długie, do głębi palące spojrzenie, przez które cała jego dusza patrzyła w niebezpieczną partnerkę; a przy ostatniem słowie zadrgały mu usta i zająknął się, jakby to co innego wymówiły były, aniżeli im serce dyktowało.

Na chwilę ciemne oczy Jadwigi przesłoniły się łzawą mgłą, na policzki matowe wystąpił zaledwie dostrzegalny rumieniec — ale to trwało tylko chwilę; wrażenie, jakie ją ogarniało pod wpływem namiętych spojrzeń Zygmunta i słów tegoż — zdołała opanować i wybuchnęła nagle śmiechem dźwięcznym, serdecznym a pustym, głuszac nim ciszę saloniku i głuszac zarazem przyspieszone tempo dwu serc, rwących się ku sobie.

Śmiech ten, chociaż miły i czarowny, zagrzmiął w uszach Zygmunta jak fałszywy akord. Czuł dziwną jakąś słodycz w sercu, ku której drgają mu harmonijnie wszystkie struny rozfalowanych uczuć duszy — kochał szalenie to małe stworzenie, patrzące nań temi wielkimi, pełnemi rzewnej słodyczy, oczyma, na których dnie w tej chwili świecił błysk nie dającego się ukryć tryumfu, podczas gdy na ustach igrał uśmiech, z lekkim odcieniem ironii — uśmiech

ten targnął mu boleśnie duszę, ochłodził, przywrócił równowagę. —

Jadwigę upajał tryumf, zwyciężyła, pokonała tego lwa salonów, którego zapewne niejedna z jej rówieśnic starała się ku sobie nakłonić. Dumna jego głowa chyliła się przed nią, niezdobyte dotąd serce błagało w pokorze miłości; harde usta jego szeptały już pierwsze namiętne słowa wyznania — a ona w tej chwili — acz kochała — nie chciała zrozumieć tych słów, ani niemej, choć stokroć wyrazistszej mowy jego ócz; szał takiego tryumfu zbyt silnie na nią oddziaływał, i do tego stopnia podrażnił, że raczej chciała tę chwilę przedłużać i znęcać się nad pokonanym udanem niezrozumieniem jego słów i uczuć, katować powoli i nasycać się widokiem katowanej acz ukochanej istoty. Toż Jadzia, odrzucawszy główkę nieco w tył, szczerzyła zębki do malowanych na błękitnem tle sufitu różowych amorków — choć serce jej kołatało przyspieszonym ruchem i fala krwi gorącej napływała ku skroni — śmiała się coraz serdeczniej, coraz głośniej — może za głośno i za banalnie...

Gdy Zygmunt z pewnym wyrzutem w głosie, akcentując dobitnie każde słowo — zapytał:

— Co panią tak śmieszy? —

— Co? — pańska pokora! — To tak dziwnie brzmi w ustach pana, to: panno Jadziu... błagam łaski... litości... — Jak to było, panie Zygmuncie? proszę raz jeszcze powtórzyć, bo to dla mnie nowość, a każda nowość mię zajmuje i bawi...

— Czy zawsze? — przerwał Zygmunt.

Na te słowa surowym tonem wypowiedziane, Jadzia spojrzała na Zygmunta, i zauważywszy w jego wyrazie ócz nagły chłód — zawahała się z odpowiedzią, przeraziła ją ta nagła zmiana, ale nie chciała jeszcze dać za wygraną, i z lekkim uśmiechem odrzekła:

— Tak, zawsze.

-- Ha, jeśli tak, to dobrze się stało, że w samą porę dowiaduję się o tem, mogę pani zaraz służyć istotną nowością, ale w pokornego nie zabawię się już, bo to panią zbyt śmieszy, a śmiesznym nie

chciałbym być, tembardziej obecnie, gdy mi wypada przybrać poważne stanowisko męża i głowy rodziny. — Żenię się, panno Jadziu!

Na te słowa oczy Jadwisi rozszerzyły się, pierś ścisnęła nieopisana trwoga, oddech stał się ciężkim, twarzyczka zbladła, a usta rozwarły się, jakby chciała coś przemówić; lecz Zygmunt zapewne tego nie zauważył i tonem spokojnego opowiadania mówił dalej:

— Nikt dotąd o tym fakcie nie wiedział, pani pierwszej poczytuję sobie za obowiązek go wyjawić, bo mam tę pewność, bo czuję, że w sercu pani tleje dla mnie maluczka iskierka uczucia przyjaźnego. Przeszłej zimy poznałem w Kairze bogatą i wspańiałej urody Angielkę, i zawarłem z nią umowę, że za rok, jeżeli nie zmienią się uczucia nasze, mamy się zjechać w kraju palm i cyprysów i... połączyć węzłem dozgonnym. Właśnie dobiega ta chwila... otóż ciekawa nowość — czy bardzo panią bawi? —

Jadwiga nie dosłyszała już ostatnich wyrazów — w uszach czuła dziwny szum — zsiniałe usta drgały nerwowo; pochyliwszy się nad szachownicą, poruszyła bezmyślnie pionki. Nie umiała sobie zdać sprawy z tego, co się z nią dzieje; a jednak — mimo rozpaczliwego zawodu, jakim tak nagle dotkniętą się uczuła — usiłowała całą mocą woli zachować pozorny spokój, i z ciężkim wysiłkiem, drżącym i na pół płaczliwym głosem zdołała zaledwie dosłyszalnie wy mówić:

— Panie Zyguncie — kończmy naszą partję.

— Kończmy — powtórzył Zygmunt i wpatrzył się w bielutką jak obłoczek twarzyczkę partnerki; wyczytał w niej ból, jakiemu teraz ulegała, choć przed chwilą tak pustym igrała śmiechem. Żal ścisnął mu serce, ale oblicze rozjaśniło mu się, obrażona duma żądała zadośćuczynienia — miał je, lecz jakże boleśnie czuł teraz, że za daleko się posunął; chciał złe naprawić, a nie widział drogi wyjścia z fałszywej sytuacji, w jaką z własnej winy sam popadł.

Spotkania ich spotkały się — jej było pytające, pełne łez i żalości — jego wyrażało miłość i pokorę.

Wtem z drżących paluszków Jadzi wysunął się pionek i stoczył do jej stóp. Zygmunt porwał się, i gdy przykleknął, by podnieść pionek, mimowiednie dotknęło jego czoło opuszczonej ku dołowi dłoni Jadzinej; mrowię przeszło mu po ciele, i chwycił zamiast pionka oburącz tę ukochaną dłoń i gorącemi obsypywał ją pocałunkami.

Jadzia nie wycofywała dłoni, tylko odwróciła główkę i schmurzyła brewki; bo wprawdzie widziała teraz u swoich stóp Zygmunta, usłyszała jednak dopiero z jego własnych ust niewymownie dotykającą jej uczucia wiadomość, że się żeni z ową domniemaną Angielką, której postać, im goręcej Zygmunt tulił do ust dłoń Jadzi, tem wyraziściej jej wyobraźnia ją sobie zarysowywała, i postać Angielki przytłaczała rozżaloną Jadzię, stawiając zaporę między nią a Zygmuntem. Zygmunt stał się dla niej niepojętą zagadką... przerażała ją ta uległość i czułość jego, i poczęła dłoń swą wrywać, nie mogąc nawet spojrzeć na Zygmunta; a gdy ten ręki jej puścić nie chciał — już miała mu wypomnąć ową Angielkę, gdy naraz usłyszała ciche słowa, które jakby rosą ożywczą zapadały w rozżaloną jej duszę i napawały ukojeniem i zachwytem:

— Panno Jadziu... przebacz mi... ja tylko ciebie jedną na świecie kocham całą duszą... ubóstwiam!... Miłość moją składam u stóp twych...

Gorzało mu w piersiach, czuł w duszy piekło niepewności, zawisł oczyma na jej ustach i czekał wyroku a nigdy na tych ustach nie widział takiej surowości i w twarzy takiej powagi, jak w tej chwili.

Jadzia po tem wyznaniu Zygmunta zaprzestała wrywać rękę, kąciki jej ust lekko się podniosły, ale nie spojrzała na niego, i z odwróconą główką trwała w milczeniu.

Zygmunt powstał, nachylił się ku niej, w obie dłonie ujął jej główkę i zwrócił cudną jej twarzyczkę ku sobie, wpatrując się w nią jakby w święty obrazek.

Któż zbada kapryśną istotę kobiety, w której częstokroć bezpośrednio następstwem śmiechu są

ły, a i odwrotnie po serdecznych łzach następuje śmiech pogodny.

Toż i u Jadwigi zdawało się Zygmunto wi, że czyta w oczach rozkosz i zadowolenie... wtem twarzyczka jej rozpromieniona i rumieńcem pokraśniała przybrała nagle wyraz dziecięcego rozrzewnienia, wzroku Zygmunta znieść nie mogła, opadły powieki, i z pod ciemnych rzęs potoczył się obfity grad łez.

Tego najmniej spodziewał się Zygmunt, stał chwilę bezradny... ale na widok tych obfitych łez opanowała go taka tkliwość serdeczna, że mimowiednie tę cudną ciemną główkę przytulił do siebie i złożył na czole długi, gorący pocałunek, a gładząc lśniące włosy Jadzi, szeptał miękkiem i łagodnym głosem:

— Czy to wyznanie moje, dziecino droga! te łzy ci wyciska? czy to ma być odpowiedź na moje uczucie?... Miłość powinna ukojenie i szczęście przynosić, a troska łzy!

Jadzia nie odrzekła ani słowa, tylko jej główka pochyliła się jeszcze bardziej ku niemu i przytuliła silniej; po burzliwej chwili, niedawno minionej, czuła, że u jego boku odzyska ukojenie i spokój, że przy nim znajdzie to szczęście, ku któremu rwała się jej dusza.

W saloniku zaległa cisza, jakby w toku rozgrywanej partji.

W sąsiednim salonie dały się słyszeć kroki Jadzinej matki i te jż zapytanie:

— Czy partja skończona? Czekam z herbatą.

Jakby na dane hasło, obydw oje odzyskali przytomność. Jadzia powstała, pod wpływem ciepła, jakie owiało jej twarz, łzy oschły, uśmiech pogodny zagóścił na ustach, tylko oczy żarzyły się jeszcze gorączkowo, gdy patrzyła na Zygmunta, mówiąc:

— Jutro skończymy partję — jutro panu odpowiem.

— Dlaczego nie dziś?...

— Za karę. Byłeś dziś dla mnie bardzo niedobrym — więcej niż pojąć możesz; nigdy ci tej angielskiej miss nie zapomnę... należy się panu długa i sroga kara.

— Ja tę winę, wywołaną chwilowym żalem, naprawię całym życiem... Na Boga! nie dręcz mnie... między nami dziś jeszcze musi być partja rozegrana.

Popatrzyła mu w oczy figlarnie i upajała się zwycięstwem, różowe jej nozdrza lekko się rozdymały, usta muskał wesoly uśmiech.

Widocznie partja miała się ku końcowi. Zygmunt pobity został, został zamatowany na całe życie; Jadzia to czuła, ścisnąwszy Zygmunтови z czułością dłonie, i pociągając lekko ku drzwiom przyległego salonu, wsunęła mu rączkę pod ramię, szepcząc:

— Chodźmy panie Zygmuncie do mamy, tam powiem....

— Co powiesz... co powiesz mamie?...

— Powiem wszystko... powiem, że cię kocham nad życie...

I z temi słowy przeszli próg salonu, a ciężkie fałdy aksamitnej kotary, zawarłszy się za nimi, stłumiły dalsze słowa wyznania i skryły tę uroczą parę, prawdziwą miłością i szczęściem promieniejącą.



TRZY ŚMIERCI.

(Wspomnienie skał Ciężkowickich i pobytu w ich okolicy w Sierpniu 1887 r.)

Napisał

ZENON MŁOT.

Przedśpiew.

Lubię ja bardzo ciche ustronia,
Kędy mię ptasząt dochodzi śpiew,

Lubię zielone lasy i błonia,
Gdzie się rozlewa pieśń szumu drzew.
Lubię w strumyka spoglądać fale
I z biegiem jego myśli me ślać,
Bo drugie słońce w tym wód kryształe,
I drugie jasne niebo tam znać!
Lubię ja marzyć szarą godziną,
Gdy do spoczynku kładzie się dzień,
I myśli moje w siną dal płyną,
A światło wspomnień rozprasza cień.
Lubię, gdy księżyc blade się pali,
I białą strugą spływa na skroń.
Bo wtedy biegnę po srebrnej fali,
Ręce jak dziecko wyciągam doń!
Gdym smutny — lubię smutek niebieski,
Gdym wesół — lubię wesela śmiech,
Gdy płaczę — lubię samotne łezki,
A kiedy grzeszę, to lubię grzech!
Lecz ponad wszystko najbardziej lubię,
Dumać na gruzach minionych lat;
Wtedy się w echach przeszłości gubię,
Inny mym oczom odtwarzam świat...
Lubię zamierzchłych dziejów pomniki
Oglądać w grozie pierwotnych burz —
Zwycięzców wtedy słyszę okrzyki,
Wtedy o prawdzie nie wątpię już!
Lubię myśl o ich dawnej wielkości,
Chociaż ją wieków pokrywa pleśń:
Ja ją otrząsnę z trupa przeszłości,
I ku ich chwale zabrzmi ma pieśń!

I.

Chodźmy pod górę — pod skał złomami
Na mchu murawie miękkiej usiędziem,
I otoczmy się wspomnieniami,
Co skały mówią, słuchać tu będziem!
Złączy nas jakiś związek serdeczny,
Gdy na ich groźne spojrzymy lica —
W dzień nas ozłoci promień słoneczny,
W nocy osrebrzy światło księżyca.
I nie przemówim do siebie słowa,

Choć sobie patrzeć będziemy w oczy,
Bo groza śmierci w skałach się chowa,
Więc nas majestat śmierci otoczy.
Pójdźmy pod skały z jasnym obliczem,
Pełni tej ufnej wiary dziecięcej,
A gdy się wzruszyć nie damy niczem,
To może na dół nie zejdzem więcej!...

II.

Dziś tylko skały. Ale przed laty
Stały tu zamku pyszne kolumny —
A w zamku magnat mieszkał bogaty,
Wielce ze swego bogactwa dumny.
Tu, gdzie krzyż stoi na stromej skale
I groźne urwisk załomy sterczą,
Wieżę ku niebu biegły wspaniale
I spoglądały w okół szyderczo.
Dziś tylko głogi i ostre ciernie
Zaległy wieńcem to uroczysko,
I życie ludzkie malują wiernie,
Co smutkiem słoni szczęścia zjawisko.
Lecz na ich miejscu biegł mur zamkowy,
Cztery go wielkie dzieliły bramy —
A nad bramami herbów podkowy
Czerniały jako na duszy plamy.
Dziś cisza. Czasem tylko traw chwasty
Szeleszczą, gdy wiatr o nie uderzy —
Gdzie dawniej główne brzmiały toasty,
Szczęk broni — albo krzyki rycerzy.
Wszystko przebrzmiało — czas to daleki —
A cóż wiecznego mamy na świecie?
Toż nawet miłość kończy się przecie,
Choć przysięgamy kochać na wieki....
Lecz kto ma serce — temu wspomnienie
Tajemną pieśnią płynie do ucha,
Więc i słów moich ponure brzmienie,
Kto lubi przeszłość — niechaj posłucha!

III.

Pan był bogaty w zamku, jak rzekłem,
Z dumą rodową, na hardem czole,

Z tą dumą, która rodzi niewolę,
I dla narodu stała się piekłem.
I miał być dumnym z czego — bo włości
Liczne miał — wielkie skarby, klejnoty,
Aż się uginał sprzęt szczerozłoty,
Gdy podejmował swych zacnych gości.
Ale najdroższy skarb zamku pana,
Śliczniejszy niżli dyamentów jasność,
To była córka jego kochana,
Co szczyt piękności wzięła na własność.
Lice nie z ziemi, lecz z nieba miała,
Serce z anioły wiążąc w przymierza,
I dziewiczemi cnoty jaśniała,
A hart i stałość miała rycerza.
W głębokich źrenic czarnej otchłani,
Taki czar miała dziwny — namiętny,
Że kto ją zoczył — stawał się smętny...
I chciał żyć dla niej — umierać dla niej!
I było wielu, których zażyłość
Łączyła z ojcem tej ubóstwianej,
I którzy w sercu poczuwszy miłość,
Podboju serca czynili plany.
I życie nawet nieśli w ofierze,
Spełniając ojca warunek srogi —
O, bo kochali Halinę szczerze,
Uśmiech ich jeden nagradzał błogi.
A ojciec wyrzekł głosem surowym,
Że kto o rękę córki się kusi,
Trzykroć po wązkim murze zamkowym
Na swoim koniu objechać musi.
Wielu ich biegło. W Haliny oczu
Patrząc, nie dbali, ażeby nie paść,
I razem z koniem wpadali w przepaść,
I dno potoku krwią ich się broczy!
Co się naówczas działo z Haliną,
Że tak przed siebie patrzyła łzawo? —
O, bo na sercu było jej krwawo,
Że jest tak wielu śmierci przyczyną.
Jej czułe serce bolało skrycie
Na ten tak szczytny ducha heroizm —
Gdy tylu dla niej niosło swe życie,
A każdego człowieka żywi egoizm!

IV.

Halina siedzi w swojej alkwie
I wzdycha czegoś i gorzko płacze —
Ha, pójdę do niej — może mi powie,
A jak nie powie, to sam zobaczę!
O, bo ja w sercach czytać tak umiem,
Że dla mnie nie ma w nich tajemnicy —
Ja każde drgnienie serca rozumiem
U zrozpaczonej bolem dziewicy!

*

*

*

Halina płacze, bo jutro srogie
Pewnie jej smutek wielki obwieści;
Gdy się przecucie spełni złowrogie,
To jej nie stanie w sercu boleści...
I pęknie wtedy. Jutro jej miły
Zbigniew ma odbyć straszliwą próbę...
„Ach Boże, Boże! dodaj mu siły!
„Rozpędź te chmury przecucia grube!“
Jutro jej Zbigniew konia dosiędzie,
I na śmiertelne wystąpi szranki,
Śmierć lub Halinę swoją zdobędzie —
O, jak drży serce jego kochanki!
Ona go kocha i nie przeniosła
By jego śmierci, lecz z nim umarła,
Bo ich się miłość technieniem ust zwarła,
Jednością myśli w jedność się zrosła!
A więc dla tego roni łzy rzewne
Piękna Halina — jutro ją smuci!
Och — bo to jutro, jutro niepewne,
Śmierć jej przyniesie — lub życie wróci!

V.

Wicher jesienny jęczy ponuro,
Na dworze ciemno, straszno i czarno;
Niebo się jedną powlokło chmurą,
Jakby oponą kiru cmentarną.
I nic nie widać. Czasem w oddali

Słabe światełko tylko połyska,
Gdzieś z domowego pewnie ogniska,
I to raz blednie, to znów się pali.
Pod lasem chatka stoi w dolinie,
Pustelnik w chatce tej mieszka stary,
Co z swej mądrości naokół słynie,
Bo umie wróżyć i robi czary!
Ku tej więc chatce ktoś kroki niesie,
Bo cichy odgłos słyhać w gęstwinie,
Choć wiatr jesienny huczy po lesie,
I dziką pieśnią w przepaściach ginie.
To Zbigniew idzie. W okno zapukał,
I po imieniu wywołał starca —
On tu u niego rady dziś szukał.
Wszedł — i postawił miodu pół garnca
I rzekł: „Ach, starcze! poradź mi, powiedz,
Jakim sposobem uchodzić klęski,
Bym z próby grafa wyszedł zwycięzki,
By mię nie czekał w zamku grobowiec!
Jutro zaledwie ranek zabłyśnie,
Wstąpię na koniu na mur zamkowy,
I albo jaki demon mię ciśnie
W przepaść — lub zbawi anioł tęczowy!
Ja kocham, kocham moją Halinę,
Więc niechaj dla niej ciało me skona,
Lecz zanim umrę, lecz zanim zginę,
Chciałbym ją tulić choć raz do łona!
Chciałbym, by piękne, różane usta
Dały mi jedno pocałowanie —
Potem niech zginę — pierś będzie pusta,
Bo serce moje przy niej zostanie!
Śmiercią mą duszę grafa obarczę;
A może z próby zdołam wyjść cało?
Powiedz, co czynić mi pozostało?
O radź mi dzisiaj, o radź mi starcze!“
Tak skończył — przypił do niego z czary,
Starzec też usta umoczył w miodzie,
I po swej siwej gładził się brodzie,
I patrzył wzrokiem badawczym stary,
I rzekł: „Żal mi cię, rycerzu młody,
Żeś tak pokochał dziewę serdecznie,
Bo w pewne z śmiercią idziesz zawody,

I zginąć musisz — zginąć koniecznie!
Mam jedną radę dla cię — szaleńcze!
Sam na się zważaj podczas swej jazdy,
Nie patrz w błyszczące ócz Halki gwiazdy;
Inaczej pewnie zginiesz młodzieńcze!
Ona ma oczy zaklęte —
Wszystkim, co próbę wykonać chcieli,
To przeświadczenie nie było znane,
I patrząc na nią marnie ginęli!
Lecz ty jedź śmiało — konia wędzidła
Trzymaj i patrz w nie — a ujdziesz zguby,
Lecz nie roztaczaj nadziei skrzydła,
Zanim u celu staniesz twej próby!
W tem szczęście twoje!“ Słuchał młodzieniec,
I rozjaśniało bardziej mu lice,
Szczęścia na twarzy wykwił rumieniec,
I ogniem życia tlały źrenice.
„Dzięki ci starcze!“ zawołał potem
I prędko wybiegł z chatki, promienny. —
Ponuro jęczał wicher jesienny,
I drzew konary wstrząsał z łoskotem!

VI.

Ranek był piękny. Złociste słońce
Wstało i blask swój po ziemi kładło,
Promienie biegły w dal jako gońce,
I odbijało je wód zwierciadło.
Mgła odsłoniła zamkowe mury,
I wytrysnęły wieże jak maszty —
Już widne bramy, mosty i baszty,
Całego grodu ciemne kontury.
W zamku ruch wielki; rycerzy mnogo,
I ciekawego z okolic ludu,
A każdy patrzy z zgrozą i trwogą,
Jak Zbigniew próby dokona cudu.
A on tuż stoi w rycerzy kole,
I patrzy dumnie w to zbiegowisko:
Wszak on ze siebie da widowisko,
A najgłówniejszą gra dzisiaj rolę.
Zagrzmiały trąby jakoś ponuro —
Wszystkich się naraz zwróciły głowy:

Graf wyszedł z swoją nadobną córą,
I na dziedziniec daży zamkowy.
W oku ma iskry i błyskawice,
Widać, że pewny siebie i dumny,
Ale Haliny tak blade lice,
Jak gdyby kłaść ją miano do trumny.
Spojrzy się Zbigniew — zadrży mu serce,
I konia swego spał ostrogami,
Wzniecił się zapal, co tlał w iskierce,
Wzmocniony wiarą i nadziejami.
Wyskoczył na mur. Wszystkich się oczy
Kierują za nim — każdy ciekawie
Na najwznioślejsze miejsce się tłoczy,
I każdy oddech tamuje prawie.
A młodzian ledwie cugli się dotknął,
Koniem uważnie, powoli toczył,
Aby z wytkniętej drogi nie zboczył,
By nie usunął się — i nie potknął!
I dzielną dłońią wzięty wierzchowiec
Szedł po tym murze, co był przedziałem
Między przepaścią, w której grobowiec,
I między Halką, tym ideałem.
Zbigniew Haliny słyszał westchnienia,
Lecz ani razu nie spojrzał na nią,
Pomny na rady i napomnienia,
I jechał, jechał tak nad otchłania.
Dwa razy mur już objechał w koło
Szczęśliwie — teraz zaczyna trzeci:
Już mu blask szczęścia ozdabia czoło,
A za Haliną myśl serca leci!
Już jest przy bramie — już koniec dzieła...
Ot, teraz tylko z konia zeskoczy...
Halka z radości wielkiej krzyknęła,
A Zbigniew na nią podniósł swe oczy!
Podniósł nieszczęsny, spojrzał przedwcześnie;
Choć chciał ofiarą przeznaczeń nie paść...
Trącił o bramę — jęknął boleśnie,
I razem z koniem stoczył się w przepaść!
A na dziedzińcu jęk słychać drugi,
Co się wydobył z piersi dziewicy...
Padła na ziemię — daremnie sługi,
Daremnie trzeźwią ją domownicy.

Oj, już nie wstanie biedna Halina,
Serce jej pękło z wielkiej bolesti!
Niechaj więc leży ten trup niewieści,
Jako zawistnych losów danina!

Ach! jeżeli życie ludzkie tak marnie,
Że je wzburzenie każde zabije,
Gdy w niem przewagą godziny czarne,
To po cóż człowiek na świecie żyje?
I cóż naprawdę życie to warte,
Gdy gmach przyszłości cały — mój Boże!
Człek w jednej chwili stawia na kartę,
I w jednej chwili stracić go może?!
I choćby myśli były tak szczytne,
Jak Twoje słońce tam na niebiosach,
Jak Twoje niebo jasne, błękitne,
Któż potem wspomni o naszych losach?
Wszak się nie wszystko pieśnią uwieczni,
A dziś i pieśni miewają końce,
Pieśni o wielkiej, boskiej miłości!
Wkrótce ze sobą będziemy sprzeczni,
Wszak i Tve kiedyś zagaśnie słońce,
I nic nie będzie... nawet nicości!

* * *

VII.

Nazajutrz głos już nie brzmi trębaczy,
I w zamku cicho, jak w zimnym grobie —
Stary graf życie odebrał sobie
Po stracie córki, z wielkiej rozpaczy!
I trwoga jakaś nad zamkiem siadła,
I domownicy wszyscy uciekli,
I w świat wieść smutną z sobą powlekli...
Mówią, że ziemia tam się zapadła
I pochłonęła wieże i mury —
Inni zaś w inne wierzą zjawisko,
Że piorun wypadł z brzemiennej chmury,
I całe wielkie spalił zamczysko!
Nie wiem w co wierzyć — ale najprędzej

Sam czas ów zamek w gruzy zamienił...
I na dziedzińcu chwast się zaplenił,
I zakrył miejsca moralnej nędzy.
Bo odkąd zabił się hrabia stary,
Z trwogą to miejsce mijał przechodzień,
Cisza zaległa, gdzie wrzały gwary,
I zamek niszczał, walił się codzień,
Aż legł w ruinie. A z zamkiem legły
Czarne wspomnienia grafa uczynku.
Dziś tu ni jednej nie znajdziesz cegły,
Ani kamienia z tego budynku.
Wieki minęły od tego czasu,
Wiatr rozwiał pamięć i zniszczył ślady —
Ludzie część gruzów wywieźli z lasu,
Część rzek rzuciły bystre kaskady.
Dziś tylko skały czarne widnieją,
Jak fundamenta zburzonej sławy —
Jak straż nad zbiegłych losów koleją,
I szeptów bujnej słuchają trawy.
Przebrzmiały echa strasznych tajemnic,
I skały drzemią na cmentarzysku,
Czasem się przedrze mrok ducha ciemnic
Iskrą w pasterskiem jakim ognisku.
Czasem się ockną ponure czoła,
Gdzie krzyż roztacza swoje ramiona —
I głos z pod ziemi tajemny woła,
I cała przeszłość wstaje znikniona!

VIII.

Chodźmy pod skały szarą godziną!
Tu na murawie miękkiej usiędziem,
I słuchać będziem, jak pieśni płyną.
Co skały mówią — tu słuchać będziem!
Może przeleci anioł przeszłości,
I swoje jasne skrzydła roztoczy,
I może powie nam o miłości,
Gdy zapłakane będziem mieć oczy!
Może niejednem czulem wspomnieniem
Otworzym drogę w serca przestworze,
Może się wspólnem złączym ramieniem,
I w końcu nawet westchniemy może!

Ach, chodźmy tutaj! Słońce się chyli,
Z serca nam wyrwie życia konieczność,
Więc chociaż umrzem, będziemy śnili,
I może całą prześnimy wieczność!

6. Października 1888.



T A M T A.

Szkic

przez

ANIEŁĘ KORNGUTÓWNĘ.

Ledwie wydostać ją mogłam z tłumu uliczników, który obstąpiwszy ją dręczył natrętnymi pytaniami. Poszłam z nią w boczną uliczkę, dokąd już pogonić nie śmieli, widząc, że nie na żarty myślę bronić przed nimi nieszczęśliwej.

Mała, drobna, z twarzą jak zasuszona śliwka, w peruce rudej od starości, w ubraniu biednym, lecz chędogiem, z powieką ruchliwą dreptała obok mnie, uśmiechając się tym niedołężnym grymasem około ust, który przypomina idjotów i upośledzone od natury małe dzieci.

— Co oni chcą? — mówiła do mnie, gdy już nie widziała tej ciżby ciekawych — jak mnie kaj spotkają, tak nie dadzą spokoju! Wszystkim trza odpowiedzieć; choćby temu pół słowa i drugiemu pół słowa, to już całe słowo. Ja ino chcę widzieć moją córkę! Ja się ich proszę, że nic więcej nie żą-

dam. Czy to matka nie może widzieć swego dziecka? Ale oni wszyscy na zdradzie mi stoją! Ja wiem, że moja córka posyła mi pieniądze: „niech moja biedna mamusia też co użyje,“ tak ona pisze. Ale zabrali te pieniądze, a mnie nawet listu nie pokazali. To ja do nich mówię że niechęć już nic, ino widzieć moją córkę, tak oni się ze mnie śmieją. Przecież matce serce boli! Czy się to dzieci zbiera garściami na ulicy?... Mówią, że ona polska*), no to niech będzie polska, ona moje dziecko, chociaż polska. Ja chcę ją wziąć do siebie, bo ja ją kocham. Jak ona bogata, no to dobrze, ja pieniędzy jej nie tknę; a jak ona biedna, to ja będę mniej jadła, a z nią się podzielę. Ale czemu te ludzie nie chcą mi powiedzieć, gdzie ona jest? Chyba, że się boją, abym się upomniała u nich o te pieniądze?

Umilkła na chwilę, z czego skorzystałam, by się jej spytać, czy nie ma jakich dzieci prócz tej córki.

— Mam starszą od niej córkę — odparła — na Kazimierzu służy za kucharkę, ale ja nie śmiem jej mówić o „tamtej“ mojej córce, bo ona zaraz płacze. Ona jest zazdrosna na „tamtą.“ Może ona myśli, że „tamta“ jest polska, to nie chce, żebym się z „tamtą“ pogodziła. Jabym przecie u „tamtej“ trefnego nic nie jadła. Gotowałamby się osobno i tylko była z nią razem. Zresztą, jak ona nie chce, to nie! Ale chociaż raz chcę popatrzeć na moją córkę, jak ona wygląda. No, to jak ja to mówię mojej starszej córce, to ona płacze i powiada: „przecież mama mnie ma, poco mama o „tamtej“ myśli.“ Ale za co ja nie mam o „tamtej“ myśleć, kiedy ona także moja córka. A może ona gdzie nie ma co jeść? Może ona bardzo głodna? No to za co, ja matka mam o niej tak zapomnieć? Ja zarobić potrafię. Na pierwszego mam zawsze za mieszkanie zapłacić; pojeść też się mam co i ubrać mam też. Bo, widzi pani, ja chodziłam do najlepszych domów naprawiać bieliznę i robić pończochy, lub je podrabiać. Ja do tego byłam z wszelkiem wyrozumiałością. Płacili mi

*) Przechrzczona.

po 40 centów dziennie i cały wikt. Wszystkie panie na cały Kraków i Podgórz mnie znają. Teraz już mi nie dają fajne roboty, ale zawsze dość se jeszcze zarobię. Od córki nie chcę, broń Boże! Jeszczeby myślała, że „tamtej“ posyłam.

Spytałam, czy dawno straciła tamtą córkę.

— Dawno... Oni mówią, że już będzie sześć lat, a może jest sześć lat. Chodziłam z nią do kliniki, bo się jej coś stało w nogach, ale potem wyzdrowiała, a mnie doktorzy nie chcieli mówić, gdzie ona jest. Takich młodych dwóch, oni mówili, że ją cyganie ukradli, no to ja poszłam do innych, to oni znowu mówili, że ją hrabia wykradł i dał do klasztoru, żeby była „polska.“ Ona wciąż do mnie listy pisywała i wciąż posyła pieniądze, żebym do niej przyjechała.

Zapytałam o te listy.

— Ja ich nie mam — odpowiedziała — ludzie mi wzięli te listy, w nich były pieniądze, a przecież to wiadoma rzecz, że dzisiaj każdy na pieniądze łakomy jest.

Zrozumiałam tedy, że z tej „idée fixe“ trudno wyprowadzić jej umysł; wracała doń uporczywie, chociaż po za tem dość zrozumiale opowiadała.

Spytałam, czy jest wdową, że o mężu nie wspomina.

— Miałam męża, a jakże! Ino, że my niedługo ze sobą żyli. Na co my się mieli kłócić? Wzięłam moje dzieci i powiedziałam mu, żeby on se poszedł w inną stronę, a ja pójdę w inną. On mnie nie lubił, bo ja taka mała i brzydka. Ano, czy ja to nie umiem sama pracować? Rozwiedliśmy się u rabina.

Umilkła na chwilę, poczem mówiła dalej:

— Bardzo panią przeproszę, że ja pani opowiadam o mojem strapieniu. Ale niech pani przed nikim nie mówi, o co ja panią będę prosić, żeby dla mnie odbierała listy od córki. Oni się ze mnie śmieją, że ja chcę widzieć moją córkę. Co w tem złego? Pani mi nie będzie z d r a d n ą, pani mi powie, gdzie ona jest?

Już się nie uśmiechała, jak niedołęzne dziecko; wpatrzyła się we mnie, jakby do głębi zbadać chciała myśli moje a widząc, że spoglądam na nią bez szyderstwa, do którego biedna tak była przyzwyczajoną, uśmiechnęła się znowu, schyliła do kolan dziękując i poprosiła, żebym poszła do jej mieszkania. Chciała mi pokazać, jakie na zamówienia robi pończochy.

Poszłam za nią.

Stancyjka jej, mieszcząca się w suterynach obok mieszkania stróża, była — aczkolwiek maleńka, niska i ciemna — jednak czysto wymieciona i wybielona; przy ścianie stało łóżko, białą, płócienną kapą przykryte; mosiężne na przypiecku lichtarze świeciły się jak złoto. Było widocznem, że nie cierpiała niedostatku i umiała pracować; przytem zdawała się dbać bardzo o porządek i schludność w mieszkaniu.

Przysunęła mi stołek i chociaż, jak zauważyć mogłam, był czysty, otarła go jeszcze fartuchem i dopiero wtedy siedzieć prosiła.

— Niech mi pani przysle bawełnę, to będzie pani z roboty zadowolona — mówiła, uśmiechając się do mnie i pokazując ukończone już pończochy. — Zrobię prędko i niedługo. Ale pani nie ma żadnego listu od mojej córki? — spytała znowu tajemniczo.

Musiałam jej przypomnieć, że dopiero przed chwilą prosiła mnie, żebym odebrała listy, gdyby nadeszły.

— Dobrze... dobrze już, ale niech pani nikomu o tem nie mówi — odparła z tą samą tajemniczą miną — ani mojej starszej córce, bo ona tu przyjdzie dzisiaj. Pani jej nie powie?

Musiałam jej to przyrzec i słuchać cierpliwie jej opowiadania, które było istną kołowacizną; czekałam przybycia starszej jej córki, spodziewając się, że wyjaśni mi, jak się ma rzecz właściwie z „tamtą?”

Przyszła, gdy się już dobrze zmierzchno i zdziwiona, że zastała gościa u matki, nieśmiało w kącie przy drzwiach usiadła.

Przywitanie matki z córką było dość oziębłe. Na twarzy biednej idjotki malowała się jakaś ukryta

bojaźń — w oczach córki świeciła dziwna, prawie mężka energia.

Krepa, o grubych rysach twarzy, z rękami, na których ślady ciężkiej pracy aż zanadto były widocznymi, mówiła głośno, energicznie, bez odcienia czułości.

Widziałam, że przyniosła w zawiniątku czystą bieliznę, sukienki i kaftaniki; widocznie sama opierała garderobę matki; spostrzegłam także, jak na półce niedaleko okna postawiła garnuszek masła i położyła dwie „chały“. Załatwiła się z tem tak zręcznie, że matka nie zauważyła tego.

Wydała mi się w tej chwili piękną i miłą. Nie rozpląwała się we łzach, nie całowała, ani szeptała czułych słówek, a przecież mimo szorstkich ruchów i nadto rubasznego głosu, umiała z wybredną delikatnością wspierać matkę, co było tem chwalebniejsze, że czyniąc to pokryjomu, nie mogła się spodziewać pochwały lub podziękii.

Nie zabawiła długo, zmuszona wrócić do swoich obowiązków.

Wyszłam z nią razem.

Zmierzyła mnie nieufnem spojrzeniem; ale wkrótce, śnać ulegając potrzebie serca, które gwałtownie pragnęło sobie ulżyć, bez wstępu mówić zaczęła:

— Żeby matka chociaż o połowę tak mnie kochała, jak „tamta“. Gniewa się, gdy jej mówić o „tamtej“ nie pozwalam. Ale mnie serce boli, gdy widzę, jak się z niej ludzie naśmiewają.

Nastąpiła pauza.

Spytałam ją, czy nie wie, gdzie siostra przebywa.

— Nie wiem. Czy to tym, co ich kracją w klinice, dają osobny grób? Nie wiem, gdzie leżą jej kości.

Więc umarła?... Na to nie byłam przygotowaną. Młoda dziewczyna opowiadała dalej:

— Umarła, temu dziesięć lat będzie. Śliczne to było dziecko. Doktorzy mówili, że z wilgotnego i zimnego mieszkania jej to przyszło, że jak coś w nogi wlało, tak ni sposób, żeby nawet sama sta-

nęła. Chodziła z nią matka na klinikę. Robili jej różne operacje; potem już jej do domu nie puścili. Gdy z matką raz tam poszła, jakiś starszy doktor mówił, że ostatnia operacja się nie udała. Miałam wtedy czternaście lat i służyłam za piastunkę u gospodarza domu, gdzie matka moja mieszkała w stancji na podwórzu, przerobionej z komórki. Co się mamie wtedy stało, nie wiem. Codzień chodziła na klinikę i prosiła, żeby jej córkę oddano. Musiała się chyba prawdy dowiedzieć i pewnie z tej wielkiej bóleści coś jej na mózg padło, że zwarjowała. Oddano ją do szpitala. Wyszła ztamtąd już sześć lat temu. Podobno leczył ją poczciwy doktor przy ulicy Wesołej. Ale co z tego, kiedy ludzie przypominają jej ciągle córkę zmarłą, stroją sobie żarty z jej bóleści i teraz ona chwyta wszystko, co kto powie o tej córce i potem ma głowę pełną o „tamtej“. Nawet moją panią, chociaż to osoba dobra i delikatna, jak matka przyjdzie do mnie, to ją też wypytuje o „tamtą“, bo to w całym Krakowie znają moją mamę z tego, że się jej wciąż po głowie o „tamtej“ córce roi. Pytałam doktora, czy matka zawsze tak będzie roiła o tamtej córce, a on mi poradził, żeby ją skrzyć, gdy o „tamtej“ mówić zacznie. Gdyby tak ludzie nie męczyli jej pytaniami o „tamtej“, możeby zapomniała. Ale czy to ludzie wiedzą nawet, co to prawdziwa litość?

I nie czekając odpowiedzi, kiwnęła mi tylko głową, przyspieszyła kroku i wkrótce była już daleko odemnie. Wśród zmroku coraz to większego ledwie dojrzeć jej mogłam, jak energicznym krokiem biegła przez ulice, by jak najspieszniej stanąć w swej kuchence, gotowa do usług.

Dowiedziałam się jeszcze, że służy już na tem miejscu jakieś cztery lata, jest rzetelną i pracowitą; z pieniędzy oszczędzonych ze strawnego wspiera matkę, a z zasługi bierze tylko tyle, aby sprawić sobie co najpotrzebniejsze. Oszczędza bowiem, by uskładać posag, wyjść za mąż i wziąć matkę do siebie.

S E R E N A D A.

Noc cudowna, księżycowa,
Niebo brylantami lśni, —
Ponad ziemię pieśń majowa
Na zefiru falach drży...
A w tej pieśni rozkosz raj,
Uroczysty harfy ton;
Takich dźwięków, wiosny, Maju
Nie wygłosi żaden dzwon.
To natury koncert żywy,
Życie samo w pieśni tchnie, —
Raz tak tęskny, rzewny, tkliwy,
To radością znowu drgnie.
Jak kaskada w serce płynie
Śpiew słowika, cudny śpiew,
A strumyczek tam w dolinie
Szemrze z cicha z pośród drzew.
W stawach żabie rozhowory,
Albo cichej skargi jęk, —
Pieśnią rozbrzmiewają chóry,
Jak akordów tęsknych dźwięk.
Owdzie ptaszę gdzieś zakwili,
Niosąc prośbę w górny szczyt, —
A wśród zboża dzwoni mile
Przepióreczka: pit-pi-lit !...
Derkacz, skrzypek znakomity,
W takt muzyce raz w raz tnie, —
I tak ziemia śle w błękity
Najwspanialsze pieśni swe.
Drzewa, jak zaczarowane,
Jak grobowy — cichy — dzwon,
Stoją niby zasłuchane
W serenady cudny ton; —
I oblane gwiazdek złotem,
Wznoszą czoła w wyżyn kraj,

Wiosny karmiąc się polotem,
Ziemski odczuwają raj.

Dusza, czarem upojona
I majową wonią drzew,
W pieśni życia zatopiona,
Śle wraz z ziemią w niebo śpiew:
Śpiew rozkoszy i radości,
Wszelkich uczuć wdzięczny chór, —
Śpiew nadziei i miłości,
Co przenika fale chmur; —
A utkwivszy na błękitach
I na gwiazdach mlecznych dróg,
Głosi ziemi Boże życie,
Głosi, że jest Stwórca, Bóg!...

Rymanów, 24. Maja 1893.

Olga Lissówna.



Zbójce w Węgrzech,

(opowiadanie urzędnika kolei żelaznej.)

Budowaliśmy kolej w stolicy Samogy w Wiszwar nad Drawą w pobliżu lasu Berzence, gdzie wówczas przebywali zbójce, którym przywoził niejaki Juhas i Drużyn, przydoń onegoż.

Juhas z Wiszwaru, znany powszechnie chłop tak dorodny, że wszystkie dziewczki przepadały za nim i śpiewały o nim pieśni zalotne. Jak poszedł

na rozbój, napadami zuchwałemi zatrwożył okolicę całą, więc też i nas kolejarzy pracujących w lesie Berzenickim, kędy miał pielesz swoją.

Dyrekcja kolei dostarczyła nam rewolwerów, a nawet robotników wielu pracowało z rewolwerami przewieszonemi, bo ciągle było słychać, że napadają w pobliżu.

Przy robotach w Wiszowarze, karczmę i knajpę utrzymywał żyd Weiss. Tam jadalśmy i my urzędnicy, ale zawsze po 6 — 8 wraz odchodziliśmy doma.

Był tam inżynier rządowy Parcer, Tyrolczyk, który z rewolweru strzelał wróble w lot; był Grabner, budowniczy mostów, Styryjczyk z Gracu; Korwinus, komisarz wywłaszczający; Neuburg, inżynier-assystent i inni.

Wieczora pewnego wymienieni czterej z robotnikami wraz udali się do karczmy jak zwykle i zasiedli w drugiej izbie, podczas gdy w pierwszej było robotników jakie dwadzieścia.

Wtem otwierają się drzwi na oścież, wchodzi Juhas z dubeltówką o odwiedzionych kurkach.

— Isten adiom!... behtar wadiok! (Pochwalon Bóg! jestem zbójcą!) jestem Juhas! proszę siedzieć cicho, ani drgnąć!

Dubeltówką złożył się i przesunął jej otwory przed oczyma wszystkich i wskazał na okno, gdzie też z dubeltówką w pogotowiu stał Drużyn.

Obok Juhasa stała zatrwożona Weissowa, którą wziął na tłumacza a może też i zakładnika.

— A diom az penge!... (daj pieniądze!) — rzekł do pierwszego z kraju, wziął pieniądze podane, przeliczył i schował.

Podczas tego Grabner 50 guldenów nieznacznie wy dostał z kieszeni i przysiadł. Poczem zawezwany oddał pulares.

Na to wchodzi Drużyn, szepce coś do ucha Juhasowi i oddala się. Juhas zaś rozgniewany woła:

— Kutia nemet! (psie Niemcze!) taki owaki! oby ciebie i matkę twoją i duszę twoją psy lizały!... ty łotrze niegodziwy, ty złodzieju! chciałeś

mnie oszukać? Wstawaj! daj pieniądze, a za karę dawaj też zegarek i pierścionki!

Ograbił Grabnera! —

Z kolei przyszedł do Parczera, który mu podał pulares.

— Ty gałganie! nie wstydzisz ty się, mieć tylko 6 guldenów? dawaj zegarek! —

Tak obrał wszystkich po kolei.

Na to przychodzi ksiądz miejscowy samowtór z ispanem czyli wójtem.

— A tysztelendy az urnok!... (o! wielebny nasz pan!)... Żydówko! dawaj wina! A ty ispanie dawaj pieniądze!

Wójt skrzywił się, ale wyjął wacek z pieniędzmi i oddał.

Juhas głęboko skłonił się księdzu, przypijając doń wina przyniesionego, poczem przypił do wójta i do urzędników kolejowych, nie pomijając żadnego.

Ksiądz usiadł przy Parczrze, któren nabrawszy ducha, prosił go o wstawienie się do zbójcy, żeby mu zwrócił zegarek, na którego kopercie jest miniatura matki jego ukochanej.

— Co on mówi? — zapytał Juhas.

Ksiądz opowiedział, o co prosi.

Zbójca uniósł się wspaniałomyślnością:

— Na masz! daruję ci zegarek!

Wtem znowu wchodzi Drużyn, szepce coś do ucha, przystępuje do Parczera i wyrywa mu zegarek z rąk.

Juhas palnął go pięścią po rękę i odtrącił mówiąc:

— Jako ty śmiesz brać to, com ja mu darował?

Za wino zapłacił 11 guldenów, bo z polecenia jego Drużyn w pierwszej izbie uraczył też robotników wszystkich. Poczem kazał zaprządz konie Weissa, a gdy wychodził wsiadać, wszyscy odprawdzili ich do drzwi.

Pojechali! było ich czterech.

Tyroleczyk żałował, że zapomniał rewolwera, boby ich był wystrzelał, jeżeli nie w izbie, to na wózku.

Później nieco, przedsiębiorca F... z Gracu, siedzi sobie w swej kopalni żwiru; przychodzi Juhas, przedstawia mu się i mówi:

— Mam długi u robotników pana, żądam żebyś mi pan zapłacił a od nich sobie potrącał. Jestem przy każdej wypłacie obecnym, możesz sobie potrącać. Jeżeli zaś nie wypłacisz mi, będę ciągle robotom przeszkadzał.

Dawał on pieniądze na lichwę i ztąd te długi, zresztą nie wielkie, bo 25 do 35 guldenów na jedną wypłatę. Rad nie rad przystał przedsiębiorca i bywało: w jednej izbie stoją na straży pandury i strzelce a w drugiej leżą sobie Juhas z Drużynem. Było tak przez kilka tygodni: aż złupiono pocztę.

Pocztylion przystał do nich: konie zabili, zabrali 10.000 guldenów.

Wtedy z Pięciokościołów (Fünfkirchen) przybyło dwie chorągwie strzelców na Rauberkomando, przy każdej robocie był patrol i straż bezustanna.

W lesie zaś pod Berzeńcami oblawa walkę stoczyła z zbójcy: padł jeden strażnik skarbowy, złowili zbójcę jednego, pocztyljona ranili, lecz zbójce umknęli.

Pocztyljon uciekając chromał. Drużyna mówiąc: Jużes nie potrzebny! — palnął doń dwa razy. Drgającego jeszcze zawlókł w krzaki, przysuł liśćmi, przydeptał żyjącego jeszcze. Imany zbójca był to student gimnazjalny z Berzenic: codzień brał kije, gadał co wiedział na szlachtę i księży, co zbójnikom dawali jeść i przytułek... z bojaźni.

Strażnikowi zabitemu w Berzeńcach postawiono pomnik z napisem: Obwohl nicht am Schlachtfeld, fiel er doch in Erfüllung von Pflicht, Ehre und Vaterlandsliebe. (Chociaż nie na pobojowisku, padł pełniąc obowiązek sławy i miłości Ojczyzny.)

Juhasa i Drużynę zaskoczono w karczmie stepowej czyli czardzie, oknem strzelano do nich, lecz uciekli.

Drużynę umarłego znaleziono nazajutrz. Juhasa tułającego się, siekierą zabiła żona karczmarza przyjaciela, gdy przyszedł do ich czardy.

Szczesny Morawski.



BIBLIOGRAFIA.

a) Gazety i czasopisma*).

[Gazeta Polska czerniowiecka. Dokończenie roku 1893 i początek roku 1894.]

Znane to pismo kresowe wychodzi już dwunasty rok, odpowiadając godnie zadaniu swemu budzenia życia na kresach. Jeśli się rzecz nie zawsze udała, nie możemy przeto winować kierownika i wydawcy pisma, znanego z szczerego patriotyzmu polskiego, ale mającego na każdym kroku do czynienia z niechęcią nieprzychylnych żywiołów. Szerza ocena byłaby na razie zbędną. Musimy jednak z naciskiem uwydatnić szczegóły, że wydawca i redaktor główny, pisząc prawie wszystkie wstępne artykuły dla pisma, będąc członkiem tyłu towarzystw polskich na Bukowinie, jednym słowem, biorąc pełny udział w życiu publicznym, jeszcze ma na tyle wolnego czasu, aby się starać o wybór prac odpowiednich w fejtynie pisma, zapełnionego takimi

*) Z braku miejsca widzę się zmuszonym, rubrykę tę w obecnym roczniku do możliwie najdrobniejszych rozmiarów uszczuplić. (*Przyp. aut.*)

imionami i pracami jak Walentego Ówika (biografia Aleksandra Morgenbessera), Anieli Korngutównej i innych. Może nie każdemu spodoba się to pismo; my zaś z naszego stanowiska uważamy je za pożyteczne i potrzebne dla Bukowiny.

[Djabeł, dwutygodnik humorystyczny krakowski, wychodzący pod redakcją Emila Borkowskiego. Rocznik 26.]

Ludzie, co mi niby radzi:

„Że me pióro djabłu kadzi“ —

Rzekli, pełni oburzenia.

Ach! chowajcie wasze różki!

Milszy mi „djabeł“ niż „bożki“

Obludy i ogłupienia.

Przy tej sposobności niech mi wolno będzie zauważać, że „Djabeł“ nie kieruje się przestarzałą zasadą, iż w piśmie znaczniejszem figurować winne tylko wielkie imiona; umieszcza bowiem także prace maluczkich. Ciekawe niezmiernie było dla mnie odkrycie, że Paquet (Władysław Łonicki z Jasła) także należy do współpracowników. Młodego tego człowieka ja pierwszy wprowadziłem w świat literacki (1880) i wiem, że się latami szyderstw i prześladowań pozbyć nie mogłem za jakiś tam nieudały poemat jego. A jednak nie omyliłem się, jeśli już wtedy w nim poznałem pewne zdolności pisarskie; bo bez tych nie mógłby przecież zostać współpracownikiem pism większych. Trzeba było mu się tylko wyrobić; Łonicki wyrobił się i pozbył się szczęśliwie przywar poetyckich wszystkich autorów początkujących.

[Przedświt, dwutygodnik dla kobiet pod redakcją Janiny Sedlaczkównej. 1893, 1894.]

Wydawnictwo to, założone przeszłego roku przez szanowną autorkę, rozwija się, o ile nam się zdaje, pomyślnie; ma więc — jeśli umiejętnie zredagowane — przyszłość przed sobą i życzymy mu jej z całego serca, a choćby i z tego powodu, że służy sprawie uczciwej podniesienia oświaty wśród kobiet. Redaktorka nie potrafiłaby jednak, bodaj sama przed sobą, zapierać się tego, że wydawnictwo bardzo młode: mimowoli wpada się więc w błędy, wła-

ściwe wszystkim młodym wydawnictwom, szczególnie w samych początkach, w błędy, od których i moje nie było wolne.

Redaktorka podjęła się bardzo ważnej, doniosłej i uznania godnej sprawy: podniesienia poziomu umysłowego w kraju, i z pewnością na tem polu może i powinna liczyć na wsparcie wszystkich, którym dobro ogółu leży na sercu. Ale powiem otwarcie: w tak ważnych sprawach zapal sam nie wystarczy. Trzeba bardzo wiele obrachowania i wyrachowania zimnego. Waleczny żołnierz, który w bitwę pędzi bez planu, życiem nałoży i przegra ją; obrachowany kunktator wygrywa sprawę.

Wszelki szacunek dla spraw, w których redaktorka jako fachowa osoba występuje z myślą własną i dokładnie i należycie ją rozwija. Zorjan jako nowelista, Barański jako obserwator dojrzały i zimny, Duchńska jako poetka i wielu jeszcze innych nie czyni ujmy wydawnictwu. Ale żeby takiemu Moczydłowskiemu nadano prawo, być współpracownikiem jakiegobądź pisma, przeciwko temu literatura i prawda dziejowa zarówno głośny protest wnoszą; artykuł: „Brońmy się!“ niepozbawiony niektórych rzeczywistych prawd, mieści jednak obok nich także rozmaite braki logiczne i nie może korzystnie oddziaływać. Zwracamy na to uwagę redaktorki, zresztą zgadzając się na jej program.

Od siebie zaś dodaję, że wydawnictwo to znacznie rozszerzone, obecnie już także osobny dodatek dla dzieci i dodatek mój zawiera i stosunkowo do swej objętości dosyć jest tanie.

[Gazeta Gdańska, pismo wychodzące 3 razy na tydzień drukiem i nakładem Bernarda Milskiego w Gdańsku. III. i IV. Rocznik. 1893, 1894.]

„Uczmy dzieci czytać po polsku“ — hasło to dużemi literami świeci w każdym numerze u dołu, w nagłówku pisma zaś widzimy dwa inne hasła umieszczone, a mianowicie: „Prawdą a Bogiem“ i „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Te 3 hasła w połączeniu tłumaczą nam dostatecznie cel i zadanie pisma, przez nas omówionego.

Przeznaczone ono w pierwszym rządzie dla mieszczan i włościan wielkopolskich, bezwarunkowo nabożnych katolików, do czego się też odnosi hasło: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“, jakoteż dodatek niedzielny ilustrowany: „Gwiazdka“ wraz z ustępami z nowego zakonu i opowiadaniem z przeszłości Polski. Hasło: „Prawdą a Bogiem“ częściowo polityczną zawiera treść, co się jeszcze bardziej wydatnia w trzecim haśle: „Uczmy dzieci czytać po polsku“ a więc: nie dajmy ich wynarodowić niemieckim wpływom.

„Gazeta Gdańska“ działa poniekąd imieniem tych samych zasad, które przenikają z wszystkich artykułów „Gazety Polskiej Czerniowieckiej“, z tą jednak różnicą, że „Gazecie Gdańskiej“, zaopatrzonej w większe zasoby pieniężne do walki politycznej, łatwiejsze zadanie przypadło w udziale. „Gazeta Polska Czerniowiecka“, sama jedna i odosobniona stoi na kresach, musiała dopiero stworzyć i skupiać w około siebie tę Polonję, która rozprószona pomiędzy przeważającą liczbą żywołami wrogami, znachodzi się na Bukowinie; „Gazeta Gdańska“ nie potrzebowała żywołu polskiego pobudzić do życia albo stworzyć w Wielkopolsce, bo tam żył i był od wieków. Potrzebowała tylko walkę toczyć imieniem zagrożonych interesów polskich przeciwko Niemcom, czy to na drodze politycznej, szkolnej, językowej, czy jakiejbądź, i czyni to też ze skutkiem „usque ad finem“.

Z treści zaś pisma (choć ono nie przeznaczone dla najwyższej inteligencji) miarkujemy przecie, że mieszczanin, rzemieślnik, rolnik wielkopolski umysłowo więcej rozwinięty od naszego: pisma o treści „Gazety Gdańskiej“ naszemu chłopstwu byłyby wprost niedostępne. O politycznej i społecznej samowiedzy mieszczan wielkopolskich świadczy i ten szczegół, że należą do rozmaitych stowarzyszeń polskich, odbywają regularnie posiedzenia i t. d.

„Gazeta gdańska“ obok politycznej treści zawiera także fejleton dość bogaty, na który składają się pióra Michała Bałuckiego, Janiny Sedlaczkowej, Juliana B. i innych. Niedawno jedna z galicyjskich autorek, które nasze wydawnictwo sambor-

skie w świat wprowadziło, panna Aniela Korngutówna z Podgórza krakowskiego dostała się do Gdańska i ma współudział w redakcji.

Zarzuć jako główną wadę musimy jednak pismu liche druk, liche papier, liche wykonanie ilustracyj, korektę wadliwą; to wszystko mogło i powinno być lepiej i staranniej wykonane pod względem typograficznym, zwłaszcza, że „Gazeta Gdańska“ jest pismem ludowym; powinna się więc trzymać zasady zdrowej, choć przez Niemców głoszonej: „Dla ludu tylko to, co najlepsze, dostatecznie jest dobrem.“

[Mały Świątek, wraz z dodatkiem swoim: Świąteczkiem, pismo 3 razy na miesiąc wychodzące we Lwowie pod wspólną redakcją Anny Lewickiej i Stefanii Kossowskiej. 1893, 1894.]

Oba pisma przeznaczone dla dzieci, zwały się z. r. w jedno i wychodzą pod wspólną redakcją: „Mały Świątek“ w dotychczasowym zakresie działania, i to pismo wychodzi też pod wspólną redakcją obydwóch pań, których imiona i nazwiska powyżej podałem; „Świąteczko“ jako dodatek do „Małego Świątka“ w uszczuplonych na połowę wychodzi teraz rozmiarach w formacie książkowym i pozostaje pod wyłączną redakcją Stefanii Kossowskiej, zmieniło też o tyle tendencję, że przeznaczone wyłącznie dla najdrobniejszej dziatwy.

Pisma te rozwijają się prawidłowo i mają wzięcie w najszerszych kołach, co nas bardzo cieszy, gdyż sumiennie i wzorowo są redagowane i prawie zupełnie odpowiadają swemu celowi.

Roczniki „Małego Świątka“ (VI. i VII. za 1893 i 1894 wykazują między współpracownikami, zajmującymi się działem powieściowym imiona, jak: Bolesławicza („Obrazki z powstania 1863 roku“), Teresy Jadwigi („Powrót do gniazda“), Zofii Fabiańskiej („Dzielny poseł“), dział poetyczny obok wierszów Andy, Rossowskiego i innych, najbogaciej reprezentowany przez wiersze Stefanii Kossowskiej, wypełniającej równocześnie swojemi pracami wierszem i prozą prawie wyłącznie wszystkie próżne miejsca w „Świąteczku“, dział przyrodniczy omawia Lewicka,

a liczne, bardzo dobrze wykonane ilustracje, jakoteż dobry druk i papier przyczyniają się niepospolicie do uzupełnienia bardzo miłej dla oka powierzchowności pisma, które wkrótce jako kolega zawodowy i wystawowy powitam — daj Boże na powszechnej wystawie krajowej we Lwowie. A zatem do zobaczenia!

[Satyr, dwutygodniowe pismo humorystyczne, wychodzące pod redakcją Józefa Jarosza Rychtera w Krakowie. III. Rocznik, 1894.]

Aby być bezstronnym — co mam pisać o tem piśmie? Zganię je, to mnie zwolennicy „Satyra“ ukamionują; zdobędę się znowu na pochwały, to ten lub ów gotów powiedzieć, że pochwały nie ze wszystkiem uzasadnione. Powiem tedy otwarcie, że dział ilustracyjny znaczny postęp wykazuje; co zaś do działu literackiego, to Szanownemu Redaktorowi ocena tak podrzędnego sprawozdawcy, jakim ja jestem, obojętną być powinna, kiedy w artykule, zatytułowanym: „Pogadanka o „Satyrze“ z powodu trzeciego roku jego istnienia“ — sam uznał, że to pismo doskonałe.

b) Książki pamiątkowe i roczniki.

[Die Dioskuren. Rocznik literacki Towarzystwa urzędników monarchii austro-węgierskiej. Wielka ósemka. XXIII. Rocznik. Stronic 475. Wiedeń, 1894. Nakładem Towarzystwa. Czcionkami cesarskiej drukarni we Wiedniu. Cena 2½ zlr., w oprawie 3 zlr.]

„Dioskuren“ w długim czasie istnienia swego — bo wkrótce przyjdzie rocznikowi temu, święcić ćwierćwiekowy jubileusz istnienia — stały się ulubieńcem niemieckiej publiczności. Ponadto ma wydawnictwo, przez nas omówione, jeszcze i tę zaletę, że obok oryginalnych prac, umieszcza także liczne przekłady prozą i wierszem z obcych, szczególniejsz słowiańskich języków.

Według metody dotychczas zachowanej, omówimy jednak przedewszystkiem oryginalne prace

prozaiczne, nie omijając przy tej sposobności działu powieściowego.

Tu ściąga przedewszystkiem uwagę na siebie Jelli Zednik powieść: „Między dwoma“ — nie dla gwałtownych efektów sensacyjnych, ale dla delikatnego cieniowania charakteru kobiecego głównej bohaterki, która stojąc wpośrodku między zimnym na pozór i nieczułym narzeczonym a namiętym kochankiem — idzie za głosem obowiązku, odtrącając od siebie kochanka młodego i urodziwego i podając dłoń starszemu o wiele, ale szczerzej kochającemu ją narzeczonemu.

Nowelka Mary Cop-Marlet: „Sirocco“ przedstawia w słowach barwnych cierpienia i śmierć młodej anemicznej kobiety, księżny Herberstadt, niezrozumianej przez kochanka, wesołego pułkownika, który — uganiając się całe życie lekkomyślnie za wdziękami kobiecemi — coś nakształt skruchy dopiero ułoża zmarłej uczuwa.

Podczas gdy pierwsza, omówiona powyżej powieść, w kołach mieszczańskich się rozgrywa a druga w sferach arystokratycznych, to trzecia w zupełnie innych warunkach streszczona, przedstawia nam życie i sposób myślenia włościan niemieckich, mieszkańców Alp. Jest to Dra Leopolda Florjana Meissnera: „Nienawiść i miłość chłopska.“ Głównymi działaczami są tu zakochany w Fefi, córce gospodarza Alpwijsera, malarz Leonard Mathis, suchotnik dogorywający i tegoż stryj, stary, mściwy żebrak, zrujnowany przed laty przez brata i doprowadzony do ostatniej nędzy. Mściwy do ostateczności poprzysiągł zemstę nawet niewinnemu pokoleniu brata; ale rozbrojony śmiercią i zapisem bratańca, na jego korzyść zdziałanym, zaniecha grzesznych myśli, podczas gdy Fefi, mimo miłosnych uczuć, żywionych ongiś dla malarza, jako osoba praktyczna, nie bawiąc się w bezpotrzebne westchnienia i romanse, rękę swą oddaje parobkowi Stefanowi.

Doskonałe w swoim rodzaju jest małe studjum pedagogiczne, nakreślone przez Augustę Groner a zatytułowane: „Wpisy szkolne.“ Rozmaite przesady,

przywary, nagany godne, ale czasem i piękne przy-
mioty rodziców, wiernie odzwierciedlone w świecie
dziecięcym — jakież to bogate pole dla najrozma-
itszych spostrzeżeń. Tu taka parweniuszka, taka
Pomeisl z czeredą dzieci w oczach matki doskonałych,
a w gruncie rzeczy tępych, leniwych, niepojętnych;
tam znowu taka krawcowa Kohlreiter, chcąca od-
grywać rolę wielkiej pani, żony „tailleura“ zamiast
o wiele prostszego i pospolitszego krawca, albo taki
Czech Spacil, widzący w swojej Babince szczyt inte-
ligencji i zdolności, a tuż obok znowu potulna pani
Reisingerowa, żona czeladnika szewskiego z nieślu-
bnem dzieckiem swoim — to wszystko typy z ży-
cia wzięte!

Ciekawe a dotąd nieznanne szczegóły z życia
poety Teodora Körnera podaje artykuł Dra Adolfa
Kohuta, zatytułowany: „Teodor Körner w Wiedniu.“
Uwagi godny jest także znanego podróżnika po
Wschodzie i powieściopisarza Karola de Vincenti
artykuł: „Damaszek.“ Autor na podstawie własnych
doświadczeń i spostrzeżeń opisuje w rzeczonym ar-
tykule stolicę handlu syryjskiego Damaszek pod
względem historycznym, etnograficznym i obyczajow-
wym. Niektóre z przysłówiów arabskich, przytoczo-
nych przez autora, mają coś komiczno-naiwnego, np.
przysłowie handlarza sałatą: „Sałata wiednieje, Bóg
wiecznie istnieje.“ Czyż to przysłowie nie przypo-
mina nam żywcem naszego: „Sen mara, Bóg wiara?“
Obok światła nie brak jednak i cieni, obok wesółych
nie brak i smutnych stron, np. ucisk urzędowy i
lichwa, grasujące wśród chłopów syryjskich a niepo-
zbawiające ich przecież cnót ojczystych gościnności
i szczerości.

Są to główne prace prozą, umieszczone w tym
tomie, gdyż Krausa „Tłumaczenia z czeskiego“ jako
prozaiczne przekłady motywów powieściowych tutaj
nie należą.

Z dramatycznej poezji wymieniamy jeszcze baśń
udramatyzowaną Herzoga: „Majestat pozorny“, trzy-
aktówkę, z której jednak tu tylko drugi akt podano.

Poezj jak zawsze jest moc w roczniku, wię-
cej może niż w innych dziełach podobnego rodzaju,

choć niejedną z nich na śmiało można było do kosza wrzucić. Tłumaczenia poetyczne bardzo udatne z angielskiego, czeskiego, francuzkiego, islandzkiego, polskiego, węgierskiego i włoskiego podali Cajetan Cerri, Alfred Friedmann, Adolf Handmann, Franciszek Gernerth, Ludwika Breisky i Dr. Albert Weiss.

Z oryginalnych poezyj zasługuje na bardzo zaszczytną wzmiankę Rauschera białym wierszem opowiedziana długa „opowieść właściciela huty,” mieszcząca w sobie głęboką naukę dla miernych talentów, porywających się naprzód i chcących przyćmiewać wszystko dokoła, jak malarz-dyletant Rudolf, który idąc za poradą przyjaciela malarza-artysty Henryka dom rodzicielski opuszcza, aby się we Włoszech sztuce oddać a tymczasem właściwy cel życia na długi szereg lat z oczu traci.

Z drobnych wierszów polecenia godne tak co do formy, jak i co do treści są ogniste wiersze Jana Grasbergera, zatytułowane: „Poetyczne urywki ze Wschodu,” zbiór sonetów, mogących na śmiało wytrzymać porównanie z Mickiewicza sonetami krymskimi, oraz rytmy i dźwięki Dra Ludwika Frankla, S. Waldburga, Jana Falke, Alfreda Friedmanna i Gustawa Kaczkowskiego z Jasła („Nadzieja znikła“ — „Die Hoffnung schwand.“)

Karola Skali wiersze nie złe by były, gdyby nie to, że autor w obec krytyki poetom prawo zastrzega, nie zważać ani na formę, ani na rym i rytm, przeciwko czemu znowu prawdziwa poezja protest podnosi.

[Nowy Sącz, jego dzieje i pamiątki dziejowe. Szkic historyczny na pamiątkę 600-letniej rocznicy założenia tegoż miasta napisał na podstawie źródeł ks. Jan Sygański T. J. Dzieło zaopatrzone 10 ilustracjami a wydane nakładem gminy miasta Nowego Sącza. Nowy Sącz, 1892. Drukiem J. K. Jakubowskiego. Mała ósemka. Stronic 86. Cena 1 złr.]

Do monografij rozmaitych miast galicyjskich przybywa w tem dziele wspaniały pod każdym względem przyczynek tak co do zewnętrznej, jak i wewnętrznej strony dzieła. Uczony autor korzystał

z rozmaitych źródeł, przytoczonych przezeń wszędzie; gdzie zdania sprzeczne, tam i o tem nie zamilczał, tak dalece, że pracę jego nietylko jako na uczczenie chwili przemijającej wydaną rzecz, ale jako prawdziwe wzbogacenie naszej literatury historycznej uważać należy.

Od takzwanych mitologicznych czasów, od ery nowego chrześcijaństwa w Sądeczyźnie przechodzi autor stopniowo do czasów, bliższych historii; opisuje nam żywot św. Kingi i napady Tatarów; potem założenie Nowego Sącza pod rządami Waclawa, króla czeskiego a przeciwnika Władysława Łokietka.

Jak nieraz z osad nieznacznych większe powstają miasta, tak i tutaj: za przywilejem Waclawa założyli na miejscu wsi Kamienicy wójtowie Bertold i Arnold miasto Nowy Sącz. Założyciele miasta byli Niemcami, i długo żywioł niemiecki przeważał w mieście i okolicy. Ale z biegiem czasu pokolenie pierwotnie niemieckie zaczyna się polszczyć.

Kiedy Krakowianie pod wodzą wójta Alberta buntować się poczęli przeciwko Łokietce, wtedyto Nowosądeczanie nie tak z poczucia obowiązku, jak raczej, aby poskromić przemożnych rywalów handlowych Krakowian, stali po stronie króla, który ich znacznemi wyszczególnił przywilejami. Skutkiem tego podnosi się Nowy Sącz. Dobrobyt miasta trwał blisko dwa wieki aż do czasów Zygmunta Starego, poczem miasto nawiedzone rozmaitemi klęskami, szczególnie ogniwami, upadać poczyną. W r. 1611 znaczniejszy od poprzedzających pożar obraca miasto w perzynę. Później jeszcze wojny ze Szwedami, oraz prześladowanie i tępienie Arjan, tej niezmiernie pracowitej, inteligentnej i ruchliwej części ludności sądeckiej, tępienie nie imieniem miłości bliźnich, ale najobrzydliwszego fanatyzmu dokonane, przyczynia się znacznie do upadku miasta, o którym przez dłuższy czas ważniejszych nie ma wieści, aż znowu w r. 1769, kiedyto Nowy Sącz przytułek daje członkom konfederacji barskiej Puławskiemu i Lubomirskiemu. Z wcieleniem Galicji do monarchii austriackiej rola

polityczno-histeryczna Nowego Sącza jako miasta uprzywilejowanego ustaje całkowicie.

Końcowe rozdziały swojej pracy poświęca autor opisowi zamku królewskiego, ratusza i rozmaitych kościołów i klasztorów Nowosądeckich. Że dzieło to, przez księdza a zwłaszcza ks. Jezuitę napisane, swoje pochodzenie treścią nieraz przesadnie klerykalną zdradza — nie dziwimy się temu; bądźco bądź ma ono tę zaletę, że język czysty a szczegóły historyczne, o ile można, wiernie podane.

Papier i druk wzorowo piękne, oraz ilustracje artystycznie wykonane, przyczyniają się niepospolicie do upiększenia tej ciekawej publikacji.

[Święta Kinga, jej klasztor i miasto Sącz Stary. Szkic historyczno-monograficzny, na pamiątkę uroczystości 600letniej rocznicy śmierci Św. Kingi, skreślony przez Stanisława Rosoła. Wydanie drugie. Nowy Sącz, 1892. Drukiem i nakładem J. K. Jakubowskiego. Mała ósemka. Stronic numerowanych 38. Cena 20 ct. a. w.]

Mieszkaniec Starego Sącza a kierownik szkoły tamtejszej, pan Stanisław Rosół starał się na podstawie starych podań i kronik, w większej części jednak na podstawie zapisków wielce zasłużonego około naszego piśmiennictwa historycznego, autora „Sądeczyzny“ — określić obraz epoki, w której żyła i działała Św. Kinga, uwydatniając na tem tle o ile można postać samej królowej.

Autor połączył biografię Św. Kingi ściśle z monografią Starego Sącza, opisuje więc powstanie miasta, ginące w mgle wiekowej i położenie, następnie przechodzi do Św. Kingi, której dzieje życia, zbawienne działanie i poświęcenie się dla narodu autor dokładnie określa. Uczyniwszy szerszą wzmiankę o jej fundacji na rzecz klasztoru Klarysek w Starym Sączu, opisuje dzieje tegoż klasztoru, jakoteż miasta aż do naszych czasów i kończy artykułem o znaczeniu uroczystego obchodu 600letniej rocznicy śmierci Św. Kingi.

Rzecz zrozumiale acz pojedynczo opisana, druk wzorowy nie pozostawia nic do życzenia.

c) Wydawnictwa dla ludu i młodzieży, oraz książki naukowe.

[Pogadanki o podatkach w kółku rolniczym. Napisał Franciszek Szymusik. Zeszyt grudniowy „Wydawnictwa ludowego“, wydany nakładem komitetu wydawnictwa dziełek ludowych, pod redakcją Bronisława Sokalskiego. Lwów, 1893. 12-stka. 64 stronic.]

Często mieliśmy już sposobność, spotykać się z pracami szanownego autora, posiadającemi te zalety, iż nigdy i nigdzie sprawa przezeń traktowana, powierzchownie nie jest opracowaną, ale zdradza głęboką znajomość rzeczy. Jeśli autorowi w niniejszem dziele praca o tyle była ułatwioną, że jako fachowy pisał w sprawach, dobrze mu znanych, — to znowu sposób traktowania sprawy w formie pogawędki dla włościan, utrudnił mu cokolwiek pracę. Autor wywiązał się jednak z zadania swego nader szczęśliwie. Szczególną zaś wartość mają rozmaite wzory podań czyli poradników jurydycznych, na końcu dzieła streszczone; autor poucza w nich włościan o sposobie wniesienia podań najrozmaitszych w sprawach podatkowych, informacjami swemi kładąc skutecznie tamę rozpowszechnionemu wśród chłopstwa galicyjskiego pisarstwu pokątnemu. Życzymy dziełku p. Szymusika jak najszerszego odbytu w kołach włościańskich.

[Pokłosie. Wiersze dla ludu i młodzieży polskiej, przez Józefa Turka. Rzeszów, 1892. Drukiem i nakładem księgarni I. A. Pelara (H. Czernego) w Rzeszowie. Mała ósemka. 48 stron. Cena 15 ct.]

Nie można autorowi zaprzeczyć pewnej łatwości w wierszowaniu; ale czy łatwość taka tworzy już jedyną rdzeń poezji — to inne pytanie. Również zdaje się nam, że jeśli te wiersze przeznaczone być mają „dla ludu i młodzieży polskiej“ — to bodaj co do „ludu“, może nie ze wszystkiem będą dlań zrozumiałemi. Usterek najrozmaitszych, bądźto rymowych, bądź innych — też nie brak. „Korzyć się godnie“ (str. 8.) — jest to coś wprost niemożliwego; nikt nie

„włóczy kij tułaczy“ (str. 14.), ale włączają się ludzie „o kiju tułaczym;“ „objął w swe ramiony“ (str. 14.) zamiast „ramiona“ — wyraz niedozwolony; „płyńcie“ i „zbawienie“ (str. 18.), fałszywy znowu rym; również tamże „marnie“ i „błagalnie;“ „przez miejskie mury“ (str. 21.) nikt nie idzie, bo musiałby je przewiercić swoim ciałem; „wieś mnoga“ (str. 22.) ma się chyba rymować do „Boga;“ „obrazu“ i „ołtarzu“ (str. 29.), to znowu niedozwolony rym, „nocy“ i „roztoczy“ (str. 33.) tak samo; „biednej rodzinie toną we łzach oczy“ (str. 43.), a wszakże mamy prostszy i zrozumialszy na to wyraz: „biedna rodzina tonie we łzach;“ na str. 45. rymy „oczy“ i „pomocy“ grzeszą natomiast przeciwko zasadom poezji.

Do lepszych cokolwiek należą: „Na głos trąbki,“ „Faryzeusze i celnik,“ „Krakowiak“ na str. 41., „Krakowiak“ na str. 45., oraz ostatni wiersz, zatytułowany: „Do Królowej Nieba.“

Cena dziełka dosyć przystępna, korekta względnie dobra.

[Z Kaniewskich Helena Jarochowa. Żywoć Tadeusza Kościuszki, opowiadanie ks. proboszcza. Szczawnica, nakładem autorki. Drukiem J. A. Pelara w Rzeszowie, 1892. Mała ósemka. Stronic 108.]

Jest to nowa książka, wzbogacająca naszą literaturę kościuszkowską. Godzi się też o niej wspominać zwłaszcza teraz w rocznicę stuletnią zwycięstwa wielkiego wodza z pod Raławic. Skreśliła biografię tę nieznaną dotąd szerszym kołom autorka, p. Helena Janochowa. Stosownie do przedmowy, autorka pracę swą przeznaczyła dla włościan. W guście tym traktuje też sprawę. Język jest ludowy, obrazowanie gdzieniegdzie prawie namacalne, jak to chłop lubi; przytaczane nieraz i omawiane szeroko szczegóły wcale podrzędne; ale zachodzą się i takie, które ogółowi niekoniecznie znane i zajęcie w szerszych kołach budzić mogą. Usiłowane przez autorkę uczczenie Stanisława Augusta w obec świadectwa historii i równocześnieików wydaje nam się jednak tak płonną i niedorzeczną pracą, jak owo sławne pranie i bielienie murzyna.

[Wydawnictwo ludowe. Rok XII. Tomik V. i VI. za Maj i Czerwiec r. 1893. Czcij pamięć ojca twego. Powieść dla ludu, przez Stanisława Tokarskiego. Cena 14 ct. Lwów, 1893. Drukiem Szczęsnego Bednarskiego, a nakładem komitetu wydawnictwa dziełek ludowych. Dwunastka. 61 stronic.]

Autor, znany nam jako pisarz ludowy z niejednej pracy cennej, w powiastce przez nas omówionej, opisuje złe skutki krnąbrności, rozwiązłości i pijaństwa w osobie Sobka Głowacza, urlopnika, który sprzeciwiając się ostatniej woli ojca i starając się o unieważnienie jego zapisu, kuszony namiętnościami, coraz niżej się stacza po pochyłej drodze i ginie w nędzy, podczas gdy bracia uczciwi a pokrzywdzeni przezeń, działając w duchu ojca, uczciwą pracą dorabiają się znacznej fortuny — jeden jako wzorowy gospodarz, drugi jako wzorowy lekarz i fundator szpitalu w Modrzewiowie. Powiastka Tokarskiego, malująca wybornie życie i sposób myślenia chłopów mazurskich, zajmująco napisana, odznacza się stylem lekkim.

[Nowa metoda leczenia, czyli nauka o identityczności wszelkich chorób, przez Ludwika Kuhne. Wydanie polskie w tłumaczeniu Teofila Szumskiego. Czerniowce, 1894. Nakładem księgarni Henryka Pardiniego (Engla i Sachanka) w Czerniowcach, drukiem Rudolfa Eckhardta tamże. Dzieło, obliczone na 12 zeszytów.]

Obok tylu metod dawniejszych, w tem dziele pojawia się nowa. Czy skuteczna, nie możemy na razie rozstrzygnąć, to dopiero przyszłość pokaże; sądzę też, że pociągnięcie wszystkich chorób pod jeden strychnulec, jest bądź co bądź — rzeczą hazardowną, choć zresztą wielu twierdzeniom autora zaprzeczyć trudno. Tłumaczenie Szumskiego wyszczególnia się jasnością i wyrazistością języka.

Wydawnictwa dla młodzieży Feliksa Westa w Brodach.

[Powiastki ojcyste dla młodzieży. Tomik IV. Mieczysław II. Przez Franciszka Szyndlera. Brody, 1891. Nakładem i drukiem Feliksa Westa. Dwunastka. Stronic 121. Cena 50 centów.]

Smutne po Chrobrym nastąpiły dzieje. Syn młodszy Chrobrego, Mieszko, ojcowską wolą ustanowiony królem, na samym początku panowania ma przeciw sobie nieubłaganych wrogów, którym się obronić zaledwie zdoła: królowę-wdowę Odę, Niemców i duchowieństwo niemieckie, oburzone na niego, wreszcie starszego brata Bespryma, syna Judyty, pierwszej małżonki Chrobrego a siostry Stefana, króla węgierskiego. Besprym, żądny korony, wchodzi w konszachty z wrogami odwiecznymi Polski, z Niemcami, łudzony obietnicą, że go królowa-wdowa Oda, kobieta młoda i zalotna, zaślubi. Mieszko również ożeniony z Niemką Ryxą (Richenzą) zaledwie że się obronić może zgubnym jej wpływom.

Wierny swojej polskiej ojczyźnie Benedyktyn Odon zdradza jednak konszachty Bespryma i zachody u wrogich dworów, poczem Mieszko brata na wygnanie skazuje; z królem węgierskim Stefanem pogodził się poprzednio, odstąpiwszy mu dobrowolnie kraj podkarpacki — Słowacyznę, i uzyskał pomoc jego w napadzie zbrojnym na kraje nadłabskie, podległe Konradowi niemieckiemu.

Wsparty chwilowo przez Węgrów, pobił nawet Mieszko niemieckie wojska; ale wnet doznał twardej ręki nieubłaganego przeznaczenia. Kanut, król duński, najechał Pomorze, Węgrowie zerwali ugodę z Polską, Czesi pod Brzetysławem wpadli w Morawię celem podbicia takowej, Besprym zbuntował tłumy obietnicą przywrócenia wiary pogańskiej, wreszcie złączywszy się z Jarosławiem, księciem ruskim, ciągnął przed Poznań i zmusił prawowitego króla Mieszka do opuszczenia państwa.

Mieszko szukając schronienia u dworu czeskiego króla Brzetysława, przezeń do więzienia wtrącony został. Ale Nemezis dosięgła niegodnego Bespryma, który zdradzony przez swoich, z ich winy ginie. Wnet posłannicy, wyprawieni z kraju, udali się do Pragi do Brzetysława, prosząc o uwolnienie dostojnego jego więźnia, co się im też udało, najbardziej bowiem za zerwaniem sojuszu z niemieckim cesarzem a za związkiem przyjacielskim z byłym jeńcem czeskim

przemawiali dwaj szlachcice czescy, mający wielki wpływ u Brzetysława: Sławnik i Wrszowic.

Przyjął Mieszko napowrót ofiarowaną mu przez poddanych swoich koronę, związek z Brzetysławem przyszedł do skutku. Wnet obaj sprzymierzeńcy rozpoczęli wojenne działania przeciwko Niemcom, licząc przytem na pomoc Obotrytów i Lutyków. Zabiegi sprzymierzeńców przeszły jednak bez skutku. Powstanie Obotrytów i Lutyków pod wodzą księcia Mestwina, wnuka Mściwoja II. nie udało się. Tak polski, jak i czeski król zostali pobici, Słowianie nadodrzańscy bezpowrotnie dostali się pod władzę Niemiec, a sam Mieszko zmuszony został, korzyć się przed niemieckim cesarzem Konradem, aby się tylko utrzymać na tronie (1032.) Stracił tytuł królewski i zadowolić się musiał tytułem księcia, choć w kraju własnym przez swoich uważany był za króla i wyszczególniony tym tytułem. Wróciwszy do kraju, gdzie na opór ustawiczny ze strony żony Niemki i jej sojuszników napotykał, poniewierany przez cesarza Niemiec, zdradzony przez żonę, opuszczony przez swoich, wpadł na końcu w rodzaj obłąkania, w którym też po dwuletnich cierpieniach smutne życie zakończył (1034.) Potomność niesłusznie jeszcze po śmierci poniewierała jego pamięć, nadając mu przydomek Gnuśnego. Autor książki twierdzi, że „jeśli przydomkiem Mieczysława II. darzyć mamy, to zasługuje na imię „Nieszczęśliwego Bohatyrą.“

[Powiastki ojcyste dla młodzieży. Tomik V. Bezkrólewie i Kazimirz I. Odnowiciel. Przez Marję Pawłowską. Brody, 1891. Nakładem i drukiem Feliksa Westa. Dwunastka. Stronic 132. Cena 50 ct.]

Smutny widok przedstawia państwo po śmierci Mieszka. Królowa-wdowa Ryxa, rządząca imieniem małoletniego syna Kazimierza, zraża sobie polską szlachtę i lud ustawicznym faworyzowaniem Niemców. Nie mogąc się utrzymać na tronie, sama uchodzi pod zasłoną nocy, syn jej chroni się w klasztorze niemieckim, wrogowie wewnętrzni i zewnętrzni niszczą i pustoszą kraj, Czesi pod Brzetysławem, Rusini pod Jarosławiem pustoszą ziemie polskie a Jarosław dociera aż do Mazowsza, w którym jako

udzielny książę usadowił się Masław, dawniejszy podczaszy królowej i gdzie pogańska wiara, przez Chrobrego i księży katolickich tępiona, na nowo się rozszerza.

Ale rycerze polscy, wierni jeszcze tradycjom starym, aby tamę kłaść szerzącemu się nieładowi i zwalczyć pogaństwo, pod protekcją Masława wszędzie się rozszerzające, puścili się w podróż do Niemiec, wydobyli książęcego syna Kazimirza z klasztoru, w którym się już niebawem do służby Bożej miał przysposobić i namową swoją zdołali tyle dokazać, że Kazimirz służbę Bożą porzucił dla służby kraju i wsparty ramieniem niemieckiego cesarza Henryka III. Czarnego (Surtura), znów do kraju powrócił.

Przyszedł w sam czas. Krajowi brak było gospodarza doświadczonego, coby energiczną dłońią dawny ład na nowo ustalił. Tym gospodarzem stał się Kazimirz. Pogodziwszy się napowrót z ruskim księciem Jarosławiem, tegoż siostrę Dobrogniewę pojął za żonę, pobił Masława w walnej bitwie i złamał tegoż potęgę; a że po śmierci Masława poległego z ręki wroga, Kazimirz już nie miał znaczniejszych nieprzyjaciół, mógł więc drogą pokojową rozszerzyć władzę swoją i podnieść dobrobyt kraju, „a pracował tak niez mordowanie, że po 18 latach swego panowania zostawił Polskę murowaną, a krzyż Chrystusa silnie utwierdził w świątyniach pańskich. Z wdzięczności za te zasługi nazwał naród władcę swego „Odnowicielem.“ — Umarł w sile wieku 1058 r. powszechnie żałowany.

[Powiastki ojczyście dla młodzieży. Tomik VI. Bolesław II. Szczodry — Śmiały — Wspaniały. Przez Franciszka Szyndlera. Brody, 1892. Nakładem i drukiem Feliksa Westa. Dwunastka. Stronic 145. Cena 50 centów.]

Bolesław, który po ojcu Kazimirzu berło odziedziczył, pragnął odświeżyć dnie minionej sławy, dnie Mieszka I. i Bolesława Chrobrego. Wola była w młodzieńcu niezłomna, energia dzika, waleczność wielka; ale szczęście niekoniecznie i nie zawsze sprzyjało. Tem się różni od przodków.

W młodym już wieku — bo licząc zaledwie 19 lat — młodzieniec w wojnie z Węgrami, zwyciężył nad wojskiem Andrzeja i sprzymierzonych z nim Niemców i osadza Belę na tronie węgierskim; pogodziwszy się zaś z Czechami i zawarłszy z nimi przymierze, siostrę Swatawę wydaje za Władysława II., króla czeskiego.

Kto się bacznie zastanowi nad stosunkami ówczesnymi i rozważy nie tylko czynność Bolesława, ale także i charakter, ten pod niejednym względem go usprawiedliwi. Byłci on król zapamiętały, porywczy i zapalczywy do ostatnich granic; ale dbał przecież o dobro kraju, o powagę korony, o należyty wymiar sprawiedliwości.

Jako biegły polityk przez ślub z ruską księżną Wisławą zjednał sobie dzielnych sprzymierzeńców na Rusi; nie dopuścił do tego, aby księża niezawisłość od władzy świeckiej uzyskali, ale jako dobry patriota starał się przecież o to, aby na wszelkie posady duchowne w kraju powołano tylko krajan, nie zaś cudzoziemców. Henryk IV. korzył się przed władzą papieską, nie tak Bolesław Śmiały. Zachował do ostatniej prawie chwili niepodległość swoją, której sam papież naruszyć nie śmiał. Ta chwila najwspanialszą jest w życiu wielkiego wojownika, gdyż jak ongi sławny praszczur Chrobry — tak teraz Bolesław Śmiały napowrót się koronuje królem w katedrze gnieźnieńskiej (1076.)

Zmuszony stosunkami pokrewieństwa stacza król ustawiczne wojny na Rusi, na które prowadzi zastępy swojej szlachty i ziemian. Wojna przeciąga się nadspodziewanie; tymczasem wojewodowie królewscy na wieść, że się chłopstwo zbuntowało, samowolnie opuszczają obóz, aby sobie samym krwawą wymierzyć sprawiedliwość. Według ustaw wojskowych, obowiązujących dawniej tak samo, jak i teraz, byli ziemianie i szlachcice, którzy wśród wojny króla swego a najwyższego władcę opuścili, podłymi tylko zdrajcami i dezterterami. Przez ich ucieczkę stracił król owoce zwycięstwa swego i musiał z niczem wrócić do kraju. Słusznie też zapłonął sprawiedliwym przeciwko zdrajcom gniewem i ukarał ich przykła-

dnie. Stał po stronie chłopów w walce eksterminacyjnej szlachty, której pozwolić nie chciał na to, aby bez wiedzy króla samowładnie i samowolnie poddanych gardłem karała a tem samem naruszała prerogatywy korony, podobny w tem wielce do Kazimierza Wielkiego.

Na złą drogę zeszedł dopiero wtedy, gdy zakazaną miłością zapłonął ku nadobnej Kryście, żonie Mściława z Bużenina. Ten jeden fatalny krok inne pociągnął za sobą, jakoto: zamordowanie św. Stanisława Szczepanowskiego, kłatwę kościelną, na końcu wymuszoną bannicję i wywłaszczenie króla.

Umarł on jako mnich-zakonnik w klasztorze w Osyaku (1081), pokutując za grzechy młodości a godzien przecież lepszego losu. Pod kłatwą kościelną wiele ukoronowanych głów podówczas ugiąć się musiało; porównanie między Henrykiem IV. a Bolesławem II. nasuwa się prawie mimowoli. Kto z nich więcej zawinił? Henryk IV., cesarz niemiecki, walczył przeciw wzrastającej w siły hierarchii i uległ pod Kanossą; Bolesław II., król polski, walczył przeciwko bezkarności i zuchwałości szlachty swojej i uległ tak samo. Jeden krwawy czyn, w porywczowości i zapalczywości wykonany, plami ostatki dni królewskich: zamordowanie biskupa krakowskiego; wolny od podobnych zarzutów Henryk IV. Ale mimoto postać rycerska Bolesława nie przestaje budzić sympatyj. Nie płaszczył on się nigdy, nigdzie i przed nikim; zmuszony okolicznościami nieprzyjaznymi ustąpić z ziemi ojców — ustąpił z godnością. Pod koniec życia swego uczynił pokutę, nie wymuszoną a potem licho przestrzeganą jak owa Henryka IV. pod Kanossą, ale szczerą z własnej woli. Pokuta ta publiczną nie była, nie widziało ją grono dworaków i publiczności, jak ową Henryka IV. pod Kanossą, gdyż zamykała się w murach klasztornych Osyaku, ale tem była szczerszą i prawdziwszą.

Henryk IV. w osobie syna, zdradzającego ojca, lichego miał następcę, niedorównającego ani sławą, ani śmiałą inicjatywą ojcu; Bolesław II. Śmiały, zwany także Szczodrym i Wspaniałym, miał lichego następcę

w osobie brata Władysława Hermana, gdyż Henryk V. i Władysław Herman niedołężnością swoją zarówno spaczyli wielkie dzieło wielkich ongiś przodków.

d) Książki mieszanej treści.

[Pisma Seweryny Duchieńskiej. Pamiętnik. — Poezje. Lwów, 1893. Nakładem Gubrynowicza i Schmidta a czcionkami drukarni ludowej we Lwowie. Mała ósemka. Stronic numerowanych 437.]

U kresu pielgrzymki wędrowiec, zmęczony długim pochodem, spoczywa; okiem znużonem spogląda na wsze strony, z piersi wyrывa się mimowolne westchnienie, a w tem westchnieniu wszystko razem połączone: więc żal za tem, co minęło i obawa przed tem, co będzie, i niepewność jutra. Takie wrażenie mimowolnie wywołuje każdy pamiętnik. Jeśli go kreśli człowiek nieznaną a obdarzony miernymi tylko zdolnościami, to pamiętnik ten czy dziennik wartość mieć będzie tylko dla rodziny i najbliższych przyjaciół autora czy autorki. Jeśli go kreśli człowiek, powołany do pracy umysłowej, wtedy taki pamiętnik głębszego nabiera znaczenia. Słówka tam nie ma, które marnie byłoby wypowiedziane; pamiętnik staje się żywą historją, częścią dziejów powszechnych, czasem nawet jedynym źródłem do zbadania i rozpoznawania tychże dziejów i osób, w nich działających.

Do tej ostatniej kategorii bezprzecznie zaliczamy pamiętnik Seweryny Duchieńskiej. Z wdziękiem, sobie tylko właściwym, opowiada nam szanowna autorka zdarzenia dawnych lat, wprowadza nas w sfery, mało albo nawet zupełnie nam nieznaną. Są to czasy wieku jej dziecięcego i młodocianego. Wszakże najpiękniejsze przykłady poświęcenia się dla Ojczyzny miała autorka w własnej rodzinie, ponieważ dziadek jej, Seweryn Trzeciński, sam niegdyś rotmistrzem był konfederacji barskiej.

Niezmierny urok mają te tak skromne a jednak barwne opowiadania. Autorka opisuje nam

dzieje swej rodziny, życie i śmierć dziadka i ojca, lata dziecięce, przepędzone to u matki, to u stryjowstwa, to u rodziny Zabłockich, wrażenia dziecięce, przywary i zalety wieku młodocianego, a przede wszystkim genezę przyszłego swego autorstwa, zaczerpanego to wśród książek choć nie zawsze należycie dobranych, to wśród ludzi wykształconych i niezwykłych pod względem umysłowym.

Oddana do pensjonatu p. Wilczyńskiej zaznaja się młoda Seweryna z głośnym już podówczas autorem „Klehd i przysłówów polskich“, z Kazimierzem Władysławem Wóycickim. Nauka młodej Seweryny, poprzednio bardzo niesystematycznie i niedbale prowadzona, zaczyna się tu ab ovo. Z niedłada otwartością kreśli nam autorka jej wyniki. Któżby temu uwierzył? Seweryna Duchieńska, sławna i głośna jako tłumaczka niemieckich poetów, obeznana z dziejami, jak niełatwo która, zniewoloną widzi się, pisać o sobie:

„Profesor Zieliński rad był z wypracowań moich i z dość poprawnej ortografii. Ależ za to w historii powszechnej, w arytmetyce, w niemieckim języku byłam osiołkiem w całym znaczeniu słowa.“

Słówka lekceważenia, niedbale przez koleżankę Narcyzę Żmichowską rzucone, budzą ambicję w młodej Sewerynie, która w przeciągu dwóch tygodni podwojoną gorliwością dopędza, czego dotąd zaniedbała. Powstanie listopadowe, wywołane za hasłem, danem przez walecznych podchorążych polskich, zaskoczyło naszą autorkę w pensjonacie p. Wilczyńskiej i budziło w niej niezatarte wrażenia. Określa je Duchieńska w sposób następujący: „Jeśli książki i kajety spoczywały na półkach, pełne życie, jakim oddychał kraj cały, więcej mnie nauczyło. W takich chwilach starzy młodnieją a dzieci przestaną być dziećmi.“

Szał ogólny, szal patriotyczny ogarnął wszystkich, było to wielkie święto narodowe: zmartwychwstanie Polski! Jeśli chłodno rozważających i zastanawiających się nad wszystkim sąsiadów Niemców prąd elektryczny przeniknął na wskrós i wywołał nieskłamane hołdy dla bohaterskich obrońców wol-

ności; jeśli porwany tym prądem Niemiec Wackernagel, woła:

„Wasi bracia walczą z wrogiem!
Rzeszo piewców! chwyć za kord!
Na pobojuwisku srogim
Walcz, odeprzyj najazd hord!
Gromem niech się ozwie słowo,
Wrogi niech przed wami drżą,
Tony z waszych ust gromowo
Na pobudkę niechaj grzmia!” —

to cóż dopiero dzieć się musiało w najbliższych okolicach Warszawy i w Warszawie samej!

Każdy, kto tylko mieczem władać umiał, porwał za broń; kobiety skubały szarpię i śpiewały pieśni patryjotyczne. Autorka jako naoczny świadek opisuje przebieg powstania, rozbitego po 10miesięcznych bohaterskich a próżnych usiłowaniach, bitwy pod Grochowem, pod Dębem, pod Ostrołęką, udział w powstaniu wuja Franciszka Trzecińskiego, skazanego przez zwyciężkich Moskali na śmierć, której uniknął przez ucieczkę, aby umrzeć na wygnaniu, powieszenie szpiega Kaweckiego, wreszcie kapitulację Warszawy i wydalenie się rodziny autorki, zabierającej młodą Sewerynę na wieś.

I znowu w pamiętniku widzimy pauzę szesnastoletnią. Autorka od razu przechodzi z r. 1831. na r. 1847., w którym to czasie powróciwszy znowu do Warszawy, pod kierownictwem Wóycickiego kształci się na polu literatury, po raz pierwszy występując w niej.

Rok 1863 widzi autorkę, zameżną wówczas Pruszkową, znów czynną choć na innym, niż literackim, polu, bo niosącą czynną pomoc powstańcom. Zdradzona Moskalom, uchodzi jednak tajemnie z kraju i przenosi się do Paryża, gdzie owdowiawszy, po raz drugi śluby małżeńskie zawiera z znanym etnografem i historykiem Franciszkiem Duchieńskim z Kijowa, umarłym zeszłego roku. Wierszem, poświęconym swemu małżonkowi w 25-oletnią rocznicę pożycia wspólnego, kończy autorka niezmiernie cenny pod względem literackim, stylistycznym i historycznym pamiętnik.

Druga część książki wyłącznie poetycznym pracom poświęcona, w których jak wiadomo Duchńska celuje. Umieszczone tu rzeczy i nowe i stare; jeden poemat: „Zakłęte słowo“ widziałem już w „Sobótce.“ Nie uwłacza to jednak w niczem urokowi tych poezyj. Do najwybitniejszych należy poemat: „Konfederat,“ tworzący niejako poetyczną rekapitulację i uzupełnienie „Pamiętnika.“

W zbiorze poezyj mieszczą się także liczne tłumaczenia i naśladowania: w każdym z nich poznać mistrzynię, dzielnie władającą językiem i formą, choć forma wcale nie była łatwą. Z jakim upodobaniem czyta się „Ostatnie chwile Cyda“ lub podanie o szkockim królu Robercie Bruce! W podaniu tem forma nastęrczyła niezliczone trudności; końcówki bowiem są bez wyjątku jednozgłoskowe męzkie, a takichto końcówek naliczyłem nie mniej i nie więcej, jeno 382! Mimoto znalazłem tylko jedną niewłaściwą: „garść i „spaść“, (str. 245, w. 19, 20.)

Duchńska utrzymywała i utrzymuje bardzo rozgałęzione stosunki ze światem literackim i nie-literackim: ztąd też moc wierszy, poświęconych najrozmaitszym, to znanym, to nieznanym ogółowi osobom. Nie są to jednak zwyczajne wiersze pamiętnikowe: z każdego z nich wyższa myśl się przebija. To miłość ojczyzstego kraju, to hołd, sztuce oddany, to wdzięczność dla mistrza, który dla niej był wzorem, to znów słowo, poświęcone wielkiej i sławnej przeszłości budzi echo w duszy czytających, a to wszystko wypowiedziane formą prześliczną, słowem czarującym, prawdziwie polskiem, szczególnie zaś chcielibyśmy naszych zojłów uwagę zwrócić na złote słowa, wypowiedziane w sonecie do H. G. (str. 391):

„Ujrzysz w tej księdze sto ludzkich postaci,
Piękna w nich, dobra, niech szuka Twe
[serce,

Nie słuchaj nigdy, co prawią szyderce,
Gdy gorzkim jadem bluzgają na braci.“

Seweryna Duchńska jest mistrzynią nietylko formy, ale i słowa; niewłaściwe zwroty do największych u niej należą rzadkości, W całej dość sporej

księdze, oprócz niewłaściwych końcówek: „garść“ i „spaść“ — napotykałem tylko na dwa podobnie niewłaściwe wyrażenia. Jeśli jedno z nich a mianowicie słowo: „forele“ zamiast „pstrągi“ (str. 287) poniekąd wytłumaczymy sobie potrzebą rymową, to drugie uchybienie językowe pozostaje niewytłumaczonym. Jest to trzecia zwrotka w wierszu, zatytułowanym: „Do rzeczulki“ (str. 384), gdzie autorka zamiast:

„Tu gdzie rzucę w koło wzrokiem,
Kraj rodzinny wszędzie —“

używa niewłaściwego zwrotu:

„Tu gdzie rzucę w koło wzrokiem,
Kraj rodzony wszędzie.“

Drobne te usterki nie uwłaczają jednak piękności dzieła, porywającej potęgą żywego słowa.

Wdzięczność należy się firmie wydawniczej Gubrynowicza i Schmidta za cenne to dzieło, wydane jej nakładem; musimy jednak mimochodem uwagę jej zwrócić na to, że się dzieła naszych klasyków wydać powinno z większym pietyzmem pod względem czystości druku. Dzieło Duchieńskiej roi się błędami drukarskimi: na egzemplarzu, mnie przez autorkę przesłanym, taż własnoręcznie wytknęła nie mniej i nie więcej jeno 90 błędów; ja sam zaś ponadto znalazłem jeszcze kilkanaście przez autorkę przeoczonych, a pomiędzy nimi gorszący niezmiernie błąd:

„Gdy rzuca garść żyta w ziemię zaoraną,
Lub kosą na łące zgarnia wonne ziarno“ —
zamiast:

„Gdy rzuca garść żyta w ziemię zaoraną,
Lub kosą na łące zgarnia wonne siano.“

[Kazimierz Rojan. *Maska*, powieść współczesna. Lwów, 1893. Nakładem Jakubowskiego i Zadurowicza a drukiem Pillera i spółki. Mała ósemka. 536 stronic. Cena 2 złr. 10 ct.]

Młody autor, znany nam korzystnie z pierwszego dzieła swego: „Tymka Medjera“ — występuje po raz wtóry przed publicznością. Spodziewamy się, że wkrótce imię Kazimierza Rojana do najpopularniejszych i najcenniejszych w naszej literaturze powieściowej należyć będzie i że publiczność tak nawyknie

do niego, jak do imion Klemensa Junoszy i Gawalewicza w Warszawie a Lama w Galicji.

Pierwsze kroki zrobione, a zrobione zwycięzko. Nietylko u nas każdy myślący człowiek ceni głęboko pracę Rojana, ale także w Kongresówce i w Poznaniu.

W „Masce“ wprowadza nas autor w nowy a odmienny zupełnie od „Tymka Medjera“ świat: jest to stara, podupadła obecnie szlachta polska Urmińskich.

Do sympatyczniejszych postaci powieści należy młody Roman Urmiński, przyjaciel również zacnego Franciszka Mierzynka, energiczny, silny wolą i postanowieniem, dźwignąć kiedyś imię i fortunę Urmińskich z upadku, w który je wtrąciła lekkomyślność jego ojca, starego Konstantego Urmińskiego. Sympatycznie oddziałują na nas także ciotka Justyna, stara panna, p. Czarnomińska i jej wnuczka Janina, jakoteż stary Mazur i jego rodzina; reszta to słaba, nie wyszczególniająca się bardzo ani dodatniemi, ani też ujemnemi przymiotami, lub nawet wprost wstrętna w brudnym swoim egoizmie.

Tu wyszczególniają się w złem stary Warwicz, doradca piekielny zrujnowanego przezeń Konstantego Urmińskiego; prześcigający ojca w zbrodni Warwicz młodszy, utracjusz, karciarz, zimny spekulant, wyzuty z czci i wiary, spokrewniony z starym, Sewerynem Czarnomińskim przez tegoż wnuczkę Stefanję, przezeń zaślubioną, a czyhający na śmierć szwagra i dziadka, którą pośrednio spowodował; Stefania Warwiczowa, godna swego męża kokietka bez serca, bez poczucia honoru; czterej bracia Goldhammerowie, lichwiarze i wyzyskiwacze: Nuta, Majer, Gedali i górujący nad wszystkimi duchem spekulacyjnym Moszko czyli Maurycy. Stary Czarnomiński nie robi wrażenia ani bardzo dodatniego, ani też ujemnego, wygląda na zero; również i spokrewniony z tą rodziną Kajetan Leśnicki.

Okoliczności zmuszają głównych działaczy powieści do ustawicznego maskowania się. Maskują się uczciwi i nieuczciwi. Przeciwko szlachetnemu i dzielnemu Romanowi Urmińskiemu i jego również zacnej

żonie staje do walki szajka Goldhammerów i Warwiczów, początkowo nawet po części z dodatnim skutkiem, aż zbytnia bezczelność i ufność w siłę swoją wrogom szyki pomiesza i w ręce Romana zwycięztwo kładzie.

Do najpiękniejszych ustępów tej wielce pouczającej i pięknej powieści zaliczamy starania Romana Urmińskiego i jego małżonki o podniesienie moralności i dobrobytu włościan, tej z pomiędzy piekących kwestyj najbardziej piekającej.

Autor nie jest zwolennikiem Zoli i jego szkoły, mimoto, że na realnych podstawach wszystkie swoje opowiadania kreśli. Niepospolite znaczenie mają słowa, głównemu bohaterowi powieści przez autora włożone w usta: „Jaka wasza literatura, takich synów mieć będziecie z czasem... Jeżeli więc karmić ich macie zgnilizną, to raczej precz z nią i jeszcze raz precz! Lepiej nie mieć żadnej, niżeli zgniłą!“... Święte to są słowa! a kto tak włada językiem, jak Kazimierz Rojan, kto kreśląc obrazy, z rzeczywistości wzięte, umie im nadać tyle wdzięku i życia — ten z pewnością oglądać się nie potrzebuje za mistrzami trupieszalności i zgnilizny! „Tymko Medier“ — to była zapowiedź pierwsza talentu, rokującego piękne nadzieje w przyszłości; w „Masce“ autor może jeszcze nie stoi na wyżynie literackiej, gdyż na to trzeba wiele lat i mozolnej bardzo pracy, ale grzeje się już w promieniu słońca wybranych, świeci już blaskiem pełnej i męskiej siły!

[W okowach, powieść w dwóch tomach Wilhelma Feldmana. Lwów, 1890. Nakładem księgarni polskiej, a drukiem Józefa Fischera w Krakowie. Mała ósemka. 222 i 245 stronic.]

Niewolnica, czy wolna?... do rozwiązania tego ważnego problemu życia dąży znany już z licznych innych utworów realistycznych autor w dwutomowej powieści, zatytułowanej: „W okowach.“ Główną postacią tej powieści jest pani Jadwiga Zimowiecka, w młodych latach przeciw woli swej wydana za starego rozpustnika Kazimierza Zimowieckiego, choć w młodocianem sercu tłucze się

miłość ku innemu, ku nauczycielowi młodości Teofilowi Zahradnikowi. Ale praktyczny ojciec panny, radca starej daty, w Zahradniku zwietrzył już hołysza, nie mogącego według jego rozumowań zabezpieczyć bytu córki; więc oddał go pod wymyślonym zarzutem z domu, w córkę zaś wmawia niehonorowy czyn uwielbionego przez nią młodzieńca i tym sposobem zmusza ją poniewoli do ślubu z Zimowieckim.

Ciężka to dola wykształconej, idealnej kobiety przy boku starego a bogatego lubieżnika; życie w „okowach“, choć złoconych. Dwoje dzieci: starszy Oleś i młodsza Stefcia, owoce tego nierównego pod każdym względem małżeństwa, pocieszają ją cokolwiek i płoszą smętne myśli; ale wnet budzi takowe, budzi odrazę do życia u boku takiego właśnie męża najnowszy skandaliczny wypadek.

Właśnie przy chrzcinach najmłodszej córki Stefki, dziecka niedawno narodzonego, wpada do sali jadalnej gość nieproszony, była pokojówka Marysia i rzuca na stół niepożądany podarunek, synka Michaśka, którego ma do zawdzięczenia miłośnym zapałom pana Kazimierza, żądając przy tem, aby i Michaśkowi „krzciny“ sprawiono.

Szkandal wywołany jej pojawieniem się powoduje, że Jadwiga wraz z dziećmi dom mążowski bez rozvodu opuszcza; mąż bowiem mimo najgorętszych prośb udzielić jej go nie chce, zezwalając jedynie na to, aby dom w Ostrogu sprzedała i z pieniędzmi z rozprzedaży uzyskanemi, jako tako byt na przyszłość sobie zapewniła, podczas gdy on sam z większą częścią fortuny bardzo znacznej do Wiednia się przenosi.

Maryśka, której tymczasem owoc z nieprawego łoża, Michasiek, w rzetelnym zarobku wszędzie zawadza, poszturkiwana i odpychana nawet przez własnych krewnych, innego rodzaju to niewolnica, w „okowach“ zostająca, upada coraz niżej. Otrzymawszy za pośrednictwem starej żydówki i za wysokim lichwiarskim procentem zajęcie w pralni, żywi się i odżywia jako tako wraz z dzieckiem, aż ją los znowu

popycha w ramiona świeżego uwodziciela, murarza, który pobawiwszy się nią jakiś czas, niezasobną brutalnie odtrąca i porzuca.

Pani Zimowiecka, przeniosłszy się równocześnie do miasta Lipnika, oddalonego o jakieś 30 mil od Ostroga, znajduje za pomocą faktorek umieszczenie w willi pani „sekretarzowej“, starej więdźmy o zachciankach pańskich, posiadającej córkę bezmyślną, wydaną za bakałarza małomiejskiego, zwanego eufemistycznie profesorem. Wybornie odmalowuje nam autor plotkarski sposób życia tych wszystkich wielkości małomiejskich w osobach p. aptekarza, p. adjunktowej, p. komornikowej i t. d.

Szkarlatyna wybuchająca nagle, naprzód u dzieci p. Zimowieckiej a potem przenosząca się z nich na nią samą, zmienia ni ztąd, ni zowąd jej położenie. Litościwy Dr. Olszewski zabiera ją z willi p. Koczkowiczowej, gdzie ją obgadywano na wszystkie boki i umieszcza w swoim własnem mieszkaniu, której to przeprawie towarzyszy skandaliczna kłótnia p. Koczkowiczowej z córką profesorową.

Maryśka z swoim Michaśkiem po ostatnich zdarzeniach nie zasypia także na różach. Opuszczona przez wszystkich, pozbawiona środków do życia, sprzedaje resztki swojej piękności staremu, lubieżnemu kawalerowi ze „sztajeramtu“, p. kontrolorowi, aby tylko móżdż z czego wyżyć.

„Filozoficzno-systematycznemi“ poglądami tego trzeciego „kawalera“ Maryśki kończy się pierwszy tom powieści.

W drugim tomie widzimy Jadwigę wraz z dziećmi, dzięki staraniom prawdziwie ojcowskim lekarza, wyleczoną z ciężkiej, niebezpiecznej choroby. Znowu, choć gdzieś na przedmieściu, zaczyna się stare, ciche a jednostajne życie, zaczyna się praca około wychowania dzieci. Za wpływem ludzkiego i światłego lekarza, oraz starego ks. proboszcza, usprawiedliwiających i broniących Jadwigę w obec napaści i plotek małomiejskich, uszczęśliwiają ją luminarki miasta swemi odwiedzinami. Bywa ona w kółkach rozmaitych, które ożywia projektami dobroczynności publicznej, dążącej w pierwszym rzędzie do wyswobodzenia

kobiet za pomocą wychowania i zatrudnienia tychże pracami domowymi. W toku tych rozmów dowiaduje się przypadkowo Jadwiga, że ideał marzeń jej młodości, Teofil Zahradnik, obecnie doktor filozofii i profesor gimnazjalny, drogą dyscyplinarki za wolnomysłne idee, z Krakowa do partykularza przeniesiony, w Lipnikach osiadł i wyklada literaturę w tamtejszem gimnazjum. Ale równocześnie niemiła wstrząsa nią niespodzianka. Zrujnowany hulaszczem życiem w Wiedniu, Monako i Bóg wie gdzie jeszcze mąż znienawidzony, zjawia się niespodziewanie, aby pod obietnicą rozwodu wymusić od niej, co się tylko da.

Udają się więc na plebanję, gdzie w zastępstwie chorego ks. proboszcza młody ks. wikary Jadwigę z wyszukiwanymi grubiaństwami przyjmuje, odmawiając wprost pozwolenia na rozwód. Upokorzona i poniżona niesłusznie wraca Jadwiga do domu a pan mąż do hotelu, w którym chwilowo zagościł i gdzie przypadkowa wiadomość, że Dr. Zahradnik w Lipnikach osiadł i tamże zamieszkuje, odrazu w głowie Kazimierza podejrzania dawne co do wierności żony odnawia, powodując równocześnie wyjazd starego libertyna i postanowienie wyrzekania się myśli rozwodu.

Jadwiga, zostawiona samopas myślom swoim i posiadająca teraz o połowę uszczuplone dochody, stara się bezskutecznie o jakieś zajęcie w magazynie mód mieszczanina Michalczuka. Z smutnych i bolesnych zadumań budzi ją pocziwa konsyliarzowa, proponując jej schadzkę w kasynie, gdzie Dr. Teofil Zahradnik przed wyborową publicznością będzie miał wykład „o najnowszych kierunkach w literaturze polskiej“ na cele dobroczynne. Jadwiga przyrzeka, w towarzystwie konsyliarzowej być na odczycie; myśl o dzieciach wstrzymuje ją jednak od tego kroku i zniewala do pozostania w domu, gdzie ją doktorowa powtórnie odwiedza, aby jej opowiadać, jakie potężne wrażenie Dr. Zahradnik odczytem swoim wywołał.

Ku niemałemu zdziwieniu Jadwigi, tenże sam Michalczuk, który poprzednio wszystkie jej prośby

ze wzdrgnięciem odrzucił, odwiedza ją teraz sam i ofiaruje dobrowolnie zajęcie w swoim magazynie mód a to pod bardzo korzystnymi warunkami. Później nieco schodzi się Jadwiga z Teofilem w salonie państwa komornikowstwa. Stara miłość, stare wspomnienia odżyły na nowo. Ona zaprasza go do siebie, a Teofil posłuszny temu zawezwaniu, staje się częstszym gościem w jej domu, gdzie wychowaniu jej nowy daje kierunek i gdzie się dzieci Jadwigi miłością szczerą do niego przywiązują.

Wtem jak „deus ex machina“ wpada między kochającą parę „pan mąż,“ Kazimierz Zimowiecki, któremu się znowu szczęście przyśmiechać zaczęło, bo wygrał znaczną sumę w karty i otrzymał posadę kasjera w „Banku uniwersalnym“ we Lwowie. Teraz tenże sam mąż, który w konkubinacie żył może z niejedną kobietą a przytem w przeciągu sześciu lat tyle dbał o żonę, o ile mu potrzebną była do łatania dziur w jego kieszeni — tenże sam mąż wymaga, aby Jadwiga bezzwłocznie opuściła Lipniki i z nim się udała na stały pobyt do Lwowa. Szlachetne i bezinteresowne pośrednictwo Dra Olszewskiego kładzie kres przykrej i oburzającej scenie, a gdy już nie skutkować nie chce, wtedy skutkuje pogróżka, że Dr. Zahradnik pojedzie do Ostroga, gdzie się przeprowadzi śledztwo w sprawie uwiedzionej przez Kazimierza Maryśki i jej synka Michaśka.

Kazimierz skutkiem tej pogróżki ucieka jak oparzony i wraca do Ostroga, gdzie zajechawszy do hotelu, kelnera posyła po Maryśkę.

Maryśka, która tymczasem coraz niżej spadła, stała się prostytutką, publicznie znaną pod nazwą „Maryśki-czarnuszki“, a syn jej obiecuje być kiedyś złodziejem pierwszorzędnym. Maryśka, ciągle pijana i włócząca się po rozmaitych kątach, odsiedziawszy niedawno za bitkę i za nierząd parę tygodni w więzieniu, rada niezmiernie z propozycji kelnera, udaje się późną nocą do hotelu do owego pana, który zapragnął przekwitłych jej wdzięków. Ale Kazimierzowi nie o te wdzięki się rozchodzi. On pragnie bądźto milczenie wiekuiste, bądź świadectwo fałszywe, okupić pieniędzmi.

Na tę hańbiącą propozycję burzy się w uwiedzionej Marysce natura zwierzęca, wściekła. „Nawpół nieprzytomna porwała nagłym ruchem ze stołu lampę i cisnęła na Kazimierza. Zwierzęcy jakiś, przeszywający ryk przeszył powietrze. Na korytarz hotelu wypadł pan Zimowiecki... płonąca pochodnia. Upadł, tarzając się konwulsyjnie, a płomień ruchomym węzłem okręcił się naokoło niego.“

Śmierć Kazimierza łączy dozgonnemi węzłami kochającą się parę, Teofila i Jadwigę; ale co by nastąpiło, gdyby „ta kosa nie przecięła była oków Jadwigi? Musiałaby żyć jako niewolnica.“

Autor widocznie ciągnie wnioski z swego opowiadania na korzyść ślubów cywilnych w Galicji. Według naszego zdania, do zaprowadzenia takowych w kraju jeszcze daleko: głos publiczności na razie nie jest za tą reformą. Może ona się przyjmie i u nas, ale nie rychło. Autor jest zwolennikiem szkoły Zoli i jego brudów, co mu za złe bierzemy i co go często zniewala, gwoli efektywnych i drastycznych sytuacji zdrową logikę na szwank narażać. A szkoda, wielka szkoda! bo autor ma wybitny talent, któryby się lepiej jeszcze rozwinął, gdyby szedł naturalną, nie naturalistyczną drogą. Niechby sobie za wzór pisania wziął Kazimierza Rojana: ten się nigdzie za sztucznymi efektami nie uganiania, a mimo to pisząc na tle prawdy, pisze dobrze i pouczająco. Uganianie się za sztucznymi efektami, jeśli się nie posiada gruntownej znajomości pewnych rzeczy, prowadzi nawet po części do wyników wprost ujemnych, jak np. tu, gdzie autor widocznie o tem zapomniał, że skargę o rozwód z powodu cudzołóstwa wnosić można tylko w przeciągu sześciu tygodni, nie zaś po sześciu latach, że zatem Zimowiecki nie miał powodu, tej skargi tak okropnie się obawiać, a swoją drogą tak żonę swoją, jak i jej kochanka za niedozwolone stosunki zaskarżyć był uprawniony.

Szpeci także książkę moc obcych, niezrozumiałych wyrazów i niepolskich zwrotów. Przytaczam najgłośniejsze.

W I. TOMIE:

„Co do niej słodkie oczy robili“ zamiast: „co się do niej przymilali“ (str. 45, w. 23); „całe miasto szlifowało sobie na niej zęby“ zamiast: „całe miasto ostrzyło sobie na niej zęby“ (str. 54, w. 12); „gestekulując“ zamiast „gestykulując“ (str. 102 w. przedostatni); „następowały prezentacje“ zamiast: „następowały przedstawienia“ (str. 124, w. 21); „robiła honory“ zamiast: „przyjmowała gości“ (str. 130, w. 3); „uwrażliwioną“ zamiast „wrażliwą“ (str. 142, w. 25); „sekretarzowa po doznanym afrontie była istnym posągiem apopleksji“ zamiast: „sekretarzowa po doznanej zniewadze zbladła jak posąg“ (str. 149, w. 4); „była zafrapowana“ zamiast: „była zdumiona“ (str. 149, w. 22); „zaopiniowała“ zamiast: „zawtórzyła“ (str. 151, w. ostatni); „w życiu realnem“ zamiast: „w życiu rzeczywistem“ (str. 163, w. 10); „I życie całe sobie opiekielnić“ zamiast: „I życie całe w piekło przemienić“ (str. 182, w. 11 i 12); „był przekonania“ zamiast: „był przekonany“ (str. 189, w. 11); „Uogólniwszy“ zamiast: „Streściwszy, uporządkowawszy“ (str. 191, w. 18).

W II. TOMIE:

„Operlone rosą“ zamiast: „perłace się rosą“ (str. 3, w. 15); zamiast „niebieskiej pończoszki“ germanizmu, wziętego żywcem z niemieckiego, lepiej wyglądałoby: „sawantki“ (str. 17, w. 13, 14); „małomiasteczkowego“ zamiast: „małomiejskiego“ (str. 23, w. 9); „żywą pulsacją krwi“ zamiast: „żywe krążenie krwi“ (str. 33, w. przedostatni); „nie deformowały“ zamiast: „nie szpeciły“ (str. 36, w. 7); „perorowała“ zamiast: „odcięła się, odparła“ (str. nie przypominam sobie, która?) „upewniony“ zamiast „upewniwszy się“ (str. 44, w. 24); „Pfuj Teufel, noch amal!“ — naturalniej wyglądałoby w ustach polskiego szlachcica: „Tfy! do diabła!“ (str. 59, w. 2); „wpadał w desperację a potem w sentymentalizm“ zamiast: „wpadał w rozpacz a potem w czułość“ (str.

62, w. 14, 15); „nie zdawał on sobie jasno sprawy ze swoich stanów psychicznych“ zamiast: „nie zdawał on sobie jasno sprawy ze stanu swej duszy“ (str. 62, w. 24, 25); „białawym tonem światła“ zamiast: „białawem światłem“ (str. 64, w. 7); „indyferentny względem wszystkiego“ zamiast: „obojętny na wszystko“ (str. 74, w. 6, 7); „zrobił pan Michalczuk wielkie oczy“ zamiast: „wywrócił pan Michalczuk oczy“ (str. 85, w. 17, 18); „żywszą wywołała asocjacją obrazów“ zamiast: „żywszą wywołała łączność obrazów“ (str. 96, w. 9); „a posępne myśli zaczęły ją znowu nurtować“ zamiast: „a posępne myśli zaczęły w niej znowu nurtować“ (str. 105, w. 23, 24); „zdziwiona tą rażąca ignorancją mamy“ zamiast: „zdziwiona tą rażąca nieświadomością rzeczy ze strony mamy“ (str. 106, w. 21); „Dziwny stan oscylacji ducha nastąpił w niej obecnie“ zamiast: „Dziwne marzenia rozkołysały jej ducha w chwili obecnej“ (str. 119, w. 18, 19); „Jak wahadło wibrowała“ zamiast: „Jak wahadło chwiała się“ (str. 119, w. 23); „konkludowała“ zamiast: „zakończyła“ (str. 120, w. 3, 4); „nad ewentualnemi przyczynami“ — w tem miejscu „ewentualnemi“ tak potrzebne, jak dziura w moście (str. 120, w. 26, 27); „Musi w tem głębszy być motyw“ zamiast: „Głębsza w tem musi być przyczyna“ (str. 121, w. 4); „Pani jesteś edukowana“ zamiast: „Pani jesteś dobrze wychowana“ (str. 121, w. 11); „pozycja socjalna“ zamiast: „położenie społeczne“ (str. 122, w. 6); „to absorbowoła ją“ zamiast: „to zajmowało jej myśli“ (str. 122, w. 13); „Fakt ten wywołał ciekawe asocjacje idei w jej mózgu“ zamiast: „Fakt ten budził ciekawe myśli w jej mózgu“ (str. 123, w. 17, 18); „którego stan miał być bez nadziei“ zamiast: „którego stan zdrowia miał być beznadziejnym“ (str. 135, w. 11); w frazecie: „nad zwykłą przyjazną sympatją“ słowo: „przyjazną“ zbędne, ponieważ sympatja nieprzyjazną być nie może (str. 137, w. w. 3); „nurtowało ją“ zamiast: „przepęłniało ją“ (str. 137, w. 4); „do monstrualnych rozmiarów“ zamiast: „do olbrzymich rozmiarów“ (str. 139, w. 18, 19); „Jadwiga oświeciła Teofila“ zamiast:

„Jadwiga wytłumaczyła rzecz Teofilowi“ (str. 146, w. 7); „aspiracyj wielkich“ zamiast: „dążności wielkich“ (str. 155, w. 23, 24); „aspirować“ zamiast: „dążyć“ (str. 162, w. 4) „wibrujący“ zamiast: „drżący“ (str. 176, w. 3); „decydujące w formowaniu się charakterów“ zamiast: „rozstrzygające w kształceniu się charakterów“ (str. 181, w. 12); „monotonii“ zamiast: „jednostajności“ (str. 182, w. 14); „uwrażliwionych“ zamiast: „wrażliwych“ (str. 185, w. 6); „Bole, jakie ją nurtowały“ zamiast: „Bole, podkopujące jej zdrowie“ (str. 194, w. 6, 7); „palto“ zamiast: „paltot“ (str. 195, w. 25); „prezentować“ zamiast: „pokazywać“ (str. 196, w. 11); „do tego ekstremu nie przyjdzie“ zamiast: „do tej ostateczności nie przyjdzie“ (str. 214, w. 12); „na miejscu swej obserwacji“ zamiast: „na miejscu swych spostrzeżeń“ (str. 228, w. 6, 7); „Wściekłość ją ogarnęła, a wzrosła do rozbewstwienia, skonstatowawszy“ zamiast: „Dziki szal ją ogarnął a przekształcił się w wściekłość zwierzęcą, gdy się okazało“ (str. 237, w. 12, 13.)

Przy tej sposobności przypominam jeszcze raz tak p. Feldmanowi, jak i tym wszystkim młodym autorom a szczególnie autorkom, niestety! lubującym się w bezpotrzebnem szafowaniu obcemi wyrazami, że każdy język (nie tylko polski) krzywi się i kurczy na takie lekceważenie najżywotniejszych jego prawideł.

Używanie obcych wyrazów bezwarunkowo dozwolone tylko w fachowej pracy, w krytyce, w studjum literackiem, w rozprawie naukowej; w wszystkich innych pracach literackich warunkowo, w powieści zaś omal że nie za ciężki grzech uważane bezpotrzebne mnożenie wyrazów obcych, szerszemu ogółowi niezrozumiałych a znawcę do wzdardliwego uśmiechu zmuszających, wyrazów skleconych z największem wyteżeniem mózgu, jak gdyby polski język w swojej skarbnicy, tak obfitującej w piękny dobór słów, nie posiadał ani jednego słówka na określenie tego lub owego wyrazu! Jest to poprostu zeszpecenie i okradanie ojczystego języka, a nie — jak niektórzy twierdzą — bogacenie go.

[Walenty Ćwik. Pięć lat w kraju niewoli. Wspomnienia Sybiraka. Czerniowce, 1893. Nakładem wydawnictwa „Gazety Polskiej“ a drukiem H. Czoppa w Czerniowcach. Dwunastka. Stronic 148.]

Dziełko to jest odbitką z „Gazety Polskiej“ czerniowieckiej. Jak każda praca znanego z głębokich badań i studjów historycznych i literackich autora, ma ono wiele zalet.

Sybirak, którego przygody Walenty Ćwik barwnem swem piórem nam opisuje, to Bronisław Sławiński, rodem z Galicji a obecnie podobno urzędnik pocztowy tamże.

Za młodu — bo liczył wtedy dopiero 18 lat — zaciągnął się pod chorągwie pułkownika Horodyńskiego, gdzie przy ataku na Radziwiłłów ranny dostał się w ręce moskiewskie. Pędzony wraz z towarzyszami niedoli od miasta do miasta, gdzie od inteligencji polskiej, zwłaszcza od pań tyle doznał względów, ile przesładowań ze strony kozactwa i idącego z niem ręką w rękę chłopstwa ruskiego, po nieudalym planie ucieczki dostaje się nasz więzień drogą na Poczajów i Krzemieniec do Kijowa.

Skazany przez moskiewski sąd wojenny na osiedlenie w Sybirze, nasz więzień w przeszło 15 miesięcy od dnia bitwy pod Radziwiłłowem a po jedenastomiesięcznej wędrówce etapami dostaje się wreszcie na miejsce przeznaczenia do osady Czypeuszowej w powiecie Minusińskim. Jaśniejszy punkt w całej tej podróży tworzy chyba jedynie postać sympatyczna gubernatora miasta Tobolska, rodowitego Polaka.

W następnym a z kolei przedostatnim rozdziale opowiadania znajdujemy opis pobytu pięcioletniego na Sybirze, cenny bardzo pod względem charakterystyki ludowej, jak niemniej pod względem etnograficznym. Pobyt na wygnaniu kończy się amnestją i wyjednanem pozwoleniem powrotu do Austrii — autor nie uwiadamia jednak czytelnika o tem, czy amnestja nastąpiła z własnej inicjatywy rządu rosyjskiego, czy też skutkiem interwencji austriackiej.

Ostatni rozdział opisuje powrót do kraju. Książka, przezemnie omówiona, ma właściwie dwóch

autorów, a nie jednego: Bronisława Sławińskiego, który jest przedmiotem opowiadania, z życia wziętego, i Walentego Ćwika, który to opowiadanie stylem literackim streścił, na czem rzecz tylko zyskała. Aby pięknie pisać, nie wystarcza bowiem, że się pisze o wypadkach niezwykłych, niepospolitych; język powinien być czysty i styl literacki. Kto tym wymaganiom nie odpowiada, niech raczej zredugowanie artykułu złoży w rece fachowe, zamiast się niepotrzebnie ułożeniem artykułu trudzić. Czytałem podobną pracę nieznanego mi dotąd autora J. Kottona, także przestępcy politycznego, prześladowanego przez rząd moskiewski. Pod względem autentyczności nic jej zarzucić nie można, pod względem języka i stylu wszystko.

Dodamy jeszcze od siebie, że dziełko Walentego Ćwika na staranniejszą zasłużyło sobie edycję; od pięknego papieru nieprzyjemnie odbija haniebny druk, wykazujący braki typograficzne w najwyższym stopniu. Nie mówimy już o lichej korekcie; ale co mówić o takiej drukarni, która niewyraźnie litery drukuje a nawet setkami takowe wypuszcza?

[O reformie podatków osobistych w Austrii. Napisał Franciszek Szymusik, c. k. Sekretarz Dyrekcji skarbowej. Odbitka z „Prawnika“ z lat 1892 i 1893. Lwów, 1893. Nakładem autora. 120 stron w małej ósemce.]

Broszura niniejsza stanowi według zapowiedzi autora dopiero pierwszą część dzieła, w której tenże całą kwestję podatkowości określić zamierza. Poczytał w tym celu głębokie studia przedwstępne, a jako fachowy więcej zapewne powołanym się czuć musiał do podobnej pracy, aniżeli ktoś inny. Praca ta nie jak „pogadanki o podatkach“, obliczona dla ciasnych pojęć klas najniższych, ale dla szerszej inteligencji, wyszczególnia się czystością języka i jasnością poglądów.

[Aleksander Morgenbesser. Przyczynek do dziejów Mołdawii. Lwów, 1892. Nakładem autora a drukiem Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich. Mała ósemka. Numerowanych stronic 175.]

Jest to ostatnia praca historyczna zgasłego niedawno głośnego poety, patrioty i dziejopisarza Morgenbessera. Według przedmowy autora oryginał jako manuskrypt złożony został w r. 1885 w zbiorach Zakładu, z kąd go autor w 7 lat później wydobył celem ogłoszenia swojej pracy.

Jest to opis dziejów Mołdawii od założenia państwa aż do wygaśnięcia dynastji Dragoszków, którzy to państwo założyli, a więc karta dziejów, obejmująca 3 wieki. Krwawe to były dzieje, pełne wojen zewnętrznych i wewnętrznych, ale też pełne chluby.

Opisawszy poprzednio ginący w mgłach początek Wołochów czy Rumunów, przechodzi następnie autor do Dragosza, założyciela dynastji gospodarów w kraju, zajmującym terytorjum, obecnie bukowińskie z stolicą Suczawą, a wówczas leżące jeszcze w obrębie korony polskiej. Sąsiedztwo bliskie z Węgrami a jeszcze bliższe z Polską pociąga za sobą w pierwszym rzędzie lennictwo, ślubowane koronie polskiej, w dalszem następstwie zaś ustawiczne zatargi, to z Polską, to z Węgrami, to z Turcją.

Bardzo wybitną rolę odgrywa król Aleksander I. Dobry (1402—32), który korzystając z waśni między Władysławem Jagiełłą a Zygmuntem Węgierskim wpływy swoje na zewnątrz z dnia na dzień rozszerza, z Jagiełłą sojusz i związek krwi zawiera, krzyżaków w zasadzkę ściągawszy, takowych poraża, państwo organizuje, prawodawstwo na silnych fundamentach ustanawia, ale na końcu zdradziwszy swego pana, pobity przezeń, ze zgryzoty w ciężką chorobę wpada i umiera.

Po śmierci Aleksandra I. Dobrego, rozmaici pretendenci walczą o tron, na którym się żaden z nich długo utrzymać nie zdoła. Państwo, walkami zewnętrznymi i wewnętrznymi wyniszczone, upada coraz bardziej, aż Stefan V. Wielki (1457—1504) rządy obejmuje i podczas długiego 47-letniego panowania swego Mołdawię nową chwałą okrywa, potęgę państwa do niepospolitych podnosząc rozmiarów. Dzielny ten, aczkolwiek srogi i okrutny wojownik razi w ustawicznych bojach potęgę Węgrów, Turków i sprzymierzonych z nimi Multan, utrzymuje

dosyć znośne stosunki z Polską pod Kazimierzem Jagiellończykiem, któremu hołd lennictwa obiecany a zwlekany raz po raz, zmuszony okolicznościami dopiero w r. 1485 w Kołomyi składa, następnie prowokowany przez Jana Olbrachta, razi potęgę króla polskiego, którego szlachta pobita i wyrżnięta została w lasach bukowińskich, zwycięża nad pretendentami, i w rok po ostatniem zwycięztwie nad Polską, dokonana żywota zasłużonego, zostawiwszy synowi Bohdanowi tron.

Stefan V. Wielki był ostatnim hospodarem Mołdawii, hołdującym jeszcze Polsce. Już syn i następca jego Bohdan III. zwany ślepym z powodu, że tylko jedno miał oko, nie odnawia tego hołdu i składa jako lennik pozorny hołd Turcji. Bohdan III. (1504 — 17) panował wśród wiecznych niepokoїв i zatargów z Polską, którym jednak zgodliwe usposobienie Zygmunta Starego czyli Mądrego szczęśliwie zapobiedz zdołało.

Syn Bohdana, Stefan VI. (1517 — 27) odnawia przyjazne stosunki z Polską, walczy nawet jako sprzymierzeniec korony polskiej przeciw Turcji, ale nie odnawia stosunku lenniczego. Umarł, otruty przez żonę.

Następca Stefana VI. na tronie, stryj Piotr V. Raresz czyli Maże, także Petryłą zwany, człowiek wojowniczego usposobienia, stara się o odświeżenie tradycyj przodków, co się mu niezupełnie udało. W wojnie z Polską uległ w pamiętnej bitwie pod Obertynem (1531), a choć mu się w 7 lat później (1538) odwet udał nad rzeką Seretem — to to nie wstrzymało ani jego upadku, ani też upadku gospodarstwa. Piotr wygnany, chwilowo ustąpić musiał konkurentom do korony: Stefanowi VII. i Aleksandrowi Kornemu, a chociaż mu się za pomocą sultana chwilowo udało, napowrót objąć ster państwa, to państwo na zewnątrz i na wewnątrz należytej powagi i siły było pozbawione. Piotr V. Raresz czyli Petryło umarł w roku 1546.

Z jego synami a następcami: Eliaszem II. i Stefanem VIII., którzy zeszedli na prostych sług i pople-

czników Turcji, i jawnie się sturczyli, przyjąwszy islamizm, wygasła dynastia Dragoszów po mieczu.

Morgenbesser opisuje dzieje zgodnie z prawdą, nie fałszuje, ani nie upiększa, i w tem główna jego zasługa. Niejeden fałsz historyczny, który na podstawie niedokładnych badań w dzieje się wkradł, w dziele Morgenbessera sprostowany, jak np. kwestja trwałości stosunku lennego Mołdawii do Polski, kwestja pochodzenia Rumunów, według Morgenbessera mylnie zaliczonych do plemion pochodzenia łacińskiego. Religją panującą w Rumunii była i jest dotąd grecko-katolicka, a próbka przez hospodara Lacka czy Władysława z wiarą rzymsko-katolicką poczyniona, pozostała tylko próbka bez donioślejszych następstw.

Dzieje, które nam pióro Morgenbessera streszcza, pełne są okrucieństw, mordów i krwi rozlewu. Takim jednak a nie innym charakter epoki. Obojólny fanatyzm w sprawach wiary, walki z innowiercami, z Turkami i Tatarami, pustoszącymi Europę, ambicje niepohamowane panujących złożyły się na ten smutny obraz zdziczenia obyczajów. Prawem ogólnem było prawo silniejszego, a prawodawstwo na równi z poezją chromało pod szczękiem broni, lub wyradzało się w bezprawie.

Morgenbesser zamyka cenną swoją pracę uwagą, którą i my ją zakończyć pragniemy:

„Jakkolwiek nad niejedną kartą dziejów Mołdawii moralista ze smutkiem załamię ręce, to przypisać należy ogólnej dzikości ówczesnej, a w szczególności w narodach czerpiących z Bizancjum pierwiastki swej oświaty. Naród wołoski winien dynastji Dragoszów wdzięczność, że nawet w najniebezpieczniejszych katastrofach nie rozpaczała nad losami kraju, umiała utrzymać niezawisłość narodową i ją zachować. Konwencja, którą zawarto z Turcją, okazywała wiele mądrości stanu, uchroniła Mołdawię od klęsk bezpośredniego tureckiego panowania, jakim uległy Bułgaria, Serbja i Bośnia, i przechowała choć ograniczoną, przecie jakąś niepodległość, która umożliwiła narodowi doczekać się epoki wskrzeszenia i dzisiejszego rozkwitu,“

[Wilhelm Feldman. Asymilatorzy, Syoniści i Polacy. Kraków 1893. Nakładem St. Barańskiego a drukiem J. Fischera. Mała ósemka. 62 stronic.]

Pełna śmiałych poglądów, rzuca niniejsza broszurka ciekawe światło na stosunki i położenie żydów w kraju. Autor jako żyd postępowy nie jest zwolennikiem Syonistów i ich marzeń niedorzecznych, ale nie jest też zwolennikiem intolercancji katolickiej. Nawołuje do asymilacji, ale pragnie, aby takowa była szczerą i ogarniała ogół nietylko żydowski, ale także katolicki. Potępia intolercancję nietylko konserwatywnych, ale i liberalnych polskich pism, które liberalnemi niestety! tylko o tyle są, o ile kwestja żydowska nie wchodzi w rachubę.

Czy wśród zacofanych ortodoksyjnych mas żydowskich, albo wśród Syonistów broszurka p. Feldmana wielkie wywoła wrażenie i w skutki będzie płodną — nie wiemy. Ale pragniemy, żeby i nasi współbracia katolicy — oni przedewszystkiem — zaznajomić się raczyli z treścią broszurki p. Feldmana i głębsze jej poświęcili studja. Może ustałoby wówczas albo przycichłoby bodaj cokolwiek owo ustawiczne poniżanie żydów, owo szczucie przeciwko użytecznemu bardzo i niezbędnemu dla dobra kraju plemieniu — przeciwko żydom.

Przyznaję otwarcie, iż choć jestem żydem i chlubię się z tego, że żydem się urodziłem i żydem umrę — to przecież nie sędzę, żeby między żydami tak dobrze, jak między chrześcianami nie mogli być ludzie, niegodni imienia ludzkiego. Ale karcąc występki i zbrodnie tychże, nie sędzmy ogółu wedle jednostek.

Kto daje dotąd przykład gorliwości i abnegacji krajowi? żyd! Kto poprzestaje na małym dla wielkich celów? kto żyje przykładnie w łonie rodziny? żyd! żyd, wzgardzony i poniewierany niesłusznie przez naszych antisemitów!

Nazwisko: „żyd“ — stało się pośmiewiskiem i celem urągania wśród ludu, a powinno być z czcią najgłębszą wymawiane.

„Czcigodna i wielka to dla mnie rzecz: żyd!
Poważaj więc żyda: ubliżyć mu — wstydy!“ —

te słowa, wyjęte z starej niemieckiej ozytanki, przeznaczonej dla żydowskich dzieci, a którą znalazłem między książkami śp. ojca mego, tkwią mi ciągle w pamięci; te słowa przypominam sobie, skoro odstępca polityczny lub religijny z mego narodu i z mojej wiary szydzić lub poniżyć je usiłuje.

Wydawnictwa Zuckerkandla w Złoczowie. Biblioteka Powszechna.

[Nr. 21—23, 29, 30 i 32. A. Wilkoński. Ramoty i ramotki w 6-ciu tomach, zaopatrzone portretem autora. 16-ka. Stronic numerowanych 493. Cena 72 centów.]

Są to przedruki znanych już rzeczy; ale czy istnieje kto, coby i teraz nie przeczytał z tem samym zajęciem tych nieocenionych perełek polskiego dowcipu? Urodzony w Wielkopolsce przeniósł się niezrównany „chirurg filozofii“ Au. Wi. na bruk warszawski i osiadł w stolicy Królestwa. Jak żaden inny odmalowuje on nam w swoich „Ramotach i ramotkach“ te drobne wady, usterki i namiętnostki wielkiego miasta, nie zapominając także o prowincji i o Poznaniu. Taki „Kubuś się przeciera“ albo „Józef Ignacy Kraszewski w Warszawie“ — jakie to piękne rzeczy! A któżby się nie naśmiał do syta z „Napoleona i żydków swarzędzkich“, oraz z „mowy pogrzebowej“, którą autor na grobie p. Jerzego Błażeja Przylewy wygłasza? Widziałem przed laty warszawskie wydanie ramotek Wilkońskiego, bogato w humorystyczne ilustracje zaopatrzone, i to się niezawodnie korzystniej przedstawiało oczom od nierównie skromniejszego wydania Zuckerkandla; ale kosztowało drożej, a gdzie się rozchodzi o to, za pomocą przystępnych cen spopularyzować dzieła naszych klasyków, tam trudno sadzić się na zbytnią elegancję i przepych.

[Nr. 24—27. Faust, tragedia Getego, w przekładzie Ludwika Jenikego. 16-ka. Stronic numerowanych 258. Cena 48 ct.]

Jest to jedyne, znane nam a wzorowe tłumaczenie pierwszej części Fausta, zaopatrzone ponadto portretem Getego, krótką biograficzną wzmianką o nim i niektórymi dodatkowymi uzupełnieniami z czę-

ści drugiej. A mimoto, że tłumaczenie wzorowe, wydaje się jednak obcem w języku polskim. Są bowiem prace, które się wyraźnie proszą pod pióro tłumacza, ale są i takie, które się zupełnie nie nadają do tego. Zaliczamy do tych ostatnich „Pana Tadeusza“ a tak samo „Pieśń o Nibelungach, Gudrunę i Fausta.“

[Nr. 28. Alfred Tennyson. Enoch Arden, poemat epiczny w przekładzie Stanisława Koźmiana. 16-ka. Stronic numerowanych 38. Cena 12 ct.]

Prześliczna to rzecz i w wzorowym oddana przekładzie, opisuje poświęcenie się rybaka Enocha Ardena dla żony, która w przekonaniu, że on już nie żyje, powtóre za mąż za Filipa wyszła. Poemat ten przetłumaczony został na kilka języków, w niemieckim okazał się w kilku edycjach. Myśl poematu nie jest jednak oryginalną; wzięta wprost z poematu biblijnego Florjana: „Eliezer i Naftali“, dziś już bardzo rzadkiego. Poemat francuzki Florjana doczekał się przekładu na język polski. Zwracamy na ten szczególni uwagę szanownego wydawcy, ponieważ według naszego mniemania niepospolicie przysłużyłby się literaturze, gdyby przeszliczną rzecz Florjana z pyłu zapomnienia wygrzebać i w swojej „Bibliotece Powszechnej“ umieścić raczył.

[Nr. 31. Franciszek Morawski. Dworzec mego dziadka, poemat. 16-ka. Stronic numerowanych 44. Cena 12 ct.]

Jest to opisowy poemat, dosyć ciekawy i pod tym względem, że nam maluje obyczaje, jakie panowały na dworach szlacheckich w Wielkopolsce pod sam koniec 18-go stulecia. Polska literatura nie posiada też drugiego dzieła o podobnym zakroju. Rzecz i pod tym względem niezwykła, że zaczyna się idyllą a kończy tragedją, spowodowaną drugim rozbiorem Polski.

[Nr. 33, 34. Wilhelm Feldman. Jak w życiu, obrazki. 16-ka. Stronic numerowanych 166. Cena 24 ct.]

„Jak w życiu“ — tytuł ten oznacza, że to sylwetki i obrazy, wzięte wprost z życia rzeczywistego. Ale co to za życie! Życie ani jednym pro-

mieniem ideału ogrzane, życie — wprost z kałuży! Jednak i to jest życiem. Stosunkowo najlepsze wrażenie wywołuje nowelka: „Przy ognisku domowym.“ „De profundis“ opisuje nam z wielkim realizmem i siłą fakt, na nieszczęście nie odosobniony, jako w złem towarzystwie chłopak niezsputy wy kierować się może na złodzieja i zbrodniarza, z którychto powodów powieść rzeczoną polecamy uwadze wszystkich sędziów śledczych. „Capriccio“ wychwala moc mamony, nakłaniającej młodą Helenę do sprzeniewierzenia się najświętszym uczuciom serca i do poślubienia starego i brzydkiego sędziego, bo ma pieniądze. O czwartej nowelce, zatytułowanej: „Cudy i dziwy“ nie uczynię tu już wzmianki, ponieważ omówiłem ją w 15-m roczniku. Jako zaletę książki podnieść godzi się styl łatwy, nie przeciążony zbyt obcemi frazesami i język czystszy o wiele, aniżeli w poprzedzających powieściach autora, z których szczególnie „W okowach“ cały wieniec zakazanych w języku i pisowni wyrazów zawiera.

[Nr. 35—38. Praktyczny przewodnik do nauczania się w krótkim czasie języka francuzkiego, 16-ka, str. 179 (cena 48 ct.) i nr. 39—42. Praktyczny przewodnik do nauczania się w krótkim czasie języka niemieckiego, 16-ka, str. 184 (cena 48 ct.) — są to wskazówki krótkie i popularne, za pomocą których Polak łatwo po francuzku i po niemiecku czytać i pisać się wyuczyć może. Czynię o tych podręcznikach wzmiankę z powodu wielkiej ich taniości.

Nr. 43. Ignacy Chodźko. Obrazy litewskie. Serja pierwsza, część druga. 16-ka, Stronic 86. Cena 12 ct.]

Serja ta zawiera trzy obrazki: szczególnie udatna i do serca przemawiająca mimo stylu nieco staroświeckiego jest powiastka: „Ostatnia sesja exdywizji,“ przedstawiająca wymownie zdradę i sprzedajność fałszywych przyjaciół, wystawiających na publiczną licytację mienie swego dobrodzieja śp. podkomorzego, a z którymi do upadłego walczy stary i wierny sługa domu, Dagocki.

Drugi obraz, zatytułowany: „Samowar.“ Rzecz to wielce zabawna, opisująca konfuzję, jaką nieszczęsne

narzędzie do zgotowania herbaty w rodzinie parwenjusa i byłego ekonoma dziedzica a teraz na własną rękę posesjonata Baltazara Sularskiego powoduje, oblewając gorącym warem i jego i zaproszonych gości.

Trzeci na końcu obrazek: „Powrót dziedzica,“ opisuje powrót wypędzonego przez wierzycieli podkomorzyca Teofila, który ożeniwszy się z bogaczką i poddawszy wszystkie długi, napowrót obejmuje dziedzictwo po ojcach swoich.

[Nr. 44, 45. Abrahamowicz i Zieliński. Dobry numer, komedia 3-aktowa. 16-ka. Stronic 123. Cena 24 ct.]

Sztuka ta wybornie maluje stosunki na partykularzu, zwłaszcza w osobach starosty Henryka Gansa i sędziego powiatowego Deodata Kropidły, a kończy się po licznych zawikłaniach szczęśliwie ślubem nowomianowanego kierownika starostwa Ludwika z córką poprzedniego starosty Zosią, jakoteż ślubem adjunkta Adama z sędzianką Ewą, za którym to przykładem dla większego urozmaicenia i stary ekskapitan a obecnie major ad honores starą pannę Celestynę, kuzynkę spensjonowanego starosty Gansa zaślubia. Wybornie w komedji tej wszystko to odmalowane, co Niemcy tak trafnie odznaczają nazwą: „Alter Schimmel,“ owa stęchła biurokracja, która sprawom zalegać daje miesiącami i latami, jubileo-manja, drobne namiętnostki i zazdrości, sadzenie się i wynoszenie na przekór drugiemu. Typowemi figurami w sztuce są taki starosta Gans, stary biurokrata, bawiący się w wysokiego dostojnika i zasłużonego męża, taki sędzia Kropidło, żyjący tylko w paragrafach swoich a prowadzący mimo to urząd tak nie-dbale, że zamiast awans otrzymać, ściąga na siebie śledztwo dyscyplinarne, ponadto jeszcze wyszczególniający się tylko zaletami pantofelka i podnóżka swojej ksantypy Tekli, wreszcie pijaczyna Kociński, urządzający za dobrym napitkiem rozmaite owacje i kocie muzyki; albo taka stara panna Celestyna, uszczęśliwiona tem, że ułowiła sobie przekwitłemi swemi wdziękami starego ekskapitana a obecnie majora ad honores.

[Nr. 46, 47. J. S. Pobratymiec. Urzeczona, szkielek z kaleidoskopu. 16-ka. Stronic 137. Cena 24 ct.]

Nowy, jeszcze nie bardzo znany autor, a jak na str. 436 spis rzeczy w naszym najnowszym roczniku wykazuje, obecnie współpracownik także samborskiego wydawnictwa, występuje w bibliotece Zukerkandla po raz pierwszy pod pseudonimem „Pobratymca,” a mianowicie z 3-ma nowelkami, z których za najcenniejszą uważamy „Urzeczoną.” Jest to rodzaj powieści wiejskiej. Temat sam nic nie przedstawia nadzwyczajnego; bo zdradzona, niewdzięcznością odplacona miłość, jak ta Baśki Pokraczanki ku Frankowi Opończy, to rzecz powtarzająca się aż do przesytu w niejednej powieści, w niejednym romansie. Szczególniejszego uroku używa jednak tej pracy wierny opis praktyk i zabobonów góralskich, ujętych z dokładnością i wiernością historjografa w szczupłe ramki noweli. Styl autora pojedynczy, nie przeładowany, ale przyjemny; jako błędy językowe uważamy jednak zwroty, jak: „Miało to miejsce” zamiast: „Zdarzyło się,” „jako takich towarzystwo” zamiast: „ich towarzystwo,” „zrobiło ją uważną” zamiast: „zwróciła jej uwagę” albo „uparcie” zamiast: „uporczywie.”

„Dzwony na Ave-Maria” — fantasmagorja, — ale ile w niej polotu poetycznego, ile siły! Autor w tej powiastce przenosi nas pod niebo włoskie, wrące namiętnościami i żądzami jego mieszkańców. Młody lazzarone Angelo, zwabiony blaskiem złota, zamordował cudzoziemca Francuza, którego przewieźć miał w swej barce na brzeg genueński. Świadcami krwawego uczynku były tylko dzwony kościelne, głoszące „Ave Maria,” te same dzwony kościelne, które po upływie wielu lat, budząc sumienie w osiadłym na własnem domostwie i ożenionym z nadobną Bianką Włochu, wywołują żalobnym swym dźwiękiem rozpacz szaloną i samobójstwo.

Ostatnia z nowelek, to: „Kartka miłości.” Rzec rozgrywa się na ziemi polskiej; stosunki więc swojskie, nasze. Jest to miłość studencka — czternasta z kolei — zresztą bez tragicznych następstw, miłość

autora ku pannie Stanisławie, przerwana nieproszoną interwencją ludzką i pani Lubaczewskiej. Nie brak tej nowelce pewnego humoru; zaliczam ją jednak do najsłabszych stosunkowo utworów tego zbiorku. W autorze jest talent, który się przy sprzyjających okolicznościach wyrobić może.

[Nr. 48, 49. Bernardin de Saint-Pierre. Paweł i Wirginia, powieść francuzka w przekładzie Hipolita Witowskiego. 16-ka. Stronic 157. Cena 24 ct.]

Nieszczęsne losy dwojga kochanków, Pawła i Wirginii, przedstawia nam w powieści swojej, ozdobionej barwnymi opisami przyrody amerykańskiej — autor. Powieść jego doczekała się już wielu tłumaczeń na rozmaite języki. Styl nieco przeładowany, przedłuża często nad miarę tok opowiadania, niemniej przez to wzruszającego.

[Nr. 50. Cycero. Kato starszy, czyli o starości, w przekładzie Rykaczewskiego. 16-ka. Stronic 59.]

Autor w cennej tej rozprawie zbija twierdzenie, jakoby starość miałyby dla rozumnych ludzi coś przerażającego, a czyni to, biorąc przykład z Katona starszego, który w rozmowie z Leliuszem i Scypjonem, tychże na podstawie doświadczeń, z życia wziętych, poucza, jak ludzie wyżsi duchem, starość swą, czyli raczej doświadczenia starości wyzyskiwać powinni na pożytek swój i ogółu.

[Nr. 51. Cycero. Leliusz, czyli o przyjaźni, w przekładzie Rykaczewskiego. 16-ka. Stronic 63.]

Jest to druga podobizna „Katona.“ Jak tam Kato, tak tu Leliusz, jest tą główną osobą, rozmawiającą z młodszymi swymi przyjaciółmi a zięciami Fanniuszem i Scewolą, i jak Kato w traktacie o starości uwydatnia znaczenie i zalety tejże, tak Leliusz w traktacie o przyjaźni podnosi cel i zadania główne prawdziwej przyjaźni.

Sambor, 23. Lutego 1894.

G. Kohn.



Sprawozdanie z czynności moich.

Oddaję niniejszem jako dochód z 17go rocznika mego wydawnictwa 30 złr. na rzecz Towarzystwa św. Wincentego à Paulo, a tyleż na rzecz Bursy Samborskiej. Przy tej sposobności widzę się zniewolonym, sprostować pomyłkę, która się wkradła w zeszłoroczne sprawozdanie Towarzystwa św. Wincentego à Paulo, gdzie twierdzono, że z 16go rocznika mego wydawnictwa oddałem 25 złr. na rzecz Towarzystwa, podczas gdy rzeczywiście 28 złr. oddałem, co także kwit przełożonej Towarzystwa, u mnie złożony, stwierdzi. Z prac większych, nadesłanych mi przez szanownych autorów, z braku miejsca wiele musiałem zostawić dla 18go rocznika, między innymi także Szczęsnego Morawskiego „Różnowierców w Polsce“ i Zygmunta Morawskiego artykuł przyrodniczy. Te wszystkie prace wymienię zresztą dokładnie w następnym prospekcie.

Sambor, 2. Marca 1894.

G. Kohn,

redaktor i wydawca „Roczników Samborskich.“



Spis przedpłacicieli.

Biała i powiat: Dr. Bogdanik 1, Dr. Jan Cieszyński 1, Czytelnia polska 2, Dr. Bernard Ichheiser 2, Krysta 2, Jerzy Piwocki, c. k. Starosta 1, Dr. Rosner, burmistrz 1, Dr. Edward Stiasny 2, Stowarzyszenie wzajemnej pomocy 1 i Alfred Korwiu Truskolaski 1 w Białej, Dr. Gąsiorowski 2, Dr. Nowak 2 i Antoni Polaszek 2 w Oświęcimiu.

Bochnia: Józef Fertig 2, ks. Franciszek Lipiński 1 i Makarewicz 2 w Bochni.

Borszczów: Kazimierz Dobrowolski 1, Michniewski 2, Karol Mühlner, c. k. Starosta 2, Michał Nowacki 1, Antoni Rarogiewicz 1, Władysław Ścisłowski 1, Teofil Witosławski 2 i ks. Franciszek Wołoszyński 1 w Borszczowie.

Bóbrka: Stanisław Frankowski 1, Dr. Głowiński 1, Dr. Maurycy Kahane 1, Zenon Rawicz Rojek 2, ks. Tyll 1 i Hilary Wanke 1, burmistrz w Bóbrce.

Brody: Franciszek Adlof (c. z.), Dr. Braun 1, Stanisław Bursztyn 2, hr. Włodzimierz Russocki, c. k. Starosta i Rada Namiestnictwa 1, Dr. Franciszek Sobolewski 3, ks. Świstelniczy 2 i Tokarski 1 w Brodach.

Brzesko i powiat: Dr. Górski 1, Wincenty Łobos 2, Dr. Parvi 2, Edmund Romer, c. k. Starosta 2 i Ludomił Trzaskowski 1 w Brzesku, ks. Franciszek Lacroix 1 w Radłowie.

Brzeżany: Kornel Freund 1, Emil Fried 1, Łucjan Marynowski 1, Karol Morwitz 2, Władysław Nahlik 1, Alojzy Paulo 1, Bronisław hr. Romer 1 i Herman Sigall 1 w Brzeżanach.

Buczacz i powiat: Dr. Ausschnitt 1, Mieczysław Burzyński 2, Wilhelm Byk 1, Cetnarski 1, Dr. Mieczysław Hirschler 1, Kolankowski 2, Dr. Józef Kroo 1, Dr. Edward Krzyżanowski 2, Kornel Lewicki 1, Józef Pfau 2, Emil hr. Potocki 1, Dr. Emanuel Reis 2, Emil Schutt, c. k. Starosta 1, W. Stojowski 2, Konstanty Teliszewski 1 i Wydział powiatowy 2 w Buczaczu, Dr. Leon Chameides 1, Wilhelm Lifschitz 1 i Smolik 1 w Monasterzyskach.

Chrzanów: Dr. Zygmunt Grabowski 1, Kamila Sporyszowa 2 i Towarzystwo pedagogiczne 1 w Chrzanowie.

Cieszanów i powiat: Stanisław Długoszewski 1, Gilewicz 2, Kawecki 1 i Towarnicki 2 w Cieszanowie, Ludwig Höffler 1, ks. Jabłonowski 2, Kapko 1 i Moszyński 1 w Lubaczowie.

Czerniowce (na Bukowinie): Władysław Sołtyński 2 i Antoni Sworakowski 2 w Czerniowcach.

Czortków: Józef Haber 2, Hołubowski 2, A. Kostecki 1, Machalski 1, Piotr Przybylski 1, Dr. Stöckl 2 i Antoni Wybranowski, c. k. Starosta 1 w Czortkowie.

Dobromil: Dr. Cwiklicer, burmistrz 1, Gailhofer 1, Józef Mikułowski 1, Paszkudzki 1 i Dr. Tygerman 1 w Dobromilu.

Dolina i powiat: Dr. Józef Dobrowolski (c. z.), Dr. Rosenbusch 1 w Dolinie, Dr. Rabinowicz 1 w Bolechowie.

Drohobycz: Dr. Apfel 2, Dr. Fruchtman 2, Ignacy Wierzbicki 1, Dr. Wolski 1 i Franciszek Zych 2 w Drohobyczu.

Gorlice i powiat: Michał Baranowicz 1, W. Biechoński, burmistrz 1, Czeżowski, c. k. Starosta 2, Dr. Dziubeżyński 1, Wilhelm Kahl 3, Józef Kuzia 1, Dr. Neuman 1, Józef Rakucki 2, Winklerówna 2 i Wiśniowski 1 w Gorlicach, Stanisław Jakliński 1 i Kazimierz Wąchała 1 w Bieczu.

Gródek: Bazyli Dmuchowski 2, Henze 2 i Hieronim Zahradnik 1 w Gródku.

Grybów: Alojzy Muszyński 2 i Jan Zacharjasiewicz 1 w Grybowie.

Horodenka: M. Berlas 1, Dr. Białkowski 1, ks. Kosiński 1, Dr. Henryk Markus 1, Julian Neuburg 1, ks. Nowobielski 1, D. Rauch 1, Robacki 1 i Tytus Zulauf 1 w Horodence.

Husiatyn i powiat: ks. Bojarski 1, Dr. Józef Natansohn 1 i ks. Szamocki 1 w Husiatynie, Dr. Józef Braun 1, Lorsch, c. k. emerytowany Starosta 2 i Reder 1 w Kopeczyńcach.

Jarosław: Edward br. Brunicki 1, Edward Damask 1, Dr. Władysław Grabowski 1, Dr. Zygmunt Meisels 1, Dr. Minz 1 i Dr. Julian Ruczka 1 w Jarosławiu.

Jaśło i powiat: Dr. Adamski 1, Edmund Doening 1, Dr. Feliks Gaszyński (c. z.), Antoni Korlakowski 1, Jakub Polak, Karol Prochaska 1, Klemens Sieńkiewicz i Dr. Steinhaus 1 w Jaśle, Zygmunt Głębocki 1, Florjan Obmiński 1 i ks. Walenty Wojtalik 1 w Żmigrodzie.

Jaworów: Dr. Bendel, Bernstein 1, hr. Ludwik Dębicki 1, Dr. Aleksander Hibl 1, Dr. Czesław Niewiadomski, c. k. Starosta 1, Ferdynand Paar, burmistrz 1 i ks. Turzański 1 w Jaworowie.

Kałuż i powiat: Baczyński 1, Juliusz Majewski, c. k. Starosta 1, Ignacy Przestalski 2, Leon Skrowaczewski 2, Antoni Szlemkiewicz 1 i Dr. Wittlin 2 w Kałuszu, Stanisław Komornicki 1 w Zawadce.

Kamionka Strumiłowa i powiat: Edward Czermak 2, Dr. Marjan Krówczyński 1 i Jan Szawłowski 1 w Kamionce Strumiłowej, Juliusz Brand 1, Robert Kuhnen 1 i Franciszek Mrozowski 1 w Radziechowie, Dr. Władysław Małaczyński 1 i Marceli Tustanowski 1 w Busku.

Kołomyja: Dr. Allerhand 1, Józef Funkenstein 2, Dr. Głaczyński 2, Dr. Jaworski 1, Wilhelm Kuhnen 1, B. Mardyrosiewicz 1, Dr. Milgrom, Dr. Piaskiewicz 1, Dr. Rittigstein 2, Dr. Schuster 1, Dr. Sysak 1 i Dr. Zipser 2 w Kołomyi.

Kosów: Stanisław Bursa 2, Emil Czepielewski 1, Włodzimierz Łuszyński 2, Józef Paliwoda 1 i Hipolit Sabat, c. k. Starosta 2 w Kosowie.

Kraków: Władysław Ambroziewicz 1, Władysław Borkowski 1 (zapł. 3 złr.), Estreicher 2, Dr. Leon Horowitz 2, Dr. Michał Ichheiser 2, Lipka 3, Ojciec Metody, kustosz Bernar-

dynów 2, Pawlikowski 1, Dr. Piekosiński 2, Resch 2, Towarzystwo izraelskiej młodzieży handlowej 1, Dr. Maurycy Wechsler 1, Dr. Bronisław Wolff 2, Józef Wyrobek 1 i Dr. Zoll 2 w Krakowie.

Krosno: Józef Brodnicki 1, Dr. Antoni Coghen 1, Jaciewicz 1, Kadyi 1, Pilecki 1 i Towarzystwo Zgoda 1 w Krośnie.

Limanowa: Zygmunt Mars (c. z.) i Wincenty Potocki 2 w Limanowej.

Lisko i powiat: Stanisław Dobrowolski 1, Karol Franz, c. k. Starosta 1, Dr. Freysinger 1, Dr. Jacek Jabłoński 2, Antoni Kościński 1, Franciszek Ślącza 1, Dr. Jan Strutyński 1, Józef Szwedzicki 1 i Antoni Wilecki 1 w Lisku, R. Adamski 1, Jan Bagnowski 1 i Dr. Roman Lenartowicz 1 w Ustrzykach dolnych.

Lwów i powiat: Dr. Jan Bołoz Antoniewicz 1, Bank kredytowy 2, Mikołaj Bańkowski 1, Dr. Salamon Bund 2, Dr. Emil Byk 2, Józef Chołodecki 2, Seweryn Chrząszczewski 2, Dr. Adam Cząstecki 1, Dr. Czeszer 2, Dr. Dębicki 1, Dominik Derdacki 2, Józef Diamand 1, A. Frank 2, Franciszek Garczyński 1, Herman Garfein 2, Gnoiński 1, Dr. Goldman 2, Dr. Gottlieb 2, Grabiński 2, Dr. Gross 2, Dr. Herschman 1, Dr. Holzer 2, Samuel Horowitz 2, Dr. Horvath 1, Józef Howorka 2, Dr. Jekelles 2, Klipunowski 2, Efraim Korman 1, Władysław Kostro 1, Leopold Kukawski 2, Dr. Edward Lilien 2, Dr. Godzimir Małachowski 1, ks. Jakub Mardyrosiewicz 2, Jerzy Mayer 2, Jakub Piepes 2, Dawid Posner 2, Juliusz Reiss 2, Zygmunt Richtman 2, Dr. Rosenzweig 1, W. Rutkowski 1, Dr. Schaff 2, Dr. Skalkowski 2, Karol Sklepiński 2, Bronisław Sokalski 2, Dr. Steczkowski 1, Franciszek Szymusik (c. z.), Dr. Till 2, Dr. Weiss 2, Jan Welichowski 2, Jan Wewiórski 2, Antoni Witosławski 2, Liberat Zajączkowski 2 i Franciszek Zima 1 we Lwowie, Bolesław Andruszewicz 2 w Barszczowicach, Dr. Akier 1, Marjan Glazarewicz 2 i Stanisław Matkowski 1 w Szczercu, Zygmunt Groblewski 1 w Winnikach.

Łańcut i powiat: Dr. Szpunar 1 i Adam Wolski 1 w Łańcutcie, Czepielewski 1 i Świętecki 1 w Przeworsku.

Mielec: Biblioteka kasyna powiatowego 1, Dr. Henryk Brandt 2, Dr. Brzeski 1, Droba 2, Michał Krüwer 1, Antoni Matejko 1, Pawlikowski 2, Schabbus 1, ks. Smetana 1 i M. Szymberski 1 w Mielcu.

Myslenice: Dr. Emil Adelman 1, Dyrekcja dóbr Myslenickich J. O. ks. Cecylii Lubomirskiej 1, Karol Fetter, c. k. Starosta 1, ks. Ludwik Fonferko 1, Adolf Groner 1, Dr. Mikołaj Klakurka, burmistrz 1, Szczęsny Płatkowski 1, Józef Vergesslich 1 i Wydział Rady Powiatowej (2 egzemplarze) 1 w Myslenicach.

Nisko: Kazimierz Jagoszewski 1 i Dr. Alojzy Löwy 1 w Nisku.

Nowy Sącz i powiat: Dr. Karol Dawid 1, A. Nebenzahl 1, Roman Pisz 2, Feliks Ritter 2, Dr. Schornstein 2, Jan Szafarski († 1893 $\frac{5}{9}$) 1, Dr. Henryk Wąsikiewicz 2 i Malachias Zaunkönig 1 w Nowym Sączu, Dr. Gawelkiewicz 2 i Dr. Meissner 1 w Starym Sączu.

Nowy Targ: Dr. Geissler 3, Gmina Nowego Targu 3, Bernard Goldfinger 1, Samuel Goldfinger 1 i Kazimierz Liberak 1 w Nowym Targu.

Podhaje: Michał Borowski, burmistrz 2, Dr. Maurycy Lidechower 1, Dr. Kazimierz Pawlikowski 1 i Żegestowski 1 w Podhajcach.

Przemysł i powiat: Dr. Blumenfeld 1, G. Dawid 1, Dr. Doliński 2, Michał Dornwald 2, Dr. Aleksander Dworski, burmistrz miasta 2, Dr. Jan Dylewski, c. k. Prezydent Sądu 1, Franciszek Gamski 2, Dr. Bernard Gans 1, Dr. Jakub Głanz 1, Dr. Goldfarb 1, Dr. Hillel 2, Celestyn Jaworski 2, Zygmunt Kretschmer 1, F. Kwaśniewski 2, Dr. Rosenbach 2, Andrzej Skala 2, Dr. Skórski 2, Henryk Słotwiński 1, Dr. Smutny 2 i Dr. Tarnawski 2 w Przemysłu, Kriegseisen 1, Medveczky, burmistrz 1 i Tarnawski 1 w Niżankowicach.

Rawa ruska i powiat: Wł. Gadziński 1, Mayer 1, Dr. Segal 1, Julian Szumlański, c. k. Starosta (c. z.), Henryk Wilczyński, burmistrz 1 i Hipolit Zawzięty 2 w Rawie ruskiej, Alfred Głowiński 1 w Magierowie, B. Kibitz 2 i Dr. Emil Zadurowicz 1 w Uhnowie.

Rohatyn: Władysław Manasterski 2 w Rohatynie.

Rudki i powiat: Adolf Bieniecki 1, Stanisław Dembowski 1, Andrzej hr. Fredro 1 i Świtalski, c. k. Starosta 1 w Rudkach, ks. Frydel 1 i Hipolit Wąsowski 1 w Komarnie.

Rzeszów: Dr. Als 2, Dr. Fechtdegen 2, Dr. H. Fischler 1, Kalinowski 2, Klasztor OO. Bernardynów 2, Dr. Lecker 1, Dr. Reich 2, Konstanty Steczkowski 1, Towarnicki 1, Dr. Überall 1 i Dr. Zbyszewski 2 w Rzeszowie.

Sambor i powiat: Alexiewicz 2, Dr. Biegelmeyer 2, ks. Jan Dornwald (c. z.), Michał hr. Dzieduszycki (c. z.), Adam Głogowski 1, Karol Hanik 2, Dr. Jirzyczek Maciejowski 2, Kapuściński 1, Wilhelm Kasperek 1, Kerekjarto 1, G. Kohn 2, Lipowska, Władysław Madeyski 2, Karol Negrusz 1, Dr. Ignacy Petelenz (c. z.), Józef Petz 1, Jan Polański 1, Przetocki 1, Dr. Władysław Skalski 2, Jan Smołucha 1, Świtalski 1, Towarzystwo św. Wincentego a Paulo 1, Towarzystwo Bursy 1, Dr. Witz 2 i Eustachy Zajączkowski 2 w Samborze, Dr. Ludwik Dolański 1, w Rakowej i Ludwik Balicki 1, w Wykotach.

Sanok i powiat: Adamczyk 1, Faliszewski 1, Dr. Goldhamer 2, Dr. Iskrzycki 1, Ludwika Kahanówna 1, Kazimierz Lipiński 1, Marcelina Lissówna, Rudkiewicz 1, Alojzy Schneider 2, Dr. Ślącza 1, Sławiński 1, Staruszkiewicz 1, Leon Studziński, c. k. Starosta i Radca Namiestnictwa 2 i Ludwik Świerczyński 2 w Sanoku, Dr. Krzyszkowski 3, hr. Anna Potocka 2 i Ludwik Rzewuski 1 w Rymanowie.

Skalat i powiat: Dr. Biliński (c. z.) i Towarzystwo zaliczkowe w Skalacie, Anna Bakin 1 i Antoni Bourdon 1, w Grzymałowie, Emil Burdowicz 1, Włodzimierz Czerniak 1, Dr. Dawid 1, Natan Katzner 1, Aleksander Kruh 1, Herman Osterseizer 2, Schwager 1 i Robert Wiesel 1 w Podwołoczyskach.

Śniatyn i powiat: Józef Arvay, c. k. Starosta 2, Dr. Wilhelm Rozenheck 1 i Konstanty Stupnicki 2 w Śniatynie, Adolf Schapira 1 w Zabłotowie.

Sokal i powiat: Bruno Eitelberg (c. z.), Dr. Filipowski 1, Dr. Samuel Fränkel 2, Kazimierz Kisslinger 1, Dr. Robert Pawłowski 1, Leon Rauch 2, Józef Salzmann 1, Dr. Władysław Wejda, burmistrz (c. z.), Franciszek Wolski 2 i Eugeniusz Wysoczański 2 w Sokalu, Karol Chudzik 1, Adolf Gross 1, Mieczysław Musiał (c. z.) w Belzie, Nuchim Reiss 1 w Budyni, Feiweł Taube 1 w Tuczkwie i Majer Abgott 1 w Żużelu.

Stanisławów: Kajetan Kopacz 1, Dr. Edmund Lorsch 1, Jonasz Sokal 1, Stachiewicz 2, Dr. Szydłowski, burmistrz miasta 2, Juliusz Turczyński 2 i Ignacy Zdrasil 2 w Stanisławowie.

Stryj i powiat: Dr. Leon Fink 1, Dr. Filip Fruchtmann 2, Wilhelm Jonasz 1, Józef Kosterkiewicz 2, Konstanty Lechicki 2, Marceł Manasterski, c. k. Starosta i Radca Namiestnictwa 2, Opolski 2, Sawka 1 i Wilhelm Schayer 1 w Stryju, Dr. Michalski 1 w Skolem.

Tarnobrzeg i powiat: Dr. Wilhelm Reben 1, Dr. Sozański, c. k. Starosta 1, Arseniusz Stotkiewicz 1 i Michał Torski 1 w Tarnobrzegu, Artur Garfunkel 1 w Nadbrzeziu, Leon Fruchtmann 1, Kazimierz Gajewski 1, Kasyno 1 i Dr. Wiktor Reichman 1 w Rozwadowie.

Tarnopol: Kłemeus Chłędowski 1, Friedman 2, Gall, Leon Halpern 1, Hauswald 1, Józef Ingwer 3, Marjan Krzyżanowski 1, Dr. Michał Landau 2, Emil Michałowski (c. z.), Antym Nikorowicz 1, Dr. Marek Parnass 1, Ludwik Piątkiewicz 2, Dr. Stanisław Pohorecki 1, J. Roguski 2, Władysław Satke 1, Dr. Schalit 1, Bernard Schütz 1, Dr. Trzcieniecki (c. z.), Wieczerek 1, Jan Winiarz 1, Jan Żurakowski 1 i Teofil Dujanowicz 1 w Tarnopolu.

Tarnów: Maurycy Adler 2, Dr. Ignacy Apfelbaum 1, Wilhelm Engländer 1, Dr. Mieczysław Gałęcki 2, Dr. Glaser 1, Dr. E. Goldhamer 2, Dr. Kronhelm 1, Dr. Lerner 1, Leopold Płaziński, c. k. Starosta i Radca Namiestnictwa 2, Dr. Ringelheim 2, Karol Rudolf 2, O. Salezy Ścisłowicz 1, Dr. Stanisław Stojalowski 2 i ks. Justyn Szaflarski (c. z.) w Tarnowie.

Tłumacz i powiat: Michał Bartoszewski 2 w Tłumaczu, Jan Moniak 1 i Franciszek Szelewski 2 w Tyśmienicy.

Trembowla: Berchard 2, Bertoni 1, ks. Kaliniewicz 2, Jan Leśniański 1, Dr. Julian Olpiński, burmistrz miasta 2 i Wasilewski, c. k. Starosta 1 w Trembowli.

Turka: Hieronim Morawski, c. k. emerytowany Starosta 2 w Turce.

Wadowice i powiat: Dr. Jan Iwański, burmistrz 3, Dr. Łazarski 3 i Teofil Nartowski 1 w Wadowicach, Dr. Förster 1 i Bolesław Zięborak 1 w Kalwarji Zebrzydowskiej.

Wiedeń: Bernard Kohn 2 we Wiedniu.

Wieliczka: Seweryn Udziela 1 w Wieliczce.

Wyżnica (na Bukowinie): Józef Rudkowski (c. z.) w Wyżnicy.

Zaleszczyki: Geringer 1, Gwiazda 1, Antoni Gross 2, Szymon Kajetanowicz, burmistrz 3, W. Kuźmiński 1, Zygmunt Pawłowski 1, Sidorowicz 1, Dr. Stoklasa 1 i Józef Stroner 1 w Zaleszczykach.

Zbaraż: ks. M. Krupiński 1, Antoni Petter 1 i Franciszek Sobol 1 w Zbarażu.

Złoczów i powiat: Dr. Billet, burmistrz miasta 2, Dzun-
dza 2, Dr. Misky 2, Wilhelma Niedźwiecka 2 i Stanisław We-
sołowski 2 w Złoczowie, Antoni Kofler 1, Jezaja Münz 1, ks.
Piątkowski 1 i Dr. Leon Reis 1 w Olesku.

Żółkiew i powiat: Roman Biliński 1, Józef Hejda 1
i Stanisław Kruszelnicki 1 w Żółkwi, Michał Sawicki 1 w Ku-
likowie i Adam Obertyński 1 w Nowemsiolu.

Pow. żydaczowski: Michał Kopystyński 1, Norbert Mo-
krzycki 1, Roman Mokrzycki 1, Antoni Stecher 2 Karol Szu-
lisławski 1, Wawrzyniec Zaremba 1 w Mikołajowie, Dyrekcja
Zakładu sierót 1 w Drohowyżu, d'Abancourt 1, Feliks Krzy-
żanowski 1 i Piotr Tyszkiewicz 1 w Żurawnie.

T r e ś ć.

	Str.
<i>A. D.</i> , Chwila natchnienia, wiersz	225
<i>Andruszewicz Bolesław</i> , Z kraju i ze świata, szkice wierszem	219
<i>Antonowiczówna Janina</i> , Przeszłość a przyszłość, pogadanka społeczna	25
<i>Antonowiczówna Kazimiera</i> , Intermezzo	312
<i>A. S.</i> , Ofiary idei, wiersz	201
<i>Barański Adam</i> , Kilka słów o epoce romanty- cznej i o autorze „Chorału“, ostatnim romantyku polskim, odczyt	8
<i>Chołoniewski Antoni Stanisław</i> , Powrót, ballada	350
<i>Duchńska Seweryna</i> , Pamięci Agatona Gillera, wiersz	30
<i>Gordzewicz Emanuel Nelin</i> , List Juliusza Sło- wackiego z za grobu, wiersz	203
<i>Kohn G.</i> , Głos z Sambora do Kornela Ujej- skiego, wiersz (z inicjałką i portretem tytułowym)	7
„ „ Trzy przekłady z Ujejskiego	17
„ „ Cieniom Ludwika Andruszewicza, sonet	177
„ „ Wytrawni pisarze, wiersz	197
„ „ Zgon Matejki, wiersz (z ryciną i winietą)	310
„ „ Odkryj przyłbicę!, wiersz	320
„ „ W uroczystej chwili, wiersz (z ryci- ną wkładkową, wykonaną według	

	fotografii p. Stanisławowej Bizańskiej z Krakowa)	Str. 321
" "	Korespondencja moja z Lenartowiczem, studjum literacko-artystyczne	324
" "	Miasto w rozkwicie, szkic (z ryciną według fotografii M. Friedmana z Nowego Sącza)	347
" "	Niemiecki Estreicher, szkic biograficzny	351
" "	Bibliografia	383
" "	Sprawozdanie z czynności moich	429
<i>Korngutówna Aniela</i> ,	Tamta, szkic	372
<i>Kossowska Stefania</i> ,	Alleluja!, wiersz (z ryciną)	33
" "	Jużeś mi zniknął, promyku złoty!, wiersz	309
<i>Krzyworóg Władysław</i> ,	Jeden z ostatnich, sylwetka z natury	204
<i>Lasocki Franciszek</i> ,	Joanna, królowa neapolitańska, obraz dramatyczny w IV. aktach, wierszem	35
<i>Lissówna Olga</i> ,	Rymanów, wiersz (z ryciną, wykonaną przez autorkę)	179
" "	Serenada, wiersz	378
<i>Ludomir Zygmunt</i> ,	Bitwa pod Ostrołęką, wiersz (z Gustawa Kaczkowskiego)	341
<i>Młot Zenon</i> ,	Trzy śmierci, poemat epiczny	362
<i>Morawski Szczęsny</i> ,	Zbójce we Węgrzech, opowiadanie urzędnika kolei żelaznej	379
<i>Negrusz Karol</i> ,	Opis budynku c. k. gimnazjum im. Arcyksiężn. Elżbiety w Samborze (z 10-ma rycinami według fotografii Franciszka Schofera z Sambora)	185
<i>Pobratymiec</i> ,	Pan burmistrz z Wielkich Kozłowiec, krotchwila w dwóch aktach, proza	227
<i>Salzmann Jakub</i> ,	Do braci Żydów!, wiersz	307
<i>Sedlaczkówna Janina</i> ,	W 70-tą rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki, zwycięzcy z pod Raławic i bohatera narodu polskiego, wiersz	354
<i>Torska Władysława</i> ,	Partja szachów, obrazek z życia	355

